

**CLIVE CUSSLER**

**MILCZĄCE MORZE**

**PRZEKŁAD MACIEJ PINTARA**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SILENT SEA**

**CLIVE CUSSLER**

**MILCZĄCE MORZE**

**PRZEKŁAD MACIEJ PINTARA**  
**TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SILENT SEA**

*Wiatr sprzyjający dmie i pryska biała piana.*

*Statek na wodzie bruzdę orze.*

*My pierwsi w dziejach się wdzieramy.*

*Na to milczące morze.*

Samuel Taylor Colendge.

*Wiersz o starym marynarzu*



# Prolog

7 grudnia 1941, wyspa Pine, stan Waszyngton

Złocista plama śmignęła nad nadburciem małej łodzi, gdy dziób uderzył w skalistą plażę. Wylądowała z pluskiem w wodzie i pokonała fale przyboju z ogonem uniesionym dumnie jak porporzec. Kiedy retriever dotarł do lądu, otrząsnął się, aż krople poszybowały w rześkim powietrzu jak okruchy diamentów i obejrzał się na skif. Zaszczekał na dwie mewy w głębi plaży - poderwały się do lotu. Uznał, że towarzysze ruszają się o wiele za wolno, i wyrwał w stronę pobliskiej kępy drzew. Szczekanie suki cichło, aż umilkło w lesie, który porastał większą część wyspy o powierzchni dwóch i pół kilometra kwadratowego oddalonej o godzinę wiosłowania od kontynentu.

- Amelia! - krzyknął Jimmy Ronish, najmłodszy z pięciu braci w łodzi.

- Nic jej nie będzie. - Nick, najstarszy, wciągnął wiosła i wziął do ręki faleń.

Doskonale wyliczył skok i wylądował na kamienistym brzegu, gdy cofnęła się fala. Trzy susy i znalazł się za szczątkami wysychających krasnorostów morskich, które znaczyły linię przypływu. Zaciągnął linkę wokół wyblakłej od słońca i soli, wyrzuconej na brzeg kłody z wrytymi inicjałami. Pociągnął faleń i przywiązał czterometrową łódź, gdy mocno osiadła na lądzie.

- Ruszajcie się - ponaglił młodszych braci. - Odpływ za pięć godzin, a mamy mnóstwo roboty.

Choć powietrze było ciepłe, jak na tę późną porę roku, lodowaty północny Pacyfik zmuszał ich, by wylądowywali sprzęt między nadpływającymi falami. Jedną z najcięższych części ekwipunku był stumetrowy zwój konopnej liny, który bliźniacy Ron i Don musieli razem przenieść na plażę. Jimmy dostał plecak z lunchem, duży ciężar dla szczupłego dziewięciolatka.

Czterej starsi chłopcy - dziewiętnastoletni Nick, osiemnastoletni Ron i Don, i młodszy o zaledwie jedenaście miesięcy Kevin - mogliby uchodzić za pięcioraczki z miękkimi jasnobłond włosami i niebieskimi oczami. Ich młode, pełne energii ciała stawały się coraz bardziej męskie. Jimmy był drobny, jak na swój wiek, miał ciemniejsze włosy i piwne oczy. Bracia docinali mu, że wygląda jak pan Greenfield, sklepikarz z miasteczka, i choć Jimmy nie wiedział, co to właściwie znaczy, wcale mu się to nie podobało. Swoich starszych braci traktował jak idoli i nie cierpiał wszystkiego, co różniło go od nich.

Ronishowie posiadali tę małą wyspę niedaleko wybrzeża, odkąd pamiętał ich dziadek. Kolejne pokolenia chłopców - jako że od 1862 roku w ich rodzinie nie przysłała na świat żadna dziewczynka - spędzały tu pełne przygód letnie miesiące. Wszyscy mogli łatwo udawać, że są Huckami Finnami porzuconymi na Missisipi lub Tomkami Sawyerami, którzy penetrują labirynt jaskiń. Ale na wyspie Pine najbardziej intrygował Dół.

Matki zabraniały synom zabaw w pobliżu Dołu, odkąd Abe Ronish - stryjeczny dziadek obecnego pokolenia braci Ronishów - wpadł tam i zginął w 1887 roku. Rzecz jasna, zakaz ignorowano.

Wabikiem była lokalna legenda o tym, że Pierre Devereaux, jeden z najgroźniejszych korsarzy, jacy grasowali na Morzu Karaibskim, zakopał część skarbu na tej leżącej daleko na północy wyspie, by odciążyć swój okręt podczas ucieczki przed eskadrą fregat, która zawzięcie go ściagała wokół przylądka Horn i na północ wzdłuż obu Ameryk. Legendę uwiarygodniało odkrycie piramidki kul armatnich w jednej z jaskiń na wyspie i to, że górne dwanaście metrów kwadratowego szybu zostało

podparte ociosanymi z grubsza balami.

Kule armatnie dawno zniknęły i ich istnienie uważano teraz za mit, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że ściany tajemniczej dziury w kamienistej ziemi są wzmocnione drewnem.

- Przemoczyłem buty - poskarżył się Jimmy.

Nick natychmiast naskoczył na najmłodszego brata.

- Do diabła, powiedziałem ci, że jak usłyszę choćby jedną skargę, to każę ci zostać przy łodzi.

- Ja się nie skarżę - odparł chłopiec, starając się powstrzymać chlupanie. - Ja tylko mówię. -

Strząsnął kilka kropel z mokrej nogi, żeby pokazać, że nie ma problemu.

Nick groźnie spojrział na niego niebieskimi lodowatymi oczami i wrócił do przerwanej zajęcia.

Pine miała kształt walentynkowego serca wyrastającego z zimnego Pacyfiku. Jedyne plaża znajdowała się tam, gdzie schodziły się dwa górne zaokrąglenia. Reszta wysepki była otoczona klifami nie do zdobycia niczym mury zamku i rozciągniętymi jak sznur paciorków podwodnymi skałami, które rozprułyby dno najmocniejszego statku. Mieszkała tu zaledwie garstka zwierząt; głównie wiewiórki, myszy wyrzucane na ląd podczas sztormów i ptaki morskie - odpoczywały na wysokich sosnach i stamtąd wypatrywały zdobyczy pośród fal.

Wyspę przecinała jedna droga, mozolnie wyrąbana dwadzieścia lat wcześniej przez poprzednie pokolenie mężczyzn z rodu Ronishów. Bezskutecznie próbowali oni osuszyć Dół przy użyciu benzynowych motopomp. Bez względu na liczbę pomp oraz ilość wysysanej przez nie wody, szyb wciąż się napełniał. Dokładne poszukiwania podziemnego korytarza łączącego Dół z morzem nic nie dały. Rozważano budowę grobli wokół wejścia do zatoki najbliższej szybu, w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia, ale to kosztowałoby zbyt dużo wysiłku, więc zrezygnowano.

Teraz przyszła kolej na Nicka i jego braci. Nick wydedukował coś, na co nie wpadli jego wujowie i ojciec. W czasie, kiedy Pierre Devereaux kopał Dół, by ukryć skarb, mógł dysponować tylko ręczną pompą zęzy z okrętu. Ale ona nie wystarczyłaby, żeby osuszyć szyb, skoro nie poradziły sobie z tym trzy pompy o mocy dziesięciu koni mechanicznych.

Wyjaśnienie zagadki Dołu leżało gdzie indziej.

Nick wiedział od wujów, że pracowali na wyspie w pełni lata. Kiedy zajrzał do starego almanachu, zorientował się, że wtedy były szczególnie wysokie odpływy. Zrozumiał, że aby odnieść sukces, on i jego bracia muszą spróbować dotrzeć do dna szybu o tej samej porze roku, w której Devereaux wykopał Dół - gdy pływy są najniższe. Teraz wypadało to siódmego grudnia, tuż po godzinie drugiej. Starsi bracia planowali wyprawę do szybu od wczesnego lata. Podejmowali dorywczą pracę u każdego, kto chciał ich zatrudnić, i wszystkie pieniądze przeznaczyci na sprzęt. Kupili dwusuwową pompę spalinową, linę i kaski górnicze z lampami akumulatorowymi. Ćwiczyli z liną i pełnym wiadrem, żeby potem ich ramiona i barki mogły pracować bez wysiłku przez wiele godzin. Wymyślili nawet gogle do nurkowania w razie potrzeby.

Jimmy dołączył tylko dlatego, że podsłuchał rozmowę o eskapadzie i zagroził, że powie rodzicom, jeśli bracia nie wezmą go ze sobą.

Nagle zakotłowało się na prawo od nich i ptaki wzbiły się pod czyste niebo. Za nimi Amelia wypadła z lasu, ujadając szaleńczo; jej ogon poruszał się jak metronom. Goniła lecącą nisko mewę, potem stanęła jak wryta, gdy ptak uniósł się w powietrze. Wywiesiła język, ślina pociekła jej spomiędzy czarnych dziąseł.

- Amelia! Chodź! - krzyknął Jimmy falsetem; golden retriever przybiegł entuzjastycznie, omal nie przewracając chłopca.

- Krewetka, weź to. - Nick wręczył Jimmy'emu kaski i ciężkie akumulatory ołowiowe.

Pompa była bardzo ciężka i Nick zrobił nosidło z dwoma żerdziami. Widział takie w sobotnim serialu - tubylcy nieśli filmowego bohatera z powrotem do swojego obozu. Drewniane żerdzie pochodziły z placu budowy. Czterej starsi bracia dźwignęli je na barki i wyjęli urządzenie z łodzi. Pompa zakołysała się, potem ustabilizowała i rozpoczęli pierwszą półtorakilometrową wędrówkę przez wyspę.

Przetransportowanie całego ekwipunku zajęło im czterdzieści pięć minut. Dół był na urwisku nad płytką zatoką, która jako jedyna psuła doskonały kształt serca. Fale uderzały o brzeg, ale przy tak ładnej pogodzie tylko nieliczne spienione rozbryzgi docierały na klify i opadały w pobliżu szybu.

- Kevin - powiedział Nick trochę zdyszany po dwóch kursach do łodzi i z powrotem na urwisko. - Ty i Jimmy nazbieracie drewna na ognisko. Ale nie wyrzuconego na brzeg, bo za szybko się pali.

Zanim jego polecenie zostało wykonane, wszyscy bracia Ronishowie z czystej ciekawości przysunęli się do Dołu i szybko zajrzeli do środka.

Każdy bok idealnie kwadratowego szybu miał około dwóch metrów długości, i tak głęboko, jak mogli sięgnąć wzrokiem, był obłożony poczerniałym ze starości drewnem - dębem najprawdopodobniej ściętym na kontynencie i przetransportowanym na wyspę. Upiorne podmuchy zimnego, wilgotnego powietrza z czeluści na chwilę ostudziły ich zapał. Dół niemal oddychał chrapliwie i nietrudno było sobie wyobrazić, że to odgłosy duchów ludzi, którzy zginęli, gdy próbowali wydrzeć ziemi jej sekrety.

Zardzewiała żelazna krata zakrywała otwór, żeby nikt nie wpadł do szybu. Trzymały ją łańcuchy zapętlone wokół stalowych kołków wbitych w skałę. Znaleźli klucz do kłódki w szufladzie biurka ojca pod kaburą z jego zdobyczym mauzerem z okresu wojny. Nick obawiał się przez moment, że klucz złamie się w zamku, ale w końcu dał się obrócić i kłódka się otworzyła.

- Przynieście drewno - rozkazał i najmłodszy odeszli wraz ze szczekającą Amelią.

Z pomocą bliźniaków Nick odciągnął ciężką kratę z otworu i położył ją z boku. Potem ustawili drewnianą ramę nad Dołem. Lina zwisała prosto do dziury z systemu bloków, który miał umożliwić dwóm chłopcom łatwe opuszczenie i wyciągnięcie trzeciego. Konstrukcja składała się z żerdzi od nosidła i metalowych bolców wpasowanych w wywiercone otwory. Końce żerdzi przybili bezpośrednio do dębowych bali na ścianach szybu. Drewno, choć wiekowe, było tak twarde, że skrzywili kilka gwoździ.

Nick zajął się robieniem węzłów, które mogły zadecydować o życiu lub śmierci. Don, najbardziej uzdolniony technicznie, majstrował przy motopompie, aż w końcu zaczęła słodko mruzczyć.

Zanim wszystko było gotowe, Kevin i Jimmy rozpalili duże ognisko dziesięć metrów od Dołu. Zgromadzili opał na parę godzin. Wszyscy usiedli wokół; jedli kanapki i popijali słodzoną mrożoną herbatą z manierek.

- Sztuka polega na tym, żeby wstrzelić się w odpowiedni moment - powiedział Nick między kolejnymi kęsami. - Będziemy mieli tylko dziesięć minut przed najbliższym odpływem i po nim. Potem Dół zacznie się napełniać szybciej, niż nasza pompa zdoła sobie z tym poradzić. Kiedy próbowali w dwudziestym pierwszym, nie udało im się opróżnić szybu poniżej sześćdziesięciu metrów. Ale pamiętali, gdzie go uszczelnili, i stąd wiedzieli, że dno jest na siedemdziesięciu trzech. Ponieważ znajdujemy się na urwisku, oceniam, że dno będzie jakieś sześć metrów poniżej granicy odpływu. Powinno nam się udać zatrzymać napływ wody, a pompa zrobi resztę.

- Założę się, że jest tam stary kufer pękający od złota - odezwał się Jimmy i na myśl o tym aż wytrzeszczył oczy.

- Nie zapominajcie, że Dół przeczesywano ze sto razy bosakami i nikt nigdy nic nie znalazł - wtrącił się Don.

Jimmy nie ustępował.

- Więc są tam złote dublony luzem, w przegniłych workach. Nick wstał i otrzepał ubranie z okruchów.

- Dowiemy się za pół godziny.

Wciągnął gumowe buty wędkarskie, zawiesił na ramieniu akumulator do lampy górniczej, zarzucił nieprzemakalną kurtkę i wyjął przewód elektryczny zza kołnierza. Torbę ze sprzętem wziął na drugie ramię.

Ron opuścił do szybu ciężarek pionu na sznurku z zaznaczonymi trzymetrowymi odstępami.

- Pięćdziesiąt osiem - oznajmił, gdy linka się poluzowała.

Nick włożył uprząż i przyczepił ją do pętli na końcu grubej liny.

- Opuść wąż do pompy, ale nie odpalaj jej jeszcze. Schodzę. - Mocno szarpnął linę, żeby wypróbować hamulec bloku; trzymał doskonale. - Okej, panowie, ćwiczyliśmy to całe lato. Dostyc obijania się, tak?

- Jesteśmy gotowi - zapewnił Ron, a jego bliźniak przytaknął.

- Jimmy, nie wolno ci podchodzić do Dołu bliżej niż na trzy metry, słyszysz? I tak nic nie zobaczysz.

- Nie podejść. Przymierzam.

Nick wiedział, ile jest warte słowo najmłodszego brata, więc kiedy posłał Kevinowi znaczące spojrzenie, tamten uniósł kciuk na znak, że dopilnuje, aby Jimmy stał z boku.

- Sześćdziesiąt metrów - zameldował Ron, gdy ponownie sprawdził pion.

Nick wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jesteśmy już głębiej niż ktokolwiek przedtem, a jeszcze nie kiwnęliśmy palcem. - Postukał się w skroń. - Główka pracuje.

Dał krok za krawędź Dołu i zawisnął nad przepaścią. Obracał się, rozwijając skręty liny. Jeśli czuł strach, to jego mina tego nie zdradzała. Wyrażała koncentrację. Skinął głową bliźniakom. Trochę pociągnęli linę, żeby zwolnić hamulec, potem przepuścili ją przez blok. Nick opadł kilka centymetrów.

- Okej, jeszcze jedna próba.

Chłopcy znów pociągnęli i hamulec ponownie zadziałał.

- Teraz do góry - rozkazał Nick i bracia bez wysiłku unieśli go na poprzednią wysokość.

- Wszystko gra - powiedział Don. - Mówiłem ci, Nick, że to się sprawdzi. Założę się, że nawet Jimmy mógłby cię wywindować z dna.

- Dzięki, ale nie skorzystam. - Nick wziął parę głębokich wdechów. - Dobra. Jedziemy.

Płynnie, spokojnie bliźniacy popuszczali linę; grawitacja powoli ciągnęła Nicka w głąb szybu. Zaledwie po trzech metrach zawołał, żeby go zatrzymali. Na taką odległość mogli się jeszcze porozumiewać głosem. Później, kiedy Nick zbliżył się do dna, będą się komunikować szarpnięciami sznurka pionu.

- Co jest?! - krzyknął Don.

- Widzę inicjały wryte w dębowym balu. ALR.



- Założę się, że wujka Alberta - odparł Don. - Chyba na drugie imię ma Lewis.
- Obok są taty, JGR, i jeszcze TMD.
- To pana Davisa. Pracował z nimi, kiedy próbowali spenetrować Dół.
- Okej, opuszczajcie dalej.

Nick włączył lampę na dwunastu metrach, gdzie drewniane podpory ustępowały miejsca skale. Ściana wyglądała na naturalną, jakby szyb powstał miliony lat temu, gdy tworzyła się wyspa. Kamień był tak wilgotny, że pokrywała go mazista zielona pleśń, choć znajdował się dużo powyżej granicy przyptywu. Nick skierował snop światła pod swoje dyndające nogi. Blask zniknął w otchłani zaledwie kilka metrów niżej. Stała bryza owiewała Nickowi twarz; wzdrygnął się mimowolnie.

Opuszczał się w głąb ziemi, polegając tylko na linie i braciach. Kiedy spojrzął w górę, niebo było zaledwie maleńkim kwadracikiem wysoko nad głową. Ściany nie zamykały się wokół niego, ale czuł ich bliskość. Starał się o tym nie myśleć. Nagle zobaczył pod sobą odbicie i gdy opuścił się niżej, uświadomił sobie, że jest na granicy przyptywu. Dotknął skały. Jeszcze nie wyschła. Według swoich obliczeń, zjechał pięćdziesiąt metrów pod ziemię. Wciąż nie widział żadnej oznaki połączenia szybu z morzem, ale nie spodziewał się zobaczyć jej wcześniej niż sześćdziesiąt metrów poniżej powierzchni ziemi.

Trzy metry niżej wydało mu się, że coś usłyszał, strużkę wody. Szarpnął dwa razy linkę pionu. Zasygnalizował braciom, żeby opuszczali go wolniej. Zareagowali natychmiast. Odgłos wody dostającej się do Dołu narastał. Nick wyteżył wzrok, żeby widzieć w ciemności. Kropelki zaczęły spadać na kask niczym deszcz. Kilka poczuł na karku. Były lodowate.

Tam!

Zaczekał chwilę, aż znajdzie się pół metra niżej, i szarpnął pion.

Wisiał obok szczeliny wielkości pocztówki. Nie potrafił ocenić, ile wody napływa przez otwór, ale na pewno nie tyle, żeby nie poradziły sobie z nią pompy ojca i wujów, więc uznał, że jest co najmniej jeszcze jedno połączenie szybu z Pacyfikiem. Ostrożnie wyjął garść pakul z torby, wepchnął je do szpary najgłębiej jak mógł i przytrzymał. Woda morska nasączyła je, aż spęczniały, i strużka zamieniła się w kapanie, które wkrótce ustało.

Uszczelnienie nie mogło zatrzymać wody na długo, gdy nadciągnie przyptyw, dlatego Nick miał mało czasu.

Znów szarpnął sznurek i ruszył dalej w dół, mijając skupiska omułek przywierające do skały. Pachniały obrzydliwie. Zatkanął jeszcze dwie szczeliny podobnej wielkości i kiedy całkowicie zablokował trzecią, przestał słyszeć wodę napływającą do Dołu. Pociągnął pion cztery razy. Chwilę później sflaczały wąż połączony z pompą na powierzchni wydał się, gdy zaczął osuszać szyb.

Wkrótce potem pod Nickiem ukazało się lustro wody. Szarpnął ciężarek na znak, że chce się zatrzymać. Wyjął własny pion z kieszeni kurtki. Opuścił go i chrząknął z satysfakcją, kiedy zobaczył, że w Dole pozostało tylko pięć metrów wody. Ponieważ szyb był dobre pół metra węższy na tej głębokości, Nick ocenił, że pompa zmniejszy poziom wody do jednego metra w ciągu dziesięciu minut.

Obserwował na skalnej ścianie, jak lustro wody się obniża. A jednak pomylił się w rachubach. Pompa osuszała Dół szybciej, niż przewidywał.

Coś z lewej strony zwróciło jego uwagę. Gdy woda opadała, wolno wylaniała się niszka. Miała około pół metra głębokości i tyle samo szerokości. Nick natychmiast zauważył, że nie jest naturalna. Na kruchym kamieniu widniały ślady uderzeń młotków i dłut. Serce uwięzło mu w gardle. Patrzył na

niezbity dowód, że ktoś pracował w szybie. To jeszcze nie świadczyło o tym, że jest tu skarb Pierre'a Devereaux, ale w umyśle dziesięcioletka było to prawie pewne.

Z dołu zostało wypompowane dość wody, by Nick mógł zobaczyć śmiecie, które dotarły aż tutaj - głównie kawałki dryfującego drewna, wessane do dziury przez szczeliny, i małe gałęzie, które wpadły przez kratę. Ale były też kłody z czasów, zanim przykryto Dół. Nick wyobraził sobie, jak ojciec i wujowie ciskają szczapy do szybu zdenerwowani, że nie zdołali poznać jego tajemnicy.

Pompa na powierzchni pracowała nadal i bez trudu radziła sobie ze strużkami przeciekającymi przez pakuły. Nisza z boku stawała się coraz wyższa. Kierując się przecuciem, Nick zasygnalizował braciom, by opuścili go niżej, po czym zmienił pozycję i zaczął wykonywać ciałem wahadłowe ruchy. W końcu sięgnął nogą do niszy i znalazł oparcie dla buta w zaledwie kilkucentymetrowej warstwie wody. Bujnął się do tyłu jeszcze raz, wskoczył do niszy i pewnie wylądował na obu nogach. Dał braciom sygnał, żeby zablokowali linę, i odpiął od niej uprząż.

Nick Ronish stał nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów od dna Dołu Skarbów. Wyczuwał bliskość łupu.

Ostatnią przeszkodą był stos nagromadzonego na dnie drewna. Musieliby usunąć jego część, żeby poszukać po omacku złotych monet. We dwóch poszłoby szybciej. Nick związał więc stertę gałęzi i dał sygnał braciom, że najpierw mają wydobyć ten ładunek, a potem przysłać jednego na dół. Kevin i któryś z bliźniaków z powodzeniem obsłużą wyciąg. W razie czego pomoże im Jimmy.

Nick uśmiechnął się, kiedy ociekające wodą gałęzie zniknęły nad jego głową. Bracia zapewne mogliby przywiązać linę do obroży Amelii i pozwolić szalonemu psu wyciągnąć je na zewnątrz.

Nick przywarł plecami do ściany niszy na wypadek, gdyby jakaś gałąź wysunęła się z pętli. Nawet częściowo chybiony cios z wysokości sześćdziesięciu metrów byłby fatalny w skutkach.

Trzy minuty później uszczęśliwiony Don zawołał z pięciu metrów nad głową Nicka:

- Znalazłeś coś?

- Patyki, śmieci! - odkrzyknął Nick. - Musimy to uprzątnąć. Ale zobacz, gdzie stoję. To zostało wyrąbane w skale.

- Przez piratów?

- A przez kogo?

- A niech mnie. Będziemy bogaci.

Wkrótce miał nadciągnąć przypływ, dwa nastolatki uwijały się więc jak w ukropie przy rozdzielaniu splątanych gałęzi. Nick zdjął uprząż wspinaczkową i związał nią ze sto kilo nasiąkniętego wodą drewna. Razem i Don czekali na powrót liny. Ron i Kev pracowali jak szaleni. Odczepili uprząż, odepchnęli drewno i posłali linę na dół w cztery minuty.

Nick i Don powtórzyli wszystko jeszcze dwa razy. Nieważne, czy usunęli dość śmieci. Czas uciekał. Okręcili linę wokół wystającego z wody pnia i skoczyli z niszy na stos. Drewno przesunęło się pod ich ciężarem. Nick położył się na kłodzie grubej jak on i sięgnął do lodowatej wody. Natrafił dłonią na gładki kamień. Dotknął samego dna Dołu.

W przeciwieństwie do braci nie bardzo wierzył w opowieści o zakopanym w szybie skarbie piratów. Dopóki nie zobaczył niszy. I już nie wiedział, w co wierzyć. Dotarł na dno Dołu. Dokonał tego, co nie udało się pokoleniom jego przodków. Samo to uważał za wystarczający sukces. Ale co teraz?

Zataczał ręką szeroki łuk, żeby sprawdzić, czy coś leży w mulistej breji. Obok niego Don robił to samo z ramieniem zanurzonym między gałęziami, zaciśniętymi ustami i ze skupioną miną. Nick

wyczuł coś okrągłego i płaskiego. Podniósł to i przetarł kciukiem.

Nie zobaczył blasku złota, którego się spodziewał. Trzymał starą zardzewiałą podkładkę. Spróbował w innym miejscu. Rozpoznał dotykiem mokre gałązki i liście, ale gdy natrafił na coś, czego nie potrafił zidentyfikować, wyciągnął to z błota. Chrząknął z zaskoczeniem, kiedy spojrzął w puste oczodoły czaszki jakiegoś zwierzęcia, chyba lisa.

Wysoko nad nimi ciśnienie w jednej z zatłoczonych pakułami szczelin rosło i woda przesączała się przez gęste włókna. Strużka szybko zamieniła się w potok, kiedy uszczelnienie wystrzeliło z dziury z takim impetem, że uderzyło w przeciwległą ścianę szybu. Strumień wody morskiej spadał do Dołu, obracając się niczym urwany przewód wysokiego napięcia.

- Koniec! - krzyknął Nick przez szum. - Wynosimy się stąd.

- Jeszcze chwila. - Don szukał dalej, niemal cały zanurzony.

Nick wkładał uprząż wspinaczkową; spojrzął surowo na brata, gdy ten zrobił dziwny wdech.

- Don?

Coś się zmieniło. Chwilę wcześniej Don leżał na pniu drzewa, a teraz był przyciśnięty do ściany szybu i kawał drewna napierał mu na pierś.

- Nick!... - zawołał zduszonym głosem.

Nick rzucił się przez Dół. Jego gwałtowny ruch najwyraźniej przesunął dalej całą stertę, bo Don nagle wrzasnął. Drewno zginało mu klatkę piersiową. W świetle lampy Nick zobaczył ciemną plamę na kurtce brata.

Woda waliła z góry jak letnia ulewa.

- Trzymaj się, braciszku. - Nick chwycił gałąź. Poczł dziwne drżenie drewna, niemal mechaniczne wibracje, jakby zanurzona część stosu leżała na jakimś urządzeniu.

Próbował odciągnąć gałąź, ale coś ją blokowało. Drewno powoli wbijało się w pierś chłopaka.

Don ryknął z bólu. Nick też krzyknął, z przerażenia i bezradności. Nie wiedział, co robić. Rozejrzał się za jakąś dźwignią, żeby podważyć konar.

- Trzymaj się, Don! - zawołał przez łyzy zmieszane ze słoną wodą spływającą mu po twarzy.

Don wymówił imię Nicka słabym głosem; kilka centymetrów drewna tkwiło w jego piersi. Nick ujął dłoń brata. Don ścisnął mu rękę, ale szybko zaczął tracić siły. Jego palce zwiótzały.

- Donny! - wrzasnął Nick.

Don otworzył usta. Nick nigdy się nie dowiedział, jakie miały być ostatnie słowa brata. Krew buchnęła pomiędzy bladych warg Dona Ronisha. Zabarwiała wodę na różowo, gdy spływała mu po szyi na pierś.

Nick odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie pierwotny ryk, który odbił się echem od ścian szybu. Zostałby u boku brata, gdyby druga zatyczka z pakul nie puściła. Dół zalewało dwa razy więcej wody.

Nick złapał linę i przyczepił w powodzi uprząż do pętli. Nienawidził siebie za to, co zamierzał zrobić, ale nie miał wyboru. Szarpnął sznurek pionu. Bracia na górze najwyraźniej się domyślili, że stało się coś złego, bo natychmiast zaczęli wyciągać go z szybu. Nick oświetlał lampą Dona, dopóki zwłoki nie stały się bladym zarysem w ciemności. A potem zniknęły.

Nabożeństwo żałobne za Dona Ronisha odbyło się w środę. Świat dramatycznie się zmienił w ciągu godzin, kiedy pięciu braci bawiło się w poszukiwaczy skarbów. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor i Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Tylko marynarka wojenna miała odpowiedni sprzęt do nurkowania, aby wydobyć ciało Dona, i prośba rodziców chłopca trafiła w próżnię.

Trumna pozostała pusta.

Matka nie odezwała się, odkąd usłyszała tragiczną wiadomość. W kościele musiała siedzieć oparta o męża, żeby nie zemdleć. Po pogrzebie ojciec kazał trzem najstarszym synom zaczekać przy grobie, a sam odprowadził żonę i Jimmy'ego do samochodu rodziny, używanego hudsona. Wyglądał dziesięć lat starzej niż w niedzielę rano, kiedy wrócił. Zaczerwienionymi oczami popatrzył w milczeniu na synów. Potem sięgnął do kieszeni marynarki swojego jedyne garnituru, w którym brał ślub i chował własnych rodziców. Wyjął trzy kartki i dał po jednej każdemu z chłopców. Pocałował tę przeznaczoną dla Kevina, zanim wetknął mu ją do ręki.

Dostali akty urodzenia. Dokument wręczony Kevinowi był Dona - jako osiemnastolatek też mógł się zaciągnąć do wojska.

- To z powodu mamy. Nigdy nie rozumiała. Przyniescie chlubę rodzinie, to może wam wybaczy. - Odwrócił się na pięcie i odszedł przygarbiony, jakby dźwigał na barkach zbyt wielki ciężar.

Trzej chłopcy poszli do najbliższego punktu rekrutacyjnego. Wszelkie myśli o młodzińskich przygodach na zawsze przesłoniło wspomnienie pustej mogiły brata, a potem piekło wojny.

# Rozdział 1

Przy granicy paragwajsko-argentyńskiej, czasy współczesne

Juan Cabrillo nigdy nie myślał, że stanie przed wyzwaniem, które wolałby, żeby się nie pojawiło. Czuł się tak, jakby od tego uciekał.

Nie żeby było to po nim widać.

Miał nieodgadniona minę pokerzysty - niebieskie oczy i wyraz twarzy niczego nie zdradzały - ale cieszył się, że nie towarzyszy mu teraz jego zastępca i najlepszy przyjaciel, Max Hanley. Max natychmiast wychwyciłby niepokój Juana.

Sześćdziesiąt pięć kilometrów wzdłuż czarnej jak smoła rzeki od miejsca, gdzie stał, była jedna z najszczelniej szych na świecie granic. Ustępowała tylko zdemilitaryzowanej strefie między dwoma Koreami. Pech chciał, że obiekt, który ściągnął Cabrilla i jego starannie wyselekcjonowaną drużynę do odległej dżungli, wylądował po drugiej stronie. Gdyby spadł w Paragwaju, rozmowa telefoniczna między dyplomatami i zapłata za milczenie w formie pomocy gospodarczej załatwiłyby sprawę.

Ale stało się inaczej. To, czego szukali, znalazło się w Argentynie. I gdyby incydent zdarzył się półtora roku wcześniej, problem można byłoby rozwiązać bez trudu. Tymczasem osiemnaście miesięcy temu, po drugim gwałtownym spadku wartości argentyńskiego peso, junta wojskowa pod wodzą generalissimusa Ernesta Corazóną przejęła władzę. Dokonali brutalnego zamachu stanu, na co zdaniem analityków wywiadu zanosilo się od jakiegoś czasu. Kryzys finansowy po prostu posłużył generałom za pretekst do obalenia rządu.

Członkowie cywilnego gabinetu stanęli przed sądami kapturowymi pod zarzutem działania na szkodę państwa. Oskarżono ich o niegospodarność i wydano wyroki skazujące. Szczęśliwców stracono; resztę - według niektórych szacunków ponad trzy tysiące osób - umieszczono w obozach pracy przymusowej w Andach lub w głębi dżungli. Tych, którzy próbowali dowiedzieć się czegoś o ich losie, aresztowano. Media znacjonalizowano, antyreżimowych dziennikarzy uwięziono. Zdelegalizowano związki zawodowe, uliczne protesty tłumiono przy użyciu broni palnej.

Ludzie, którzy uciekli w pierwszych dniach chaosu po przewrocie - głównie bogacze skłonni wszystko zostawić - opowiadali, że przy tym, co się dzieje w ich kraju, bledną okropności dyktatur wojskowych z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku.

Demokratyczna Argentyna stała się państwem policyjnym w ciągu sześciu tygodni. Organizacja Narodów Zjednoczonych groziła sankcjami. W końcu wydała złagodzoną rezolucję, potępiającą łamanie praw człowieka. Junta ją zignorowała.

Nowy rząd zaostrzył kontrolę nad wszelkimi dziedzinami życia. Ostatnio zaczął koncentrować wojska na granicy z Boliwią, Paragwajem, Urugwajem i Brazylią, jak również wzdłuż górskich przełęczy w pobliżu Chile. Wprowadzono pobór. W armii służyło teraz tylu żołnierzy, ilu w siłach zbrojnych wszystkich południowoamerykańskich państw razem wziętych. Brazylia, tradycyjny

regionalny rywal Argentyny, też wzmocniła ochronę granicy i nierzadko dochodziło do wymiany ognia artyleryjskiego między dwiema stronami.

W ten koszmar autorytarnych działań Cabrillo miał poprowadzić swoich ludzi, by odzyskać to, co NASA straciła przez własny błąd.

Korporacja monitorowała sytuację w regionie, kiedy dostali telefon. Właśnie wyładowywali transport skradzionych w Europie samochodów w brazylijskim Santos, najruchliwszym porcie w Południowej Ameryce. To było częścią ich przykrywką. Statek korporacji, „Oregon”, miał opinię frachtowca bez zaplanowanej trasy, z załogą, która zadaje mało pytań. Brazylijska policja jeszcze nie wiedziała, że przez kilka następnych miesięcy będzie dostawała cynki o lokalizacji tych aut. Podczas rejsu Cabrillo polecił ekipie technicznej ukryć w trefnych samochodach nadajniki naprowadzające. Nie przypuszczał, żeby auta zwrócono właścicielom, ale mógł pomóc w przerwaniu przemytniczego procederu.

Ludzie z korporacji udawali złodziei, w rzeczywistości nie brali udziału w przestępstwie.

Środkowy żuraw bomowy na pokładzie dziobowym obrócił się nad ładownię po raz ostatni. W blasku niewielu działających lamp na nabrzeżu, w mało używanej części portu, sznur egzotycznych tutaj samochodów lśnił jak klejnoty. Ferrari, maserati i audi R8 czekały na załadunek na naczepy trzech ciągników siodłowych. Szef celników stał w pobliżu; kieszeń jego kurtki lekko wybrzuszała koperta z banknotami o nominale pięciuset euro.

Na sygnał marynarza w ładowni silnik żurawia zwiększył obroty i wściekle pomarańczowy lamborghini gallardo wyłonił się z luku. Wyglądał tak, jakby już mknął z prędkością dozwoloną tylko na niemieckich autostradach. Cabrillo wiedział od swojego kontaktu w Rotterdamie - gdzie załadowano auta - że ten samochód ukradziono włoskiemu hrabiemu pod Turynem. Hrabia kupił go od nieuczciwego 딜era, który później twierdził, że pojazd skradziono z jego salonu.

Max Hanley zagwizdał cicho, kiedy lambo załśnił w słabym świetle.

- Fajna bryka, ale co to za straszny kolor?

- Rzecz gustu, przyjacielu - odparł Juan i ręką zakręcił młynka nad głową na znak, żeby operator żurawia opuścił ostatni samochód na nabrzeże. Pilot portowy miał ich wkrótce wyprowadzić w morze.

Smukłe auto stanęło na kruszejącym betonowym nabrzeżu. Członkowie przemytniczego gangu ostrożnie odczepili stalowe liny, żeby nie porysowały lakieru w paskudnym, co musiał przyznać Juan, kolorze.

Trzeci mężczyzna na skrzydle mostka starego frachtowca przedstawił się wcześniej jako Angel. Miał około dwudziestu pięciu lat, nosił luźne spodnie z błyszczącego jak rtęć materiału i białą frakową koszulę wypuszczoną na wierzch. Był tak chudy, że pistolet wetknięty z tyłu za pasek wyraźnie się odznaczał.

Ale może o to chodziło.

Juan nie obawiał się jednak podstępów. W branży przemytniczej liczyła się reputacja. Jedno głupie posunięcie Angela i już nikt nie robi z nim interesu.

- Okej, *capitão*, to wszystko. - Angel gwizdnał do swoich ludzi na dole.

Jeden z nich wziął torbę z kabiny ciągnika siodłowego i podszedł do trapu. Reszta zaczęła ładować trefne auta na naczepy. Marynarz spotkał się z przemytnikiem przy relingu i zaprowadził go po dwóch kondygnacjach zardzewiałych schodów na mostek. Juan wszedł z innymi do sterówki. Jedyne światło pochodziło z wiekowego ekranu radaru i nadawało ich skórze niezdrową zieloną

barwę.

Cabrillo włączył lampę; Brazylijczyk postawił torbę na stole nawigacyjnym. Włosy Angela mieniły się jak jego spodnie.

- Uzgodniona cena to dwieście tysięcy dolarów - przypomniał Angel, kiedy otworzył sfatygowaną torbę. Taka suma prawie wystarczyłaby na zakup nowego ferrari. - Byłoby więcej, gdybyście się zgodzili dostarczyć trzy bryki do Buenos Aires.

- Nie ma mowy - odparł Juan. - Nie zbliżę się tam swoim statkiem. I życzę powodzenia w szukaniu kapitana, który to robi. Nikt nie wzięby legalnego ładunku do BA, a co dopiero kradzionych samochodów.

Nagle Cabrillo niechcący uderzył się piszczelom w krawędź stołu. Rozległo się nienaturalne tupnięcie. Angel obserwował go nieufnie i przysunął rękę do pistoletu pod koszulą.

Juan uspokoił go gestem i schylił się, żeby podwinąć nogawkę. Około ośmiu centymetrów poniżej kolana miał supernowoczesną protezę, która wyglądała jak rekwizyt do filmów z cyklu *Terminator*.

- Ryzyko zawodowe.

Brazylijczyk wzruszył ramionami.

Gotówka była w paczkach po dziesięć tysięcy. Juan podzielił je i połowę wręczył Maksowi. Przez kilka następnych minut jedynym dźwiękiem w sterówce był cichy szelest sprawdzanych banknotów. Wszystkie studolarówki okazały się autentyczne.

Juan wyciągnął rękę.

- Miło robić z tobą interesy, Angel.

- Cała przyjemność po mojej stronie, *capitão*. Życzę bezpiecznej...

Hałas z głośnika sufitowego przerwał mu w pół zdania. W ledwo zrozumiałych słowach ktoś wezwał kapitana do mesy.

- Przepraszam - powiedział Cabrillo i odwrócił się do Maksa. - Jeśli nie wrócę do chwili przybycia pilota portowego, przejmiesz dowództwo.

Zszedł wewnętrznymi schodami na pokład z mesą. Pomieszczenia w środku starego frachtowca nie wyglądały lepiej niż kadłub. Ścian nie malowano od dziesięcioleci. Ślady na zakurzonej podłodze wskazywały, że w odległej przeszłości ktoś niemrawo próbował ją zamieść. W mesie było niewiele jaśniej niż w mrocznym przejściu. Liche plakaty biur podróży poprzyklepiano na przegrodach jak popadło. Na tablicy informacyjnej wisiały nie przeczytane kartki o przeróżnej treści, począwszy od zachęty do brania lekcji gry na gitarze u mechanika, który opuścił statek dziesięć lat temu, skończywszy na przypomnieniu, że Hongkong powróci do Chin pierwszego lipca 1997 roku.

W przyległym kambuzie grube jak palec stalaktyty stwardniałego tłuszczu zwisały z okapu nad kuchnią.

Cabrillo przemierzył puste pomieszczenie; gdy zbliżył się do tylnej ściany, otworzyły się przed nim doskonale zamaskowane drzwi. Linda Ross stała w eleganckim korytarzu za progiem. Była wiceprezesem korporacji do spraw operacyjnych, osobą numer trzy po Juanie i Maksie. Przypominała baśniową wróżkę, miała mały zadarty nos i lubiła zmieniać kolor włosów. Teraz były kruczoczarne i opadały poniżej ramion.

Linda służyła kiedyś w marynarce wojennej i zaliczyła turę na krążowniku raketowym. Potem pracowała w Pentagonie jako sztabowiec; miała więc doskonałe kwalifikacje do wykonywania swoich obecnych zadań.

- Co jest? - zapytał Juan, kiedy się z nią zrównał.

Musiała zrobić dwa kroki na jego jeden.

- Overholt czeka przy telefonie. Sądząc po głosie, dzwoni w pilnej sprawie.

- Lang zawsze ma taki głos. - Juan wyjął sztuczne zęby i waciki z ust. Tak był ucharakteryzowany.

Nosił też pas pogrubiający pod pogniecioną koszulą mundurową i siwą perukę. - Chyba z powodu prostaty.

Langston Overholt IV, weteran z CIA, siedział w branży wywiadowczej dość długo, by wiedzieć o każdym trupie w szafie, w przenośni i dosłownie. Dlatego po latach prób posłania go na zieloną trawkę kolejni dyrektorzy z klucza politycznego trzymali go w Langley jako doradcę. Cabrillo mu podlegał, kiedy był agentem terenowym. Gdy odszedł z CIA, Overholt zachęcił go do założenia korporacji.

Wiele z najtrudniejszych zleceń korporacja dostawała od Overholta. Pokażne wynagrodzenia wypłacano jej z tajnych funduszy, ukrytych tak głęboko, że audytorzy, którzy przeprowadzali kontrole, nazywali siebie poszukiwaczami złota.

Doszli do kabiny Juana. Zatrzymał się, zanim otworzył drzwi.

- Powiedz im, żeby byli w pogotowiu w centrum operacyjnym. Pilot powinien tu niedługo być.

Choć sterówka kilka pokładów nad nimi wyglądała tradycyjnie, była tylko dekoracją na użytek inspektorów i pilotów portowych. Koło sterowe i dźwignie przepustnic połączono komputerowo z supernowoczesnym centrum operacyjnym, rzeczywistym mózgiem statku. Stamtąd wykonywano wszystkie manewry, sterowano napędem i obsługiwano uzbrojenie ukryte na całej jednostce o wyglądzie zaniedbanej starej łajby.

„Oregon” transportował kiedyś tarcicę wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki i do Japonii, ale gdy zatrudniony przez Juana zespół inżynierów i rzemieślników skończył pracować przy frachtowcu, stał się on jednym z najnowocześniejszych okrętów przeznaczonych do zbierania informacji i prowadzenia tajnych misji.

- Jasne, prezesie - zameldowała Linda i odeszła.

Po dość niebezpiecznym pojedynku z libijskim okrętem wojennym przed kilkoma miesiącami musieli dokonać kosztownych napraw w doku. Trzydzieści pocisków artyleryjskich przebiło pancierz. Ale strzelano do nich z bardzo bliskiej odległości. Juan skorzystał z okazji i przerobił swoją kabinę.

Całe drogie drewno padło ofiarą libijskich pocisków lub stolarzy. Teraz ściany pokrywało coś w rodzaju stiuku, który nie pękał przy naprężeniach kadłuba. Otwory drzwiowe zrobiono w kształcie łuku. Dodano również łukowe przepierzenia, dzięki czemu kabina o powierzchni sześćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych stała się przytulna. Wnętrza o zdecydowanie arabskim wystroju wyglądały jak Café Américain Ricka w *Casablance*, ulubionym filmie Juana.

Rzucił perukę na biurko i podniósł słuchawkę bakelitowego telefonu retro.

- Lang, tu Juan. Jak się miewasz?

- Dostaję apopleksji.

- To u ciebie normalne. Co się urodziło?

- Najpierw mi powiedz, gdzie jesteście.

- W Santos w Brazylii. To port morski Sao Paulo, na wypadek gdybyś nie wiedział.

- Dzięki Bogu, to niedaleko. - Overholt odetchnął z ulgą. - I do twojej wiadomości, w latach sześćdziesiątych pomogłem Izraelczykom porwać z Santos nazistowskiego zbrodniarza wojennego.

- Punkt dla ciebie. O co chodzi?

Po tonie głosu Overholta Juan poznał, że szykuje się duża sprawa. Poczł przyływ adrenaliny.



- Sześć godzin temu wystrzelono z Vandenberg raketę Delta III. Miała wynieść satelitę biegunowego na orbitę.

To jedno zdanie wystarczyło, by Cabrillo wydedukował, że rakieta zawiodła gdzieś nad Ameryką Południową, bo satelity biegunowe są wystrzeliwane na południe z kalifornijskiej bazy sił powietrznych. A na pokładzie miała sprzęt szpiegowski, który mógł nie spłonąć. I prawdopodobnie spadła w Argentynie, skoro Lang wzywa najlepszych specjalistów od tajnych operacji, jakich zna.

- Technicy jeszcze nie wiedzą, co poszło źle - ciągnął Overholt. - I tak naprawdę, to nie nasz problem.

- Naszym problemem jest to, że rakieta rozbiła się w Argentynie - oznajmił Juan.

- Ty to powiedziałeś. Jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od Paragwaju, gdzieś w najgęstszej dżungli. Możliwe, że Argentyńczycy o tym wiedzą, bo uprzedziliśmy wszystkie kraje na trasie rakiety, że będzie przelatywała nad ich terytorium.

- Myślałem, że nie utrzymujemy z nimi stosunków dyplomatycznych od czasu przewrotu.

- Nadal mamy sposoby, żeby przekazywać im takie informacje.

- Wiem, o co zamierzasz prosić, ale bądź rozsądny. Szczątki pewnie są rozrzucone na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów kwadratowych w buszu, którego nie mogą spenetrować nasze satelity szpiegowskie. Naprawdę spodziewasz się, że znajdziemy igłę w stogu siana?

- Owszem, bo chodzi o szczególną część tej igły. Emiter promieni gamma.

Juan milczał przez chwilę, w końcu powiedział:

- Pluton.

- Jedyne niezawodne źródło energii dla tego konkretnego ptaszka. Jajogłowi z NASA wypróbowali każdą alternatywę, jaką mogli sobie wyobrazić, ale wrócili do pomysłu użycia małej ilości plutonu. Ciepło wydzielane przy jego rozpadzie służy do zasilania systemów satelity. Na szczęście skonstruowali zasobnik, który praktycznie jest niezniszczalny. Więc raczej nie ucierpiał podczas katastrofy. Jak się domyślasz, nasz rząd nie chce, żeby wyszło na jaw, że wystrzeliliśmy satelitę, który mógłby ewentualnie napromieniować szeroki pas terenu, gdzie jest najczystsze środowisko naturalne na świecie. Poza tym nie wolno dopuścić, żeby pluton wpadł w ręce Argentyńczyków. Podejrzewamy, że wznowili realizację programu budowy arsenału nuklearnego. W satelicie jest niewiele materiału rozszczepialnego, podobno zaledwie kilka gramów, ale nie ma sensu otwierać im drogi do bomby.

- Więc Argenty nie wiedzą o plutonie? - Juan użył kolokwialnej nazwy Argentyńczyków, którą usłyszał od weterana wojny falklandzkiej.

- Dzięki Bogu, nie. Ale każdy z odpowiednim sprzętem wykryje promieniowanie śladowe. I zanim zapytasz, poziom nie jest groźny, pod warunkiem że przestrzega się pewnych prostych zasad bezpieczeństwa.

Cabrillo nie o to chciał zapytać. Wiedział, że pluton nie jest groźny, dopóki się go nie połknie lub nie nawdycha. Wtedy staje się jedną z najbardziej zabójczych toksyn.

- Dostaniemy jakieś wsparcie?

- *Nada*. Do Paragwaju leci zespół z detektorami promieniowania gamma najnowszej generacji; ale to wszystko, na co możecie liczyć. Mój dyrektor i przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów musieli przekonać prezydenta, żeby pozwolił nam pomóc wam chociaż tyle. Na pewno wiesz, że on... eee... niechętnie zajmuje się drażliwymi sytuacjami międzynarodowymi. Jeszcze nie doszedł do siebie po tamtym fiasku w Libii kilka miesięcy temu.

- Fiasku? - powtórzył Juan urażonym tonem. - Ocaliliśmy życie sekretarz stanu i uratowaliśmy porozumienia pokojowe.

- I omal nie rozpętaliście wojny, kiedy spotkaliście się oko w oko z jedną z ich fregat raketowych. To musi być załatwione superdyskretnie. Przenikacie tam, znajdujecie pluton i się wycofujecie. Żadnych fajerwerków.

Obaj wiedzieli, że Cabrillo nie może tego obiecać. Juan poprosił o dokładną lokalizację miejsca katastrofy i szczegóły dotyczące lotu rakiety. Z półki pod biurkiem wyciągnął bezprzewodową klawiaturę i mysz. Z blatu wolno wysunął się płaskoekranowy monitor. Overholt przemejlował zdjęcia i projekcje celu. Fotografie były bezużyteczne, bo pokazywały tylko gęstą powłokę chmur, ale NASA sprecyzowała, że trzeba przeszukać zaledwie trzynaście kilometrów kwadratowych. Juan uznał to za wykonalne, pod warunkiem że teren nie okaże się zbyt trudny. Overholt zapytał go, czy ma pomysł, jak niepostrzeżenie dostać się do Argentyny.

- Zanim odpowiem, chciałbym zobaczyć mapy topograficzne. Oczywiście od razu pomyślałem o helikopterze, ale przy dużej aktywności Argenów wzdłuż ich północnej granicy taka podróż może się nie udać. Powinienem coś wykombinować za dzień lub dwa i być gotowy do wykonania zadania pod koniec tygodnia.

- Rzecz w tym - odezwał się Overholt tak łagodnie, aż Cabrillo stężał - że macie siedemdziesiąt dwie godziny na odzyskanie ogniwa zasilającego.

Juan nie wierzył własnym uszom.

- Trzy dni? To niemożliwe.

- Po tym czasie prezydent ujawni sprawę. No, może nie całkiem. Nie wspomni o plutonie, ale zamierza poprosić Argentyńczyków o pomoc w odzyskaniu, cytując: „czulej aparatury naukowej”.

- A jeśli odmówią i sami tego poszukają?

- W najlepszym razie wyjdziemy w oczach świata na głupich, w najgorszym na karygodnie niedbałych. I podarujemy generalissimusowi Corazónowi pluton do produkcji broni jądrowej.

- Lang, daj mi sześć godzin. Zawiadomię cię, czy się tego podejmiemy.

- Dzięki, Juan.

Cabrillo oddzwonił do Overholta po trzygodzinnej naradzie z szefami wydziałów korporacji. Dwanaście godzin później stał ze swoją drużyną na brzegu paragwajskiej rzeki, żeby wkrótce wpakować się w Bóg wie co.

# Rozdział 2

Stacja badawcza Wilson/George.

Półwysep Antarktyczny

Zredukowany do minimum na okres zimy personel czuł w kościach nadchodzącą wiosnę. Nie żeby pogoda bardzo się poprawiła. Temperatura rzadko wzrastała powyżej minus trzydziestu stopni Celsjusza i stale wiały lodowate wiatry. To rosnąca liczba znaków X na dużym kalendarzu w sali rekreacyjnej, na którym wykreślano mijające dni, podnosiła ich na duchu po długiej zimie. Słońca nie widzieli od poprzedniego marca.

Tylko kilka placówek badawczych na najbardziej odludnym kontynencie świata jest czynnych cały rok. Zwykle są dużo większe niż stacja Wilson/George prowadzona przez zrzeszenie amerykańskich uniwersytetów dzięki dotacjom Narodowej Fundacji Nauki. Nawet przy pełnej obsadzie w miesiącach letnich, poczynając od września, skupisko budynków z prefabrykatów na palach wbitych w lód i skałę mogło pomieścić nie więcej niż czterdzieści osób.

Z powodu napływu pieniędzy na badania związane z globalnym ociepleniem zdecydowano, że stacja będzie działała przez okrągły rok. Spróbowano tego po raz pierwszy i - według relacji - powiodło się. Budowle wytrzymały ataki żywiołów, ludzie na ogół dobrze sobie radzili. Jeden z nich, astronauta z NASA Bill Harris, badał wpływ odosobnienia na stosunki międzyludzkie pod kątem ewentualnego lotu załogowego na Marsa.

Wu Gie, jak zespół nazywał swój dom od pół roku, wyglądał futurystycznie. Znajdował się w pobliżu głębokiej zatoki na wybrzeżu Morza Bellingshausena, w połowie długości półwyspu sterczącego w kierunku Ameryki Południowej jak zamarznęty palec. W słoneczny dzień ze wzgórz za bazą można było zobaczyć przez lornetkę południową część oceanu.

Pięć budowli otaczało środkowy budynek z jadalnią i salą rekreacyjną. Podwyższone łączniki między obiektami kołysały się podczas wiatru. Przy bardzo złej pogodzie osoby o najslabszych żołądkach zwykle przemieszczały się na czworakach. W budowlach mieściły się: laboratorium, magazyn i kwatery, gdzie latem sypiały po cztery osoby. Wszystkie budynki były - dla bezpieczeństwa - czerwone. Matowe panele w kopułowych sufitach i wielu ścianach nadawały kompleksowi wygląd silosów pomalowanych w szachownicę.

Niedaleko, na ogrodzonej linami drodze, stał barak z blachy falistej, w którym garażowały skutery śnieżne i transportery arktyczne. Zimą, z powodu kiepskiej pogody, rzadko ich używano. W trosce o pojazdy do baraku doprowadzano ciepło z głównej bazy, żeby utrzymać temperaturę minimum dwudziestu stopni Celsjusza poniżej zera.

Większość urządzeń meteorologicznych mogła być monitorowana na odległość, dlatego zespół miał niewiele do roboty w dni bez słońca. Bill Harris prowadził badania dla NASA, parę osób kończyło pisać rozprawy doktorskie, jedna pracowała nad powieścią.

Tylko Andy Gangle niczym się nie zajmował. Początkowo, po przybyciu do obozu, dwudziestoosmioletni doktorant z Uniwersytetu Stanu Pensylwania nadzorował wypuszczanie balonów meteorologicznych i poważnie traktował swoje badania warunków pogodowych. Ale wkrótce potem stracił zainteresowanie wahaniami temperatury. Nadal wykonywał obowiązki, ale mnóstwo czasu spędzał w garażu lub, gdy pogoda pozwalała, na samotnych wędrówkach do brzegu morza po próbki, choć nikt nie wiedział czego.

A ponieważ ściśle przestrzegano zasad prywatności - co było konieczne, żeby ludzie zgrupowani w odosobnieniu nie działali sobie na nerwy - nikt nie wtrącał się do jego spraw. Kilka razy dyskutowali o jego zachowaniu, ale nie uważali, żeby cierpiał na syndrom izolacji, jak to określają psychiatrzy, lub wylupiałość oczu, jak to nazywa zespół. W najcięższych przypadkach jednym z objawów załamania nerwowego mogą być urojenia. Kilka lat wcześniej pewien duński naukowiec stracił między innymi palce u nóg, kiedy wybiegł nago z bazy po zawietrznej stronie półwyspu. Plotka głosiła, że nadal przebywa w szpitalu psychiatrycznym w Kopenhadze.

Nie, uznano, Andy nie ma wylupiałości oczu; po prostu jest ponurym samotnikiem. I wszyscy starali się go unikać.

- Dobry - mruknął Andy Gangle, kiedy wszedł do jadalni. Pomieszczenie wypełniał zapach smażonego bekonu z kuchni w stylu baru szybkiej obsługi.

W blasku oświetlenia fluorescencyjnego pod sufitem meteorolog wyglądał wyjątkowo blado. Jak większość tutejszych mężczyzn, dawno przestał się golić i jego ciemna broda mocno kontrastowała z białą skórą.

Dwie kobiety przy jednym ze stolików pokrytych laminatem przerwały śniadanie, żeby odpowiedzieć, po czym wróciły do jedzenia. Greg Lamont, tytułarny szef stacji, przywitał Andy'ego po imieniu.

- Faceci od pogody mówią, że dziś będziesz miał prawdopodobnie ostatnią okazję wybrać się na brzeg morza.

- Dlaczego? - zapytał Gangle z rezerwą. Nie lubił, kiedy ludzie nim dyrygują.

- Zbliża się front atmosferyczny - odparł siwy mężczyzna, który z hipisa przeistoczył się w naukowca. - Silny. Obejmie pół Antarktyki.

Gangle poważnie się zaniepokoił.

- Ale chyba nie opóźni naszego odlotu?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć, ale to możliwe.

Andy skinął głową, nie ze zrozumieniem, lecz w zadumie, jakby porządkował myśli. Przeszedł do kuchni.

- Jak spałeś? - zapytała Gina Alexander, kobieta po czterdziestce, rozwódka z Maine. Przybyła do Antarktyki, żeby „jak najdalej uciec od tamtego drania i jego nowej superlaseczki”. Nie była naukowcem, pracowała w firmie wynajętej do obsługi Wu Gie.

- Tak samo jak wczoraj. - Andy nalał sobie kubek kawy z dzbanka z nierdzewnej stali stojącego na końcu lady.

- Miło to słyszeć. Jakie chcesz jajka?

Spojrzał na nią niemal dzikim wzrokiem.

- Rozbełtane i zimne, jak zwykle.

Nie bardzo wiedziała, jak to rozumieć. Andy zawsze mówił tylko „jajecznicą”, po czym zabierał jedzenie i kawę do pokoju. Zaśmiała się i popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nie jesteś dziś w humorze.

Przechylił się przez ladę i powiedział tak cicho, żeby inni nie usłyszeli:

- Gino, zostań nam jeszcze tydzień pobytu, więc daj mi żarcie, do cholery, i zatrzymaj swoje komentarze dla siebie, okej?

Gina nigdy nie odpuszczała, co mógłby potwierdzić jej były mąż. Przysunęła się bardzo blisko, aż ich twarze prawie się zetknęły.

- No to dla własnego dobra, kochasiu, lepiej nie spuszczać mnie z oka, jak będę ci smażyła te jajka, bo mogę ulec pokusie i napluć do nich.

- To by pewnie poprawiło... - Andy się wyprostował i zmarszczył czoło z zastanowieniem. - Co? Smak. Jasne. To by pewnie poprawiło smak.

Gina nie miała pojęcia, co w niego wstąpiło, ale się roześmiała.

- Słonko, musisz trochę szybciej wymyślać obraźliwe riposty, żeby skutkowały.

Żeby nie czuć się głupio, Andy chwycił z lady garść batonów proteinowych i wypadł z jadalni, garbiąc kościste ramiona. W uszach dźwięczało mu pożegnalne wołanie Giny:

- Wyłupiastooki palant!

- Tydzień, Andy - powiedział do siebie w drodze do pokoju. - Wytrzymaj jeszcze siedem dni i rozstajesz się z tymi frajerami na zawsze.

Czterdzieści minut później w sześciu warstwach ubrań napisał swoje imię na białej tablicy obok śluzy i przekroczył próg grubo izolowanych drzwi. Różnica temperatur między wnętrzem stacji a małym przedsionkiem prowadzącym do wyjścia wynosiła pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Oddech Gangle'a zamienił się w nieprzejrzysty obłok, gęsty jak londyńska mgła. Przy każdym nabraniu powietrza Andy czuł ukłucie w płucach. Zatrzymał się na chwilę, żeby poprawić ubranie i włożyć gogle. Choć na Półwyspie Antarktycznym było cieplej niż w głębi kontynentu, jakakolwiek odsłonięta część ciała uległaby odmrożeniu niemal natychmiast.

Na dłuższą metę nic nie chroniło przed zimnem. Utrata ciepła była nie do uniknięcia, zwłaszcza na wietrze. Najpierw zmarzły nos i palce, potem chłód przenikał do szpiku kości. Siła woli nie wystarczała, by przetrwać w tych ekstremalnych warunkach. Nikt nie mógł wytrzymać bólu. Antarktyka była tak zabójcza dla człowieka, jak kosmos.

W niewygodnych wierzchnich rękawicach z jednym palcem Andy musiał użyć obu rąk, żeby obrócić gałkę drzwi. Mocno uderzyła w niego fala prawdziwego zimna. Musiało upłynąć kilka sekund, by powietrze uwięzione w jego ubraniach ogrzało się na takim mrozie. Drżał przez chwilę, potem skręcił za róg, który osłaniał wejście ód wiatru. Kurczowo trzymał się poręczy, kiedy schodził po stopniach na skalisty grunt. Dziś wiatr wiał z prędkością zaledwie dziesięciu węzłów. Dzięki Bogu, pomyślał Andy.

Chwycił półtorametrową metalową rurkę o średnicy małej monety i ruszył przed siebie.

Blade słońce okrążyło horyzont, ale miało się zza niego wyłonić dopiero za tydzień. Dawało jednak tyle światła, że Andy widział bez lampy. Sztywne buty polarne utrudniały marsz, teren też nie ułatwiał wędrówki. Ta część Półwyspu Antarktycznego była wulkaniczna. Od ostatniej erupcji nie upłynęło jednak dość czasu, by żywioły spowodowały erozję skały i nadały jej gładkość szkła.

Podczas szkolenia Andy dowiedział się, że należy unikać pocenia się na dworze. Paradoksalnie groziło to hipotermia, bo organizm wychładzał się dużo szybciej, gdy przy wysiłku otwierały się pory. Dlatego dotarcie do celu zajęło Andy'emu aż dwadzieścia minut. Jeśli to rzeczywiście miała być jego ostatnia wyprawa w teren, to uważał, że wybrał najlepsze miejsce. Leżało bliżej plaży od

punktu, gdzie dokonał odkrycia, ale w jednej linii z łańcuchem niskich wzgórz, które zapewniały osłonę. Przez następne dwie godziny chodził tam i z powrotem i przez gogle przyglądał się ziemi.

Ilekcio dostrzegł coś obiecującego, badał stalową rurką lód i śnieg lub podważał nią kamienie. Było to bezmyślne zajęcie, do którego nadawał się wyjątkowo dobrze, i czas mijał. Przerwał tylko raz, gdy poczuł potrzebę pobiegania w kółko przez kilka minut. Przestał, zanim się spocił, ale para z oddechu przymarzła mu do trzech szalików. Zdjął je i zawiązał tak, że sopel znalazł się z tyłu głowy.

Uznał, że pora wracać. Przez chwilę patrzył uważnie na odległy ocean i zastanawiał się, jakie tajemnice skrywa głębia pełna gór lodowych, w końcu skierował się z powrotem do Wilson/George z rurką opartą na ramieniu jak kij włóczęgi.

Andy Gangle dokonał życiowego odkrycia. Był z tego zadowolony. Jeśli coś tu jeszcze zostało, ktoś inny mógł to sobie znaleźć, gdy on będzie się pławił w luksusie, o jakim wcześniej nawet nie marzył.

# Rozdział 3

Cabrillo jeszcze raz spojrzął na ciemną rzekę, po czym wrócił do opuszczonej chaty, w której obozowali. Stała na palach tuż nad wodą; schody prowadzące w górę do pojedynczej izby zrobiono z bali powiązanych liną konopną. Skrzypiały niepokojąco, kiedy się wspinał, ale utrzymały jego ciężar. Brakowało większości strzechy, dlatego tło wieczornego nieba przecinały nieokorowane krokwie.

- Kawa gotowa - szepnął Mike Trono i wręczył mu kubek.

Trono był jednym z głównych komandosów korporacji, biorących udział w operacjach lądowych. Eksratownik spadochronowy skakał za liniami wroga w Kosowie, Iraku i Afganistanie, by udzielać pomocy zestrzelonym pilotom. Drobny, z burzą brązowych włosów, odszedł z wojska, żeby ścigać się pełnomorskimi łodziami motorowymi, ale stwierdził, że poziom adrenaliny jest przy tym za niski.

Obok spał jego najlepszy kumpel, muskularny Jerry Pulaski, wykwalifikowany weteran wojenny. Miał nieść trzydziestokilogramowe ogniwo zasilające, kiedy je znajdą. Drużynę uzupełniał Mark Murphy, również pogrążony we śnie.

Murphy zajmował się przede wszystkim obsługą supernowoczesnego uzbrojenia „Oregona”. Choć nigdy nie służył w wojsku, potrafił robić użytek z arsenału statku jak nikt, kogo Juan kiedykolwiek spotkał. Był absolwentem MIT z tytułem doktora i wykorzystywał swój geniusz w przemyśle zbrojeniowym. Cabrillo zwerbował go jakiś czas temu razem z jego najlepszym przyjacielem, Erikiem Stone’em, obecnie głównym sternikiem „Oregona”. Juan twierdził, że ten duet to dynamit. Przysięgłby, że ci dwaj faceci porozumiewają się telepatycznie. Gdy rozmawiali tajemnym żargonem gier komputerowych, w które często grali, miał wrażenie, że mówią w obcym języku. Obaj młodzi mężczyźni uważali się za maniaków komputerowych, nadążających za środowiskową modą, choć większość załogi nie była pewna tego drugiego.

Mark po raz pierwszy posmakował walki z bliska, kiedy korporacja ratowała sekretarz stanu. Według Lindy Ross spisał się jak zawodowiec. Juan wziął go teraz ze sobą na wypadek problemów technicznych z zasobnikiem zawierającym pluton. Korporacja nie miała lepszego specja od takich spraw niż Murphy.

Wilgotność tak zagęszczała powietrze, że praktycznie można byłoby je pić. Wszyscy czterej nie nosili koszul; skórę mieli nasmarowaną DEET-em\* dla ochrony przed rojami owadów, które krążyły tuż za moskitierą rozwieszoną na krokwiach. \* DEET - związek chemiczny, środek owadobójczy i odstraszający owady (przyp. red.) Pot spływał po owłosionej piersi Cabrilla i jego szczupłych bokach. W przeciwieństwie do zwałistego Jerry’ego Pułaskiego, Juan - barczysty i wąski w pasie - miał sylwetkę pływaka. Nie przejmował się dietą i utrzymywał w formie dzięki temu, że niezliczoną ilość razy pokonywał długość wyłożonego marmurem basenu pływackiego na „Oregonie”.

- Jeszcze godzina do zachodu słońca. - Wypił mały łyk kawy rozpuszczalnej przyrządzonej na składanej kuchence i podejrzliwie zajrzał do kubka. Przyzwyczał się do wyśmienitej kawy parzonej

na statku. - Zdążymy przygotować RHIB\*a przy świetle dziennym. Jeśli wyruszymy godzinę później, będziemy na granicy trochę po północy. \* RHIB - skrót od: *ridged hulled inflatable boat* - łódź o sztywnym dnie i nadmuchiwanych burtach (przyp. red.).

- Tuż przed zmianą warty, kiedy trzecia szychta obejmuje dyżur, a druga myśli o łózkach - dodał Mike i kopnął Pułaskiego w kostkę. - Wstawaj, śpiąca królowo, śniadanie czeka.

Jerry ziewnął szeroko i przeciągnął się, prostując nad głową grube ramiona. Ciemne włosy miał potargane, bo w charakterze poduszki używał koszuli.

- Rany, lepiej się nie budzić koło ciebie; można się przestraszyć.

- Uważaj, koleś. Widzę, jakie dziewczyny ciągniesz do domu.

- To kawa? - Mark Murphy przetarł oczy. Zwykle miał długie włosy, ale na tę operację ze względów praktycznych Juan kazał mu je skrócić.

- Nazywanie tak tego płynu to gruba przesada - odparł Cabrillo i wręczył młodemu geniuszowi kubek.

Przebrali się i zgromadzili pod rozpadającą się chatą. Do jednego z pali był przycumowany ich czarny matowy środek transportu, sztywnokadłubowa łódź pneumatyczna - RHIB, niebezpiecznie głęboko zanurzona. Miała dno z włókna szklanego i komory powietrzne wzdłuż nadburci dla zwiększenia wyporności. Z pawęży zwisały dwa potężne silniki zaburtowe. Jedynym udogodnieniem dla załogi był kokpit osłonięty szybą kuloodporną do podróżowania na stojąco. Znajdował się pośrodku pokładu o długości blisko ośmiu metrów. Zmodyfikowano go na „Oregonie” i mógł być złożony na płask.

RHIB przyleciał do Paragwaju w stalowym kontenerze i od razu został załadowany na wypożyczoną ciężarówkę. Juan nie miał pojęcia, czy argentyńscy szpiedzy obserwują lotniska sąsiada, ale gdyby on stał na czele junty, kazałby to robić. Ciężarówka pojechała do miasteczka na uboczu, około osiemdziesięciu kilometrów w górę rzeki od granicy z Argentyną. Dopiero tam wyładowali łódź i resztę sprzętu. Teraz znajdowali się pięćdziesiąt kilometrów na południe od miasteczka.

Juan postanowił, że przenikną do Argentyny rzeką, nie helikopterem. Przy granicy rozmieszczono tyle radarów, że w powietrzu niewątpliwie zostaliby wykryci, nawet gdyby lecieli tuż nad ziemią. A poza tym dopływ tej rzeki biegł niecałe osiem kilometrów od ich strefy docelowej. Zdecydowało to, że powłoka chmur na zdjęciach okazała się dymem nad rozległym terenem, gdzie karczowano i wypalano las, położonym blisko miejsca katastrofy satelity. Ryzyko, że ktoś ich zauważy, było zbyt duże.

Juan dobrze pamiętał z II wojny światowej niemiecką operację „Greif” na początku bitwy o Ardeny. Znający angielski komandosi przedostali się na stronę aliantów w pierwszych godzinach walki, by pozmieniać drogowskazy, dezorganizować ruch i ogólnie spowodować chaos w siłach przeciwnika. Cabrillo czytał relację pewnego kaprała SS, który w tym uczestniczył. Niemiec przyznał, że przekroczenie linii frontu pod ostrzałem było najbardziej przerażającą częścią akcji, bo prowadzono do nich ogień z obu kierunków. Gdy już znalazł się na tyłach wroga, wykonał zadanie bez najmniejszego lęku, bo wiedział, że chroni go przebranie i znajomość angielskiego. Nikt go nie zdemaskował. W końcu został ranny w czasie obrony Berlina przed Rosjanami.

Cabrillo nie miał ochoty znaleźć się w krzyżowym ogniu nerwowych pograniczników, więc zamiast przekraczać granicę, zamierzał pod nią przedostać się na drugą stronę.

Do RHIB-a aż po nadburcia załadowano tony stalowych płyt, co czterokrotnie zwiększyło koszty



transportu łodzi. Mark Murphy i Eric Stone dokonali dokładnych obliczeń niezbędnych, aby wykonać sztuczkę Juana. Teraz drużyna miała się przekonać, czy dwaj geniusze nie popełnili błędu.

W milczeniu wzięli się do pracy. Jerry i Mike zamontowali obudowy silników i sprawdzili szczelność. Mark upewnił się, że wszystkie torby nurkowe ze sprzętem i bronią są mocno przywiązane. Po skontrolowaniu, czy w otwartej kabinie nie zostało nic, co mogłoby ucierpieć w zanurzeniu, Juan rozdał swoim ludziom recykulacyjne aparaty oddechowe Draegera. W przeciwieństwie do akwalungu, z niemieckiego urządzenia nie wydobywały się pęcherze powietrza - one zdradzały pozycję nurka. Draegery pochłaniały dwutlenek węgla w zamkniętym obiegu i dodawały tlenu z małego zbiornika, gdy stosunek gazów tracił odpowiednie proporcje.

Mężczyźni mieli na sobie cienkie czarne skafandry nurkowe, nie dla ochrony przed zimnem - woda była ciepła jak krew - lecz by zasłonić swoją białą skórę. Od butów nurkowych na grubych gumowych podszewkach mogli łatwo odzepić płetwy, jeśli musieliby szybko wyjść na ląd.

- Fajnie, gdybyśmy mogli to zrobić bliżej granicy - odezwał się Jerry Pulaski. W tej uwadze kryła się delikatna skarga.

- Pewnie - zgodził się Juan, tłumiąc uśmiech. Zdjęcia satelitarne pokazywały, że następne miasto nad rzeką leży osiem kilometrów w dół jej biegu. Gdyby Cabrillo należał do argentyńskiej junty, zapłaciłby jakiemuś lokalnemu portowemu kapusiowi za to, żeby dał cynk, jeśli zobaczy lub usłyszy coś podejrzanego. W tej części świata patriotyzm miał mniejsze znaczenie niż pełny żołądek, więc drużynę czekała długa noc. Cabrillo odwrócił się do Murphy'ego. - Chcesz pełnić honory?

- O, nie - odparł Mark. - Jak coś pójdzie nie tak, każesz Ericowi i mnie zapłacić za łódź.

Juan wzruszył ramionami.

- Słusznie.

Stojąc po pierś w rzece, sięgnął do jednej z komór tworzących kołnierz pneumatyczny i otworzył zawór upustowy. Sprężone powietrze uszło z sykiem i czarna guma zwiotczała. Skinął Jerry'emu głową, żeby zrobił to samo po drugiej stronie, i wkrótce opróżnili połowę zbiorników. Woda przelała się przez nadburcia, gdy łódź zanurzyła się głębiej. Cabrillo i Pulaski nacisnęli kadłub w dół. RHIB zniknął pod wodą, ale dziób wkrótce uniósł się ku powierzchni. Wypuszczali powietrze, dopóki łódź nie osiągnęła neutralnej pływalności i nie została doskonale zbalansowana.

Obliczenia okazały się trafne. To ich nie zaskoczyło.

Drużyna włożyła aparaty oddechowe i maski; sprawdziła łączność. Mało prawdopodobne, że napotkają krokodyle lub kajmany, ale wszyscy mieli kusze w pochwach przypasanych do ud.

Juan przeciął cumę łączącą RHIB z chatą i pozwolił, by uniósł ich prąd. Każdy z mężczyzn trzymał linę przywiązaną do łodzi. Tak wydostali się na środek rzeki. Cabrillo miał wrażenie, że zmagają się z hipopotamem.

Przez pierwsze kilometry płynęli blisko powierzchni, z dość silnym nurtem rzeki. Daleko od wielkomiejskich skażeń atmosfery kopuła nieba była usiana tyłoma jasno świecącymi gwiazdami, że wydawało się, iż noc w tej części świata nie jest czarna, lecz srebrzysta. Mieli aż nadto światła, by wyraźnie widzieć oba brzegi rzeki i prowadzić łódź środkiem.

Dopiero gdy zbliżyli się do następnej wioski, wypuścili powietrze z kamizelek ratunkowych i przyciągnęli RHIB do dna. Juan, zanim zanurkował, określił ich położenie według kompasu i wskazywał kierunek, patrząc na podświetloną tarczę. Dziwnie się czuł w toni ciemnej jak atrament. Temperatura wody była niemal taka jak ciała; odnosił wrażenie, że stracił zmysł dotyku. Dryfowali półtora kilometra, leniwie machając płetwami, by nie zejść z kursu, potem Cabrillo zarządził

wynurzenie.

Wioska na odludziu została daleko za nimi i mieli całą rzekę dla siebie. Nawet gdyby panował jakiś ruch, każdy miejscowy sądziłby, że są po prostu konarami, które prąd niesie wolno w stronę Argentyny. Czarne stroje doskonale ich maskowały.

Mijały godziny. Słaby blask za następnym zakrętem zasygnalizował im, że zbliżają się do granicy. Na odprawie wszyscy widzieli zdjęcia satelitarne tego rejonu. Po paragwajskiej stronie ciągnęło się stumetrowe betonowe nabrzeże przed walącymi się magazynami i posterunkiem celnym. Senne miasteczko miało może cztery ulice wzdłuż i tyle samo przecznic. Górowała nad nimi biała wieża kościelna. W odpowiedzi na koncentrację sił argentyńskich lokalny komendant wojskowy ściągnął do miejsciny oddział żołnierzy. Obozowali kawałek na północ od miasteczka na polu, które dochodziło do gliniastego brzegu rzeki.

Argentyńska strona wyglądała niemal identycznie, z wyjątkiem tego, że stacjonowało tam co najmniej pięciuset żołnierzy. Na kratownicowych wieżach rozmieścili szperacze, by omiatać światłem czarną rzekę. Ustawili też gęste zasieki z drutu kolczastego na drodze gruntowej łączącej obie miejsciny. Zdjęcia satelitarne pokazywały dwie smukłe łodzie przycumowane do nabrzeża w pobliżu obiektu o wyglądzie kwatery głównej wojska. Juan rozpoznał motorówki Boston Whaler. Przypuszczał, że są uzbrojone w karabiny maszynowe i granatniki. Stanowiłyby problem, gdyby zrobiło się gorąco.

Trzymając się blisko dna, ale tak by kadłub nie zmacił mułu i nie poderwał do góry liści, mężczyźni płynęli przez niebezpieczny odcinek. Wiedzieli, że dotarli do argentyńskich pozycji, gdy snop światła przeniknął pod powierzchnię ciemnej wody. Byli zbyt głęboko w mętnej rzece, żeby ktoś na brzegu ich zobaczył, ale na wszelki wypadek oddalili się od srebrzystego blasku. Dwóch ludzi na wieży obserwowało oświetloną wodę, ale widzieli tylko rzekę wolno płynącą na południe.

Cabrillo i jego towarzysze płynęli zanurzeni jeszcze przez godzinę. Unieśli się ku powierzchni dopiero kilka kilometrów za granicą. Po następnej godzinie cichego dryfowania dotarli do dopływu bez nazwy, który pamiętali ze zdjęć satelitarnych. Tym razem musieli zmagać się z nurtem, żeby holować łódź pod prąd. Przez dwadzieścia minut przebyli tylko sto metrów, ale Juan zarządził postój, gdy ocenił, że już nie zostaną wykryci.

Odetchnął, kiedy zdjął ciężki draeger i włożył go do łodzi.

- Co za ulga.

- Koniuszki moich palców wyglądają jak białe suszone śliwki - poskarżył się Mark, oglądając dłonie w blasku księżyca.

- Cicho - upomniał go szeptem Juan. - Okej, chłopcy, wiecie, co dalej. Im szybciej to zrobimy, tym dłużej pośpimy.

Każda ze stalowych płyt obciążających RHIB ważyła ponad dwadzieścia kilo, nie za dużo dla mężczyzn w szczytowej formie fizycznej, ale musieli dźwignąć ich setki i wyrzucić za burtę. Pracowali jak maszyny, zwłaszcza Jerry Pulaski. Uwijał się dwa razy szybciej niż Murphy i Mike Trono. Łódź powoli zaczęła się wynurzać niczym oślizły płaz. Kiedy burty znalazły się nad powierzchnią, Murphy włączył pompę akumulatorową. Strumień wylewanej wody szemrał jak potok.

Kiedy po godzinie skończyli, wszyscy wtoczyli się na mokry pokład i leżeli jak nieżywi. Juan wstał pierwszy. Kazał swoim ludziom spać i uprzedził Jerry'ego, że będzie czuwał jako drugi. Wśród nocnych odgłosów dżungli rozlegało się czasem chrapanie.

Dwie godziny później, krótko po świcie, RHIB opuścił mały dopływ i wrócił na główną rzekę.

Na gładkiej wodzie i przy niewielkim obciążeniu opróżnione zbiorniki powietrza nie musiały być napompowane.

Czterej mężczyźni mieli teraz na sobie argentyńskie mundury polowe z emblematami Dziewiątej Brygady, a na głowach charakterystyczne rdzawoczerwone berety. Brygada była dobrze wyszkoloną i wyposażoną formacją paramilitarną, podlegającą bezpośrednio generałowi Corazónowi, innymi słowy - szwadronem śmierci.

Cabrillo wiedział, że udając oficera Dziewiątej Brygady, zdoła zapewnić im pole manewru w każdej sytuacji.

Stał za sterem RHIB-a w lotniczych okularach, które upodobali sobie członkowie brygady, i zawiadaczająco przekrzywionym berecie. Za nim dwa silniki zaburtowe wyrzucały do góry wodę i tworzyły ścianę piany. Dziób mknął po spokojnej powierzchni jak rakieta. Mike i Mark stali u boków Cabrillo z przewieszonymi przez plecy pistoletami maszynowymi Heckler & Koch, podstawowym uzbrojeniem Dziewiątej Brygady. Jerry nadal leżał na fiberglasowej podłodze, zwinięty w kłębek jak pies, bo jakimś cudem mógł spać mimo hałasu silników.

Wskazówka prędkościomierza drgała tuż poniżej sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Po dwudziestu minutach podróży w dół rzeki dopłynęli do pierwszej wioski. Nie sposób było określić, jak dawno została zniszczona - bujność roślinności pieniającej się w wypalonych szkieletach krytych strzechą chat nasunęła Juanowi wniosek, że raczej miesiące niż tygodnie temu. Pola przygotowane pod uprawę też nieustępliwie wchłaniała dżungla.

- Już wiem, co czuli tamci faceci podczas rejsu w górę rzeki w *Czasie apokalipsy* - powiedział Mike.

Na ziemi nie leżały ciała - dzikie zwierzęta zadbały o to krótko po ataku rebeliantów - ale okrucieństwo rzucało się w oczy. Garstkę budynków z cementowych bloków wysadzono w powietrze. Bryły betonu walały się aż na krawędzi wody. Na nielicznych ocalałych fragmentach ścian widniały dziury po pociskach z karabinu maszynowego. Niezliczone leje po ostrzale moździerzowym sugerowały, że Argentyńczycy zepchnęli przerażonych ludzi na pola, gdzie zapewne ustawili kordon żołnierzy. Wieśniacy biegli na rzeź.

Murphy zrobił gwałtowny wdech, kiedy mijali osadę.

- Mój Boże. Dlaczego?

Juan miał zaciśnięte usta.

- Czystki etniczne - odparł po chwili. - Tak daleko na północy mieszkali prawdopodobnie Indianie. Czytałem w raportach wywiadowczych, że rząd w Buenos Aires chce zlikwidować kilka ostatnich skupisk autochtonów w kraju. I żebyś się orientował, w kogo się wcieliliśmy - wskazał głową w kierunku miasteczka - to najpewniej robota Dziewiątej Brygady.

- Super - wypalił Mike. Wcześniej wetknął beret pod naramiennik i teraz wiatr rozwiewał mu włosy.

- To samo dzieje się w dużych i małych miastach. Gdziekolwiek żyją autochtoni, są wyłapywani i wysyłani do obozów pracy albo po prostu znikają. To państwo jest połączeniem nazistowskich Niemiec z imperialną Japonią.

- Jak dużo Indian zostało?

- Przed przewrotem było około sześciuset tysięcy. Bóg jeden wie, ilu już zabito, ale jeśli ten reżim utrzyma się jeszcze kilka lat, wszyscy zginą.

Mijali duży prom sunący w górę rzeki. Transportował osiem pojazdów i ze czterdziestu

pasażerów na górnym pokładzie. Wszystkie ciężarówki były w barwach ochronnych, wzdłuż relingu stali żołnierze. Machali do pędzącego RHIB-a i wykrzykiwali pozdrowienia po hiszpańsku. Trzech mężczyzn za sterem nie raczyło odpowiedzieć. Gdy argentyńscy żołnierze zbliżyli się na tyle, że rozpoznali rdzawoczerwone berety, ich wesole okrzyki natychmiast ucichły i większość mundurowych nagle odczuła potrzebę sprawdzenia, co się dzieje po drugiej stronie starego statku.

Na rzece panował mały ruch, przepływały głównie pirogi z jednym wioślarzem w środku. Ludzie w czółnach trzymali się blisko brzegu; szukali ryb. Juan im współczuł, gdy dostawali się w spieniony kilwater RHIB-a, ale łódź Dziewiątej Brygady na pewno by nie zwolniła. Prawdopodobnie taranowałyby pirogi i rybacy wpadali do wody.

Po dwóch i pół godziny szybkiego rejsu dotarli do dopływu, Rio Rojo, dwukrotnie węższego od głównej rzeki. Z powodu dużej zawartości żelaza w glebie w górnym biegu woda miała czerwono-brunatny kolor niczym rozprzestrzeniająca się w nurcie plama krwi. Pulaski już się obudził i razem z Mikiem wypatrywali ewentualnych oznak, że są śledzeni. Ale widzieli tylko rzekę i dżunglę, która tworzyła zwartą ścianę splątanej roślinności.

- Czysto! - zawołał w końcu Mike przez ryk silników.

Jak echo zawtórował mu z dziobu Jerry i opuścił lornetkę.

Juan zmniejszył szybkość na tyle, by zmieścić się w ostrym zakręcie, po czym znów otworzył przepustnice, gdy dziób wycelował na wprost. Rio Rojo miała szerokość około czterdziestu pięciu metrów; wysoka dżungla jakby się łączyła nad nimi i przepuszczała światło słoneczne o zielonkawym odcieniu. Czuli się jak w tunelu. Kilwater uderzał w ziemne brzegi, bryły błota spadały do wody i się rozpuszczały.

Płynęli pod prąd z małą prędkością, bo spodziewali się napotkać holownik transportujący dłużycę z gór. Pojawił się po niecałych pięciu minutach. Miał drewniany kadłub; czarny dym wydobywał się z komina i spod obudowy silnika na rufie. Statek ciągnął pnie spięte łańcuchami. Cabrillo ocenił, że ładunek drewna o wyglądzie mahoni ma co najmniej sześćdziesiąt pięć metrów długości. Domyślał się, że większa liczba pni utrudniałaby manewrowanie na tak wąskiej rzece.

- Nie ma masztu radiowego - zauważył Mark Murphy.

- Pewnie kontaktują się przez telefon satelitarny - odparł Juan. - Ale bez obaw, nie zamelduje o nas. Widzi, że jesteśmy z Dziewiątej Brygady, i na pewno nie chce kłopotów.

Kiedy mijali holownik, trzymali się prawej strony farwateru. Żadna z załóg nie wykonała powitalnego gestu. Trzej Argentyńcy na statku cały czas patrzyli przed siebie.

Gdy droga była wolna, Juan przyśpieszył, ale po chwili znów musiał zwolnić. Z przeciwka nadpływał drugi, prawie identyczny statek. Pokonywał ciasny zakręt tą stroną rzeki, którą zajmował Cabrillo. Juan powinien zaczekać, aż holownik dokończy manewr. Ale aroganckich żołnierzy z elitarniej jednostki paramilitarnej z pewnością nie obchodziły zwyczaje panujące na rzece.

- Zatrzymaj się i przepuść nas! - zawołał po hiszpańsku.

- Nie mogę! - odkrzyknął kapitan statku.

Nie zadał sobie trudu, by spojrzeć, kto do niego mówi. Obserwował przemierzającą się masę dłużyc, która coraz bardziej zbliżała się do wewnętrznego brzegu. Gdyby pnie wbiły się w ziemię, moc holownika zapewne okazałaby się za mała, żeby je wyciągnąć. Zdarzały się takie wypadki i mogły upłynąć godziny, zanim załoga odczepi część dłużyc, żeby się uwolnić, a potem ponownie przygotowuje ładunek do dalszego transportu.

- To nie prośba, tylko rozkaz - wycedził gniewnie Juan.

Jeden z załogantów klepnął kapitana statku w ramię. Mężczyzna w końcu się odwrócił i zobaczył RHIB z uzbrojonymi żołnierzami w rdzawoczerwonych beretach. Trochę zbladł pod dwudniowym zarostem.

- Okej, okej - odparł z rezygnacją, bezsilny w obliczu terroru.

Cofnął holownik i nurt natychmiast zepchnął ładunek na brzeg. Kilkanaście pni o średnicy beczek do oleju zostało wyrzuconych na ląd. Łańcuch pękł i zardzewiałe ogniwa poszybowały w powietrzu. Brudny statek roboczy wolno podryfował w poprzek rzeki i wbił dłużyce głębiej w brzeg, odblokowując farwater dla Cabrilla i RHIB-a. Pnie, które się uwolniły, płynęły już z prądem.

Juan nie wypadł z roli, drwiąco zasalutował nieszczęsnym mężczyznom i pchnął przepustnice do oporu.

- Będą to uprzętać do wieczora - powiedział Murphy.

- Gdybyśmy zaczekali, aż pokona zakręt, nabraliby podejrzeń - odparł Mike Trono. - Lepiej, żeby oni się namęczyli, niż żeby nas przesłuchano. Juan mówi po hiszpańsku jak tutejszy, ale ja nie potrafię przeczytać menu w meksykańskiej restauracji.

Płynęli dalej; minęli jeszcze jeden holownik z drewnem, zanim przenośny odbiornik GPS pokazał, że są tak blisko miejsca katastrofy, jak mogli dotrzeć rzeką. Po następnych czterystu metrach znaleźli mały dopływ i Juan cofnął tam łódź. RHIB ledwo się zmieścił, rośliny zaważwały o gumowe burty.

Jerry Pulaski przywiązał linę do próchniejącego pniaka. Juan wyłączył silniki. Po tylu godzinach gardłowego ryku maszyny Cabrillovi dzwoniło w uszach; dopiero po kilku sekundach usłyszał odgłosy dżungli. Bez rozkazu mężczyźni zabrali się do maskowania łodzi. Z liści różnych drzew i z krzewów utworzyli wymyślną zasłonę dziobu. Kiedy skończyli, RHIB był prawie niewidoczny z odległości półtora metra.

- Dobra, chłopcy - powiedział Juan, gdy zebrali sprzęt telekomunikacyjny i resztę ekwipunku, łącznie ze specjalnie zrobioną dla Jerry'ego uprzężą do niesienia plutonowego ogniwa zasilającego. - Koniec spokojnej podróży rzeką. Teraz zacznie się prawdziwa mordęga. Pójdę przodem. Mike, zamykasz tyły. Trzymajcie się nisko i zachowujcie cicho. Musimy zakładać, że Argenty też szukają szczątków albo przynajmniej badają miejsce katastrofy. Bądźcie czujni.

Z twarzami pomalowanymi farbą maskującą mężczyźni wyglądali równie groźnie jak tubylczy wojownicy. Bez słowa skinęli głowami i wyszli z łodzi na miękki brzeg. Ruszyli w głąb ładu ścieżką wydeptaną przez dzikie zwierzęta, która biegła mniej więcej równolegle do strumyka. Temperatura sięgała dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza, wilgotność przekraczała osiemdziesiąt procent. Po kilku minutach pot lał się im z porów jak z kranów.

Przez pierwsze półtora kilometra Cabrilla bolały wszystkie mięśnie, ale potem treningi pływackie zrobiły swoje. Szedł bardziej sprężystym krokiem, jego buty zaledwie muskały piaszczysto-ilastą glebę. Nawet kikut mu nie dokuczał. Zawsze był bardziej przyzwyczajony do dużych otwartych przestrzeni - morza lub pustyni - ale inne zmysły mówiły mu to, czego nie mogły zobaczyć oczy. Lekki smród dymu unosił się w powietrzu. Juan wiedział, że zapach pochodzi z terenu wyrębu lasu. Kiedy wrzask spłoszonego ptaka dobiegł z dżungli na wprost, Cabrillo przystanął, żeby się zorientować, co go wystraszyło, skrzydlate stworzenie: drapieżnik czy coś na ścieżce, którą idą?

Koncentracja potrzebna do skradania się w dżungli była takim samym wysiłkiem jak przedzieranie się przez gąszcz roślinności.

Coś z lewej zwróciło uwagę Juana. Natychmiast przyklęknął na jedno kolano i dał ręką znak

towarzyszom za sobą, żeby zrobili to samo. Przyjrzał się podejrzanemu miejscu przez celownik pistoletu maszynowego. Gwałtowny przypływ adrenaliny wyostrzył mu wzrok. Nie dostrzegł żadnego ruchu, nawet drżenia liści na wietrze. Tak nisko pod kopułą dżungli jakikolwiek powiew powietrza był rzadkością. Cabrillo ostrożnie zmieniał kąt widzenia w krótkich odstępach czasu.

Tam.

Matowy blask metalu. Nie czarne lśnienie współczesnej broni wycelowanej w niego, lecz grafitowy połysk starego aluminium pozostawionego na łasce żywiołów. Według GPS-u byli jeszcze kilka kilometrów od punktu, gdzie miało wylądować ogniwo zasilające. Juan zastanawiał się więc przez chwilę, czy to nie inny fragment roztrzaskanego satelity.

Nadal w przysiadzie, z MP-5 mocno przyciśniętym do ramienia, zszedł ze ścieżki. Miał pewność, że tego, co traci z widoku, nie spuszczą z oka jego towarzysze. Zbliżał się z cierpliwością wielkiego drapieżnego kota. Z odległości półtora metra przez zarośla zobaczył coś dużego. Cokolwiek to było, nie wyglądało na część sztucznego satelity.

Lufą automatu odsunął na bok liany i prychnął z zaskoczenia. To, co odkryli, wyglądało jak kokpit rozbitego samolotu. Przedniej szyby od dawna brakowało, rośliny płożące wnikały do środka i wiły się wokół siedzeń i przegród niczym rakowata narośl. Ale uwagę Juana przykuło to, co leżało na fotelu drugiego pilota. Z ciała niewiele zostało, tylko brązowo-zielony szkielet. Ubranie dawno zgniło, ale na kości miednicy leżał mosiężny pasek, który błyszczał w rozproszonym świetle słonecznym. Juan rozpoznał, że to suwak od spodni.

Gwizdnął cicho i po kilku sekundach dołączyli do niego Mark Murphy i Jerry Pulaski. Mike został w pobliżu ścieżki i obserwował ich szóstą.

- Co o tym myślicie? - zapytał szeptem Juan.

- Wygląda na to, że samolot jest tu już od jakiegoś czasu - odparł Jerry i zabił na szyi owada wielkości myszy.

Mark miał przez chwilę zamyśloną minę, potem szeroko otworzył oczy.

- To nie samolot - mruknął z podziwem. - To „Latający Holender”.

- Wybacz moją ignorancję, ale czy to nie był statek widmo? - zapytał Pulaski.

- Nie, sterowiec. - Mark wskazał wrak. - Spójrz między fotele. Widzisz to duże koło? Służyło do przestawiania steru wysokości na stateczniku poziomym. Gdy obróciło się je do przodu, sterowiec schodził w dół. Po ruchu do tyłu wznosił się.

- Dlaczego uważasz, że to „Latający Holender”, a nie patrolowiec marynarki z czasów II wojny światowej?

- Bo jesteśmy tysiąc sześćset kilometrów w głąb lądu od Atlantyku i Pacyfiku, a „Latający Holender” przepadł bez śladu podczas poszukiwań zaginionego miasta w tej dżungli.

- Okej - wtrącił się Juan. - Opowiedz wszystko od początku.

Mark nie mógł oderwać wzroku od roztrzaskanej gondoli statku powietrznego.

- Jako chłopiec interesowałem się sterowcami i zeppelinami. Takie miałem hobby. A wcześniej parowozami. - Na widok min kolegów dodał: - No dobra, przyznaję. Byłem świrem.

- Byłeś? - zażartował Jerry.

- W każdym razie czytałem mnóstwo książek o statkach powietrznych. Na przykład o L-8, sterowcu patrolowym marynarki wojennej, który wystartował z San Francisco w sierpniu 1942 roku.

Parę godzin po rozpoczęciu rutynowego patrolu dwuosobowa załoga zameldowała, że widzą plamę ropy. Kilka godzin później sterowiec wrócił nad wybrzeże. Pusty. Brakowało dwóch

kamizelek ratunkowych.

- Ale co to ma wspólnego z tym? - zapytał trochę niecierpliwie Juan. Mark Murphy był niezwykle inteligentnym facetem, ale miał skłonność do przeskakiwania z tematu na temat, żeby się pochwalić niemal fotograficzną pamięcią.

- Inny tajemniczy statek powietrzny to „Latający Holender”. Mam nadzieję, że dobrze pamiętam jego historię. Po wojnie były pilot sterowców marynarki wojennej razem z kilkoma kumplami kupił z nadwyżek wojskowych statek powietrzny. Chciał wybrać się nim nad południowoamerykańską dżunglę i poszukać zaginionego miasta Inków, najprawdopodobniej El Dorado. Przystosowali sterowiec do napełnienia wodorem, który jest cholernie wybuchowy, ale mogli go samodzielnie uzyskać metodą elektrolizy.

- Poszukiwacie skarbów? - zapytał z powątpiewaniem Pulaski.

- Nie powiedziałem, że mieli rację - obruszył się Mark. - Mówię tylko, że istnieli.

- Wszystko pięknie - odezwał się Cabrillo, odchodząc od zniszczonego kokpitu i jego makabrycznej zawartości. - Ale mamy zadanie do wykonania. Zaznaczyłem pozycję tego wraka na GPS-ie.

- Daj mi pięć minut - poprosił Mark.

Juan zastanawiał się przez chwilę. Skinął głową.

Murphy uśmiechnął się szeroko z wdzięcznością. Wpełzł do gondoli przez otwór po drzwiach - zostały wyrwane, kiedy sterowiec runął do dżungli. Z lewej strony miał dwa fotele pilotów i stery, z prawej kabinę. Przypominała przyczepę kempingową. Dwa piętrowe łóżka, mała kuchnia z kuchenką elektryczną i kilkanaście szafek. Otwierał je po kolei, przeszukiwał i ruszał dalej, gdy znajdował tylko pleśń lub stare menażki i niezbędniki, których mężczyźni najwyraźniej używali do robienia posiłków.

W jednej z szafek natrafił na metalowe pozostałości po uprząży wspinaczkowej. Pasy i liny zgniły, ale stal nie ucierpiała przez lata.

Domyślił się, że sprzęt służył do opuszczania kogoś z załogi na ziemię na rekonesans. W końcu odkrył żyłą złota, kiedy otworzył zardzewiałą puszkę po kawie zostawioną na małym stole w kącie jadalnym.

Przeklął siebie za to, że nie od razu zdał sobie sprawę ze znaczenia jej lokalizacji. Puszka powinna spaść na podłogę w momencie katastrofy. Nie było mowy, żeby utrzymała się na blacie, chyba że ktoś ją tam postawił. Ocalały lotnik. W środku leżała biała gumowa pochewka o długości około piętnastu centymetrów. Mark dopiero po chwili się zorientował, że to prezerwatywa. Wyczuł dotykiem, że coś do niej wepchnięto, jakieś papiery. Ostatnie kartki dziennika pokładowego? Otwarty koniec zawiązano na supeł.

Od czasu katastrofy minęło sześćdziesiąt lat; to nie pora ani miejsce na sprawdzanie takiej zbytekowej zawartości. Mark potrzebował sprzętu konserwatorskiego z „Oregona”, żeby mieć jakąś szansę dowiedzieć się więcej. Ostrożnie włożył prezerwatywę do wodoszczelnej torebki i schował do saszetki na biodrze.

- Czas minął. - W gęstej dżungli głos wydawał się bezcielesny, choć Juan stał w odległości zaledwie kilku metrów.

- Skończyłem. - Mark wyłonił się z gondoli. Po raz ostatni obejrzał się i przysięgł sobie, że ustali tożsamość mężczyzn, którzy się tu rozbili, i zawiadomi ich krewnych.

# Rozdział 4

Stacja badawcza Wilson/George.

Półwysep Antarktyczny

Wiatr przybrał na sile, wył nad budynkami i wzniecał zadymkę. Osobliwość najbardziej odludnego kontynentu świata polega na tym, że choć pokryty śniegiem, jest uważany za pustynię z zaledwie śladową ilością opadów atmosferycznych. Na półwyspie występują one dużo częściej niż w głębi lądu, ale płatki niesione teraz przez wichurę mogły spaść setki lat temu.

Spodziewana nawałnica jeszcze nie nadciągnęła; było to tylko subtelne przypomnienie, że człowiek jest tu intruzem.

Andy Gangle obudził się z potwornym bólem głowy. Nie tępy, jak po zbyt długim wpatrywaniu się w ekran komputera, lecz przeszywającym, jak ból gardła po zbyt szybkim wypiciu czegoś bardzo zimnego. I bez względu na to, co robił - a między innymi przyciskał do skroni chemiczne ogrzewacze rąk, jakby chciał rozmrozić mózg - nic nie pomagało.

Ani mrok w pokoju, ani tabletki przeciwbólowe, które połknął bez popijania, gdy tylko zaczął cierpieć. Mimo że pragnął być sam, cichy jęk wyrwał się spomiędzy jego zbieleńszych warg - płaczliwe, choć mimowolne wezwanie pomocy. Leżał w pozycji embrionalnej na skotłowanych, przesiąkniętych potem prześcieradłach i wełnianych kocach. Z naprzeciwka łóżka, od chwili przyjazdu patrzyła na niego podobizna Alberta Einsteina z wysuniętym językiem.

Gangle wygrał to zdjęcie w konkursie naukowym w ósmej klasie. Wisiało u niego na ścianie, kiedy był w szkole średniej, i zajmowało honorowe miejsce w jego pokoju w kolejnych akademikach. Już trochę się podniszczyło, ale ilekroć miał problem, patrzył na nie i dostrzegał niedorzeczność w tym, co go gnębi. Uważał, że skoro Einstein - mimo brzemienia świadomości, że jego teorie przyczyniły się do unicestwienia dwóch japońskich miast - mógł się śmiać ze świata, to Andy'ego Gangle'a też nic nie powstrzyma.

Spojrzał teraz na fotografię i poczuł tylko wściekłość. Jego umysłem władała ślepa furia podsycana cierpieniem. Co Einstein wiedział o brzemieniu, pomyślał Andy. Wyrobił sobie markę w dziedzinie fizyki jako młody człowiek i przez resztę życia był ramolem. Do diabła z nim. Do diabła z nimi wszystkimi. Z szybkością, której nie spodziewał się po sobie, Gangle wyplątał nogi z pościeli, wyskoczył z łóżka i zerwał plakat ze ściany. Przezroczysta taśma samoprzylepna przytrzymała cztery małe trójkąty papieru, ale reszta odeszła w całości. Andy w szale podarł plakat palcami i zębami; wilgotne konfetti upadło na pokrytą linoleum podłogę.

Gina Alexander przechodziła obok jego pokoju w drodze do kuchni i rozmyślała o tym, że za pięć dni, jeśli pogoda dopisze, piękny duży samolot C-130 Hercules wylądjuje na lodowym pasie startowym niecałe pół kilometra od stacji i ona będzie tam na niego czekała. Następny postój w Chile, później w Miami, a potem... Co?



Nie wiedziała. Przyjazd do Antarktyki był oczyszczający, pobyt tutaj ukoił ból po zdradzie męża i rozwodzie, ale nie miała pojęcia, co dalej. Nie wybiegała tak daleko w przyszłość. Zastanawiała się nad przeprowadzką bliżej rodziców, ale na samą myśl o życiu w Plant City na Florydzie włosy jej siwiałły i palce wyginał urojony artretyzm.

Odgłos zza drzwi Andy'ego zabrzmiał jak ochryply syk gada, jakiegoś ogromnego węża lub olbrzymiej jaszczurki. Zatrzymała się w pół kroku i nasłuchiwała. Pomysł, żeby zapukać i zapytać, czy wszystko w porządku, uleciał tak szybko, jak się pojawił. Jeśli Andy Wyłupiastooki ma problem, to trudno. Zraził do siebie cały zespół swoim dziwnym zachowaniem, a Gina zdecydowanie uważała, że zbierasz to, co zasiejesz.

Chwilę później witała grupkę naukowców, gdy nagrzewała blachę i wkładała pierwsze kromki chleba do restauracyjnych tosterów.

Wypadałoby, żeby sprawdziła, co z Andym, lub powiedziała szefowi placówki Gregowi Lamontowi, co usłyszała.

Andy odkrył sposób na uśmierzenie bólu głowy. Nastąpiło to w momencie, kiedy pastwił się nad podobizną Einsteina. W napadzie szału tak bardzo chciał całkowicie zniszczyć plakat, że w pewnej chwili stracił koordynację ruchów i ugryzł się w palec wskazujący z boku paznokcia. Ciepła krew miała miedzianosłony smak, całkiem niezły, i kiedy tylko Andy dotknął jej wargami, ból za oczami niespodziewanie zelżał, jakby przygasła jasna żarówka, a potem ustąpił.

Skrawek skóry, gdy Andy go żuł, konsystencją przypominał gumkę do wycierania, która stwardniała z upływem czasu. Palec ociekał krwią. Andy uniósł rękę do twarzy i z fascynacją patrzył na wzory, które tworzyła spływająca ciecz. Pomachał ręką, żeby strużki znalazły się na dłoni. Zaśmiał się, umoczył palec we krwi i zaczął pisać na ścianie, mazać czerwone smugi na czystym białym plastiku. Gryzmolił litery i układał z nich słowa, pewną koncepcję, którą powinien dostrzegać od początku. Wydawała się taka prosta, doskonała... Owszem, napis wyglądał prymitywnie, bo krew to nie farba, ale znaczenie było jasne.

„Dokąd tam pysków na Nicole”.

Instynkt samozachowawczy kazał mu doprowadzić się do porządku przed wyruszeniem na poszukiwania tego, czego potrzebował, aby wykonać plan. Andy Gangle owinał palec taśmą maskującą, starł większość krwi z warg, sprawdził, czy korytarz jest pusty, i wyszedł z pokoju.

# Rozdział 5

Juan uniósł rękę, kiedy usłyszał wyraźny warkot nadlatujących helikopterów. Odgłos tłumiła kopała dżungli; gęsta roślinność wisała nad ziemią jak żywy całun. Najlepsi myśliwi na świecie potrafią jednak dostrzec najmniejszy ruch w gąszczu. A Cabrillo nie miał wątpliwości, że to wojskowe śmigłowce. Nie brzmiały tak elegancko jak pasażerskie, budowane dla rozpieszczonych biznesmenów. Te maszyny barbarzyńsko hałasowały, ogołocone z całego zbędnego wyposażenia, by pomieścić jak najwięcej ludzi i sprzętu. Ale ludzkie oko lepiej widzi ruch niż kształt, dlatego mężczyźni czekali w przysiadzie na zwierzęcym szlaku, aż dźwięk umilknie. Niestety oddalał się w kierunku, w którym się posuwali.

- Co o tym myślisz, prezesie? - zapytał Jerry Pulaski.

- Pojawił się komitet powitalny. Musimy się postarać, żeby nie zdążyli wyprawić przyjęcia. - Juan spojrział na przenośny odbiornik GPS. - Ta ścieżka prowadzi nas trochę na wschód od celu. Czas pójść na przełaj. W tym samym szyku.

Nisko schyleni, mogli dawać nura pod grubsze liście palm i paproci, choć Jerry, wyższy od towarzyszy o piętnaście centymetrów, miał z tym problem. Po dziesięciu minutach ostre liście pocięły mu twarz, jakby ogolił się tępą brzytwą, i owady atakowały go z zawziętością kamikaze, wabione łatwym żerem.

Ku większej udręce zmęczonej drużyny teren zaczął się wznosić. Dotarli do podnóża gór, które widzieli na zdjęciach zwiadowczych. Zapach płonących zarośli stawał się coraz silniejszy. Rejon, gdzie prowadzono wypalanie i wyrąb lasu, leżał w odległości zaledwie kilku kilometrów.

Juan usiłował przetrzeć szlak przez gąszcz najlepiej, jak mógł. Kiedy zauważył na wprost dużą polanę, popełnił błąd i wbiegł tam, zamiast najpierw zrobić rozpoznanie. Znalazł się na drodze gruntowej w momencie, gdy przejeżdżał nią ciągnik siodłowy z naczepą. Samochód pokonywał zakręt. Gdyby Juan wyłonił się sekundę wcześniej, kierowca zobaczyłby go, choć nie zdążyłby już zahamować.

Cabrillo gwałtownie się zatrzymał i zamachał rękami, żeby nie wpaść prosto pod wielkie koła pustej ciężarówki do transportu dłużyc. Kłonicie do przytrzymywania ładunku wiezionego w dół do rzeki przemknęły centymetry od twarzy Juana. Wytworzony w wilgotnym powietrzu wir omal go nie wessał i nie cisnął nim w pędzący pojazd.

Ciężarówka minęła go w tumanie kurzu. Juan zrobił krok, który mógł być ostatnim w jego życiu, i odetchnął. Nie zdawał sobie sprawy, że dotąd wstrzymywał oddech. Gdy ustąpił strach i szok, Cabrillo natychmiast padł płasko na poraną głębokimi koleinami drogę na wypadek, gdyby kierowca spojrział w lusterko. Leżał, dopóki ciągnik siodłowy nie zniknął z widoku, po czym z powrotem dał nura za osłonę.

- Mało brakowało - zauważył Murphy.

Juan wiedział, że podwładny drażni się z nim, ale nie chwycił przynęty.

Kiedy się upewnili, że więcej ciężarówek nie nadjedzie znikąd, przebiegli przed drogę zwartą grupą. Mike Irono, na końcu, zacierał ślady pośpiesznie uciętą gałęzią.

Ukryty bezpiecznie po drugiej stronie, Juan wyjął z plecaka detektor promieniowania gamma. Elektroniczne urządzenie w wydaniu wojskowym miało dość nieskomplikowaną budowę. Czarne matowe pudełko wielkości starego magnetofonu wyposażono w prosty włącznik, czerwoną kontrolkę i pojedynczą wskazówkę pod przezroczystą osłoną. Zapalenie się lampki oznaczało, że detektor wykrył promieniowanie gamma. Potem należało obrócić się z nim o trzysta sześćdziesiąt stopni, obserwując wskazówkę, by ustalić kierunek źródła.

Juan włączył urządzenie. Zasygnalizowało dźwiękiem, że działa, ale kontrolka nie rozbłysła. Byli jeszcze zbyt daleko od ogniwa zasilającego, żeby wykryć emitowane śladowe ilości promieni gamma.

Zaczęli się wspinać wyżej. Raz i drugi przecięli tę samą drogę gruntową wijącą się przez góry. Zapach dymu przestał być słabą wonią przynoszona przez wiatr. Wolno wypełniał powietrze; białe chmury zalegały w zagłębieniach terenu niczym trujący gaz po ataku chemicznym.

Mark zaproponował, żeby zatrzymali pierwszą napotkaną ciężarówkę i poprosili o podwiezienie. Powiedział to tylko półzartem. Juan wiedział, że jego ludzie są wykończeni. Postanowił, że kiedy będą mieli ogniwo NASA w uprząży ochronnej, znajdą miejsce do odpoczynku, przeczekają tam noc, a rano wrócą do łodzi i wyniosą się z Argentyny.

W południe dotarli na szczyt góry. Zbliżyli się ostrożnie, czołgając się, żeby nie zostali zauważeni z doliny za grzbietem. Przywitała ich sceneria jak z piekła.

Po bujnym pierwotnym lesie pozostało wielokilometrowe błotniste pustkowie, porośnięte krzakami. Z wysokich jak stogi siana płonących stosów unosiły się kłęby dymu. Żółte koparki jeździły w ponurym krajobrazie z całymi drzewami w mechanicznych szczękach. Wśród ogólnego chaosu jak mrówki uwijali się ludzie. Chodzili od jednej kępy drzew do drugiej; piły mechaniczne z jazgotem zagłębiały się w pnie, które rosły przez pokolenia.

Na lewo od drużyny korporacji zrąb rozprzestrzeniał się jak rak w górę zbocza przeciętego krętą drogą. Coś zwróciło uwagę Juana. Wręczył detektor Markowi Murphy'emu, wyjął lornetkę z plecaka, upewnił się, że słońce nie odbije się w soczewkach, i przystawił ją do oczu.

W oddali zobaczył płaski teren w połowie wysokości wzgórza, gdzie ładowano drewno na naczepy kłonicowe. Poza tym przenośny aluminiowy barak i kilka specjalistycznych pojazdów leśnych: żurawie gaśnicowe i ciągniki zrywkowe z łańcuchami na kołach. Dalej stały dwa helikoptery, które słyszeli wcześniej. Łopaty rotorów błyszczały w słońcu, barwy ochronne niemal nie różniły się od kolorytu dżungli w tle.

Żołnierze zebrali się w luźnej grupie. Dwaj inni mundurowi - oficerowie, jak przypuszczał Juan - rozmawiali z paroma drwalami. U ich stóp leżał osmalony kawałek metalu. Juan nie mógł dostrzec szczegółów, ale nie potrzeba było wielkiej intuicji, żeby odgadnąć, że to fragment rozbitej rakiety lub jej ładunku. Cywile raz po raz wskazywali w górę zbocza, jakby coś ważnego zdarzyło się w okolicach szczytu.

- Co się dzieje? - zapytał Mike.

- Zaczyna się przyjęcie - odparł ponuro Juan.

- Coś mam - oznajmił Mark, omiatając otoczenie detektorem promieniowania gamma.

- Gdzie? - spytał ostro Juan.

- Tam. - Mark wskazał kierunek. - Sygnał jest słaby, ale zdecydowanie stamtąd, gdzie Argentyńczycy odbywają naradę wojenną.

Juan wyobraził sobie przebieg wypadków, który doprowadził do tej scenki. Kiedy rakietę eksplodowała i deszcz szczątków spadł do dżungli, jedna część wylądowała na polanie i drwale ją wzięli. Potem przenieśli do punktu etapowego, żeby pokazać brygadziście, a ci wezwali wojsko. Teraz zapewne mówili oficerom, że inny element leży na szczycie góry.

Major Jorge Espinoza z Dziewiątej Brygady lubił rozkazy. Lubiał je dostawać, wydawać i patrzeć, jak są wykonywane. Nieważne, jaki był rozkaz. Nie robiło mu różnicy, czy ma w ramach ćwiczeń maszerować tydzień przez bagna, by zdobyć upragniony rdzawo-czerwony beret, czy doszczętnie spalić wioskę autochtonicznych rolników. Jedno i drugie zadanie wypełniał z ogromną determinacją i zaangażowaniem. W czasie lat służby wojskowej nigdy nie zapytał, czy to, co mu każą zrobić, jest moralne. To nie grało roli. Rozkazy były wydawane i wykonywane. Tylko to się liczyło.

Podwładni uważali Espinozę za doskonałego dowódcę, który nie ulega emocjom i nigdy nie ma wątpliwości. Ale major przyznawał w duchu, że pewne rozkazy odpowiadają mu bardziej niż inne. Zdecydowanie wolał wyrzynać wieśniaków, niż spędzać tydzień po pierś w bagnie pełnym pijawek.

Pochodził z wojskowej rodziny, która służyła Argentynie od czterech pokoleń. Jego ojciec był pułkownikiem wywiadu w czasach chwały, gdy krajem rządzą generałowie. Raczył swoich synów opowieściami o tym, co robiono z wrogami państwa, o lotach helikopterem ze związanymi dysydentami nad lodowatym południowym Atlantykiem. Dla zabawy wypychano ich na zewnątrz z wysokości trzystu metrów. Chodziło o to, żeby posłać drugiego człowieka w spieniony rozbryzg pierwszego, i tak do ostatniego więźnia.

To było rzucanie podkową w wersji dla psychopatów, ale Jorge postrzegał to inaczej.

Za młody, by walczyć, kiedy Brytyjczycy ponownie zdobywali Malwinę, został wyszkolony przez weteranów wojennych i był wzorowym żołnierzem. Gdy sformowano Dziewiątą Brygadę po obaleniu słabego prezydenta przez juntę z generałem Corazónem na czele, Jorge Espinoza zgłosił się na ochotnika jako jeden z pierwszych. Nie miał lepszych ćwiczeń niż młodsi od niego szeregowcy i podoficerowie - teraz jego podwładni - i tym na zawsze zyskał sobie ich lojalność.

Obecnie pełnił funkcję zastępcy dowódcy całej brygady, generała Philippe'a Espinozy, swojego ojca, który wrócił z emerytury, by objąć to stanowisko. Wszelkie plotki o nepotyzmie Espinoza junior uciszył z właściwą sobie bezwzględnością.

Należał do dowódców, którzy lubią być na pierwszej linii. Dlatego przyleciał tutaj i rozmawiał z drwalami o katastrofie w pobliżu ich miejsca pracy. To, co mu pokazali, z pewnością mogło być częścią amerykańskiej rakiety. Lekkie aluminium starannie znitowano, bez najmniejszej niedoróbki na powierzchni. Krawędzie wyglądały tak, jakby element oderwała eksplozja; na białej farbie widniały ślady ognia.

Odnalezienie jakiegokolwiek fragmentu rakiety dawało juncie szansę, aby postawić Stany Zjednoczone w kłopotliwej sytuacji. Argentyńczycy nie wiedzieli, jaki był ładunek. NASA twierdziła, że satelita meteorologiczny, ale rządzący generałowie podejrzewali, że szpiegowski.

- Przypuszczamy, że inny kawałek wylądował po drugiej stronie wzgórza. - Brygadziści drwali wskazał w połowie ogołocone wzniesienie za nimi. Denerwował się w obecności tylu rdzawoczerwonych beretów, ale czuł się w obowiązku wezwać wojsko. - Za miejscem, gdzie pracują tamci ludzie. Niektórzy chcieli iść poszukać, ale płacę im za ścinanie drzew, nie za łażenie. I tak już zmarnowali godzinę, żeby wykopać z błota to tutaj.

Espinoza zerknął na swojego towarzysza, porucznika Raula Jimeneza. W przeciwieństwie do majora, który po babce ze strony ojca odziedziczył jasnobrązowe włosy i niebieskie oczy, Jimenez miał cygańską urodę po swoich baskijskich przodkach. Dwaj mężczyźni działali i ćwiczyli razem niemal od początku służby wojskowej. Jimenez miał niższy stopień, ale nie dlatego, że był od Espinozy gorszy - po prostu wolał być u boku przyjaciela niż samodzielnie dowodzić.

Rozumieli się bez słów.

- Niech pan zbierze tylu ludzi, ilu pan zdoła ściągnąć w ciągu piętnastu minut - rozkazał Jimenez tonem instruktora musztry, który żąda działania. - Sformujemy tyralierę i będziemy szli pod górę, dopóki nie znajdziemy tego, co *yanquis* zgubili w dżungli.

Jedyną oznaką, że brygadzysta nie ucieszył się z rozkazu, było to, że podrapał się w głowę pod brudnym kaskiem ochronnym, zanim przytaknął.

- Dla Dziewiątej Brygady wszystko.

Cywile odeszli zwołać ludzi i Espinoza został sam ze swoim adiutantem. Obaj zapalili cygaretki jedną zapałką sztormową.

- Co o tym myślisz, *Jefe*? - zapytał Jimenez. Wypuszczony przez niego kłąb dymu zmieszał się z tym, który już wisiał nad obozem.

- Znajdziemy to, co widzieli drwale. Pytanie tylko, czy to okaże się warte naszego zachodu.

- Dla Ministerstwa Propagandy każda okazja jest dobra, by pokazać światu, że Amerykanie nie są nieomylni.

- Świat jest teraz bardzo nieprzychylnie nastawiony do naszego rządu. Wątpię, żeby parę kawałków kosmicznego szmelcu coś zmieniło. Ale rozkaz to rozkaz, tak? I będą to dobre ćwiczenia dla żołnierzy. Mogą zmięknąć, likwidując wioski z wygodnych stanowisk na kanonierkach.

Cabrillo i jego towarzysze byli już w drodze, kiedy brygadzysta drwali dostał rozkaz zebrania ludzi. Zapowiadał się wyścig po nagrodę. Drużyna korporacji miała większą odległość do pokonania, ale trzymała się blisko górskiego grzbietu. Argentyńscy żołnierze natomiast musieli się wspinać po zboczu. Dodatkowo spowalniała ich konieczność dokładnego przeczesywania terenu. Mężczyźni z korporacji mieli detektor promieniowania gamma - on jak pies myśliwski prowadził ich do ogniwa zasilającego.

Wiedząc, że konkurencja depcze im po piętach, dawali z siebie wszystko mimo bólu mięśni i stawów. Gdyby zdołali dotrzeć w porę do ogniwa i wycofać się, Argentyńczycy nie mieliby pojęcia o ich obecności.

Posuwali się naprzód szybko, ale cicho. Rozlegał się tylko szelest roślinności, ubrań i równych oddechów. Dym dolatujący z kar-czowiską tworzył lekką mgiełkę na ich wysokości, ale niżej utrudniał poszukiwania idącym tyralierą żołnierzom.

Juan nie zmniejszył tempa, gdy usłyszał wycie silnika poprzedzające start helikoptera, ale zaklął w duchu. Powinien się spodziewać, że tamci przeprowadzą rozpoznanie lotnicze. Ciężki kawałek kosmicznych szczątków, opadający z ogromną prędkością, musiał przy uderzeniu w ziemię zrobić lej dobrze widoczny z powietrza. Pozostawało pytanie, czy ocalało dość kopuły dżungli, by go zasłonić z góry.

Juan przeczuwał, że nie będą mieli aż takiego szczęścia.

- Sygnał detektora wciąż jest silny - oznajmił Mark. Zrezygnowali z rozdzielenia się, by przebiec przez szczyt góry, więc był zaledwie kilka kroków za prezesem.

Czterdzieści trudnych minut później dotarli w pobliże sektora dżungli przeszukiwanego przez

helikopter. Nie wiedzieli, jak daleko są wspinający się żołnierze. Drużyna musiała zwalniać, ilekroć argentyński śmigłowiec przelatywał w zasięgu wzroku.

Juan żałował, że detektor nie może im podać odległości do celu. Bez tej informacji nie orientował się, czy są już blisko ogniwa zasilającego, czy też mają do przejścia jeszcze kawał drogi. Warkot helikoptera nagle się zmienił. Maszyna już nie krążyła, lecz wisiała w zamglonym powietrzu niecały kilometr na wprost. To mogło oznaczać tylko jedno.

Była nad lejem.

Cabrillo zaklął. Desant linowy ze śmigłowca mógł zabrać ogniwo na pokład, zanim on i jego ludzie zdążą pokonać połowę dystansu.

Bez ponaglenia mężczyźni puścili się pędem przez dżunglę, jakby z niej pochodzili. Juan biegł z pełną determinacją, sięgając do rezerw energii, które jeszcze nigdy go nie zawiodły. Wiedział, że nawet po dotychczasowych trudach zdoła przebiec kilometr w niecałe cztery minuty. Mike Trono dotrzymywał mu kroku, ale Mark i Jerry zostawali z tyłu.

Helikopter nie wiedzieć czemu nagle odleciał na południe w kierunku obozu drwali. Cabrillo uznał to za dobry znak i zwolnił; hałas turbin i rotora już nie zagłuszał tupotu. Pierś mu falowała, ale zmusił się do zapanowania nad oddechem; raz za razem napełniał płuca, by ponownie nasycić tkanki tlenem. Niemal czuł, jak kwas mlekowy rozpuszcza się w mięśniach. On i Mike padli na brzuchy, zaczęli się czołgać. Ostatni odcinek przebyli z czujnością węży.

Ogniwo zasilające wbiło się w ziemię pod małym kątem; za sobą zostawiło osmalony tunel w zieleni. Lej był poczerniałym kręgiem wybrzuszonej gleby. Pięciu argentyńskich żołnierzy opuściło się na linach w to miejsce. Dwaj wkopywali się w lej łopatami, które zapewne zarekwirowali drwalom; pozostali tworzyli kordon. Wszyscy nosili charakterystyczne rdzawoczerwone berety.

Juan wiedział - z materiałów o Dziewiętej Brygadzie, które przestudiował, żeby się wcielić w ich oficera - że działają w sześciuosobowych drużynach. Musiał być tu z nimi jeszcze ktoś. Juan szybko stuknął trzy razy w mikrofon radia. Dał swoim sygnał, żeby się ukryli.

On i Mike mogliby wyeliminować trzech wartowników, zanim zdążyliby nadać ostrzeżenie, a potem zlikwidować kopaczy, którzy rozebrali się do pasa i położyli rzeczy kilka metrów od siebie. Ale był ktoś szósty. Niewidzialny człowiek. Stanowił niewiadomą. I właśnie nim należało się zająć najpierw.

Cabrillo zdjął z szyi pistolet maszynowy MP-5. Tylko by mu przeszkadzał w czasie skradania się. Pistolet samopowtarzalny też zostawił w kaburze. Nawet gdyby miał ze sobą tłumik, odgłos strzału spłoszyłby dzikie ptaki i zwierzęta; ich paniczna ucieczka zaalarmowałaby Argentyńczyków.

Juan znał ludzi, którzy wolą zabijać nożem. Nie lubił ich i nie ufał im, ale opanował tę technikę i używał jej nieraz. Zabijanie nożem było brudną robotą. A nożownikom zwykle chodziło głównie o pozbawienie kogoś życia dla osiągnięcia celów operacji.

Obserwacja nie była łatwa. Dobra widoczność kończyła się centymetry od twarzy Juana, więc z trudem odgadywał, gdzie szósty żołnierz zajął pozycję, by potajemnie czuwać nad kolegami wykopującymi fragment satelity.

Na godzinie dziesiątej zarośla były rzadsze, bo kilka drzew zasłaniało im słońce. Strzelec miałby tam lepsze pole widzenia. Cabrillo uznał, że facet czeka w tamtym miejscu. Postanowił go okrążyć i zająć od tyłu, a potem z Mikiem zdjąć resztę. Wyciągnął nóż, wykonał ruch w lewo i zamarł.

Głosy.

Tuzin lub więcej. Krzyki i śmiechy ludzi przedzierających się przez dżunglę jak stado dzików.

Grupa żołnierzy i drwali wspinała się na górę. Podano im przez radio lokalizację satelity i śpieszyli na miejsce katastrofy.

Cabrillo trwał w bezruchu. Jakakolwiek akcja byłaby teraz samobójstwem. Mając się na baczności przed wciąż brakującym szóstym członkiem ekipy, oparł się chęci wywołania przez radio Murphy'ego i Pułaskiego. Lepiej niech wszyscy zostaną tam, gdzie są, i czekają, aż nadarzy się okazja do działania.

Argentyńczycy przez godzinę wydobywali z ziemi ogniwo zasilające o wadze ponad trzydziestu kilo; Juan obserwował ich cicho; Mike spał. Cabrillo wiedział, że gdzieś w dżungli za nimi Mark lub Jerry też nadrabia niedobór snu.

Juan zdołał podsłuchać meldunek jakiegoś porucznika do stanowiska dowodzenia w dole.

- Mamy to, *Jefe*... Nie jestem pewien. Około pół metra długości. Prostokątne. Waży ze trzydzieści kilo... Co?... Nie wiem, chyba jakaś aparatura naukowa. Nie mam pojęcia, do czego może służyć... Nie. Będzie łatwiej, jeśli znieśmy to na zbocze, do miejsca załadunku dłużyc. Jest tam parę pikapów. Zjedziemy nimi do obozu. Do tego czasu pilot powinien znaleźć zwarcie w instalacji elektrycznej helikoptera i wrócimy do bazy w samą porę na koktajle w klubie oficerskim.

Cabrillo usłyszał dość. Poznał ich plan. To dawało mu przewagę. Klepnął Mike'a w ramię. Eksratownik spadochronowy obudził się natychmiast, ale cicho. Nawet we śnie miał świadomość, że są w sytuacji bojowej. Obaj wycofali się ostrożnie, by nie poruszyć roślin nad swoimi głowami i nie zostawić śladów po sobie. Spotkali się z Jerrym i Murphym niecałe pół kilometra dalej.

- Mają satelitę - powiedział Murphy.

Juan przytaknął i napił się z manierki. Nie odważył się zaspokoić pragnienia od chwili, gdy natknął się na argentyńskie siły specjalne.

- Niosą go do drogi, potem zwiozą samochodem do obozu i zabiorą helikopterem.

- A my? - Mark uniósł gotycko wyskubaną brew.

- Powstrzymamy ich.

Dwie równoległe schodzące z góry grupy, żołnierze i drużyna korporacji, spotkały się na wyrównanym kawałku zbocza o powierzchni niespełna hektara, który drwale oczyścili, by zrobić miejsce dla sprzętu. Stał tam żuraw z chwytakiem do ładowania dłużyc na naczepy kłonicowe i wysoki maszt leśnej kolejki linowej do zrywki drewna. Jej liny biegły ponad trzy kilometry w dół stoku do wysięgników mechanicznych wciągarek na maszynie roboczej zakotwiczonej w obozie. Z długiej liny nośnej zwisały pętle, które siekierowi zakładali na obrobione pnie drzew. Dłużyce sunęły potem w górę zbocza, gdzie układano je na naczepach, a pętle wracały na dół po następny ładunek.

Mężczyźni pracujący tu na górze przyjechali z obozu pikapami. Właśnie te samochody zamierzał wykorzystać Raul Jimenez.

Juan nie wątpił, że jego czteroosobowej drużynie uda się wyprzedzić liczniejszą grupę Argentyńczyków, dopóki nie doszli do rozpadliny w zboczu pozostałej po trzęsieniu ziemi. W dżungli nie sposób było stwierdzić, jak daleko ciągnie się pęknięcie gruntu, więc nie mieli innego wyjścia, niż uznać je za przeszkodę nie do ominięcia, którą muszą pokonać. W geologicznej skali czasu wstrząs nastąpił całkiem niedawno, zaledwie dwanaście tysięcy lat temu. Upłynęło dość wieków, by erozja zmieniła brzegi szczeliny w pochyłości do przebycia, ale musieli zejść piętnaście metrów i wdrapać się po drugiej stronie na czworakach. Mamrocząc przekleństwa, wyteżali siły.

Wszyscy ledwo dyszeli, kiedy wydostali się z rozpadliny. Według zegarka Juana stracili

piętnaście cennych minut. Pobiegli dalej z nadzieją, ale obawiali się najgorszego. Odkąd Juan przyjął to zlecenie od Langstona Overholta, wiedział, że nie zdąży ułożyć odpowiedniego planu, i teraz to go dręczyło. Musieli stawić czoło dwóm oddziałom najlepiej wyszkolonych argentyńskich żołnierzy, a mieli tylko cztery pistolety maszynowe. No i działali z zaskoczenia. Szanse na zdobycie ogniwa zasilającego bez walki były zerowe, możliwość jego odzyskania i wycofania się do Paragwaju Juan oceniał maksymalnie na dwadzieścia procent.



# Rozdział 6

Kiedy Juan i reszta dotarli do górnego punktu załadunkowego dłużyc, żołnierze z Dziewiątej Brygady już umieścili swoją zdobycz na skrzyni pikapa i wsiadali do niego. Połowa z nich wzięła drugi taki samochód. Właściciel pojazdów wołał nie protestować.

Drużyna korporacji przyczała się na skraju dżungli; od Argentyńczyków dzieliło ich może trzysta pięćdziesiąt metrów. Nie tak dużo, ale pistolety maszynowe, zabójcze z bliska, byłyby bezużyteczne przy tej odległości. Juan podejrzewał, że Dziewiąta Brygada uzbroiła swoich ludzi w MP-5 bardziej z powodu groźnego wyglądu tych automatów niż ze względu na ich przydatność w walce. Juan musiał podjąć decyzję i szybko analizował w myślach różne warianty. Frontalny atak to samobójstwo. Powrót do dżungli bez ogniwa zasilającego też mu się nie uśmiechał. Za daleko zaszli, by teraz ponieść porażkę, a Cabrillo niezbyt często pozwalał sobie na rozważanie takiego wyjścia jak rezygnacja. Dlatego korporacja była najlepsza na świecie w tym, co robiła. I wiele sukcesów odnosiła dzięki temu, że Juan potrafił błyskawicznie myśleć, znajdować możliwość, której nikt nie wzięłby pod uwagę.

Przychodziły mu do głowy różne pomysły, ale natychmiast je odrzucał jako niewykonalne. Bez względu na to, w jakim tempie wymyślał inne rozwiązania, wciąż następował rozwój wypadków. Żołnierze z Dziewiątej Brygady powskakiwali na skrzynie pikapów, obłoki spalin wydobyły się z rur wydechowych. Obok nich buchnął dym z dwóch kominów ciągnika siodłowego z naczepą załadowaną tak świeżymi dłużycami, że żywica lśniła na korze.

- Prezesie? - szepnął Mark Murphy. Nigdy nie widział, żeby Cabrillo zastanawiał się tak długo.

Juan uniósł rękę, żeby powstrzymać pytania, i poczołgał się naprzód w wysokiej trawie, która wyrastała jak krawężnik między dżunglą a ubitą ziemią na placu oczyszczonym przez drwali. Dotarł do przeciwległego krańca i spojrzał w dół stoku na jednopasmową drogę wijącą się wokół góry jak wąż. Nad nią połyskiwała, pozornie cienka jak nić babiego lata, stalowa pętla.

Dwa ubłocone pikapy zaczęły się oddalać, kabina ciężarówki zadrzała, gdy kierowca wrzucił bieg i ruszył za nimi.

To jest to, pomyślał Juan. Nie ideał, ale lepsze to niż nic.

Wpadł z ukrycia i przywołał gestem swoich ludzi. Wyłonili się z dżungli i biegiem puścili za Cabrillem niczym sprinterzy na ostatnim okrążeniu, kiedy zapomina się o zmęczeniu i organizm reaguje na chemiczne sygnały „teraz albo nigdy”. Kilkunastu drwali kręciło się wokół maszyny z wciągarkami, która miała wielkość szopy. Gdy zobaczyli czterech żołnierzy Dziewiątej Brygady wypadających z dżungli, pomyśleli, że faceci odłączyli się od oddziału i teraz gonią kolegów w pikapach.

Nie widzieli w tym nic podejrzanego, dopóki jeden z żołnierzy nie wziął ich na muszkę.

- Wszyscy na ziemię i nie ruszać się! - krzyknął.

Juan nie zaczekał, żeby sprawdzić, czy drwale wykonali rozkaz. Wiedział, że jego ludzie tego dopilnują. Podbiegł do kabiny maszyny, zmodyfikowanej koparki, w której ramię z czerpakiem zastąpiono wysięgnikami z blokami do prowadzenia lin. Kabina nie miała szyb; przed fruującymi śmieciami chroniła operatora stalowa siatka. Mężczyzna siedział w niedbalej pozie przy otwartych drzwiach z papierosem w lewej dłoni. Nie zauważył drużyny korporacji i przez warkot diesla nie usłyszał rozkazu Juana, więc był całkowicie zaskoczony, gdy Cabrillo sięgnął do kabiny i ściągnął go z siedzenia. Wylądował na poślubionej koleinami ziemi z takim impetem, że stracił oddech.

- Murphy! - zawołał Juan. - Chodź tu i rozeznaj się w przyrządach sterujących.

Mark, z zawodu inżynier, intuicyjnie wyczuwał, jak działają różne urządzenia. W młodości z zamiłowaniem rozkładał na części wszelkie mechanizmy i składał je z powrotem. Rodzice położyli kres temu hobby, gdy pewnego dnia wrócili do domu i zastali zabytkowe porsche ojca w kawałkach.

Murphy zostawił Jerry'emu i Mike'owi pilnowanie drwali i wskoczył do kabiny.

- Mike! - krzyknął Cabrillo, kiedy przeniósł się na skraj polany z widokiem na spowity dymem księżycowy krajobraz, który pozostał po dziewiczym lesie. - Znajdź kluczyki do trzeciego pikapa i go odpal.

Lina nośna kolejki zwisała z systemu bloków do podnoszenia grubej pętli tak, żeby transportowana dłużycą nie zawadzała o pniaki po ściętych drzewach.

Juan się upewnił, że pistolet maszynowy jest bezpieczny na jego plecach, i wywołał Marka przez radio. Stał na pętli i chwycił się jej jedną ręką.

- Wiesz, co planuję?

- Zjazd na linie i zeskok na pikapa z ogniwem zasilającym.

- Niezupełnie. - Cabrillo wyjaśnił Markowi, co chce zrobić.

- Człowieku, jesteś szalony. Natchniony, ale szalony.

Murphy pomylił przyrządy sterujące tylko raz. Obsługa maszyny okazała się prosta. Sztuka polegała na tym, żeby robić to właściwie. Podciągnął pętlę, przepuszczając stalowy splot przez blok, na głównej linie kolejki.

Cabrillo przygotował się na szarpnięcie, kiedy pętla się napręży. Ale musiał przyznać punkt swojemu specjalście od uzbrojenia, kiedy ten delikatnie uniósł go w powietrze. Niczym narciarz, który nie zeskoczył z wyciągu, Juan zaczął szybować w dół stoku z coraz większą szybkością. Mark bacznie obserwował sytuację i obliczał w pamięci złożone wektory, żeby dostarczyć prezesa do celu.

Juan sunął piętnaście metrów nad ogołoconym przez drwali zboczem. Przypominało to zjazd tyrolką i gdyby sceneria była ładniejsza, chętnie by zapłacił za tę podróż. Stosy chrustu tliły się po obu stronach liny, więc czuł się tak, jakby przelatywał nad otchłanią piekła. Przemknął nad drogą w ślad za konwojem zdążającym do bazy w dole. Pikapy jechały daleko przed osiemnastokołowcem z pełnym ładunkiem. Juan się tego spodziewał. Lina znów biegła nad drogą niemal dwieście metrów dalej, dokładnie nad nawrotem, do którego zbliżały się pikapy.

Gdyby żołnierze na skrzyniach ładunkowych spojrzeli w górę, całkowicie odsłonięty Juan stałby się żywą tarczą strzelniczą.

Mark najwyraźniej zmienił wyliczenie, bo blok pętli zaczął zwalniać. Juan buchnął się do przodu i pętla zaczęła się obracać. Usłyszał syk hamulców pneumatycznych, kiedy ciężarówka dojechała do ostrego zakrętu. Cabrillo znów przyśpieszył, huśtając się na linie, gdy wirowała raz w jedną, raz w drugą stronę. Ruch w przestrzeni wzdłuż trzech osi był mocno dezorientujący, a Juan musiał jeszcze wybrać moment na lądowanie.

Ciągnik siodłowy wszedł szeroko w łuk, zanim kierowca zaczął skręcać. Juan był piętnaście metrów wyżej i zbliżał się szybko. Za szybko, uświadomił sobie, i ledwo to pomyślał, blok pętli zwolnił. Lina zaczęła się odwijać, opuszczając go coraz bliżej ciężarówki. Murphy dawał pokaz niezwykłego wycucia odległości i opanowania, kiedy sadzał prezesa na załadowanym ciągniku w chwili, gdy w decydującym momencie zakręt zasłaniał żołnierzom opadający blok.

Stalowa pętla zwinęła się tak ciasno, że zmiażdżyłaby Juanowi o nogę, gdyby to nie była proteza. Nawet nie czując bólu, musiał wierzgnąć z całej siły, żeby się oswobodzić. Dłużyce tuż pod nim miały metrową średnicę i korę tak grubą i szorstką jak skóra aligatora.

Kierowca zaczął wyprostowywać tor jazdy, kiedy przeprowadził zestaw przez nawrót. Oddalał się od biegnącej prosto jak strzała liny, pozostawiając Cabrilla zawieszzonego w przestrzeni. Juan znów wierzgnął, żeby uwolnić stopę, ale nie mógł nic zrobić, dopóki pętla się nie rozwinie. Od tyłu naczepy dzieliło go niecałe półtora metra. Potem metr. Poczul, że znów obraca się w prawo. Szarpnął mocno nogę i ją oswobodził. Wisząc na jednej ręce, znalazł odpowiednie miejsce i opadł na najwyżej leżącą dłużycę.

Wylądował niezgrabnie, bo nie dostosował się do stałego przyśpieszenia ciężarówki. Zaczął się staczać z pnia. Poszukał dłonią punktu zaczepienia na nierównej korze - w rękę została mu garść pokruszonego drewna. Zsunął się dalej. Rozstawił kolana, żeby ścisnąć pień nogami, ale to nic nie dało. Zleciał w tył.

I natychmiast uderzył w stalową kłonicę przytrzymującą ładunek. Gdyby nie plecak, pękłaby mu kość ogonowa. Doszedł do siebie po kilku sekundach, zaskoczony bólem i faktem, że nie spadł z ciężarówki. Wdrapał się z powrotem na najwyższą dłużycę i zaczął iść w przysiadzie ku kabynie.

- Jestem na naczepie - zawiadomił przez radio Murphy'ego.
  - Widzę. Schrzaniłeś lądowanie, ale mimo to przyznam ci siedem i pół punktu.
- Cabrillo zawsze starał się nie tracić humoru.
- Chyba żartujesz - odparł. - Nie widziałeś tamtego półobrotu przy skoku? Za sam stopień trudności należy mi się osiem punktów.
  - Dobra. Niech będzie.
  - Chcę, żebyście we trzech pojechali za mną ostatnim pikapem. Co zrobiliście z drwalami?
  - Jerry przykuł ich łańcuchem do koła starej ładowarki łyżkowej.
  - W porządku. A teraz ruszcie tyłki na dół. Musicie mnie stąd zabrać.

Juan dotarł do przodu naczepy. Droga przed samochodem biegła prosto przez półtora kilometra, potem znów zakręcała. Pikapy były tylko tumanami kurzu w połowie tego odcinka. Na prawo od Juana przepaść, na jej dnie - sześćdziesiąt metrów niżej - wiała się serpentyzna.

Spojrzał w dół ponad przednią krawędzią naczepy i zobaczył wierzchy ośmiu kół ciągnika. Szutrowa droga, widoczna między elementami ramowego podwozia, uciekała w tył. Jeden niefortunny krok i wylądowałby pod dwudziestoma tonami egzotycznego drewna.

Zamiast zeskoczyć, zszedł po dłużycach i ostrożnie stanął na ramie podwozia. Przez tylną szybę kabiny widział głowę kierowcy. Gdyby mężczyzna zerknął w lusterko, zobaczyłby intruza. Juan dał krok w lewo na zrobiony z ryflowanej blachy aluminiowej zbiornik paliwa o średnicy beczki. Złapał się prawą ręką uchwytu przyśrubowanego do kabiny tuż za drzwiami i położył drugą dłoń na klamce. Brodata twarz kierowcy wypełniła duże boczne lusterko.

Argentyńczyk spojrział w lewo i zanim jego mózg zarejestrował obraz, Juan szarpnął drzwi i chwycił faceta za kołnierz. Otwarte drzwi odbiły się i uderzyły Juana w ramię, ale nie z taką siłą,

żeby go spowolnić. Ściągnął mężczyznę z siedzenia i wyrzucił na tyle daleko od ciężarówki, by nie dostał się pod koła.

Zdjął z pleców pistolet maszynowy i wskoczył na fotel. Choć oba okna były całkowicie otwarte, poczuł odór zastalego potu, pikantnego jedzenia i lekką woń marihuany. Miał nogę na gazie, zanim ciągnik zdążył zwolnić o więcej niż dwa, trzy kilometry na godzinę. Zauważył w lusterku, że kierowca powoli wstaje - na pewno był ogluszony, ale nie wyglądał na ciężko rannego.

Teraz najtrudniejsza część, pomyślał ponuro Cabrillo. Zerknął w górę na drogę i zobaczył tuman kurzu wzbijany najprawdopodobniej przez pędzących za nim ludzi z drużyny. Droga w dole zbiega nadal była pusta. Żołnierze z Dziewiątej Brygady pewnie właśnie wjeżdżali w następny nawrót na długim spadku. Juan ostrożnie zbliżył się ciężarówką do krawędzi nad przepaścią. Nawierzchnia była dużo bardziej miękka tak daleko od głównych kolein ubitych podczas niezliczonych kursów. Żwir chrząścił pod kołami i zsuwał się po najeżonym pniakami zboczu.

Tam!

Z górnego odcinka drogi Juan mógł zobaczyć pikapy poniżej. Jechały znacznie wolniej, niż się spodziewał. Zastanawiał się, czy nie miały małego kłopotu z pokonaniem ostatniego zakrętu. Na tę myśl nabrał szacunku dla ludzi, którzy kursowali do góry i na dół kilkanaście razy dziennie.

Doprowadził ciągnik jeszcze bliżej urwiska. Przednie koła złożyły koleiny na poboczu, zewnętrzne koła napędowe i te z prawej strony naczepy wisiały w powietrzu. Z łączną prędkością prawie stu kilometrów na godzinę, ale rozdzielone sześćdziesięciometrową różnicą poziomów, trzy pojazdy pędziły ku sobie.

Nie odrywając wzroku od drogi, Juan sięgnął do klamki i sprawdził, czy nie jest zablokowana. Wszystko sprowadzało się do wyboru odpowiedniego momentu. Za wcześnie - tamci staną. Za późno - on chybi.

Wyliczył to najprecyzyjniej, jak mógł. Szarpnął kierownicą w prawo i wyskoczył z kabiny. Wylądował twardo na drodze, ale zrobił przewrót przez ramię niczym akrobata i wstał.

Osiemnastokółowiec balansował na krawędzi jeszcze przez chwilę, po czym wyleciał z drogi. Przewrócił się na bok i rył osłoną chłodnicy ziemię, dopóki nie walnął w pniak po drzewie, które rosło setki lat, zanim ludzka chciwość przypieczętowała jego los. Para buchnęła z przedziurawionej chłodnicy, przednia szyba wypadła w dwóch częściach i rozprysła się w drobny mak.

Przy gwałtownym uderzeniu ciężarówka zgubiła ładunek. Wiozła na naczepie trzydzieści dłużyc, większość o wymiarach słupów telefonicznych i kilka o wadze trzech ton każda. Przez pierwsze metry wszystkie razem staczały się ze stoku, ale gdy zaczęły podskakiwać na pniakach, rozdzieliły się. Jedne odbijały się od przeszkody i zmieniały kierunek, inne - wyrzucone pionowo w powietrze - szybowały w dół zbocza jak pociski balistyczne.

Kierowca pierwszego pikapa nie zauważył celowo spowodowanego wypadku nad sobą i dopiero po alarmujących krzykach pasażerów z tyłu zorientował się, że coś się stało. Przyjrzał się drodze na wprost, ale nie zobaczył nic niepokojącego. Przez stromiznę powyżej nie mógł spojrzeć w górę pod właściwym kątem i do ostatniej chwili nie widział lawiny.

- Hector! - wrzasnął mężczyzna obok niego, gapiąc się na wzgórze wytrzeszczonymi oczami. - Hamuj! Na miłość Maryi Dziewicy, stój!

Kierowca imieniem Hector mocno nacisnął hamulec, kontrując kierownicą poślizg tylnych kół. Nastąpił potężny wstrząs, gdy drugi pikap, prowadzony przez Raula Jimeneza, uderzył w ich tylny zderzak. Hector miał zapięty pas - tak go nauczono w dzieciństwie i nie zamierzał udawać macho.

Sierżant na siedzeniu pasażera nigdy nie zapinał pasa. Wyleciał przez przednią szybę; na szkło wokół została krew z pokaleczonych twarzy i ramion. Wylądował dobre pięć metrów przed samochodem. Hector nie miał pojęcia, czy podoficer żyje, kiedy dłużyca o obwodzie męskiej klatki piersiowej przetoczyła się po sierżancie i przygniotła go do twardej ziemi.

Hector poczuł na ramieniu dotyk śmierci. Inny pień drzewa, który koziółkował pionowo, przebił od góryabinę i ugodził go w nogę. Dłużyca rozpruła dach pikapa niczym otwieracz do konserw.

Osoby, które podczas kolizji nie odniosły obrażeń, zeskoczyły z samochodu i puściły się pędem w dół stoku, w panice zapominając o pozostawionych towarzyszach. Kolejne dwa największe pnie staranowały pojazd i zepchnęły go z drogi. Mężczyźni - zbyt zaszokowani lub zbyt ciężko ranni, żeby uciekać - zostali wyrzuceni z pikapa i zmiażdżeni, gdy zaczął się staczać.

Większość żołnierzy popełniła błąd i biegła prosto, samochód wkrótce ich dogonił. Szczęściarze odtrąceni na bok wyszli z tego z połamanymi rękami i nogami. Pechowcy zginęli na miejscu. Tylko jeden żołnierz na tyle zachował przytomność umysłu, że pędził na skos, dlatego uniknął śmierci pod koziółkującym pojazdem. Udało mu się nawet podskoczyć w samą porę, by jedna z dłużyc przetoczyła się pod nim. Niestety druga trafiła go w kolana i zmiażdżyła mu oba stawy. Odbiła się i przygniotła nieszczęśnika, zanim nerwy zdążyły zasygnalizować mózgowi ból.

Drugi pikap ucierpiał mniej. Na skutek kolizji stanął w poprzek drogi, potem wystrzelił naprzód, gdy trzy pnie uderzyły w tył. Silnik zgasł, kiedy Raul Jimenez wpadł na samochód przed nim. Bez wspomagania kierownicy porucznik nie mógł zapanować nad pędzącym w dół pojazdem. Wbił nogę w pedał hamulca i szarpnął ręczny, ale siła grawitacji i rozpędu była za duża dla zużytych mechanizmów pikapa o przebiegu ponad trzystu tysięcy kilometrów. Samochód walnął jednym kołem w pniak, obrócił się i dachował. Impet rozrzucił pasażerów jak szmaciane lalki. Raul jakoś utrzymał się na siedzeniu; widok za przednią szybą wirował i wirował. Boczne okno zostało wybite, ale cokolwiek roztrzaskało szkło, nie dosięgło kierowcy. Koziółkowanie pikapa doprowadzało Raula do obłędu, ale w końcu nastąpiło silne uderzenie i wszystko ustało. Wrak oparł się na pniaku, lawina dłużyc przestała spadać.

- Ładny strzał, Tex - usłyszał Juan przez radio.

Obejrzał się i zobaczył, że nadjeżdża pikap z jego drużyną. Gdyby współczuł ludziom, których właśnie pozabijał i poranił, to wystarczyłoby mu wspomnienie spalonej wioski, żeby dojść do wniosku, że wyświadczył światu przysługę.

Mike Trono prowadził, obok niego siedział Mark Murphy. Jerry stał na skrzyni ładunkowej. Gdy prawie zrównali się z Juanem, chwycił go i wciągnął na pakę. Cabrillo postukał w dach kabiny i Mike dodał gazu.

W dwie minuty pokonali agrafkowy zakręt i wrócili do miejsca, gdzie żołnierze z Dziewiątej Brygady wypadli z drogi. Ranni jęczeli z bólu. Martwi leżeli w tak nienaturalnych pozach, że trudno było uwierzyć, że w ogóle mają szkielety.

Nikt z argentyńskich sił specjalnych nie zakwestionował obecności nieznanymi mężczyzn w mundurach Dziewiątej Brygady. Wszyscy po prostu odetchnęli z ulgą, że pomoc przybyła tak szybko. Juan przykucnął obok jednego z żołnierzy i położył mu rękę na zdrowym ramieniu. Drugie było wyrwane ze stawu.

- Który pikap wiozł kawałek satelity? - zapytał po hiszpańsku.

- Nasz - wycedził mężczyzna; wargi zagryzał aż do białości.

- Czyli pierwszy?

- Nie. Drugi.

- *Numero dos!* - zawołał Juan do swoich i uniósł dwa palce na wypadek, gdyby Mike Irono znał hiszpański tak kiepsko, jak twierdził.

Po dziesięciu minutach znaleźli plutonowe ogniwo zasilające, srebrzysty prostokąt o długości czterdziestu pięciu centymetrów i grubości dużego słownika. Obudowę wykonano z jakiegoś tajemniczego stopu. Murphy mógł się orientować z jakiego, ale Juana to nie interesowało. Ważne, że w tej chwili ogniwo było w rękach korporacji, a nie Argentyńczyków. Cabrillo podziwiał jednak wytrzymałość zasobnika, który po tylu kolizjach miał tylko małe wgniecenie z boku. Murphy zbadał detektorem każdy centymetr kwadratowy modułu.

- Wszystko gra, Juan - oznajmił. - Radiacja nie przekracza normalnego poziomu.

- Co za ulga - sapnął Pulaski. - Pewnego dnia mogę zechcieć mieć więcej dzieci. Wolałbym, żeby małe gałgany nie urodziły się z mackami albo płetwami. - Odwrócił się do Cabrilla. - Co dalej?

Juan podrapał się w nieogolony podbródek. Patrzył w dół na obóz, gdzie wybuchło zamieszanie. Wszyscy widzieli wypadek. Rezerwowi z Dziewiątej Brygady wdrapywali się na górę, żeby pomóc rannym. Drwale biegli do samochodów, aby przyłączyć się do akcji ratowniczej.

Na przystojnej twarzy Cabrilla pojawił się chytry uśmiech. Trzy największe atuty w walce - zarówno w małej potyczce, jak i starciu całych armii na polu bitwy - to: przewaga liczebna, element zaskoczenia i zamęt. Juan nie miał pierwszego, drugi już wykorzystał, a chaos właśnie panował w szeregach przeciwnika. Jerry już wepchnął ogniwo zasilające do nosidła i stał z uprzężą przypasaną do pleców. Tak jak inni miał pytającą minę.

- Mike, ile godzin wylatałeś z Gomezem? - spytał Juan.

George „Gomez” Adams był pilotem helikoptera MD-520N trzymanego w hangarze poniżej ładowni rufowej „Oregona”.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Mike Trono. - Działamy razem dopiero parę miesięcy. Leciałem sam tylko dwa razy. I nie poszło mi zbyt dobrze. Najpierw skrzywiłem wspornik płozy ładowniczej, potem o mało nie zawadziłem o reling statku.

Juan spojrzał na Jerry'ego.

- Naprawdę masz ochotę taszczyć to całą drogę z powrotem do łodzi?

- Jasne, że nie.

- I co pan na to, panie Trono?

Juan wiedział, że gdyby Mike nie czuł się na siłach zabrać ich stąd jednym z argentyńskich helikopterów, przyznałby się do tego. Cabrillo wybierał członków korporacji nie tylko ze względu na to, co potrafią, lecz również dlatego, że wiedzieli, czego nie potrafią.

Trono skinął głową.

- Do trzech razy sztuka.

# Rozdział 7

Oszukać rannych argentyńskich żołnierzy było łatwo. Wdzieli to, co chcieli zobaczyć. Ale minąć rezerwowy oddział i dotrzeć do helikoptera to już zupełnie inna sprawa.

Juan zastanawiał się przez chwilę i znalazł natchnienie w jękach poturbowanych.

- Okej - powiedział. - Wracamy do pikapa, ale poruszajcie się jak ranni. Murphy, oprzyj się na Jerrym. Mike, udawaj, że ci pomagam.

Wspięli się na zbocze jak ofiary wypadku - sztywno, lecz zaskakująco szybko. Cabrillo kazał trzem mężczyznom wleźć na pakę starego pikapa, a sam wsiadł za kierownicę. Zanim wrzucił bieg, wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Nóż był ostry jak skalpel, więc kiedy przeciął sobie nim czoło na linii włosów, nie poczuł bólu. Krew zaczęła kapać mu do oczu i ściekać po brudnej twarzy.

Odwrócił się do tylnej szyby, żeby pokazać swoim ludziom, co zrobił. Zrozumieli natychmiast i zanim rozpedził samochód, wszyscy trzej wyglądali tak, jakby właśnie wyszli z rzeźni. Spotkali bezładny konwój jadący pod górę - głównie pikapy, ale też terenówki i wóz strażacki z lat pięćdziesiątych XX wieku. Juan zwolnił przy pierwszym samochodzie. Kierowcą był cywil, obok niego siedział umundurowany mężczyzna - w innych okolicznościach uchodziłby za przystojnego, ale teraz mocno zmarszczył twarz na widok zakrwawionego faceta.

- Co się stało? - zawołał przez szerokość kabiny do Juana.

- Ciężarówka z dłużycami się przewróciła! - odkrzyknął Cabrillo. Starł krew z oczu, celowo rozmazując ją po całej twarzy, żeby lepiej zamaskować swoje rysy. - Ci z tyłu są najciężej ranni.

Jak na rozkaz, Jerry, Mike i Mark jęknęli żałośnie.

- Inni odnieśli tylko niewielkie obrażenia - ciągnął Juan. - Tych trzeba natychmiast dostarczyć do szpitala.

- A co z porucznikiem Jimenezem i częścią satelity? - zapytał major Espinoza.

- Jest z nią na górze, tam gdzie przewracały się samochody.

- A pan bardzo ucierpiał?

- Nie, mogę prowadzić.

Espinoza szybko podjął decyzję.

- W porządku, niech pan zawiezie tych żołnierzy na dół do helikoptera i powie mojemu pilotowi, żeby was zabrał do bazy operacyjnej. Niech nada przez radio, że personel medyczny ma być w pogotowiu.

- Tak jest, panie majorze. - Juan bezbłędnie rozpoznał dystynkcje na kołnierzu oficera. Zdjął nogę z hamulca i wolno minął konwój na wąskiej drodze, ledwo powstrzymując uśmiech.

Kilka minut później wjechali do obozu. Tutaj, gdzie płonęły stosy chrustu, unosił się tak gęsty dym, że widoczność nie przekraczała trzydziestu metrów i każdy oddech sprawiał ból. Juan wiedział, że mają bardzo mało czasu na ucieczkę. Gdy tylko argentyński major zorientuje się, że został

wykołowany, cały rezerwowy oddział zwali im się na głowy. Juan runął w stronę helikopterów.

Na lądowisku stały lekkie śmigłowce wielozadaniowe Eurocopter EC 135, które w ciągu swojej dziesięcioletniej historii zyskały opinię jednych z najwytrzymalszych na świecie. Te egzemplarze przystosowano do transportu wojska, w drzwiach widniały uchwyty do mocowania karabinów maszynowych kaliber 7,62 mm. Jeden z helikopterów miał otwartą pokrywę z tyłu, pilot był do połowy zagłębiony we wnętrzościach maszyny. Juan przypuszczał, że facet usuwa usterkę, o której wspomniał porucznik Jimenez w podsłuchanym meldunku.

Zaparkował bliżej drugiego śmigłowca. Pilot tego helikoptera spał na fotelu w chuście zawiązanej wokół nosa i ust dla ochrony przed dymem. Cabrillo pomyślał, że lepiej wykorzystać dobrze wyszkolonego wroga niż sojusznika amatora. Nacisnął klakson, jedno z niewielu działających jeszcze urządzeń w starym samochodzie.

Argentyńczyk obudził się gwałtownie i uniósł okulary przeciwsłoneczne. Wytrzeszczył ciemne oczy na widok pokiereszowanych postaci.

- Musimy się natychmiast ewakuować! - zawołał Juan i pomógł iść zgarbionemu jak Quasimodo Mike'owi Tronowi.

- Bez pozwolenia majora nic z tego - odparł pilot.

- Połącz się z nim przez radio - rozkazał ostro Juan. - To on powiedział, że mamy natychmiast wystartować. Ale już odpalaj turbiny, szkoda czasu.

Pilot nie wykonał żadnego ruchu, żeby włączyć silniki euro-coptera. Sięgnął natomiast po hełmofon. Cabrillo zerknął na zbocze góry. Przez dym nie mógł dostrzec szczegółów. Nie wyglądało na to, żeby pojazdy na czele konwoju ratowniczego dotarły do miejsca wypadku, ale uznał, że już dość stracili cennych minut.

Zadziałął szybko. Wyciągnął pistolet z kabury na biodrze i rzucił się naprzód. Przystawił pilotowi lufę do głowy, zanim ten zdążył włożyć pękaty hełm lotniczy. Mężczyzna zmarł.

- Uruchom silnik. - Zimny ton głosu Juana wystarczył, by wymusić posłuszeństwo.

- Spokojnie, *amigo*. Zabiorę stąd ciebie i twoich kumpli. - Argentyńczyk ostrożnie odłożył hełm na fotel drugiego pilota i zaczął przygotowywać maszynę do startu.

Juan odwrócił się do swoich ludzi.

- Miguel. - Skinął do Mike'a Trona i wskazał kokpit.

Trono natychmiast zrozumiał, że ma obserwować pilota na wypadek, gdyby ten spróbował wyciąć jakiś numer. Argentyńczyk powinien myśleć, że ci ciężko ranni i przerażeni żołnierze potrzebują pomocy lekarskiej. Dopiero później zda sobie sprawę, że został porwany.

Reszta drużyny wspięła się do helikoptera. Przypięli się do siedzeń z parcianych pasów. Jerry położył ogniwo na pokładzie i przymocował je elastycznymi linkami.

Pilot włączył rozrusznik turbin. Rozległ się głośny wystrzał, a zaraz po nim narastający ryk głównego silnika śmigłowca. W ciągu sekund do chóru dołączył drugi silnik. Ale ponad minutę musiały się rozgrzewać do właściwej temperatury. Dopiero wtedy pilot mógł uruchomić mechanizm przeniesienia napędu na wirnik, żeby łopaty zaczęły się obracać.

Juan stale zerkał na zbocze góry. Konwój na pewno już dojechał do rannych. Cabrillo zastanawiał się, kiedy major zrozumie, co się stało. Za godzinę byłoby w sam raz, pomyślał, ale argentyński oficer okazał się bardziej niż kompetentny. Juan mógł się uważać za szczęściarza, że oderwali się od ziemi, zanim znaleźli się pod ogniem.

Głośne łupnięcia i rotor zaczął się obracać. Najpierw wolno, potem coraz szybciej mielił



zadymione powietrze. Blaszany głos zabrzmiał w hełmofonie. Mimo hałasu ostry ton był wyraźnie słyszalny.

Czas minął, stwierdził Juan.

Pilot pokazał Mike'owi, żeby podał hełm. Trono rzucił mu spojrzenie człowieka, który tak cierpi, że nic go nie obchodzi. Argentyńczyk sięgnął po hełmofon i poczuł na karku zimną stal pistoletu Juana.

- Zostaw to i startuj.

- Co jest?

Mike nagle zrzucił maskę bólu i też wycelował swoją broń w pilota.

- Mój przyjaciel tutaj wie, jak się tym lata. Rób, co mówimy, to wyjdiesz z tego żywy. Spróbuj coś zakombinować, to jakiś biedny rekrut przez tydzień będzie wypłukiwał szlauchem twój mózg z kabiny. *Comprende?*

- Kim jesteście? Amerykanami?

- Czy ja mówię jak Amerykanin? - zaripostował Juan.

Jak w każdym szeroko rozpowszechnionym na świecie języku, w hiszpańskim są różne dialekty, tak charakterystyczne jak odciski palców. Cabrillo znał ten arabski, ale bez względu na to, jak bardzo się starał, nie potrafił się pozbyć saudyjskiego akcentu. Hiszpańskojęzycznych ludzi naśladował jednak doskonale. Mógł udawać członka rodziny królewskiej z Sewilli i pijaka ze slumsów z Meksyku.

Pilot słyszał wymowę ziomka z Buenos Aires.

- Myślałem...

- Nie myśl - przerwał mu Juan. - Leć. Na południe.

Argentyńczyk przez ułamek sekundy rozważał możliwości. Utkwione w nim surowe spojrzenie powiedziało mu, że jest tylko jedno wyjście.

- *Si, si.* W porządku. - Sięgnął do sterów.

Cabrillo znów popatrzył na wzgórze. Samochody pędziły w dół drogą do transportu dłużyc. Tumany kurzu mieszały się z dymem już dość zanieczyszczającym powietrze. Ale były jeszcze daleko. Helikopter powinien zdążyć oddalić się półtora kilometra, zanim żołnierze z Dziewiątej Brygady zjadą do obozu.

Jerry Pulaski krzyknął imię Juana.

I ocalił mu życie.

Pilot drugiego śmigłowca musiał usłyszeć radiowe wezwanie majora Espinozy. Stał przy eurocopterze z uniesionym pistoletem. Widział broń wycelowaną w swojego kolegę i uznał, że Cabrillo stanowi największe zagrożenie. Gdy Jerry wrzasnął, Argentyńczyk przesunął lufę i dwukrotnie nacisnął spust. Od tego momentu wypadki potoczyły się tak szybko, że nie sposób było ustalić ich kolejności.

Czerwona mgiełka zasnęła ładownię helikoptera. Juan obrócił się i położył drugiego pilota trupem dwiema kulami w pierś. Trafiły tak blisko siebie, że zostawiły jedną ranę wlotową. Facet runął bez teatralnych gestów i hollywoodzkich wygibasów. W jednej sekundzie myślał, że będzie bohaterem, w następnej leżał na ziemi jak porzucone pranie.

Mike Trono strzelił przez kokpit, gdy ich pilot sięgnął do drzwi, po czym sam chwycił stery. Przetawiał przepustnicę i śmigłowiec uniósł się w powietrze. Kiedy maszyna zaczęła się kręcić wokół własnej osi, Mike dał ster kierunku w przeciwną stronę i ustabilizował lot.

Juan przycisnął pistolet do głowy pilota tak mocno, że przeciął mu skórę. Krew popłynęła z ucha.

- Leć, bo inaczej wyfruniesz stąd, gdy wzbijemy się na trzysta metrów.

Pocisk Mike'a minął twarz Argentyńczyka tak blisko, że oczy zapiekły go od cząstek pozostałych po wystrzale i gorąca, ale zamrugał przez ból i zaczął pilotować eurocopter. Trono znów osłaniał

Juana, więc Cabrillo odwrócił się do Jerry'ego i Marka na tylnych siedzeniach. Murphy pochylał się nad Pulaskim, który w pozycji półleżącej trzymał się za brzuch. Cabrillo upewnił się, że pilot tego nie usłyszy, i zapytał:

- Mocno oberwał?

Wielki mężczyzna był w szoku. Zbladł i trząsł się jak w febrze.

- Dostał w bebech - odparł Mark. - Dwa razy. Strzały z tak bliskiej odległości mogły uszkodzić nie tylko jelita. Nerki też. Może i wątrobę.

Juan zdrętwiał. Z takimi obrażeniami poradzono by sobie w dobrym centrum urazowym, ale najbliższe było pewnie tysiąc kilometrów stąd. Tutaj, w dżungli, Pulaski miał zerowe szanse przeżycia. Cabrillo patrzył na nieboszczyka. I z pełnego bólu spojrzenia Jerry'ego wyczytał, że on to wie.

- Nie opuszczaj nas, Ski - powiedział, czując w tych słowach taką pustkę jak w swoim sercu.

- Nigdzie się nie wybieram - wymamrotał Jerry, gwałtownie wciągając powietrze między sylabami.

Kłamał.

W dole major Espinoza zdał sobie sprawę, że jego zdobycz odlatuje helikopterem, który pozwolił wziąć. Kazał drwalowi za kierownicą zatrzymać pikapa. Pchnął drzwi i zeskoczył na ziemię. Miał tylko colta kaliber.45 z chwytem obłożonym kością słoniową, ale wyciągnął go i wycelował w uciekający śmigłowiec. Nie wierzył, że trafi, mimo to z furią opróżnił siedmionabojowy magazynek.

Mężczyźni na skrzyni ładunkowej poszli w jego ślady i posiekali niebo seriami z pistoletów maszynowych. Rosnącą odległość nadrabiali liczbą strzałów. W ciągu sekund prawie dwieście pocisków ścigało śmigłowiec. Żołnierze zdążyli zmienić magazynki i znów nacisnąć spusty, zanim pierwsze serie zaczęły doganiać cel niczym rój rozdrażnionych os.

- Nadlatują! - krzyknął Mike z fotela drugiego pilota, gdy przez rozwiewający się dym zobaczył konstelację błysków z luf.

Pilot odruchowo zrobił unik zwrotną maszyną, ale przy tylu pociskach i tak dużym ich rozproszeniu nie mógł ominąć wszystkich. Dziewięćmilimetrowa amunicja podziurawiła cienkie aluminiowe poszycie eurocoptera. Większość pocisków przeszła nieszkodliwie na wylot, ale rozległ się złowieszczy dźwięk trafień w obudowy silników. Śmigłowiec nagle ostro skręcił. Juan stracił równowagę i gdyby nie złapał się słupka drzwiowego, wypadłby z helikoptera.

Jerry ze stoickim spokojem toczył walkę z bólem, ale przegrał ją, kiedy wibracje maszyny zmieniły jego pozycję. Tkwiące w ciele pociski rozerwały większą ilość tkanek. Jego krzyk przeszył Juana niczym sztylet.

Cabrillo odzyskał równowagę i zajrzał do kokpitu. Mike panował nad śmigłowcem, omiatając wzrokiem wskaźniki i niebo. Argentyński pilot leżał rozwalony w fotelu. Juan obrócił oparcie, żeby lepiej ocenić rany mężczyzny. Nowy otwór po pocisku widniał w pleksiglasowej szybie bocznego okna blisko dziury, którą Trono zrobił chwilę wcześniej swoim strzałem. Ale ta była podłużna, jakby kula poszła w górę. Trafiła pilota w skroń pod takim kątem, że choć rozerwała skórę i może strzaskała kość, nie przebiła czaszki.

Jak wszystkie rany głowy, ta też obficie krwawiła. Juan podniósł zwiniętą ścierkę z podłogi między fotelami, przycisnął ją do miejsca postrzału i sięgnął drugą ręką za siebie. Mark Murphy podał mu rolkę taśmy chirurgicznej. Jakby owijał mumię, Juan cztery razy okręcił głowę taśmą pilota, żeby zatamować krwawienie.

- Mike, jesteś cały? - zapytał po angielsku. Nie było potrzeby udawać w obecności nieprzytomnego Argentyńca.

- Tak, ale mamy problemy.

Cabrillo zerknął w tył, gdzie Mark zajmował się Jerrym Pułaskim.

- Jakbym nie wiedział.

- Gubimy paliwo. Albo ten model nie ma samouszczelniających się zbiorników, albo zawiodły.

W dodatku rośnie temperatura silnika. Jeszcze przewód olejowy może być przerwany.

Juan do połowy wychylił się przez okno. Huraganowy wiatr smagał mu głowę i tułów. Huk był jak u stóp wodospadu. Za helikopterem, niczym ślad z okruszków chleba, ciągnęła się smuga tłustego dymu. Wydobywała się z wirnika ogonowego, gdzie pocisk przeciął przewód olejowy.

Argentyńczycy nie odpuszczają, pomyślał Cabrillo, a dym utrzyma się około dwudziestu, trzydziestu minut przy tak słabym wietrze i takiej ilości popiołu i sadzy w powietrzu.

- Owszem, mocno kopcimy. - Odwrócił się z powrotem w stronę kokpitu. Po zamknięciu drzwi musieli już tylko krzyczeć do siebie, zamiast wrzeszczeć jak przedtem.

- Co z Jerrym? - zapytał Mike. Ci dwaj byli nie tylko towarzyszami broni, lecz również najlepszymi przyjaciółmi.

Milczenie Juana wystarczyło Tronowi za odpowiedź.

- Dolecimy do Paragwaju? - zapytał w końcu Cabrillo.

- Nie ma szans. Wystartowaliśmy z połową zbiornika paliwa i już sporo straciliśmy. Jeśli silniki nie padną, to w najlepszym wypadku przelecimy jeszcze z osiemdziesiąt kilometrów. Co proponujesz?

Myśli pędziły jak lawina przez głowę Juana. W roli mózgu operacji był najlepszy. Rozważał możliwości, kalkulował i dokonywał wyboru - wszystko w czasie potrzebnym komuś innemu na przetrwanie pytania. Jego decyzja zależała od wielu czynników. Musiał wziąć pod uwagę powodzenie operacji, swoją odpowiedzialność za Mike'a i Marka, szanse, że Jerry przeżyje do lądowania, i to, co zrobią, jeśli tak będzie. Ostatecznie przeważał plan, żeby uratować Jerry'ego.

- Wracamy. Argentyńcy muszą mieć szpital w swojej bazie, a drugi helikopter tam doleci.

- Jeszcze czego - wtrącił się Pułaski. Znalazł w sobie siłę, by powiedzieć to gniewnym tonem. - Nie będziecie wracali tylko dlatego, że okazałem się za wolny, żeby w porę strzelić, do cholery.

- Jerr, to jedyne wyjście - jęknął Juan.

- Mike, doprowadź tego grata do łodzi! - krzyknął Jerry zza Cabrilla. - Prezesie, wiem, że umieram. Czuję śmierć coraz bliżej.

Nie ryzykujcie życia dla martwego faceta. Ja nie proszę. Ja błagam. Nie zamierzam odejść ze świadomością, że pociągnąłem was ze sobą. - Wyciągnął rękę do Juana. Zakrzepła na niej krew spoiła ich dłonie. - Nie postąpicie szlachetnie, jeśli ze mną zostanieie. To samobójstwo. Argentyńcy będą was torturowały, a potem rozwalą za szpiegostwo. - Zakaszlał mokro i wypluł trochę krwi na pokład. - Mam ekszonę, która mnie nie cierpi, i dziecko, które mnie nie zna. Wy jesteście moją rodziną. Nie chcę, żebyście za mnie zginęli. Pragnę, żebyście za mnie pożyli. Rozumiesz?

- Rozumiem, że wziąłeś to z filmu *Braveheart* - odparł Juan.

Jego usta się uśmiechały. Oczy nie mogły.

- Mówię serio.

Dla Cabrilla czas na chwilę się zatrzymał. Miarowe bicie rotora i gwizd turbin ucichły. Znał śmierć i poczucie straty. Jego żonę zabił pijany kierowca - ona sama. Tracił agentów i łączników podczas pracy w CIA, korporację też odwiedzała kostucha, ale nigdy nie prosił nikogo, żeby oddał za niego życie.

Sięgnął do plecaka i wręczył Mike'owi GPS.

- RHIB jest w punkcie orientacyjnym delta.

- Tam nie ma gdzie wylądować - odparł Mike. - Dookoła tylko gęsta dżungla. A nie uda mi się wodować na rzece i nie pozabijać nas wszystkich.

- Lądowiskiem się nie przejmuj! - krzyknął Mark. - Wziąłem to na siebie.

Cabrillo wiedział, że może ufać ekscentrycznemu panu Murphy'emu.

- Skręć i wal do punktu delta.

- Nie delta - zaprotestował Murphy. - Echo.

- Echo? - zdziwił się Juan.

- Uwierz mi.

Obsługa komputera nawigacyjnego eurocoptera nie wymagała wyjaśnienia, więc Mike wprowadził współrzędne z GPS-u i wziął kurs na południowy wschód. Jak dotąd, pilotował śmigłowiec bardzo dobrze. Gomez Adams byłby dumny.

- Wygląda na to, że wystarczy paliwa - oznajmił. - Ledwo.

- Prezesie! - krzyknął Mark. - Z prawej. Jakies trzy kilosy w tył.

- Co?

- Widziałem odbicie słońca w przedniej szybie innego helikoptera.

Juan wyjrzał przez boczne okno. Nic nie zobaczył, ale nie wątpił, że Mark ma dobry wzrok. Argentyńczycy zbliżali się dużo szybciej, niż przypuszczał. Ale powinien to przewidzieć. Śmigłowiec korporacji palił olej i nie mógł uniknąć pościgu. Argentyński major był gotów rozwalić porwaną maszynę, żeby odzyskać swoją zdobycz.

- Mike! - zawołał Cabrillo. - Wyciśnij z tego wraka, ile się da. Mamy towarzystwo.

Turbiny zwiększyły obroty, ale nie brzmiały dobrze. Metal zgrzytał gdzieś w komorze silnikowej i prędzej czy później napęd musiał odmówić posłuszeństwa.

Juan rozejrzał się po kabinie w poszukiwaniu dodatkowej broni. Zamontowany w drzwiach kaem kaliber 7,62 mm był bardziej przydatny niż ich pistolety maszynowe H&K, ale drugi helikopter musiałby podejść do nich z lewej strony, bo z prawej nie mieli uzbrojenia pokładowego. Cabrillo znalazł apteczkę pod tylnym siedzeniem i czerwoną plastikową skrzynkę z raketnicą dużego kalibru oraz czterema nabojami. Wiedział, że w scenariuszu tej operacji nie ma strzału z raketnicy z szansą trafienia jak jeden do miliarda, więc zostawił ją na siedzeniu.

- Mark, przygotuj mi uprząż - rozkazał i zabrał się do odkręcania starego karabinu maszynowego Browning od przegubowego uchwytu.

Kaem był antykiem: ponad trzysta kilo wagi, prawie metr dwadzieścia długości i pojedynczy pistoletowy chwyt na końcu pudełkowatego kadłuba komory zamkowej. Z gniazda zasilającego zwisała taśma nabojoya z pięćdziesięcioma sztukami amunicji; mosiężne łuski wydawały niemal melodyjny dźwięk, gdy uderzały o siebie. Juan znał tę broń; słynęła z niezawodności i odrzutu, który może wybić zęby.

Zdjął koszulę, owinał nią ponad półmetrową lufę browninga i okleił materiał resztą taśmy chirurgicznej.

Przez ten czas Murphy ściągnął z siebie uprząż bojową, zrobił z nylonowych pasów długą pętlę i przywiązał ją do ucha tuż przed prawymi drzwiami. Drugi koniec przypiął do tyłu uprząży bojowej Cabrilla. Z paska od swojego plecaka przygotował drugą pętlę na kostki prezesa. Miał trzymać jej wolny koniec, żeby Juan nie wpadł w strumień zaśmigłowy wirnika.

- Widzę ich w lusterku - zakomunikował Mike z kokpitu. - Jeśli zamierzasz coś zrobić, to się pośpiesz.

- Daleko jeszcze? - zapytał Juan.

- Niecałe trzysta kilometrów do punktu echo. I tak dla informacji: pod nami tylko dżungla.

- Powiedziałem, żebyś mi uwierzył - odciął się porywczo Mark.

Juan spojrzał na Pułaskiego. Gdyby Jerry nie został postrzelony, tamci dwaj tylko przekomarzaliby się, a nie dogryzali sobie nawzajem. Jerry'emu opadła głowa. Na szczęście Mark przypiął go wcześniej, żeby się nie potoczył.

- Odsuwają boczne drzwi - zakomunikował Trono. - Okej, widzę faceta. Też ma browninga. Wali do nas!

Przyzwyczajony do ostrzeliwania nieuzbrojonych cywilów, którzy uciekali z wiosek, argentyński żołnierz nacisnął spust o wiele za wcześnie. Mike zobaczył błyski z lufy mknące ku niemu z prędkością światła, około trzystu milionów metrów na sekundę. Seria zbliżała się z odległości kilometra z szybkością ośmiuset pięćdziesięciu metrów na sekundę. Impuls nerwowy przepłynął z mózgu do nadgarstka w tempie zaledwie stu metrów na sekundę. Ale miał do przebycia tylko metr. Jedną setną sekundy po wystrzeleniu pierwszego pocisku Trono wyłączył napęd, by zmniejszyć pułap lotu. Siła grawitacji pociągnęła helikopter ku ziemi w sekundę. Seria pocisków smugowych przeszła wysoko nad wirującym głównym rotorem.

Juan skinął głową Markowi. Murphy odciągnął prawe drzwi i kiedy zadziałały blokady ich prowadnic rolkowych, chwycił pętlę opasującą kostki prezesa.

Cabrillo wysunął tułów ze śmigłowca i zatrzymał się gwałtownie, gdy uwięź się naprężyła. Ogromna siła wiatru omal nie wepchnęła go z powrotem do środka, ale pokonał ją, napinając wszystkie mięśnie nóg i pleców.

Ponieważ miał strzelać w tył z prawych drzwi, musiał naciskać spust lewą ręką, a prawą trzymać lufę. Nie mógł nic poradzić na to, że puste łuski będą zasypywały kabinę.

Jego nagłe pojawienie się zaskoczyło przeciwnika. Argentyński pilot zrobił unik moment za późno. Juan wykorzystał sekundy zwłoki i otworzył ogień. Kaem skakał w jego rękach jak młot pneumatyczny i gorąco zaczęło przenikać przez koszulę na lufie.

Cud, że trzepocząca taśma nabojoya się nie zacięła, gdy karabin maszynowy wypluwał pociski z częstotliwością czterystu sztuk na minutę. Metalowy pióropusz pustych łusek spadał na pokład jak lśniący grad.

Pleksyglasowa przednia szyba zbliżającego się szybko helikoptera zrobiła się nieprzejrzysta; trafiał w nią pocisk za pociskiem, pajęczyna pęknięć rosła, dopóki plastik nie stał się niemal całkowicie białą taflą. Pilot ostro skręcił i popełnił błąd. Nie schował się za ukradzioną przez korporację maszyną i dał Juanowi okazję do dalszego ostrzału. Cabrillo nie miał pojęcia, czy jego seria dosięgła celu, ale na pewno zmusiła Argentyńczyka do zatoczenia półtora-kilometrowego łuku.

- Według współrzędnych jesteśmy na miejscu - oznajmił Mike. Jeśli niepokoił się perspektywą

lądowania eurocopterem, to nie było tego słycać w jego głosie. - Co za...? A niech mnie. Murphy, skąd wiedziałeś?

Czteryście metrów od punktu orientacyjnego echo - niszczonego wraka sterowca - rozciągała się wystarczająco duża polana, by posadzić śmigłowiec. Roślinność miała tu wysokość zaledwie kilkudziesięciu centymetrów i składała się głównie z młodych krzewów i poszycia leśnego.

- Kiedy „Latający Holender” się rozbił, gumowy balon gazowy musiał spaść w pobliżu! - odkrzyknął Mark. - Leżał na sklepieniu dżungli i zasłaniał światło, to rośliny pod spodem obumarły. Nic nie mogło tam urosnąć, dopóki powłoka nie uległa rozkładowi czterdzieści czy pięćdziesiąt lat później. *Voilà*, mamy lądowisko.

- Całkiem sprytne - pochwalił Marka prezes z niemałą dumą. - Nawet jak na ciebie.

- Przypnijcie się - ostrzegł Mike.

Polana, otoczona gęstą dżunglą o wysokości trzydziestu lub więcej metrów, szybko się zbliżała. Trono zmniejszył prędkość eurocoptera na ostatnim etapie schodzenia do lądowania, obrócił maszynę w lewo, potem za bardzo w prawo, zanim wypośrodkował nad niemal otwartą przestrzenią. Zredukował moc i śmigłowiec opadł wolno ku ziemi. Kiedy nagły poryw wiatru omal nie zepchnął go na ścianę drzew, Mike zbyt mocno przymknął przepustnicę i helikopter za cztery miliony dolarów wałnął w twardey grunt. Mike natychmiast wyłączył silniki. Turbiny wytraciły obroty, ale rotor nadal wirował, trawa kładła się od podmuchu, drzewa kołysały.

- Wszyscy na zewnątrz - rozkazał Juan. - Tamten zjawi się tu lada moment.

Mike odpiął pasy; Murphy zajął się Jerrym.

- Odpuść sobie. Nigdzie nie idę - wymamrotał wielki Polak. Krew miał na brodzie. Uniósł coś na tyle wysoko, żeby pozostali to zobaczyli. Jakoś zdołał wydobyć ładunek semteksu i zapalnik ołówkowy z kieszeni na udzie swoich spodni od munduru polowego. - Daj mi ostatnią szansę.

- Jerr? - W oczach Mike'a było błaganie.

- Nic z tego, stary.

- Do cholery, Ski - zaklął Juan. - Mogę cię nieść. Do łodzi jest tylko parę kilometrów.

Warkot nadlatującego śmigłowca dotarł na polanę.

- Nie znoszę pożegnań - mruknął Pulaski. - Idźcie już.

- Zadbam o twoją rodzinę. - Juan nie zdołał spojrzeć przyjacielowi w oczy. Wciągnął na ramiona uprząż z ogniwem zasilającym i wyskoczył z helikoptera. Zawłókł nieprzytomnego pilota w zarośla, znalazł kryjówkę kawałek dalej i wycelował pistolet maszynowy w kierunku zbliżających się Argentyńczyków.

- Urządź im piekło, Jerr - rzucił Mark.

- Ty też, młody.

Mike Trono miał oczy pełne łez. Nie wstydził się ich.

- Żegnaj - powiedział i wyskoczył z eurocoptera.

Korzystając z GPS-u Cabrilla, trzej mężczyźni ruszyli w kierunku RHIB-a. Pluton ciążył Juanowi o połowę mniej niż poczucie winy, że zostawia Jerry'ego. Walczyli ramię w ramię od sześciu lat i pili razem w każdym podejrzanym barze portowym od Szanghaju do Stambułu. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że kiedyś opuści Jerry'ego Pulaskiego w zapomnianej przez Boga i ludzi dżungli, żeby mógł się wysadzić w powietrze i dać reszcie drużyny szansę ucieczki.

Z każdym krokiem musiał walczyć ze sobą, żeby nie zawrócić.

Zielone sklepienie tłumilo warkot argentyńskiego śmigłowca, ale nie mogło wyciszyć terkotu

karabinu maszynowego, który usłyszeli po dziesięciu minutach marszu. Wydawało się, że ostrzał trwa w nieskończoność, gdy żołnierze z Dziewiątej Brygady wylądowali wściekłość na porzuconym helikopterze.

Jeśli Jerry nie umarł wcześniej na skutek ran, to teraz uśmierciły go pociski. Juan miał coraz bardziej ponurą minę; wyściełane nylonowe pasy wrzynały mu się w bolące ramiona. Nosidło było zrobione na wymiar szerokich pleców Jerry'ego, więc ogniwo zasilające zwisało luźno.

Minęło pięć cichych minut, kiedy mężczyźni wędrowali ku rzece i łodzi. Hałas broni sprawił, że stworzenia w dżungli zamilkły, wiatr nie docierał do pogrążonego w półmroku poszycia leśnego. Było upiornie, duszno, przytłaczająco.

Wybuch nie zabrzmiał jak odległy grzmot; fala dźwięku uderzyła z bliska niczym taran. Moment później nastąpiła druga eksplozja.

Wiedzieli, co się stało. Jerry zaczekał, aż żołnierze opuszczą się z argentyńskiego śmigłowca, i wtedy zdetonował C4. Potem wybuchły resztki paliwa i opary w zbiornikach porzuconej maszyny. Część argentyńskich komandosów prawdopodobnie przeżyła, ale pościg został zatrzymany.

# Rozdział 8

Łączność radiowa się urwała. Huk rozległ się tuż przed tym, jak porucznik Jimenez przestał mówić. Major Jorge Espinoza spróbował raz jeszcze, wykrzykując kryptonim Jimeneza, Jaguar.

Espinoza został w obozie drwali, bo z dwóch oficerów on lepiej znał się na udzielaniu pierwszej pomocy. A jego umiejętności były bardzo potrzebne. Sześciu ludzi zginęło na miejscu, obrażenia trzech innych wskazywały, że mężczyźni przypuszczalnie już nigdy nie staną na nogi. Dwaj następni mieli liczne rany szarpane i połamane kości. Tylko Jimenez wyszedł z wypadku bez szwanku. Espinoza zużył wszystkie opatrunki, jakie żołnierze nosili w apteczkach osobistych. Zabrał też sprzęt ratowniczy z drugiego helikoptera, zanim wysłał Jimeneza i pięciu ludzi z sił rezerwowych za złodziejami.

Wiedział, że to Amerykanie. Kto inny wytropiłby satelitę i przysłał drużynę poszukiwawczą tak szybko? Ale wiedzieć to, a dowieść tego to dwie różne rzeczy. Przy tak słabej pozycji Argentyny na arenie międzynarodowej oskarżenie *yanquis* bez przedstawienia dowodów byłoby zwykłą stratą czasu.

Jimenez musiałby złapać przynajmniej jednego z nich. Najlepiej z fragmentem satelity.

Espinoza nie po raz pierwszy zastanawiał się, co takiego ważnego jest w tym satelicie, że Stany Zjednoczone zdecydowały, żeby siły specjalne przeprowadziły ryzykowną operację, by to odzyskać.

Na odprawie usłyszał, że chodziło o misję naukową, ale takie zainteresowanie Amerykanów mówiło mu, że w grę wchodzi zadanie wojskowe. Gdyby odzyskał fragment i schwytał jednego przeciwnika, to kampania propagandowa, o której wspominał Raul, wcale nie byłaby taka naciągana.

- Jaguar, zgłoś się, do cholery.

Głośne zakłócenia rozległy się w radiotelefonie tak nagle, że major instynktownie odsunął od siebie aparat. Jimenez zameldował przedtem, że wpakowali kilkaset pocisków w uziemiony helikopter, odczekali parę minut, żeby zobaczyć, czy eksploduje, po czym opuścili trzech ludzi na linach.

- Jimenez, to ty?

- *Jefe?*

- Jimenez, zgłoś się.

- To ja. Nie jest dobrze.

- Co się stało?

- Zastawili pułapkę w śmigłowcu. Wybuchł, kiedy ludzie już mieli stanąć na ziemi. Eksplozja nie była silna, ale odrzuciła mój helikopter o jakieś trzydzieści metrów. To uratowało mi życie, bo potem wybuchły zbiorniki paliwa. Dawno nie widziałem tak ogromnej kuli ognia.

- A co z twoimi ludźmi?

- Ci trzej na linach zginęli. Rozerwani na kawałki. Ale ktoś na ziemi przeżył eksplozję.



Espinoza uczeplił się tej wiadomości.

- Jeden z nich?

- Nie. Pilot tamtej maszyny, Josep. Oberwał, ale chyba go opatrzyli, zanim uciekli.

Espinoza poczuł gorycz porażki. Zastanowił się.

- Jesteś około ośmiu kilometrów od Rio Rojo, tak?

- Zgadza się.

- Mają łódź - stwierdził Espinoza. - Przekradali się przez granicę zeszłej nocy, kiedy tamci beużyteczni lenie na posterunku albo spali, albo drapali się w tyłki.

- Wątpię, żeby wystarczyło nam paliwa na pościg - odparł Jimenez z wyraźnym rozczarowaniem.

- Pilot mówi, że pierwszy wybuch mógł uszkodzić śmigłowiec.

- Dobra, zaznacz pozycję Josepa na GPS-ie, żebyśmy mogli wysłać po niego ludzi, i wracaj do bazy. Każ przez radio przygotować trzeciego EC 135. Wystartujecie, gdy tylko tu dotrzesz. Tamci mają prawdopodobnie szybką łódź, ale powinieneś ich dogonić, zanim dopłyną do Paragwaju. Postawię w stan pogotowia straż graniczną. Powiem im, żeby wysłali łodzie patrolowe i zatrzymywali każdego, kto wygląda podejrzenie.

- Jeszcze ich dopadniemy, *Jefe*. - Wilczy uśmiech Jimeneza przebijał przez zakłócenia.

- Żebyś wiedział - odparł major Espinoza z jeszcze groźniejszym uśmiechem.

Juan z dwoma kompanami dotarli do RHIB-a nieco ponad godzinę później. Łódź stała spokojnie pod roślinnym przykryciem. Juan przymocował ogniwo zasilające do pokładu, Murphy i Trono usunęli kamuflaż. Dwa silniki zaburtowe ożyły po przekręceniu kluczyka. Juan wiedział, że ich łódź z tuningowanymi silnikami prześcignie wszystko na rzece, ale nie miał złudzeń, że nikt nie spróbuje ich zatrzymać, kiedy zbliżą się do granicy z Paragwajem.

- Cumy zdjęte - zameldował Mark, gdy owijał ciemną nylonową linę wokół knagi. Kiedy prezes nie zareagował, zawołał: - Juan?

- Przepraszam. Zamyśliłem się.

Przesunął przepustnice i łódź wyłoniła się z kryjówki. Na rzece nie było żadnego ruchu, więc po chwili mknęli z prędkością ponad czterdziestu węzłów. Cabrillo tylko minimalnie zwalniał przed zakrętami z ograniczoną widocznością, potem znów dawał pełny gaz.

Płynęli z prądem, więc droga do głównej rzeki zajęła im mniej czasu niż wcześniej w przeciwnym kierunku. Byli wykończeni wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin, ale pozostali czujni, gdy skierowali się na północ. Mike stał twarzą do rufy i wypatrywał pościgu na niebie, Juan i Mark obserwowali rzekę i brzegi.

Przez godzinę nie zobaczyli nic niepokojącego, ale potem Murphy klepnął Juana w ramię, wręczył mu małą lornetkę i wskazał nieco w bok od dziobu.

Juan natychmiast rozpoznał dwa boston whalery - puły prosto na nich z pełną szybkością. Nie musiał widzieć szczegółów, by wiedzieć, że załogi łodzi są uzbrojone po zęby.

- Mike! - zawołał przez ramię. - Mamy towarzystwo.

- Nie żartuj! - odkrzyknął Trono. - Ja widzę helikopter na naszej szóstej.

Cabrillo nawet się nie obejrzał. Whalery zbliżały się za szybko, żeby zawracał sobie głowę śmigłowcem. Przy łącznej prędkości prawie dziewięćdziesięciu węzłów trzy łodzie musiały się minąć za kilka sekund.

Drgające błyski zamrugały do nich z obu motorówek. Argentyńczycy otworzyli ogień dużo wcześniej, niż znaleźli się w skutecznym zasięgu. Małeńkie rozbryzgi wody pojawiły się na rzece

daleko od mknącego RHIB-a.

Juan nie zwracał uwagi na ołów szybujący w powietrzu; czekał, aż whalery będą niecałe pięćdziesiąt metrów od nich. Widział trzech ludzi w każdej łodzi, sternika i dwóch strzelców na dziobie. Żaden nie mógł precyzyjnie celować w skaczącym po wodzie whalercze. Małe motorówki były po prostu zbyt niestabilne.

Oczywiście Mark miał ten sam problem w RHIB-ie.

- Trzymajcie się! - wrzasnął Juan.

Zamknął obie przepustnice i otwartą dłonią obrócił koło sterowe do oporu. Mimo opróżnionych komór powietrznych wokół kadłuba łódź szturmowa wykonała pełny nawrót, tworząc burtą ścianę spienionej wody, i prawie całkowicie się zatrzymała.

Trono i Murphy ćwiczyli ten manewr niezliczoną ilość razy, więc zareagowali natychmiast. Teraz, kiedy RHIB się kołysał, mogli przewidywać jego ruchy. Otworzyli ogień, gdy dwa whalery przemykały niecałe trzydzieści metrów obok. Sternicy w odkrytych kokpitach oberwali najgorzej. Jednego seria przeszła od uda do barku; energia kinetyczna dziewięciomilimetrowych pocisków wyrzuciła go za burtę. Drugi dostał dwa razy w głowę i osunął się na konsolę.

Z silnikami wciąż generującymi pełną moc whaler zaczął schodzić z kursu, bo martwy sternik wisiał na kole. Siła odśrodkowa pchała ciało w przeciwnym kierunku, aż wysunęło się z kokpitu, ale ręka mężczyzny pozostała między szprychami koła sterowego. Whaler skręcił ostro, wpadł na falę wytworzoną przez RHIB i fiknął kozła. Zniknął pod powierzchnią, a po chwili wypłynął kilem do góry.

Drugi whaler pędził dalej rzeką. Nikt nie wiedział, czy jest ktoś żywy na pokładzie.

Juan znów obrócił RHIB o sto osiemdziesiąt stopni i pchnął przepustnice do ograniczników. Dziób uniósł się natychmiast i łódź z kadłubem o przekroju w kształcie litery V przyspieszyła szybciej niż jakakolwiek inna.

Raul Jimenez nie zważał na wałący w niego wiatr; stał w otwartych drzwiach helikoptera i pełny niedowierzania obserwował, jak pierwszy boston whaler robi beczkę i idzie pod wodę. Druga łódź patrolowa straży granicznej nadal płynęła w dół rzeki. Jimenez myślał, że tchórze uciekają, ale whaler uderzył prosto w brzeg. Złożył się jak aluminiowa puszka. Silniki zaburtowe oderwały się od pawęży i poszybowały w zarośla; trzech mężczyzn zostali wyrzuceni z motorówki jak szmaciane lalki. Jimenez ani nie zauważył, ani nie dbał o to, czy ktoś z nich żyje. Koncentrował się wyłącznie na czarnej łodzi zbiegów.

Rozpoznał, że to RHIB, ulubiony typ amerykańskich sił specjalnych, choć dostępny też na rynku, więc łatwo osiągalny dla najemników. Potrzebował tylko jednego żywego uciekiniera. Chciał, żeby wszyscy żyli, ale kiedy się z nimi rozprawi, nie będą się nadawali do paradowania przed kamerami telewizyjnymi.

Ten śmigłowiec nie miał kaemu w drzwiach, ale zabrali broń z helikoptera zniszczonego wybuchem i prowizorycznie zawiesili ją na pasach przewleczonych przez przelotki w suficie. Jimenez stał teraz za browningiem i patrzył, jak RHIB rośnie w celowniku. Jeszcze kilka sekund i rozwali rufę łodzi. Jeden ze złodziei sterował, drugi - z pistoletem maszynowym przyciśniętym mocno do ramienia - śledził zbliżający się śmigłowiec. Trzeci mężczyzna leżał płasko na pokładzie, martwy lub ranny. W każdym razie nie ruszał się.

Raul Jimenez od dzieciństwa uwielbiał polować. Swoją pierwszą procą zabijał setki ptaków wokół rodzinnej farmy. Na dziesiąte urodziny dostał sztucer myśliwski. Polował na coraz grubszą

zwierzyń, aż ustrzelił jaguara z odległości ponad pół kilometra, choć jego towarzysze twierdzili, że to niemożliwe.

Ale od dnia, kiedy pierwszy raz zabił człowieka, dezertera, którego Espinoza - wówczas jeszcze kapitan - kazał mu znaleźć, Jimenez wiedział, że już nigdy nie zadowolili go polowanie na zwierzęta.

Tropił faceta przez pięć dni w najgęstszej argentyńskiej dżungli. Dezerterski był sprytny i uczynił to polowanie najlepszym w życiu Raula. W końcu jednak Jimenez dopadł ofiarę; mężczyzna zginął mimo swojej przebiegłości.

Teraz porucznik czuł taką samą satysfakcję, gdy celował w czarny RHIB. Kiedy nacisnął spust karabinu maszynowego, zwrotna łódź skręciła ostro i pociski kaliber 7,62 mm posiekały wodę, wzbijając maleńkie białe fontanny.

Argentyńczyk zaklął, skorygował linię strzału i znów dał ognia. Miał wrażenie, że sternik piętnaście metrów niżej czyta w jego myślach, bo seria trafiła w rzekę z lewej burty RHIB-a. Jimenez był pewien, że tym razem łódź zrobi unik w lewo, i zasypał ją gradem pocisków smugowych. I jak przedtem, sternik go przechytrzył. Odbił bardziej w prawo, zniknął pod helikopterem i wyłonił się z drugiej strony.

- Ustaw się bokiem! - ryknął Jimenez przez radio. - Nie mam pola ostrzału.

Pilot mocno naparł na ster i eurocopter obrócił się wokół własnej osi. Leciał niemal prostopadle do rzeki, ale utrzymywał tempo pędzącego RHIB-a.

Gdy Jimenez na trzy sekundy stracił łódź z oczu, „ranny” mężczyzna podniósł się na jedno kolano. Za sobą miał otwartą przestrzeń w pokładzie, która wcześniej była zasłoniętym schowkiem. Na ramieniu Amerykanina spoczywała złowroga ciemna rura wycelowana prosto w śmigłowiec. Odległość nie przekraczała sześćdziesięciu metrów.

Jimenez i człowiek z wyrzutnią raketową zadziałali jednocześnie. Mike Trono odpalił pocisk Stinger w tym samym momencie, w którym argentyński oficer odpiął swoją uprząż bezpieczeństwa. System podczerwieni w rakiecie miał zaledwie ułamek sekundy, by się uaktywnić, znaleźć gorący strumień spalin z wydechu helikoptera i dokonać minimalnej korekty. Jimenez wyskoczył ze śmigłowca, tuż zanim pocisk trafił w obudowę turbiny bezpośrednio pod wirującym rotorem. Głowica bojowa o wadze niemal trzech kilo eksplodowała. Masa silnika uratowała Jimenezowi życie, ale dosięgła go płonąca fala nadciśnienia. Ubranie zapaliło się na nim i został rzucony do wody, jakby skoczył z dwukrotnie większej wysokości. Gdyby nie wylądował stopami w kilwaterze RHIB-a, uderzyłby jak w beton. Rzeka ugasiła płonący mundur i ograniczyła oparzenia twarzy i rąk do drugiego stopnia. Wynurzył się i wykaszał wodę z płuc; skóra piekła go jak obłana kwasem.

Piętnaście metrów przed nim eurocopter runął do rzeki, dym wydostawał się przez drzwi i wybitą przednią szybę. Jimenez nie zdążył nabrać powietrza, gdy śmigłowiec się przechylił. Rotor uderzył w wodę. Rozprysnął się jak stłuczone szkło; kawałki kompozytu pofrunęły we wszystkie strony. Kilka przeleciało tuż nad głową Jimeneza i zgilotynowałyby go, gdyby nie dał nura.

Widział przez wodę, jak płomienie liżą wrak maszyny; chybotliwy niematerialny blask oświetlał sylwetkę pilota wciąż przypiętego do fotela. Ramiona martwego mężczyzny falowały w nurcie rzeki niczym wąsy krasnorostów.

Jimenez znów się wynurzył i huk ognia wypełnił mu uszy. RHIB zniknął bez śladu. Po zniszczeniu dwóch patrolowych whalerów straży granicznej i strąceniu helikoptera złodzieje mieli wolną drogę do Paragwaju. Porucznik z trudem zaczął płynąć do brzegu. Przy każdym ruchu poparzonymi rękami czuł potworny ból. Mógł tylko żywić nadzieję, że uciekinierzy zostaną zatrzymani, zanim przekradną

się na drugą stronę.

- Ładny strzał! - krzyknął Juan, gdy argentyński śmigłowiec spadł z nieba w ich kilwater.

- Za Jerry'ego - odpowiedział Trono i odłożył wyrzutnię stingerów na pokład, żeby załadować następny pocisk ukryty w jednym z kilku zamaskowanych schowków.

Mark Murphy stał na dziobie i patrzył, czy nie ściga ich jeszcze ktoś.

- Dalej trzymamy się pierwotnego planu? - zapytał.

Cabrillo się zastanowił.

- Tak. Lepiej być ostrożnym, niż potem żałować. Koszt RHIB-a będzie po prostu jedną pozycją więcej w tajnym budżecie CIA.

Kiedy Juan sterował, a Mark pełnił funkcję obserwatora, Mike poczynił przygotowania do ostatniej części operacji, więc gdy w końcu wyłączyli silniki osiem kilometrów przed granicą z Paragwajem, cały ich sprzęt był gotowy. Znow włożyli pianki do nurkowania i przypasali pękate draegery do pleców. Juan napełnił z nadmiarem swoją kamizelkę ratunkową, bo miał dźwigać ogniwo.

Po przecięciu komór powietrznych otworzyli zawory w kadłubie. Pod ciężarem silników, łódź zaczęła tonąć rufą w dół. Czekali na pokładzie do chwili, aż RHIB zanurzył się pod powierzchnię, żeby mieć pewność, że osiadzie na dnie. Prąd zepchnął ich czterysta metrów na południe, ale musieli dopilnować, żeby łódź pozostała pod wodą. Na dnie rzeki tak blisko brzegu pełno było splątanych gnijących konarów. Przywiązali faleń dziobowy do jednej z mocniejszych gałęzi i ruszyli na północ holowani przez niemal bezgłośne skutery nurkowe.

Podróż pod prąd do granicy zajęła im prawie dwie godziny, po dwóch następnych uznali, że mogą się bezpiecznie wynurzyć. Akumulatory skuterów niemal się wyczerpały, aparaty oddechowe ledwo działały, ale się udało.

Odпочęli przed uciążliwym sześciogodzinnym marszem powrotnym do chaty na palach, gdzie spali półtorej doby wcześniej. Zostawili tam małą aluminiową łódź z silnikiem elektrycznym, którą doholowali na miejsce RHIB-em.

Kiedy dotarli do bazy, Mike usadowił się pod drzewem i zasnął. Juan mu zazdrościł. Choć Trono bardziej się przyjaźnił z Jerry'm niż Cabrillo, nie czuł się winny jego śmierci. Był tylko przygnębiony. Murphy, zakochany w technice, uważnie oglądał ogniwo zasilające.

Juan odszedł na bok i wyjął telefon satelitarny z wodoszczelnej torby. Pora się zameldować.

- Juan, to ty? - zapytał Max Hanley po pierwszym sygnale.

Cabrillo wyobraził go sobie: siedzi w centrum operacyjnym „Oregona” od początku akcji, pije kawę za kawą i gryzie cybuch fajki.

Telefony tak dobrze szyfrowały rozmowę, że nikt nie miał szans jej podsłuchać, więc nie musieli używać pseudonimów ani kryptonimów.

- Mamy to - zameldował Juan tak zmęczonym głosem, jakby już nigdy nie zdołał wypocząć. - Jesteśmy sześć godzin drogi od punktu orientacyjnego alfa.

- Zaraz zadzwonię do Langa - powiedział Hanley. - Zawraca mi głowę co dwadzieścia minut, odkąd wyruszyliście.

- Jeszcze jedno. - Ton Juana zabrzmiał lodowato na falach eteru. - Jerry zapłacił za to najwyższą cenę.

Minęło prawie pół minuty, zanim Max znow się odezwał.

- O Jezu. Nie. Jak?

- Czy to ważne? - spytał Juan.

- Nie, chyba nie - przyznał Max.

Juan zrobił głośny wydech.

- Mówię ci, stary, że jest mi cholernie ciężko, kiedy o tym myślę.

- Może weźmiemy obaj kilka dni wolnego po twoim powrocie? Polecimy do Rio, pogrzejemy tyłki na plaży i pogapimy się na ładne ciała w skąpych bikini.

Urlop był kuszącą propozycją, choć Cabrilla nie zachwycała perspektywa pożerania wzrokiem kobiet o połowę młodszych od niego. I wiedział, że po trzech nieudanych małżeństwach Max też tak naprawdę nie szuka partnerki. Potem przypomniał sobie rozbity sterowiec i pomyślał, że wypadałoby zawiadomić rodziny lotników, którzy zginęli w katastrofie. Właśnie to powinien zrobić. Nie patrzeć pożądliwie na piękne dziewczyny, lecz zapewnić obcym osobom trochę spokoju ducha po pięćdziesięciu latach niepewności.

- Dobry pomysł - odparł Juan - ale musimy popracować nad realizacją. Pogadamy, kiedy wrócimy na statek. Na razie mógłbyś pójść do mojego biura. W szafce z aktami jest testament Jerry'ego. Załatwmy to od razu. Nie przepadał za swoją ekszoną, ale miał dziecko.

- Córkę - uściślił Max. - Pomogłem mu ustanowić zarząd powierniczy na jej rzecz i uczynił mnie powiernikiem.

- Dzięki. Będę zobowiązany. Zjawimy się prawdopodobnie jutro o świcie.

- Dopilnuję, żeby kawa czekała.

Juan schował telefon do torby i usiadł pod drzewem. Miał wrażenie, że karmi sobą wszystkie moskity w promieniu stu kilometrów.

- Hej, prezesie! - zawołał Murphy kilka minut później. - Musisz to zobaczyć.

- Co tam? - Juan przysunął się do siedzącego po turecku Marka.

- Widzisz to i to? - Mark wskazał dwa maleńkie wgniecenia na lśniącej metalowej powierzchni.

- Owszem.

- Pasują do dwóch dziur w nylonowym nosidle. To ślady po pociskach wystrzelonych do nas, kiedy startowaliśmy helikopterem.

- Miały kaliber 9 mm i trafiły z bliskiej odległości - powiedział Juan. - Ledwo co widać. Ten metal jest rzeczywiście taki wytrzymały, jak się przechwala NASA.

- Okej, ale spójrz na to. - Mark z wysiłkiem odwrócił masywne ogniwo wierzchem do góry i pokazał głębszą wklęsłość w zasobniku.

Juan popatrzył pytająco na eksperta od uzbrojenia.

- Nic na uprząży do tego nie pasuje. To było na ogniwie, zanim je zdobyliśmy.

- Robota Argentyńczyków?

Mark pokręcił głową.

- Obserwowaliśmy, jak wykopują zdobycz, i straciliśmy ogniwo z oczu tylko na kilka minut, zanim je załadowali na pikapa. Nie przypominam sobie, że bym słyszał strzał. A ty?

- Nie. Czy to mogło powstać, kiedy dłużyce uderzyły w samochód?

- Nie sądzę. Muszę zrobić obliczenia, żeby się upewnić, ale uważam, że przy kolizji nie było dość energii kinetycznej, aby zrobiło się takie wgniecenie. I pamiętaj, że pikap przewrócił się w błoto. A tam na pewno nie leżało nic tak twardego i małego.

Cabrillo zrozumiał.

- To się stało przy eksplozji rakiety, zgadza się?

- Właśnie - odparł Mark, jakby wiedział to od początku, ale jego głos nie zabrzmiał triumfalnie. - Problem w tym, że to osłona ogniwa zasilającego. Przed skutkami wybuchu powinny ją ochronić prędkość rakiety w ruchu pionowym i masa samego ogniwa.

- O czym ty mówisz?

- Nie jestem pewien. Chętnie przeprowadziłbym testy po powrocie na „Oregona”, ale musimy to oddać komuś z CIA w Asunción. Nigdy nie dowiemy się prawdy.

- A co podejrzewasz?

- Satelita został zestrzelony z broni, którą posiadają tylko dwa kraje. My...

- I Chiny - dokończył Juan.

# Rozdział 9

Houston, Teksas

Tom Parker nie wiedział, w co się pakuje, kiedy się zatrudnił w NASA. Na jego obronę można powiedzieć, że wychowywał się na wsi w Vermont i jego rodzice nigdy nie mieli telewizora, bo odbiór po stronie gór, gdzie hodowali krowy, był straszny.

Parker zdał sobie sprawę, że coś się święci, pierwszego dnia pracy w Ośrodku Kosmicznym Johnsona, gdy jego sekretarka postawiła piękną butelkę z dmuchanego szkła na kredensie za jego biurkiem i powiedziała, że to dla Jeannie. Poprosił o wyjaśnienie. Kiedy zrozumiała, że on nie ma pojęcia, o kogo chodzi, zachichotała i odparła tajemniczo, że wkrótce się dowie.

Potem anonimowo dostarczono do jego gabinetu ręcznie malowaną lampę z uszkiem. Parker znów czuł się dezorientowany. Wtedy już kilka innych sekretarek wiedziało o jego ignorancji, podobnie jak przełożony, pułkownik lotnictwa, zastępca dyrektora programu szkolenia astronautów.

Ostatnim elementem łamigłówki było podpisane zdjęcie mężczyzny pod sześćdziesiątkę z przerzedzonymi rudymi włosami i jasnoniebieskimi oczami. Parker dopiero po jakimś czasie doszedł do tego, że to autograf Haydena Rorke'a. Wtedy Internet nie stanowił jeszcze źródła wszelkich informacji, więc Parker musiał polegać na zbiorach miejscowej biblioteki. W końcu ustalili, że Rorke to aktor. Grał psychiatrę NASA, Alfreda Bellowsa, stale dręczonego przez astronautę Anthony'ego Nelsona i kobietę dzina z lampy, którą znalazł na plaży.

Doktor Tom Parker był psychiatrą NASA i dowcipy w stylu *Marzę o Jeannie* nigdy nie ustały. Po niemal dziesięciu latach uczestnictwa w programie miał tuziny szklanych naczyń, podobnych do tego, gdzie mieszkała Jeannie, zdjęcia z autografami większości obsady i kilka scenariuszy Sidneya Sheldona.

Wyregulował kamerę internetową na górnej krawędzi monitora laptopa, żeby spełnić prośbę Billa Harrisa, jego obecnego pacjenta.

- Teraz lepiej - powiedział Harris z Wilson/George. - Słyszałem twój głos, ale widziałem Larry'ego Hagmana.

- Przynajmniej jest przystojniejszy - zażartował Parker.

- Ustaw kamerę na Barbarę Eden, to mnie uszczęśliwisz.

- Mówiliśmy o członkach zespołu. Opuszczacie Antarktykę za parę dni. Jaki nastrój panuje?

- Rozczarowanie - odparł astronauta. - Dotarł do nas front atmosferyczny. W McMurdo chłopaki od pogody twierdzą, że to potrwa tylko kilka dni, ale widzieliśmy dane. Ta cholerna burza szaleje prawie nad całą Antarktyką. Jesteśmy uziemieni na tydzień albo dłużej, a potem jeszcze kilka dni zajmie oczyszczenie pasa startowego u nich i u nas.

- Jak to na ciebie działa? - Parker i były pilot testowy rozmawiali dość przez ostatnie miesiące, by prowadzić szczerzy dialog. Psychiatra wiedział, że Harris nie upiększy odpowiedzi.

- Tak samo jak na pozostałych. Jest ciężko, ale nie miało być lekko, prawda?

- Właśnie. Szczególnie interesuje mnie to, jak reaguje Andy Gangle.

- Ponieważ już nie może wychodzić na dwór, przeważnie siedzi w swoim pokoju. Prawdę mówiąc, nie widziałem go od dwunastu godzin albo dłużej. Ostatni raz w sali rekreacyjnej. Akurat przechodził. Zapytałem, jak leci. Mruknął, że okej, i poszedł dalej.

- Powiedziałbyś, że jest coraz bardziej aspołeczny?

- Nie. Zachowuje się tak samo jak na początku.

- Wspominałeś, że próbowałeś go wciągnąć do towarzystwa przez kilka ostatnich miesięcy. A inni?

- Też, ale nic z tego nie wyszło. Moim zdaniem komisja kwalifikacyjna popełniła błąd, pozwalając mu tutaj przezimować. On się nie nadaje do izolacji, a przynajmniej nie jako czynny członek zespołu.

- Ale Bill... - Parker przysunął się do kamery, aby zaakcentować swoje słowa. - Co by się stało, gdybyś był w stacji kosmicznej albo w połowie drogi na Księżyc i uświadomiłbyś sobie, że lekarze, którzy dopuścili twoich współtowarzyszy do udziału w misji, popełnili podobny błąd?

Harris się zaśmiał.

- Zamierzasz schrzanić sprawę?

Parker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie, ale inni członkowie komisji kwalifikacyjnej mogli. Więc co byś zrobił?

- Przede wszystkim pilnowałbym, żeby takie osoby wykonywały swoje obowiązki. Jeśli nie miałyby ochoty rozmawiać, w porządku, ale musiałyby robić, co do nich należy.

- A gdyby odmawiały?

Bill Harris nagle obejrzał się przez ramię.

- Co jest? - zainteresował się psychiatra.

- Słyszałem huk. Jakby strzał - odparł Harris. - Zaraz wrócę.

Astronauta wstał z krzesła. Był w połowie drogi do otwartych drzwi pokoju w odległej stacji arktycznej, kiedy coś zamajaczyło w progu. Harris zatoczył się do tyłu, a potem coś uderzyło w kamerę internetową i całkowicie zasłoniło Parkerowi widok. Czekał kilka sekund. Wkrótce czerń na ekranie laptopa przybrała lekko fioletowy odcień. Po pewnym czasie obraz zaczął się rozjaśniać, kolor bardzo ciemnej śliwki przeszedł w barwę jasnego bakłażana i w końcu w czerwień.

Parker dopiero po chwili uświadomił sobie, że na obiektyw kamery bryznęła krew, która potem spłynęła z soczewki. Niewiele szczegółów mógł rozróżnić przez krwawe plamy, ale Bill Harris zniknął bez śladu i do mikrofonu docierało zawodzenie krzyczącej kobiety.

Minęła minuta, zanim głos nagle ucichł. Parker dalej patrzył na monitor, ale gdy coś znów przemknęło na tle drzwi, było jedynie niewyraźnym kształtem. Z pewnością przypominało zarys ludzkiej sylwetki, tylko czyjej?

Parker sprawdził, czy komputer automatycznie zarejestrował całą scenę, jak każdą sesję z tym pacjentem. Wszystko zostało zapisane na twardym dysku. Na wszelki wypadek przemejlował do siebie pierwszą część pliku, żeby mieć zapasową kopię, i wysłał to swojemu szefowi.

Zostawił komputer w trybie nagrywania obrazu z kamery w bazie Wilson/George i wybrał bezpośredni numer przełożonego.

- Keith Deaver.

- Keith, tu Tom. Mamy problem w Wilson/George. Otwórz e-mail ode mnie, który właśnie



dostałeś. Obejrzyj ostatnie pięć minut. Zadzwoń, jak skończysz.

Sześć minut później Tom chwycił słuchawkę natychmiast, gdy zadzwieczał dzwonek telefonu.

- I co o tym myślisz?

- W stacji na pewno nie ma żadnej broni, ale to zdecydowanie był strzał.

- Też tak uważam - przyznał Parker. - Ale żebyśmy mieli pewność, powinien tego posłuchać ekspert, jak w filmach o gliniarzach. Nie jest dobrze, Keith. Nie wiem, czy zdążyłeś usłyszeć coś z mojej rozmowy z Billem, ale McMurdo nie wysłał do Wilson/George samolotu jeszcze przez tydzień albo dłużej, nawet na rozpoznanie.

- Kto kieruje placówką?

- Cały czas monitoruje ją Uniwersytet Stanu Pensylwania.

- Znasz tam kogoś?

- Owszem. Facet chyba nazywa się Benton. Tak, Steve Benton. Jest klimatologiem.

- Zadzwoń do niego. Zapytaj, czy nadal dostają dane telemetryczne. Dowiedz się też, czy mają inne kamery internetowe włączone w tej chwili. Powinniśmy zawiadomić McMurdo, co się stało, i zorientować się, czy rzeczywiście nie mogą wysłać samolotu wcześniej.

- Skontaktuję się ze znajomym - powiedział Palmer. - Pracuje w organizacji Program Antarktyczny Stanów Zjednoczonych. Prowadzi ją Narodowa Fundacja Nauki.

- Okej. Informuj mnie co godzinę i niech ktoś odtąd stale patrzy na ekran twojego komputera. Przyślę ci kogoś, jeśli potrzebujesz.

- Wezwę sekretarkę na czas, kiedy będę telefonował, ale później pewnie skorzystam z twojej propozycji.

Mimo biurokracji sprawy ruszyły z miejsca niezwykle szybko. Przed końcem dnia funkcjonariusz policji w Houston odsłuchał nagranie dźwiękowe z kamery internetowej, ale nie potrafił określić, czy odgłos to wystrzał. Powiedział, że na siedemdziesiąt pięć procent tak. Kontroler z wieży w McMurdo potwierdził, że wszystkie ich samoloty są uziemione z powodu pogody i żadna załoga nie zaryzykuje lotu bez względu na okoliczności. Jeszcze gorsze warunki panowały w Palmer, jedynej innej amerykańskiej stacji badawczej na Półwyspie Antarktycznym, więc nikt nie sprawdzi, co się dzieje w Wilson/George. Zwrócono się do krajów mających placówki w pobliżu, ale najbliższa była argentyńska i mimo więzi łączących środowisko naukowe prośba o pomoc spotkała się z kategoryczną odmową.

Przed ósmą wieczorem wiadomość o sytuacji wysłano do doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ponieważ Wilson/George leżała tak blisko argentyńskiej bazy i podejrzewano strzelaninę, istniała możliwość, że amerykańska placówka została zaatakowana. Sprawę dyskutowano do późnej nocy. W końcu Narodowe Biuro Zwiadowcze dostało polecenie, żeby przekierować jakiegoś satelitę nad odległą stację naukową i ją sfotografować.

Przed świtem zdjęcia przeanalizowano, ale nawet sprzęt optyczny najwyższej klasy przegrał z burzą szalejącą nad połową kontynentu.

Skuteczność urzędów się skończyła. Wszystkie możliwe do zdobycia informacje przestudiowano. Potrzebna była decyzja, ale nikt nie chciał jej podjąć. Początkowa aktywność nagle ustała i ludzie zaangażowani w sprawę przyjęli postawę „poczekamy, zobaczymy”.

Kiedy Langston Overholt przyjechał do Langley krótko po dziewiątej, wziął filiżankę kawy od sekretarki i wszedł do swojego gabinetu. Przez kuloodporną szybę w oknie za sobą miał widok na kępę drzew pełnych liści. Wiatr poruszał gałęziami i cienie pląsały na trawniku poniżej.

Pokój był urządzonej po spartańsku. W przeciwieństwie do wielu innych starszych oficerów CIA, Overholt nie miał „ściany ego” - kolekcji zdjęć własnej osoby w towarzystwie dygnitarzy. Nigdy nie podkreślał swojego znaczenia. Zresztą nie musiał. Miał legendarną reputację. Każdy, kto składał mu wizytę tutaj, na szóstym piętrze, dobrze wiedział, kim on jest. I choć wiele osiągnięć Overholta pozostawało tajemnicą, dość informacji wyciekło przez lata, by zapewnić mu pozycję w agencji. Zaledwie kilka fotografii wisiało na ścianie, głównie portretów robionych w święta, kiedy jego rodzina się rozrastała, i jedno sepiowe zdjęcie z młodym Azją. Tylko ekspert rozpoznałby, że to tybetański przywódca.

- No, może jest we mnie trochę próżności - mruknął, zerkając na tę fotografię.

Czytał raport dostarczony wszystkim wyższym rangą członkom personelu. Ta wersja była bardziej szczegółowa niż tamta, którą otrzymała głowa państwa, bo na początku swojej kadencji prezydent wyraźnie dał do zrozumienia, żeby nie nękać go drobiazgami.

Dokument zawierał zwykle wiadomości z całego świata - zamach bombowy w Iraku, pracownicy przedsiębiorstwa naftowego zabici w Nigerii, demonstracja siły północnokoreańskiego wojska wzdłuż strefy zdemilitaryzowanej. Incydentowi w Wilson/George poświęcono jeden akapit na przedostatniej stronie, tuż pod wzmianką, że niewiele brakowało, a udałoby się aresztować serbskiego zbrodniarza wojennego. Gdyby do zdarzenia doszło w jakiegokolwiek innej stacji badawczej w Antarktyce, Overholt przeszedłby nad tym do porządku dziennego, ale raport mówił jasno, że Argentyńczycy mają placówkę w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów. Ich kategoryczna odmowa pomocy sprawiła, że u Overholta zadziałał szósty zmysł. Poprosił o materiał z kamery internetowej doktora Palmera.

I natychmiast wiedział, co trzeba zrobić.

Skontaktował się z szefem sekcji południowoamerykańskiej. Dowiedział się, że Cabrillo dotarł do Asunción poprzedniej nocy, przekazał ogniwo zasilające parze kurierów z CIA i jest teraz w czarterowym samolocie, który zbliża się do kalifornijskiego wybrzeża.

Overholt przerwał połączenie wewnętrzne i zadzwonił do Houston, do doktora Parkera. Potem zatelefonował za granicę.

# Rozdział 10

Po prawie godzinnym prysznicu i śniadaniu złożonym z jajek, tostów i herbaty ziołowej - steward „Oregona” Maurice odmawiał podawania Juanowi czegokolwiek z kofeiną - Cabrillo wciąż był zdenerwowany. Powinien iść do łóżka, ale kołdra z gęsiego puchu wcale go nie nęciła. Wiedział, że łatwo nie zaśnie. Po krótkim badaniu doktor Huxley zaproponowała mu coś na sen, ale nie chciał wziąć. Nie karał się za śmierć Jerry’ego, ale chemiczne wywoływanie zapomnienia wydawało się nie fair wobec nieżyjącego przyjaciela. Jeśli rozmyślania o bohaterskim Polaku nie dadzą mu spać, chętnie zapłaci tę cenę.

On i pozostali weszli na pokład „Oregona” trzy godziny wcześniej po locie powrotnym do Brazylii ze stolicy Paragwaju. Przez pierwszą godzinę relacjonowali członkom załogi wydarzenia i opowiadali o tym, jak Jerry się poświęcił, żeby mogli uciec. Trwały już przygotowania do wieczornej uroczystości żałobnej. Personel kuchenny przyrządzał tradycyjne polskie potrawy, łącznie z pierogami, kotletami schabowymi i sernikiem na deser.

Takie ceremonie zwykle prowadził Cabrillo, ale tym razem Mike Trono zapytał, czy mógłby go zastąpić.

Juan wyszedł z kabiny, by dokonać niespiesznej inspekcji swojego statku, który stał na redzie portu Santos. Tropikalne słońce prażyło na stalowych pokładach, ale pasat przenikający przez białą lnianą koszulę chłodził Juana. Nawet dla najbystrzejszego obserwatora „Oregon” wyglądał tak, jakby jego miejsce było na złomowisku. Na pokładzie wałały się rupiecie, a powierzchnie, gdzie nie odprysnęła lub nie łuszczyła się farba, pokrywała taka paleta przypadkowych kolorów, że przypominało to kamuflaż. Środkowy biały pas na wiszącej nad rufą irańskiej banderze wydawał się jedynym jasnym akcentem na starym frachtowcu.

Juan podszedł do beczki po oleju przy relingu. Wyjął z kuchni słuchawkę z mikrofonem i wywołał centrum operacyjne. Na „Oregonie” używano komórek szyfrujących rozmowy.

- Cześć - odpowiedziała cienkim głosem Linda Ross ze stanowiska dowodzenia.
- Cześć. Bądź tak dobra i wysuń pokładowy kaem numer 5.
- Jakiś problem?
- Nie. Robię tylko przegląd. - Juan doskonale zdawał sobie sprawę, że jego załoga wie, że kapitan zawsze przeprowadza inspekcję, kiedy coś go gryzie.
- Załatwione, Juan. Już jedzie.

Pokrywa beczki po oleju uniosła się cicho na zawiasach i złożyła całkowicie na bok. Karabin maszynowy M-60 wyłonił się lufą do góry i obrócił w dół tak, że wycelował w morze. Cabrillo obejrzał taśmę nabojoową. Amunicja nie nosiła żadnych śladów korozji, kaem pokrywała warstwa oleju do broni.

- Wygląda w porządku - stwierdził Cabrillo i poprosił Lindę, żeby opuściła M-60 z powrotem.

Zszedł do maszynowni, serca swojego dzieła. Było tu tak czysto jak w sali operacyjnej. Innowacyjny zespół napędowy statku wykorzystywał mocno schłodzone magnesy do pobierania wolnych elektronów z wody morskiej. Z takimi silnikami, nazywanymi magnetohydrodynamicznymi, dopiero eksperymentowano i nie zastosowano ich jeszcze w żadnej innej jednostce pływającej na świecie. W pomieszczeniu dominowały kriopompy, które utrzymywały temperaturę magnesów na poziomie stu osiemdziesięciu czterech stopni Celsjusza poniżej zera. Główne kanały napędowe biegły przez całą długość „Oregona” i miały obwód wagonu kolejowego. W środku mieściły się wirniki o zmiennej geometrii łopat. Gdyby nie tkwiły we wnętrzościach starego frachtowca, byłyby głównym eksponatem w każdym muzeum sztuki nowoczesnej. Kiedy przepływała przez nie woda, cała przestrzeń dudniła niewyobrażalną mocą.

„Oregon” osiągał niewiarygodną - jak na maszynę tej wielkości - prędkość i zatrzymywał się tak szybko, jak samochód sportowy. Dzięki potężnym pędnikom poprzecznym i kierunkowym wylotom kanałów napędowych mógł też zawracać niemal w miejscu.

Cabrillo przechadzał się po statku bez planu. W korytarzach i pomieszczeniach roboczych zwykle rozbrzmiewały ożywione rozmowy i żarty. Nie dziś. Nikt się nie śmiał, każdy miał spuszczone wzrok. Mężczyźni i kobiety z korporacji wykonywali swoje obowiązki ze świadomością, że jednego z załogi już nie ma z nimi. Juan nie odnosił wrażenia, że ludzie go winią, i zaczęło mu być lżej na duszy. Wszyscy czuli się po trosze odpowiedzialni. Stanowili zespół, więc sprawiedliwie dzielili zwycięstwa i porażki.

Cabrillo pięć minut patrzył na mały obraz Degasa, który wisiał w korytarzu blisko większości kabin załogi. Dyskretnie oświetlone dzieło impresjonisty przedstawiało tancerkę zawiązującą baletkę. W opinii Juana artysta potrafił uchwycić światło, niewinność i piękno lepiej niż jakikolwiek inny malarz. Prezes nie dostrzegł paradoksu w tym, że umie docenić mistrzostwo Degasa i funkcjonalność karabinu maszynowego podczas tego samego obchodu statku. Estetyka ma wiele postaci.

W ładowni dziobowej przyjrzał się, jak marynarze przygotowują zapasowy RHIB do wyciągnięcia z magazynu. Na morzu, bez zbędnych świadków, żuraw pokładowy miał unieść RHIB z ładowni i opuścić na wodę z prawej burty, żeby mogli go wciągnąć do hangaru łodziowego na poziomie linii wodnej.

Cabrillo zajrzał do pływalni okrętowej. Zazwyczaj tu najchętniej ćwiczył, ale w ciągu ostatnich dwóch dni spędził tyle czasu w wodzie, że teraz wolałby skorzystać z pobliskiej siłowni.

Na najniższym pokładzie kryła się jedna z jego najlepiej strzeżonych tajemnic - przepastne pomieszczenie bezpośrednio nad kilem, skąd wodowano dwie miniłodzie podwodne. Masywne wrota rozsuwały się wzdłuż dna basenu zanurzeniowego i miniłodzie mogły wyruszać stamtąd i wracać tam, nawet gdy „Oregon” płynął, choć było to bezpieczniejsze, kiedy stał. Stworzenie takiej przestrzeni z zachowaniem kadłuba w całości stanowiło dla Juana największe wyzwanie techniczne, gdy przerabiał statek ze starego drewnowca.

W hangarze pod ulokowaną najbliżej rufy jedną z pięciu ładowni nikt się nie krzątał. Czarny MD-520N stał na płozach, z łopatami głównego rotora złożonymi do tyłu. W przeciwieństwie do tradycyjnych helikopterów, ten model nie miał wirnika ogonowego. W belce ogonowej zainstalowano natomiast wentylator wytwarzający w niej ciśnienie powietrza i wypychający je na zewnątrz dla zrównoważenia momentu obrotowego rotora w górze. Dzięki temu śmigłowiec był cichszy od większości innych i fajniej wyglądał, jak stwierdził Gomez Adams.

Pomieszczenie wydawało się ciasne z powodu modyfikacji, których musieli dokonać, kiedy zastąpili tą maszyną poprzedni mały helikopter Robinson R-44.

W izbie chorych Juan zastał Julię Huxley, ich lekarzkę wyszkoloną w marynarce wojennej. Bandażowała rękę jednemu z techników. Rozciął ją sobie podczas pracy w warsztacie mechanicznym i musiała być szyta. Julia jak zwykle miała na sobie biały fartuch i włosy związane gumką w koński ogon.

- Odstaw rum do końca zmiany, Sam - zażartowała po założeniu opatrunku.

- Przysięgam. Żadnego wiercenia więcej po spożyciu.

- Wszystko w porządku? - zapytał go Juan.

- Tak. Choć głupio zrobiłem. Ojciec od początku uczył mnie w naszym warsztacie samochodowym, żebym nigdy nie odrywał wzroku od narzędzi. A ja co? Spojrzałem w bok przy obrabianiu kawałka stali, to cholerstwo się ześliznęło, i proszę: wyglądam, jakbym zarzynał świniaka.

Zadzwieczyła komórka Juana.

- Tak, Lindo?

- Tu Max. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale dzwoni Langston Overholt i chce rozmawiać tylko z tobą.

Cabrillo szybko się zastanowił i skinął głową, jakby podjął jakąś decyzję.

- I tak już skończyłem. Dzięki. Powiedz mu, żeby chwilę zaczekał, pójdę do swojej kabiny.

- Halo?

- Juan, wybacz, że telefonuję tuż po waszej akcji, ale stało się coś dziwnego - zaczął Lang z typową dla siebie powściągliwością.

- Słyszałeś? - zapytał Cabrillo.

- Musiałem porozmawiać z Maksem, zanim ustąpił i połączył mnie z tobą. Powiedział mi o Jerrym. Przykro mi. Wiem, jak się czujesz. Tak czy inaczej - ciągnął Overholt - wykonaliście wspaniałą robotę. Argentyni złożyli skargę w ONZ-cie i zarzucą nam wszystko pod słońcem, ale ostatecznie my mamy z powrotem ogniwo zasilające, a oni nic.

- Trudno mi uznać, że to było warte ludzkiego życia - mruknął Juan.

- Ogólnie rzecz biorąc, pewnie nie, ale twój człowiek znał cenę. Jak wy wszyscy.

Juan nie miał nastroju na filozoficzną dyskusję ze swoim dawnym oficerem prowadzącym, więc zapytał:

- Co to za delikatna sprawa, o której wspomniałeś?

Overholt przekazał prezesowi szczegółowe informacje o zdarzeniu w Wilson/George, łącznie z tym, czego się dowiedział od Toma Parkera.

- Więc ten facet nazwiskiem Dangle mógł...

- Gangle - poprawił Juana Overholt.

- Gangle mógł ześwirować i pozabijać innych.

- Jasne, choć na podstawie rozmów z astronauta ze stacji doktor Parker ocenia, że ten chłopak to po prostu niekontaktowy samotnik.

- Lang, właśnie tacy rzucają się z siekierą na rodzinę albo strzelają z karabinu snajperskiego z dzwonnicy.

- Owszem. Ale musimy pamiętać, że jest tam argentyńska baza oddalona o niecałe pięćdziesiąt kilometrów. Jak wiesz, robią dużo szumu wokół tego, że cały Półwysep Antarktyczny to ich

suwerenne terytorium. A jeśli to pierwsza faza jakiejś większej operacji? Są tam inne stacje naukowe. Norweska, chilijska, brytyjska. One mogą być następne.

- Albo po prostu jakiś psychol spędził za dużo czasu wśród lodów Antarktyki - odparł Juan.

- Problem w tym, że nie poznamy definitywnej odpowiedzi jeszcze przez tydzień, może nawet dłużej, ze względu na pogodę. Jeśli to robota Argentyńczyków, to kiedy się wreszcie tego dowiemy, będzie za późno.

- Więc chcesz, żebyśmy popłynęli na południe i sprawdzili, co się wydarzyło w Wilson/George.

- Właśnie. To powinien być rutynowy rejs. Wpadniecie tam, rozejrzycie się, a potem zawiadomicie starego wuja Langstona, że nie ma się czym martwić.

- Oczywiście zrobimy to, ale Max i ja nie weźmiemy w tym udziału.

- Inne plany?

Cabrillo powiedział Overholtowi o znalezieniu „Latającego Holendra” i zamiarze zawiadomienia rodzin załogi sterowca.

- Świetny pomysł - zagrział Lang. - Właśnie czegoś takiego potrzeba, żeby się oderwać, nabrać dystansu. Załoga poradzi sobie bez was dwóch. Max za bardzo się denerwuje, a ty powinieneś trochę odpocząć.

- Aha, żeby nie zapomniał, mój spec od uzbrojenia uważa, że satelita mógł zostać zestrzelony.

- Powtórz.

- Słyszałeś. Jest parę wgnieceń na zewnętrznej osłonie ogniwa. Dwa wgłębienia są po pociskach, ale trzecie to zagadka. Musicie dokładnie zbadać zasobnik.

- Planowaliśmy to, ale dzięki za podpowiedź. I wątpię, żeby twój spec miał rację. Argentyna nie dysponuje bronią do zestrzelenia rakiety tak późno po starcie. Zresztą po co by to robili? To nie był wojskowy satelita.

- Powtarzam ci tylko opinię eksperta. Jeśli się myli, w porządku. Jeśli nie, to zupełnie co innego. Nie zapominaj, kto pokazał, że może zestrzelić satelitę, i kto w ONZ-cie stale blokuje nałożenie ostrzejszych sankcji na Argentynę.

Overholt długo milczał.

- Nie podoba mi się to, co sugerujesz.

- Mnie też nie - odparł Juan. - Ale jest się nad czym zastanawiać. Nadal chcesz nas wysłać do Antarktyki?

- Teraz tym bardziej, mój chłopcze.

# Rozdział 11

Wezwanie zawierało tylko jedno słowo: „Przyjedź”. Mimo tak krótkiej treści major Jorge Espinoza wiele wyczytał z wiadomości, ale nic dobrego. Prawie dwanaście godzin zajęło zorganizowanie transportu z północnej granicy do posiadłości jego ojca na pampasach sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Buenos Aires. Na ostatnim odcinku sam usiadł za sterami swojego turbine legend, śmigłowego samolotu o wyglądzie legendarnego spitfire'a i zbliżonych osiąгах. Porucznik Jimenez, z grubo obandażowanymi oparzeniami, siedział z tyłu.

Kiedy Espinoza senior objął dowództwo Dziewiątej Brygady, za rodzinne pieniądze zbudował jej nowe centrum dowodzenia i koszary na terenie posiadłości. Stary pas startowy półtora kilometra od rezydencji przedłużono i utwardzono, żeby mógł na nim lądować w pełni obciążony C-130. Płytę postojową powiększono o lądowiska dla helikopterów i wzniesiono wielki metalowy hangar.

Obóz był tak daleko od dużego domu, że nawet ćwiczebne strzelanie z moździerzy nie przeszkadzało generałowi, jego nowej młodej żonie i dwójce ich dzieci. W bazie stacjonowało tysiąc żołnierzy elitarniej jednostki. Mieli tu wszystko, czego potrzebowali. Z placem apelowym sąsiadowały tor przeszkód i nowoczesna siłownia.

Ogromny majątek ziemski z rozległymi pastwiskami, gęstymi lasami i dwoma oddzielnymi systemami rzecznymi doskonale nadawał się do utrzymywania wojska w najwyższej gotowości bojowej.

Pobliska senna wioska Salto zamieszкана przez rolniczą społeczność rozrastała się i stawała tętniącym życiem miasteczkiem, gdzie ludzie z zapalem zaspokajali potrzeby żołnierzy po służbie.

Espinoza zawsze przelatywał nad rezydencją, kiedy zbliżał się do lotniska. Przyrodni bracia majora uwielbiali jego samolot i stale go błagali, żeby ich zabrał w powietrze. Ale dziś nie chciał zwracać na siebie uwagi, gdy szybował nad posiadłością, gdzie po wiosennych deszczach zieleniła się bujna trawa.

Porażka w dżungli byłaby końcem kariery każdego innego żołnierza, ale on też mógł się tego spodziewać. Zawiódł generała jako syn i podwładny. Zginęło dziewięciu ludzi pod jego dowództwem. A kiedy Raul dotarł w końcu do posterunku granicznego, zameldował, że czterech mężczyzn towarzyszących mu w śmigłowcu również poniosło śmierć, podobnie jak sześciu pograniczników w zniszczonych łodziach patrolowych. Stracili też dwa drogie helikoptery, a trzeci został uszkodzony.

Ale najgorsze ze wszystkiego dla syna i dla żołnierza było to, że przegrał. Popęłnił naprawdę niewybaczalny grzech. Pozwolił, żeby Amerykanie sprzątnęli im fragment satelity sprzed nosa. Przypomniiał sobie zakrwawioną twarz jankesa wiozącego pikapem „rannych” kompanów. Mimo maski zakrzepłej krwi Espinoza zapamiętał każdy szczegół - rysy, kształt oczu i szczęki, niemal arogancki nos. Rozpoznałby tamtego faceta bez względu na to, gdzie by się znów spotkali i po ilu

latach.

Wysunął podwozie zwrotnego samolotu i podszedł do lądowania. Obok wielkiego hangaru stał czterosiłnikowy C-130. Przez opuszczoną pochylnię w ogonie wjeżdżał do środka mały wózek widłowy. Major nie znał przyszłego rozmieszczenia Dziewiętej Brygady i był prawie pewien, że po spotkaniu z generałem przestanie należeć do elitarnej jednostki.

Samolot odbił się raz przy zetknięciu z asfaltem, potem miękko usiadł. Pilotowanie sprawiało Espinozie taką frajdę, że przy każdym lądowaniu żałował, że lot już się skończył. Wykołował na płytę postojową, gdzie ojciec trzymał swojego learjeta, którym mógł dolecieć do każdego zakątka Ameryki Południowej w zaledwie parę godzin.

Generał pochodził z wojskowej rodziny; nieżyjąca matka Espinozy urodziła się natomiast w klanie, którego majątek sięgał początków istnienia państwa. Mieli biurowce w Buenos Aires i winnice na zachodzie, pięć hodowli bydła, kopalnię rudy żelaza i praktycznie pełną kontrolę nad telefonią komórkową w kraju. Tym wszystkim zarządzali wujowie i kuzyni majora Espinozy.

Jorge chętnie korzystał z dobrodziejstw bogactwa - uczył się w najlepszych szkołach i miał zabawki takie jak turbiny - ale pomnażanie majątku nigdy go nie pociągało. Chciał służyć w wojsku, gdy tylko zrozumiał, że mundur wkładany przez ojca co dzień do pracy jest symbolem wielkości jego narodu.

Z pełną determinacją zmierzał do realizacji swojego chłopięcego marzenia i teraz, w wieku trzydziestu siedmiu lat, uważał, że znajduje się u szczytu kariery. Następny awans oznaczałby pracę za biurkiem, czego major się obawiał. Dowodził najlepszymi argentyńskimi komandosami. Przynajmniej jeszcze przez kilka minut. Upokorzenie paliło go w żołądku jak rozżarzony węgiel.

Mercedes ML 500 SUV pomalowany matowym lakierem w barwy ochronne czekał na niego i Jimeneza. W środku były miękka skóra i drewno - pomysł macochy na spartańskie wykończenie wnętrza samochodu.

- W jakim jest nastroju? - zapytał Espinoza długoletniego majordomusa swojego ojca, który przyjechał na pas startowy po młodego pana.

- Spokojny - odparł Jesús i wrzucił bieg.

Zły znak.

Do rezydencji prowadziła droga gruntowa, ale tak starannie utrzymana, że jechało się po niej gładko jak po niemieckiej autostradzie; ciężki SUV prawie nie wzbijał kurzu. W górze jastrząb dostrzegł jakąś zdobycz, złożył skrzydła i spikował ku ziemi.

Macocha Maxine Espinoza powitała Jorgego na szczycie schodów wiodących do drzwi frontowych. Była z Paryża i pracowała kiedyś w ambasadzie francuskiej w dzielnicy Cerrito w Buenos Aires. Jego matka zmarła trzy tygodnie po upadku z konia, kiedy Espinoza miał jedenaście lat. Dopiero kiedy Jorge ukończył akademię wojskową, ojciec rozważył ponowne małżeństwo, choć przez lata towarzyszyło mu wiele pięknych kobiet.

Maxine była tylko parę lat starsza od Jorgego i gdyby Espinoza senior nie poznał jej pierwszy, junior natychmiast zacząłby się z nią spotykać. Nie zazdrościł ojcu młodej żony. Generał uszanował jego matkę, tak długo zwlekając z powtórnyim ożenkiem. Ale dobrze się stało, że Maxine weszła w ich życie, bo potrafiła utemperować generała, który z wiekiem stawał się coraz bardziej porywczy.

Miała na sobie strój do jazdy konnej; urodzenie dwóch synów w ogóle nie zdeformowało jej figury.

- Nie jesteś ranny? - zapytała po hiszpańsku z francuskim akcentem.



Espinoza uważał, że Francuzki mówią swoim drugim językiem seksownie, bez względu na to, jaki to język. W ustach Maxine urdu brzmiałby jak poezja.

- Nie, Maxie, nic mi się nie stało.

Gdy podszedł Raul, od razu zwróciła uwagę jego bandaże. Zbladła.

- *Mon Dieu*, co te świnię panu zrobiły?

- Zestrzelili helikopter, którym leciałem, *señora*. - Jimenez patrzył na swoje buty, jakby peszyło go takie bogactwo wokół i zainteresowanie żony dowódcy.

- Generał bardzo się denerwuje - oznajmiła Maxine i wzięła pod rękę młodych oficerów. W domu było chłodno; portret Philippe'a Espinozy młodszego o dwadzieścia lat, jeszcze w mundurze pułkownika, dominował na jednej ścianie. - Jest jak ogier bez klaczy. Znajdziesz go w zbrojowni.

Jorge zobaczył trzech mężczyzn rozmawiających w rogu holu. Jeden - Azjata po pięćdziesiątce - odwrócił się, kiedy weszli. Espinoza go nie znał. Porucznik Jimenez chciał pójść za majorem, ale Maxine nie puściła jego ramienia.

- Generał życzy sobie być z synem sam na sam.

Zbrojownia mieściła się z tyłu domu, okna od podłogi do sufitu wychodziły na ogród ze strumieniem i wodospadem. Trofea myśliwskie wisiały na ścianach. Głowa wielkiego dzika zajmowała honorowe miejsce nad kominkiem z kamieni polnych. W pokoju stały trzy oszklone szafki z bronią i zaryglowana szafa pancerna, gdzie generał trzymał broń automatyczną. Meksykańską terakotę pokrywały andyjskie dywany.

To tutaj wymierzano karę, kiedy Jorge dorastał. Przez zapach skórzanych mebli i oleju do broni wyczuł woń własnego strachu, która pozostała sprzed lat.

Generał miał metr osiemdziesiąt wzrostu, ogoloną głowę i bary jak szubienica. Nos złamany w czasach, kiedy Philippe Espinoza był kadetem, nigdy nie został wyprostowany i nadawał twarzy męską asymetrię, utrudniającą koncentrowanie się na oczach. Możliwość patrzenia na innych z góry była jednym z narzędzi, których Espinoza używał w okresie dyktatury w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku.

Jorge stanął na baczność.

- Panie generale, major Jorge Espinoza melduje się na rozkaz.

Ojciec stał za biurkiem pochylony nad mapą.

Prawdopodobnie przedstawiała Półwysep Antarktyczny.

- Chcesz coś dodać do przesłanego raportu? - zapytał szorstko generał, nie podnosząc wzroku.

- Amerykanie jeszcze nie przekroczyli granicy, przynajmniej nie RHIB-em. Patrole nie natrafiły na żaden ślad łodzi na obu brzegach rzeki. Podejrzewamy, że ją zatopili i wycofali się lądem.

- Kontynuuj.

- Pilot porwanego helikoptera twierdzi, że dowódca bandy miał na imię Juan, a jeden z członków Miguel. Dowódca mówił po hiszpańsku z akcentem z Buenos Aires.

- Ale to na pewno Amerykanie?

- Widziałem tego człowieka. Może znać hiszpański jak my, ale... - Espinoza urwał, próbując znaleźć właściwe słowa - wyglądał po amerykańsku.

Espinoza senior w końcu popatrzył na syna.

- Uczyłem się w ich School of che Americas, tak jak Galtieri, tylko lata później. Wszyscy instruktorzy w Fort Benning mieli ten wygląd. Dalej.

- Pomiąłem jedną rzecz w swoim raporcie. Odkryliśmy wrak starego sterowca. Amerykanie

znaleźli go pierwsi i chyba poświęcili trochę czasu, żeby dokładnie go zbadać.

Wyraz zamyślenia przemknął przez twarz generała.

- Sterowiec. Jesteś pewien?

- Tak. Pilot rozpoznał typ maszyny.

- Przypominam sobie, że kiedy byłem chłopcem, grupa Amerykanów przelatywała nad dżunglą sterowcem. Poszukiwacze skarbów, jak mi się zdaje. Zaginęli pod koniec lat czterdziestych XX wieku. Wcześniej twój dziadek poznał ich na jakimś przyjęciu w Limie.

- Teraz zostali znalezieni. Kiedy złodzieje ukradli nasz helikopter, wylądowali blisko miejsca katastrofy, jakby o nim wiedzieli. Myślę, że odkryli je w drodze do obozu drwali.

- I mówisz, że zbadali szczątki?

- Sądząc po śladach stóp, tak.

- Zdyscyplinowani komandosi nie zrobiliby tego.

- Na pewno nie.

Ojciec usiadł; Jorge uznał to za dobry znak. Zewnętrzny spokój maskujący gniew generała powoli ustępował miejsca innym emocjom.

- Stwierdzenie, że twoje postępowanie w tej sprawie jest naganne, to za mało. Powiedziałbym raczej, że graniczy z karalnym zaniedbaniem.

O cholera.

- Są jednak rzeczy, w które nie jesteś w tej chwili wtajemniczony, co trochę łagodzi sytuację. Plany te są znane tylko na najwyższych rządowych szczeblach. Twoja jednostka zostanie wkrótce wysłana na południe i nie byłoby dobrze, gdyby jej najpopularniejszy oficer trafił do aresztu. A co napiszę w oficjalnym raporcie o całym incydencie, zależy od tego, jak sobie poradzisz podczas zbliżającej się operacji.

- Panie generale, czy mogę wiedzieć, dokąd nas przerzucą?

- Jeszcze nie. Za tydzień wszystko zrozumiesz.

Jorge się wyprężył.

- Tak jest.

- Teraz wezwij Jimeneza. Mam dla was coś do roboty.

# Rozdział 12

Kiedy „Oregon” płynął na południe pod dowództwem Lindy Ross, Cabrillo i Hanley lecieli rejsowym samolotem na północ do Houston, gdzie korporacja miała jeden z kilkudziesięciu bezpiecznych domów rozlokowanych w miastach portowych całego świata. W każdym było niemal wszystko, czego tylko mogli potrzebować. Ten wybrali na bazę poszukiwań rodzin załogi sterowca.

Zanim dotarli do kondominium w rozbudowywanej części miasta ponad trzydzieści kilometrów od centrum, Eric Stone i Mark Murphy wykonali niezbędną czarną - lub raczej ręczną - robotę, bo obaj potrafili po mistrzowsku prowadzić poszukiwania internetowe.

Murphy lubił się przechwalać, że jeszcze nie trafił na firewalla, którego nie zdołał sforsować.

W przeciwieństwie do niektórych innych kwater korporacji - apartament na dachu wieżowca w Dubaju w niczym nie ustępował pięciogwiazdkowemu hotelowi - bezpieczny dom w Houston urządzono po spartańsku. Meble wyglądały jak z katalogów - i tak je wybrano - na ścianach wisiały głównie przedstawiające przyrodę grafiki w tanich ramach. Jedyną rzeczą, jaką to lokum różniło się od czterystu identycznych w okolicy, było wzmocnienie konstrukcji calową stalą. Drzwi, choć wyglądały zwyczajnie, nadawałyby się do skarbca bankowego.

Max sprawdził przed wejściem, czy nikt nie próbował się włamać w ciągu trzech miesięcy od ostatniej inspekcji. Włożył baterie do urządzenia przeciwpodśluchowego i skontrolował całe mieszkanie. W tym czasie Juan otworzył butelkę tequili i dodał lód z torby z różnościami kupionymi w sklepie spożywczym, gdzie wstąpili po drodze z lotniska. Dopiero kiedy się upewnili, że lokal jest czysty, postawił laptop na stoliku do kawy w salonie i wszedł do Internetu.

Wieczne południowoteksaskie słońce wpadało przez okna i odbijało się w ekranie, więc Max zaciągnął zasłony i poczęstował się bezcłowym alkoholem. Usadowił się na kanapie obok Juana i westchnął.

- Wiesz - powiedział, chłodząc zimną szklanką wysokie czoło - po latach korzystania z naszego odrzutowca jestem rozczarowany pierwszą klasą.

- Robisz się miękki i dziecinniejsz.

- Ba!

Komputer połączył się z siecią. Juan dwukrotnie sprawdził protokoły bezpieczeństwa i wywołał „Oregoną”. Obraz Erica i Marka natychmiast pojawił się na ekranie. Po ogromnym wyświetlaczu za nimi Juan poznał, że są w kabinie Erica. Stone był absolwentem Annapolis i przyszedł do korporacji po odsłużeniu niezbędnego minimum w marynarce wojennej. Nie dlatego, że mu się tam nie podobało; po prostu jego dowódca, kolega Maksa z Wietnamu, uznał, że błyskotliwy młody oficer bardziej przyda się krajowi w załodze prezesa. To Eric polecił Juanowi swojego przyjaciela

Murphy’ego. Poznali się podczas realizacji tajnego programu raketowego, gdy Mark pracował jako konstruktor u jednego z dużych dostawców uzbrojenia dla wojska.

Eric nie wyglądał na osobę, która kiedykolwiek służyła w marynarce wojennej. Miał łagodne piwne oczy i zachowywał się niemal delikatnie. Podczas gdy Murphy hołdował kulturze cyberpunków, ubierając się w ich stylu, Eric nosił się schludnie i był poważniejszy. Teraz miał na sobie białą koszulę z oksfordu z rozpiętym kołnierzykiem. Mark włożył T-shirt ozdobiony komputerowym uśmiechkiem. Obaj z podniecenia nie mogli usiedzieć spokojnie na miejscu.

- Cześć, chłopaki - powitał ich Juan. - Jak leci?

- Ostro prujemy, szefie - odezwał się Eric. - Linda utrzymuje prędkość trzydziestu ośmiu węzłów. Mało krajów handluje z Argentyną, więc praktycznie nie musimy unikać żadnych statków.

- Kiedy dotrzeć do Wilson/George?

- Za trzy dni z kawałkiem, jeśli nie wpadniemy na lód.

- Jeśli nie napotkacie lodu - poprawił Max. - Nie wolno na niego wpadać, bo to szkodzi statkowi.

- Dzięki za podpowiedź, EJ - mruknął Mark, używając inicjałów pechowego kapitana „Titanica”.

- Więc czego się dowiedzieliście? - zapytał Cabrillo.

- Nie uwierzysz, kim byli tamci faceci - odparł podekscytowany Eric. - To bracia Ronishowie. Ich rodzina jest właścicielem wyspy Pine w stanie Waszyngton.

Juan zamrugał zaskoczony. Pochodził z Zachodniego Wybrzeża i wiedział wszystko o Pine i niesławnym Dole Skarbów. W dzieciństwie fascynowała go ta historia, jak zresztą wszystkich jego przyjaciół.

- Jesteście pewni?

- Nie ma wątpliwości - potwierdził Mark. - Zgadnij, co znaleźli w Dole Skarbów, że wybrali się na poszukiwania czegoś ukrytego w południowoamerykańskiej dżungli.

- Zaraz. Po kolei. Opowiedzcie od początku.

- Było pięciu braci. Jeden z nich - Eric zerknął w dół na notatki - Donald, zginął, zauważ, siódmego grudnia 1941, kiedy próbowali dotrzeć na dno Dołu. Zaraz po tym trzej najstarsi zaciągnęli się do wojska. Piąty, ze względu na nich, musiał jeszcze trochę poczekać. Nick Ronish stał się jednym z najbardziej zasłużonych marines w historii Korpusu, o czym świadczą jego odznaczenia. Brał udział w natarciach na trzy wyspy, był w pierwszym rzucie podczas ataku na Iwo Jimę. Ronald służył w 81. Dywizji Powietrznodesantowej jako spadochroniarz. Wylądował w Normandii i przeszedł cały szlak bojowy do Berlina. Ostatni z nich, Kevin, wstąpił do marynarki wojennej. W roli obserwatora latał sterowcem na patrolu u wybrzeży Kalifornii.

- Parę lat po wojnie kupili sterowiec z demobilu - wtrącił się Mark. - Kevin zrobił na niego licencję pilota i wybrali się do Ameryki Południowej.

- Wiadomo, czy coś znaleźli na wyspie Pine? - zapytał Juan. - O ile dobrze pamiętam, zorganizowano tam dużą ekspedycję w latach siedemdziesiątych XX wieku.

- Owszem. James Ronish, ocalały brat, dostał podobno sto tysięcy dolarów od Dewayne'a Sullivana za to, że pozwolił mu prowadzić wykopaliska na wyspie. Sullivan to taki współczesny Richard Branson\*. Zarobił masę pieniędzy na ropie i wydawał je na różne szalone przygody: samotna podróż jachtem dookoła świata, akrobatyczne skoki spadochronowe z balonu meteorologicznego z wysokości około dwóch i pół tysiąca metrów. \* Sir Richard Charles Nicolas Branson (ur. 1950 r.) - angielski przedsiębiorca, miliarder. Przemierzył Atlantyk najpierw łodzią, potem balonem (przyp. red.).

- W 1978 roku usadowił się na wyspie Pine i przez cztery miesiące kopał w Dole Skarbów. Jego ekipa miała wydajne pompy i zbudowała koferdam, żeby zapobiec przesączeniu się do środka wody

z pobliskiej laguny, ale i tak nie zdołali porządnie osuszyć szybu. Nurkowie znaleźli szczątki Donalda Ronisha, które później pochowano, i wydobyli mnóstwo śmieci. Ale potem zginął robotnik podczas tankowania jednej z motopomp. Zostawił ją na chodzie, paliwo się rozlało i stanęła w płomieniach. Bodaj następnego dnia jeden z nurków dostał choroby kesonowej i musiano go zabrać helikopterem z powrotem na brzeg. Wtedy Sullivan zakończył całą operację.

- Zgadza się! - wykrzyknął Juan. - Teraz sobie przypominam. Powiedział, że żadna tajemnica nie jest warta ludzkiego życia.

Eric pociągnął z puszkę łyk napoju energetycznego.

- Właśnie. Ale Mark i ja uważamy tak: po wojnie bracia wrócili na wyspę i zbadali szyb. Nie znaleźli żadnego skarbu, albo może tylko taki, który wystarczył na zakup sterowca. Choć nie wyobrażam sobie, żeby marynarka wojenna dużo za nie wtedy żądała. Tak czy owak, natrafili w Dole na ślad prowadzący do Ameryki Południowej. Na jakąś mapę albo rzeźbę.

- Ale się rozbili, zanim dolecieli na miejsce - dodał Murphy.

- A co z najmłodszym bratem? - spytał Max. - Co się z nim stało?

- James Ronish został ranny w Korei. Nigdy się nie ożenił, wciąż mieszka w domu, który zostawili mu rodzice, kiedy przenieśli się z wybrzeża gdzie indziej, i nadal jest właścicielem Pine. Zdobyliśmy jego numer telefonu i adres.

- I znamy stan finansów faceta. - Mark zerknął w dół na kawałek papieru. - Dziś w południe miał tysiąc dwieście dolarów na koncie oszczędnościowym. Czteryście na rachunku bieżącym i prawie tysiąka na karcie kredytowej. Drugi raz zalega z podatkami, ale spłaca pożyczkę hipoteczną. Wziął ją siedem lat temu.

- To nie wygląda na sytuację osoby, której rodzina znalazła łup piratów.

- Wcale. Po prostu stary człowiek odliczający czas do dnia wiecznej drzemki - skwitował Mark.

- Natknęliśmy się na coś w internetowej bazie danych lokalnej gazety. Pewien miejscowy przedsiębiorca oznajmił, że on i Ronish zawiązali spółkę, żeby znów spenetrować Dół. To było pięć lat temu. Ten ktoś miał dać pieniądze i sprzęt, ale potem nic z tego nie wyszło.

Juan przez moment w zamyśleniu sącył tequile.

- Odnoszę wrażenie, że ilekroć panu Ronishowi brakuje funduszy, jest gotów udostępnić swoją wyspę do eksploracji.

- Na to wygląda - zgodził się Eric. - Mogę wytropić tamtego przedsiębiorcę i sprawdzić, dlaczego się wycofał.

Murphy przysunął się bliżej do kamery internetowej.

- Znów włamię się do systemu bankowego i zobaczę, jakie kłopoty finansowe miał pan James, kiedy ogłoszono zawarcie umowy.

- Sprzeciwiam się jednemu i drugiemu - oznajmił prezes. - Te obie rzeczy nie są ważne, bo nie zajmujemy się Dołem Skarbów.

Murphy i Eric wyglądali jak dzieci, którym odebrano szczeniaczka.

- Chcemy go tylko poinformować - ciągnął Juan - że znaleźliśmy szczątki jego braci i prawdopodobnie dziennik pisany przez jednego z nich po katastrofie.

Nikt dotąd nie zdążył przeczytać papierów zapakowanych w prezerwatywę. Wciąż leżały w bagażu Cabrilla.

- Chyba nie mówisz poważnie? - jęknął Mark. - Zbadanie sprawy Jamesa mogłoby doprowadzić do jakiegoś znaczącego odkrycia. Pierre Devereaux był słynnym korsarzem. Jego skarb musi gdzieś

być.

Max chrząknął.

- Prawdopodobnie leży na dnie oceanu razem z okrętem.

- *Au contraire, mon frčre\** - nie ustępował Mark. - Ktoś ocalał, kiedy okręt zatonął na Morzu Karaibskim. \* Wręcz przeciwnie, bracie. Właśnie okrążyli przylądek Horn i nie wieźli żadnego ładunku. Podobno Devereaux spędził jakiś czas u naszego zachodniego wybrzeża z garstką ludzi, ale na pokład wrócił sam.

- Albo to wszystko bzdury, żeby legenda nie umarła.

- Daj spokój, Max, gdzie twoja fantazja? - prychnął Eric. Hanley uniósł krzaczastą brew.

- Fantazja?

- Wiesz, o co mi chodzi. Nigdy w dzieciństwie nie marzyłeś, żeby znaleźć piracki skarb?

- Dwie tury w Wietnamie pozbawiły mnie całej fantazji, jaką mogłem mieć.

- Przepraszam, panowie - przerwał Juan zdecydowanym tonem. - Nie interesuje nas żaden piracki skarb. Zamierzamy tylko dostarczyć papiery panu Ronishowi i powiedzieć mu, gdzie zginęli jego bracia.

- W porządku - odparli chórem z minami winowajców.

Cabrillo się uśmiechnął.

- Poczekajcie, poszukam długopisu, żeby zanotować adres, i ruszamy z Makssem do stanu Waszyngton.

- Nie zapomnijcie zabrać czosnku i drewnianego kołka - doradził Eric.

- O czym ty mówisz?

- Ronish mieszka pod Forks. W tym mieście rozgrywa się akcja książek z serii *Zmierzch*.

- Słucham?

- To cykl romantycznych powieści o miłości nastolatki do wampira.

- Skąd miałem to wiedzieć? - obruszył się Cabrillo. - I skąd ty to wiesz?

Eric się zmieszał. Max wybuchnął śmiechem.

Ponieważ tak naprawdę nic ich nie goniło do Forks, Max bez większego trudu namówił Cabrilla do spędzenia nocy w Las Vegas. Gdyby Juan chciał, mógłby wieść wygodne życie jako zawodowy pokerzysta, więc bez problemu odbierał pieniądze amatorom przy swoim stoliku. Hanleyowi gra w kości nie szła tak dobrze, ale obaj stwierdzili, że przydała im się ta rozrywka.

W Port Angeles nad cieśniną Juan de Fuca wypożyczyli forda explorera i po godzinnej jeździe wokół malowniczych gór Olympic dotarli do celu.

Forks okazało się typowym małym amerykańskim miastem - skupisko firm przy drodze numer 101, z tyłu domy w różnych stadiach zaniedbania. W regionie dominował przemysł drzewny i przy złej sytuacji rynkowej Forks nie prosperowało. W witrynach wielu nieczynnych sklepów wisiały kartki: „Lokal do wynajęcia”. Nieliczni przechodnie na ulicach snuli się jakby bez celu. Byli przygarbieni nie tylko z powodu zimnego wiatru od pobliskiego północnego Pacyfiku.

Ciemniejące niebo zasnuwały ciężkie chmury; lada moment mógł lunąć deszcz.

W centrum miasta Max wskazał głową ich hotel.

- Najpierw się zameldujemy czy jedziemy prosto do Ronisha?

- Nie wiem, czy facet będzie rozmowny i jak długo urzędują tu w recepcji. Lepiej się zameldujemy, zanim złożymy wizytę panu Jamesowi.

- Człowieku, to na pewno nie jest Caesar.

Dwadzieścia minut później dojechali do drogi gruntowej w bok od Bogachiel Way, dziesięć kilometrów za miastem. Sosny w wysokim gęstym lesie stały tak blisko siebie, że zobaczyli światła w oknach niemal w ostatniej chwili.

Jak powiedział Eric, James Ronish nigdy się nie ożenił, i to było widać. Parterowego domu nie malowano od dziesięciu lat albo dłużej. Dach naprawiono gontami nie do koloru, trawnik od frontu przypominał złomowisko. Kilka wraków samochodów, skrzywiona antena satelitarna wielkości ogrodowego brodzika dla dzieci, śmietniki z różnym szmelcem. Drzwi do garażu stały otworem, w środku panował taki sam bałagan. Na stołach warsztatowych wały się nierozpoznawalne rupiecie; przez graciarnię biegła wąska ścieżka.

- Coś prosto z magazynu „Lepsze Domy i Szroty” - zażartował Juan.

- Założę się, że te zasłony to ścierki do naczyń.

Cabrillo zaparkował suwa obok zdezelowanego pikapa Ronisha. Drzewa skrzypiały na wietrze, igły szumiały. Nadciągała burza. Juan wziął z samochodu papiery zapakowane w prezerwatywę. Bardzo chciał je przeczytać, ale nie wypadało. Mógł mieć tylko nadzieję, że Ronish podzieli się z nimi treścią.

W zakurzonej oknie panoramicznym migotała niebieska poświata. James oglądał telewizję. Kiedy się zbliżyli do wejścia, usłyszeli, że to teleturniej.

Juan pociągnął skrzypiące drzwi siatkowe i zapukał. Przez kilka sekund nic się nie zadziało, więc zastukał mocniej. Minęło następne dwadzieścia sekund, zanim rozbłysła zewnętrzna lampa i drzwi się uchyliły.

- O co chodzi? - zapytał kwaśno gospodarz.

Był wielki, z dużym brzuchem, przeredzonymi siwymi włosami i podejrzliwymi oczami. Opierał się na aluminiowej lasce. Pod nosem miał przezroczystą plastikową kaniulę oddechową połączoną z koncentratorem tlenu wielkości mikrofalówki.

- Panie Ronish, nazywam się Juan Cabrillo. To jest Max Hanley.

- I?

Przyjazny typ, pomyślał Juan. Najwyraźniej Mark miał rację. Ronish to stary człowiek, który odlicza czas do śmierci.

- Nie wiem, jak to panu powiedzieć, więc po prostu...

- Szkoda fady - przerwał mu James i zaczął zamykać drzwi.

- Znaleźliśmy „Latającego Holendra”. To znaczy, wrak.

Ronish zbladł, z wyjątkiem zaczerwienionego od dżinu nosa.

- Co z moimi braćmi?

- Na siedzeniu pilota były ludzkie szczątki.

- Kevina - mruknął cicho starzec. Potem natychmiast stał się czujny. - Co wam do tego?

Max i Juan wymienili spojrzenia. Rozmowa nie szła tak, jak oczekiwali.

- No więc...

- Jeśli jesteście tu w sprawie wyspy Pine, to możecie o tym zapomnieć.

- Pan nie rozumie. Właśnie wróciliśmy z Ameryki Południowej. Pracujemy dla... - Juan zamierzał skłamać, że dla ONZ-u, ale przypuszczał, że po tej informacji Ronish stanie się jeszcze bardziej podejrzliwy - pewnej firmy górniczej. Prowadziliśmy badania i przypadkiem odkryliśmy miejsce katastrofy. Musieliśmy trochę poszukać, żeby się zorientować, co znaleźliśmy.

W tym momencie lunął deszcz. Lodowate igły przebijały sosnowe sklepienie i uderzały w ziemię

niemal jak grad. Ganek był niezadaszony, więc Ronish niechętnie otworzył drzwi i wpuścił dwóch mężczyzn do domu.

W środku pachniało starymi gazetami i nadpsutym jedzeniem. Sprzęty w kuchni obok wejścia miały co najmniej czterdzieści lat, podłogę pokrywało matowe linoleum. Brunatno-mysie meble w salonie pasowały do koloru wytartego dywanu. Na stołach i pod poźółkłymi ścianami piętrzyły się ilustrowane magazyny. Piętnaście czy dwadzieścia butli z tlenem stało przy drzwiach frontowych. Odslonięta jarzeniówka w kuchni buczała dla Cabrilla tak nieznośnie, jakby ktoś drapał paznokciami tablicę szkolną.

Jedyne inne światło dawała lampa stojąca obok fotela, w którym Ronish oglądał teleturniej. Juan przysiągłby, że jest w niej pięciowatowa żarówka.

- No więc znaleźliście ich, tak? - zapytał James obojętnym tonem.

- Zgadza się. Spadli w północnej Argentynie.

- Dziwne. Kiedy startowali, mówili, że będą szukać wzdłuż wybrzeża.

- Wie pan, czego szukali? - odezwał się po raz pierwszy Max.

- Wiem. I to nie wasz interes.

Krępująca cisza ciągnęła się kilka sekund. Juan nie takiej reakcji oczekiwał. Zachowanie Jamesa nie równoważyło tego, co spotkało Jerry'ego Pułaskiego.

- Proszę. - Cabrillo wyciągnął rękę z zawiniątkiem zabranym z rozbitego sterowca. - Znaleźliśmy to we wraku i pomyśleliśmy, że może być ważne. Chcieliśmy tylko oddać to panu i poinformować o losie braci.

- Coś wam powiem. - Gniew pogłębił zmarszczki wokół oczu Ronisha. - Gdyby nie tamci trzej, Don nadal by żył, a ja nie miałbym idiotycznego wyobrażenia o romantycznej przygodzie, kiedy zgłaszałem się na ochotnika do Korei. Wiecie, jak to jest stracić nogę w walce z Chińczykami?

- Owszem...

- Wynocha! - warknął Ronish.

- Nie, poważnie. - Juan podciągnął nogawkę dżinsów i opuścił skarpetkę. Ta proteza była pokryta plastikiem w kolorze ciała, mimo to w słabym świetle noga wyglądała na sztuczną.

James trochę spuścił z tonu.

- Okej. Możemy sobie podać ręce. Co się stało?

- Oberwałem od chińskiej kanonierki w szalonych czasach swojej młodości.

- Coś takiego. Co za ironia losu. Napijecie się piwa?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, siatkowe drzwi na zewnątrz otworzyły się ze skrzypnięciem. Pukanie.

Cabrillo spojrział z niepokojem na Maksa. Nie słyszał, żeby ktoś przyjechał, ale bębnienie deszczu mogło zagłuszyć warkot samochodu. I jakie były szanse, że starego zrzęde Jima Ronisha odwiedzi drugi gość tego samego wieczoru?

Powiedział sobie, że trzeba się odprężyć. To nie operacja. Tylko przekazują wiadomość nieszkodliwemu starcowi, który mieszka na pustkowiu. Max miał rację. Juan potrzebował odpoczynku.

- Cholera. Co znowu? - burknął Ronish i sięgnął do klamki.

Instynkt podpowiedział Juanowi, że coś jest nie tak. Zanim zdążył powstrzymać Jamesa, ten otworzył drzwi. Za progiem stał na deszczu jakiś mężczyzna, jego mokra twarz lśniła w świetle padającym z domu.



Przybysz i Cabrillo natychmiast się rozpoznali i podczas gdy jeden stracił decydującą mikrosekundę na rozważenie sytuacji, drugi zareagował.

Juan podziękował sobie w duchu, że zabrał glocka. Brak klasycznego bezpiecznika umożliwił mu natychmiastowe działanie. Wyszarpnął pistolet z kabury pod wiatrówką i strzelił zza ramienia gospodarza. Pocisk trafił we framugę i odłupał kawał drewna.

Argentyńczyk, którego Cabrillo wykołował w obozie drwali, uskoczył za osłonę. Huk broni wypełnił przedpokój, ale Juan dosłyszał głosy na dworze. Major nie przybył sam.

Cabrillo stłumił chęć zrozumienia, co się właśnie stało. Rzucił się naprzód i zatrzasnął drzwi. Zamek był chyba najtańszy z dostępnych, ale go zaryglował. Liczyła się każda sekunda.

Max zwałił z nóg zaszokowanego Jamesa Ronisha i obaj runęli na podłogę. Hanley opasywał ramieniem plecy zniechęconego człowieka. Cabrillo dał nura do kuchni i zgasił światło. Potem dostał się do salonu i po prostu popchnął stojącą lampę na ziemię. Słaba żarówka zgasła z wystrzałem. Wyłączył jeszcze telewizor; w starym domu zapadła całkowita ciemność.

- Co się dzieje?! - zawył Ronish.

- Część mojej szalonej młodości wróciła, żeby mnie prześladować - mruknął Cabrillo i przewrócił wyjedzoną przez mole kanapę, żeby mieć dodatkową osłonę.

Mijały sekundy. Max pomógł Ronishowi dobrać się do prowizorycznej reduty Juana.

- Ilu ich jest?

- Co najmniej dwóch - wyszeptał Juan. - Ten przy drzwiach to oficer Dziewiątej Brygady.

- Wypaliłeś do niego, więc się domyśliłem, że nie sprzedaje kosmetyków Avonu.

Szyba we frontowym oknie panoramicznym rozprysła się od morderczego ostrzału. Szkło posypało się na mężczyzn skulonych za kanapą. Cienkie ściany domu nie spowalniały pocisków o dużej sile przebicia, więc w deskach pojawiały się dymiące dziury. Pociski przelatowały przez salon i prawdopodobnie zatrzymywały się dopiero wtedy, gdy trafiały w drzewa za domem.

- Wałą z karabinów - ocenił Max. Już wyciągnął swój pistolet, ale patrzył na niego z powątpiewaniem. Sądząc po kanonadzie, przeciwnicy mieli nie tylko przewagę ogniową, ale też liczebną.

- Trzyma pan tu jakąś broń? - zapytał Juan.

Stary na szczęście odpowiedział szybko.

- Mam.357 w szufladzie nocnego stolika i 30.06 w szafie. Karabin nie jest naładowany, ale amunicja leży na najwyższej półce pod czapkami bejsbolowymi. Ostatnie drzwi na lewo.

Zanim Cabrillo zdążył przynieść broń, argentyński pocisk trafił w jedną z butli tlenowych. Pocisk przeszedł przez twardą stal; tlen na szczęście nie eksplodował, ale dziewięciokilogramowy pojemnik wystartował jak rakieta. Uderzył w stół w jadalni, noga się złamała i blat runął pod ciężarem starych czasopism.

Potem butla walnęła w kanapę tak mocno, że pchnęła ją na ukrytych z tyłu mężczyzn, zrobiła dziurę w ścianie z płyty gipsowo-kartonowej i upadła na podłogę. Wirowała jak bąk, dopóki nie uszedł z niej cały gaz.

Mieli szczęście. Butla mogła eksplodować i wywołać reakcję łańcuchową, czyli wybuchy kilkunastu sąsiednich. Tkwili w śmiertelnej pułapce.

- Zapomnijmy o broni! - krzyknął Juan. - Musimy się stąd wydostać.

- Nie dam rady - wyrzęził James. Oddychał głęboko, ale brakowało mu powietrza. - Potrzebuję tlenu. Nie przetrwam pięciu minut.

- Jeśli zostaniemy, nie przeżyjemy pięciu sekund! - odparł Cabrillo, choć znał prawdę. James Ronish nie mógł się ruszyć.

Ostrzał ustał, kiedy Argentyńczycy przegrupowali się po pierwszym szaleńczym ataku. Najwyraźniej chcieli wziąć Ronisha żywcem. Juan był pewien, że jego i Maksa nikt nie śledził w drodze do stanu Waszyngton, więc domyślał się, że napastnicy poszli tym samym tropem, co on. A to znaczyło, że wiedzą dużo więcej o brzemiennej w skutkach podróży „Latającego Holendra”. Na pewno chcieli wyciągnąć od Ronisha jakąś informację. I Juan czuł, że piracki łup Pierre’a Devereaux nie odgrywa tu żadnej roli.

Cabrillo trzykrotnie nacisnął spust glocka, żeby utrzymać Argentyńczyków na dystans. Przypuszczał, że okrążą dom i podejdą z kilku stron. Nadal nie miał pojęcia, jak się z tego wykaraskać.

- Panie Ronish - powiedział - oni są tu z powodu czegoś, co pańscy bracia znaleźli w Dole Skarbów. To wiąże się też ze sterowcem, prawda? Co to takiego?

Następne strzały z zewnątrz zagłuszyły odpowiedź Jamesa. W pokoju unosił się pył ze zniszczonej ściany; wypełnienie kanapy opadało jak śnieg. Ronish nagle zeszywniał i jęknął cicho.

Dostał. W ciemności Cabrillo położył rękę na piersi starca. Nic nie wyczuł, więc przesunął dłoń niżej. Ronish nie został trafiony w brzuch, więc Juan sprawdził jego nogi. W ciągu kilku sekund z uda mężczyzny wypłynęło mnóstwo krwi; musiał dostać w tętnicę udową. To jasne, że bez pomocy lekarskiej wykrwawi się w parę minut. Juan przełożył pistolet do lewej ręki i ucisnął ranę najmocniej, jak mógł; Max otworzył ogień przez okno panoramiczne. Atakujących było zdecydowanie mniej od frontu. Jeden lub dwóch Argentyńczyków zbliżało się z flanki.

- Co znaleźli? - zapytał desperacko Juan.

- Drogę do dżonki - wymamrotał Ronish głosem pełnym bólu. - Gzyms kominka. Zatrzymałem odbitkę.

Juan mgliście przypomniał sobie oprawiony obraz nad kominkiem ze sztucznych cegieł. Frotaż? Nie pamiętał. Nie przyjrzał się. Spojrzał w stronę gzysu kominka i strzelił. Błysk z lufy oświetlił kontury obrazu na ścianie - był o wiele za duży, żeby łatwo go wynieść.

- Panie Ronish, proszę. Co to znaczy „drogę do dżonki”?

- Wolałbym, żeby nigdy się nie wybrali na wyspę - jęknął James. Trząsł się w szoku, jego organizm gwałtownie reagował na spadające ciśnienie krwi. - Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Max zmienił magazynek. Obaj wzięli tylko po dwa zapasowe z bezpiecznego domu w Houston.

Pod dłonią na ranie Juan już nie czuł, jak serce mężczyzny pompuje krew. James Ronish nie żył. Cabrillo się za to nie winił. Nie przyczynił się do tego, przynajmniej nie bezpośrednio. Argentyńczycy i tak zabiliby starca. Ale gdyby Juan i jego drużyna nie natknęli się na wrak „Latającego Holendra”, ostatni z braci Ronishów dożyłby swoich dni w zapomnieniu.

Na dworze zagrzmiał czyjś głos. Facet mówił po angielsku.

- Podziwiam twoją doskonałą znajomość hiszpańskiego. Pilot myślał, że jesteś z Buenos Aires.

- A ty mówisz jak chihuahua w reklamach taco. - Juan nie mógł się powstrzymać. Adrenalina pieniała się w jego żyłach niczym szampan.

Argentyńczyk odkrzyknął obelgę uwłaczającą rodzicom Juana.

- Dam ci jedną szansę. Jeśli wyjdiesz tylnymi drzwiami, moi ludzie nie strzelą. Ronish ma zostać.

Okno w kuchni się rozprysło. Kilka sekund później chybotliwy blask pojawił się w łukowym

przejściu do jadalni. Wrzucili do środka koktajl Mołotowa, żeby przyspieszyć decyzję Juana.

Cabrillo poderwał się z podłogi, strzelając z biodra w okno, i ściągnął frotaż, czy cokolwiek to było, ze ściany. Cisnął go do kuchni jak frisbee. Rama zawadziła o framugę drzwi, stłukła szybę i obraz zniknął z widoku.

Max znów otworzył ogień, żeby osłonić Juana zmieniającego magazynek, i obaj pobiegli korytarzem w kierunku sypialni. Typowy dom ranczerski nie różnił się od milionów innych zbudowanych po II wojnie światowej. W takim samym mieszkaniu kiedyś Juan, dopóki jego ojciec nie zajął się księgowością; w takich samych mieszkaniach wszyscy jego przyjaciele; w takim samym wychowywał się Max. Mogli się tu poruszać z zamkniętymi oczami.

Główna sypialnia była ostatnim pokojem na lewo, tuż za łazienką. Juan wiedział nawet, gdzie stoi łóżko, bo mogło być tylko w jednym miejscu. Wskoczył na nie, uginając kolana, żeby trochę zamortyzować lądowanie, po czym odbił się od materaca. Osłonił głowę rękami, kiedy przebijał się przez okno.

Spadł na pokrytą mokrym igliwem ziemię, przetoczył się przez ramię i poderwał z bronią gotową do strzału. Błysk z lufy zza rogu domu zdradził pozycję przeciwnika. Cabrillo posłał tam dwie kule. Nie usłyszał mięsistego odgłosu trafienia, ale z ciemności, gdzie czaił się strzelec, doszedł cichy, narastający jęk.

Max odczekał, aż Juan oczyści teren i chwilę później też wydostał się przez okno. Nie miał tak efektownego wyjścia jak Cabrillo, ale się udało. Co sił w nogach popędzili przez ulewę. Wiatr i deszcz zagłuszały ich kroki. Widoczność po ciemku była słaba, ale wystarczająca, by nie wpaść na drzewo. Po pięciu minutach i kilku skrętach na chybił trafił Juan zwolnił i padł na brzuch za jakąś kłodą.

Max dyszał jak miech obok niego.

- Zechciałbyś mi łaskawie wyjaśnić - wysapał - co oni tu, do cholery, robią?

Cabrillo oddychał o wiele lżej, ale był o dwadzieścia lat młodszy od przyjaciela i w przeciwieństwie do Maksa dużo ćwiczył.

- To, drogi Maxwellu, pytanie za milion dolarów. Jesteś cały?

- Skaleczyłem się tylko w rękę, kiedy wychodziłem przez okno. Drobiazg. A ty?

- Ucierpiała jedynie moja duma. Powinienem zdjąć tamtego faceta pierwszym strzałem.

- Poważnie, jak oni tu trafili?

- Tak jak my. Tropem „Latającego Holendra”. Ciekawe, co chcieli znaleźć.

- Jeśli nie są tak stuknięci jak Mark i Eric, to na pewno nie szukają skarbu Devereaux.

- Tego nigdy się nie dowiemy. Frotaż się spalił w kuchni i już oddałem papiery Ronishowi.

Max pogrzebał w kieszeni kurtki i wcisnął Juanowi coś do ręki. Cabrillo poczuł gąbczastą masę kartek upchniętych w lateks.

- Zabrałem to, kiedy go przewróciłem.

- Chętnie bym cię ucałował.

- Pozwól, że najpierw się ogolę, żebyś miał prawdziwą przyjemność. - Zawsze żartowali, w stresowych sytuacjach żeby odreagować. - Co dalej?

Max zawsze wytrwale dążył do celu bez względu na wyzwanie; Cabrillo układał plany. Hanley nie miał pojęcia, co teraz zrobić, Juan natomiast wiedział to od chwili, kiedy rzucił frotaż do płonącej kuchni. Gdyby był ze sobą szczery, musiałby przyznać, że wręcz od momentu, gdy argentyński major stanął przed drzwiami Jamesa Ronisha.

- To naprawdę proste. - Odwrócił się na plecy, żeby deszcz spłukał mu z ust smak prochu strzelniczego. - Wyjaśnimy tajemnicę Dołu Skarbów na wyspie Pine.

# Rozdział 13

Grupa pięciu Latynosów - w tym jeden ranny - rzuciłyby się w oczy w takich małych miastach jak Forks i Port Angeles, więc Espinoza i jego ludzie musieli wrócić do Seattle. Ich postrzelony w bok towarzysz cierpiał w milczeniu podczas godzin jazdy do celu. Mogli go porządnie opatrzyć dopiero w obskurnym hotelu na przedmieściu. Pocisk przeszedł na wylot czysto i nie uszkodził jelita, więc mężczyzna powinien się wylizać, chyba że wdałaby się infekcja. Zaaplikowali mu leki bez recepty i pół butelki brandy.

Kiedy ekipa się rozlokowała, Espinoza wrócił do pokoju, który dzielił z Raulem Jimenezem. Poprosił przyjaciela, żeby zostawił go samego, po czym włączył telefon satelitarny. Nie wiedział, jak jego ojciec zareaguje na wiadomość. Denerwował się.

- Melduj - odezwał się generał tytułem powitania; bez wątpienia rozpoznał numer.

Espinoza się zawahał świadomy tego, że komputery amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego monitorują prawie każde połączenie bezprzewodowe na świecie i szukają w masie danych słów kluczowych, które przyciągnęłyby uwagę środowiska wywiadowczego.

- Natknęliśmy się na konkurencję. Właśnie tego człowieka widziałem parę dni temu.

- Nie wiedziałem, czy będą zainteresowani, ani nie spodziewałem się, że zadziałają tak szybko - odparł generał. - Co się wydarzyło?

- Cel został zabezpieczony; ucierpiał jeden z moich ludzi.

- Nie obchodzą mnie twoi ludzie. Dowiedziałeś się czegoś? Czy znów mnie zawiodłeś?

- Zdobyłem dokument - odparł Espinoza. - Amerykanie chcieli go zniszczyć, wrzucili do ognia, zanim się ewakuowali. Ale wkroczyliśmy w samą porę, żeby to uratować. Mówiłeś, że na miejscu może znajdować się dowód, że cel wie coś o Chinach, więc kiedy zobaczyłem to na podłodze w kuchni, zabrałem bez wahania. To frotaż. Podobny do rodzinnych kopii nagrobków. Jest na nim mapa zatoki, ale nie wiadomo, gdzie położonej. Są też znaki przypominające azjatyckie pismo.

- Chińskie? - zapytał niecierpliwie generał.

- Na to wygląda.

- Doskonale. Jeśli to prowadzi tam, dokąd przypuszczam, to zmienimy świat, Jorge. Porozmawiałeś z celem?

Espinoza senior nie wyjaśnił, w czym rzecz, ale słowa pochwały przepełniły syna dumą.

- Nie żył, kiedy weszliśmy do środka. Spaliliśmy dom. Wątpię, żeby szukali na ciele śladów użycia przemocy, więc uważam, że jesteśmy czyści.

- Skąd dzwonisz?

- Z Seattle. Mamy wrócić do domu?

- Nie. Jeszcze nie. Jutro wyślij mi frotaż. - Generał urwał; rozważał możliwości i szanse. W końcu zapytał: - Co, twoim zdaniem, robi teraz konkurencja?

- To zależy od tego, czy wyciągnęli jakąś przydatną informację od celu. Kiedy dotarliśmy do domu, dotknąłem maski ich samochodu. Była jeszcze ciepła, więc przyjechali niedługo przed nami.

- Chciał się skontaktować z celem - powiedział generał Espinoza bardziej do siebie niż do syna. - Będą drażyli dalej, czy odpuszczą?

- Według mnie, są żołnierzami. Prawdopodobnie odwiedzili cel, żeby mu powiedzieć o zaginionych braciach. Wojskowa solidarność.

- Myślisz, że dadzą sobie spokój?

- Przypuszczam, że zameldują przełożonym, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, i tamci zdecydują, żeby zostawić sprawę.

- Tak, wojskowi postąpiłoby w ten sposób. Nie ma wyraźnego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, więc dostaną rozkaz wycofania się z tej akcji. Jest dobrze, Jorge, bardzo dobrze.

- Dziękuję. Wolno wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Generał Espinoza się zaśmiał.

- Nawet gdybyśmy byli sami tutaj, w domu, nic bym ci nie powiedział. Przykro mi, Jorge. Mogę zdradzić tylko tyle, że za kilka dni zostanie zawarty sojusz, który na zawsze zmieni równowagę sił na świecie. I jeśli się nie mylę co do twojej zdobyczy, to przyczynisz się do sukcesu tego paktu. Wysłałem cię na poszukiwania wiatru w polu, a tymczasem może się okazać, że znalazłeś złote jajo.

Generał zwykle nie używał takich kolokwialnych przenośni, więc Jorge uznał to za oznakę zadowolenia. Jak każdy dobry syn, cieszył się, kiedy sprawiał ojcu przyjemność.

- Zajmij się swoim rannym człowiekiem - ciągnął stary Espinoza - i bądź gotów do drogi w każdej chwili. Jeszcze nie wiem, czy wrócisz do domu, czy też dostaniesz nowe zadanie. Zobaczmy, czego się dowiemy z frotażu. - Urwał, aby nadać wagę następnym słowom. - Jestem z ciebie dumny, synu.

- Dziękuję, ojcze. Tylko to zawsze chciałem usłyszeć. - Espinoza się rozłączył. Nie zamierzał beczynnie czekać na rozkazy. Nie mógł przewidzieć, jakie informacje uzyskali Amerykanie od Ronisha, ale niewykluczone że pojawią się na prywatnej wyspie.

Cabrillo zawsze twierdził, że pieniądze rozwiązują problemy, i wyobrażał sobie, że nie inaczej będzie z dotarciem na dno Dołu Skarbów.

On i Max spędzili dwie godziny w lesie, przyglądając się, jak płonie mury ranczerski dom Jamesa Ronisha. Czekali tak długo, żeby zyskać pewność, że lepiej uzbrojeni Argentyńczycy wynieśli się z okolicy. Z domu nie zostało nic poza przewróconym kominem i tłącymi się stertami popiołu, które trzaskały i syczały na deszczu. Na pożegnanie przeciwnicy przestrelili im wszystkie cztery opony w wypożyczonym suwie; Juan i Max wracali więc do motelu na kapciach.

Zanim mogli pomyśleć o gorącym prysznicu i łózkach, musieli poprzecinać opony i wyjąć z nich pociski, żeby mechanik w warsztacie nie zgłosił incydentu policji. Rozbili też reflektor i porysowali lśniący lakier. Po pożarze woleli nie wzbudzać żadnych podejrzeń w małym sennym mieście. Ford wyglądał jak ofiara młodych wandalów.

Dzięki takiej dbałości o najdrobniejsze szczegóły korporacja odnosiła sukcesy.

Następnego ranka, kiedy Max poszedł poszukać warsztatu, narzekając pod nosem na „tę cholerną dzisiejszą młodzież”, Juan zorganizował wideokonferencję ze swoim zespołem ekspertów. Kiedy powiedział Markowi i Ericowi, że trzeba zanurkować w Dole Skarbów, zrobili takie miny, jakby byli gotowi wyskoczyć ze statku i natychmiast się do nich przyłączyć.

- Moje pytanie brzmi: jak tego dokonać? Jak powtórzyć to, co udało się tylko Ronishom w

przededniu II wojny światowej?

- Przejrzałeś informacje zabrane z „Latającego Holendra”? - zapytał Eric. Juan zastał ich przy śniadaniu. Ponad ramieniem Stone’a Mark Murphy wcinał banana. - Tam może być jakaś wskazówka.

- Owszem. Ale mimo zabezpieczenia papier jest w kiepskim stanie. Nie wiem, czy zdołam coś odczytać. Załóżcie, że mi się nie uda, i powiedzcie swoje zdanie. Podejmowano wiele prób spenetrowania szybu. Żadna się nie powiodła. Wspomnieliście o jednej z użyciem nowoczesnych technologii; też spełzła na niczym. Jak sądzicie, co wymyślili bracia?

Mark przełknął jedzenie.

- Wiemy, że ich pierwsze podejście skończyło się katastrofą, więc najwyraźniej jeden z nich dowiedział się w czasie wojny czegoś, co dało mu odpowiedź.

- Który?

- Raczej nie pilot. Był obserwatorem w sterowcu. Wątpię, żeby taka robota go zainspirowała.

- Więc albo żołnierz piechoty morskiej, albo komandos - stwierdził Juan.

Mark przysunął się do kamery internetowej.

- To problem techniczny z dziedziny hydrodynamiki. Marines napotykali różne zmyślne pułapki na szlaku bojowym do Japonii. Założę się, że Ronish zobaczył jakiś japoński patent i doszedł do wniosku, że Pierre Devereaux pierwszy to wynalazł.

Eric spojrzał na niego z ukosa i uprzedził pytanie Cabrilla.

- Ciągle uważasz, że cała sprawa wiąże się z tamtym piratem? Argentyńczycy tak by się nie angażowali, gdyby w Dole Skarbów był tylko łup korsarza. Wykluczone.

Murphy przyjął postawę obronną.

- Więc o co chodzi?

- Nie wiem. - Eric odwrócił się z powrotem do Juana. - Masz jakiś pomysł, prezesie?

- Żadnego. Ronish umarł, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. A Max i ja nie zdążyliśmy przeszukać domu. Ruszcie głowami. Co oni wykombinowali? Jak możemy zbadać Dół?

Mark postukał się w podbródek.

- Jakieś urządzenie... przyrząd... Pułapka. Coś związanego z wodą. Ciśnieniem hydrostatycznym.

- Coś ci świta?

- Przykro mi, szefie. - Murphy pokręcił głową. - Tak mnie pochłonęła historia, że nie zastanawiałem się nad techniką.

Juan westchnął.

- Okej. Nie przejmuj się. Max i ja coś wymyślimy.

- Mogę wiedzieć co? - spytał Eric.

- Nie. Ja tu improwizuję.

Przez następną godzinę układali spis potrzebnego sprzętu i plan jego zdobycia. Zdecydowali, że to, czego nie da się kupić w Port Angeles, sprowadzą z Seattle. Zanim skończyli, samochód dostawczy jechał do Forks z największego miasta w stanie Waszyngton i mały prom płynął z Port Angeles, żeby zabrać Maksa i Cabrilla z nabrzeża rybackiego w miasteczku La Push oddalonym zaledwie kilka kilometrów na północ od wyspy Pine. Jedyne kłopot polegał na tym, że stracą następny dzień, bo wysokiej klasy podwodny sprzęt telekomunikacyjny leciał samolotem z San Diego.

Kiedy wszystko już załatwili, dodatkowe obciążenie na Ameksie prezesa wynosiło czterdzieści tysięcy dolarów, ale problem był rozwiązany.

Miał nadzieję.

Zapytał o morale załogi, zwłaszcza Mike'a Trona.

- Po ceremonii rozmawiał przez godzinę z doktor Huxley - odparł Eric. - Stwierdził, że jest zdolny do czynnej służby. Linda zweryfikowała to z Hux, więc wrócił do pracy z resztą ziejących ogniem.

- Pewnie wyjdzie mu to na dobre. O wiele lepiej mieć zajęcie niż siedzieć beczynnie. - Cabrillo wiedział to z własnego doświadczenia. - Odezwiemy się do was z wyspy. Przypuszczam, że chętnie śledzilibyście przekaz wideo stamtąd.

- Jasne - odpowiedzieli chórem.

Juan się rozłączył i zamknął laptop. Dostawy z Seattle i Port Angeles przyszły pod wieczór, więc Max i Cabrillo wyruszyli do La Push dopiero następnego ranka. Prom spóźnił się kilka godzin z powodu wiatru, ale szybko wjechali na pokład naprawionym su-vem. Płaskodenny prom do transportu tylko czterech pojazdów był na łasce morza. Podczas rejsu na Pine diesel zmagął się z falami, które przelewały się przez dziób. Na szczęście kapitan dobrze znał ten akwen i świetnie sobie radził.

Dostał też pieniądze za to, żeby zapomniał o tym kursie.

Podejście do wyspy poszło gładko, bo jej jedyna plaża była osłonięta od wiatru. Mogli się zbliżyć do brzegu tylko na dwanaście metrów, potem musieli opuścić pochylnię dziobową. Juan ocenił, że woda ma głębokość co najmniej półtora metra.

Sprawdził, czy Max zapiął pas, zanim cofnął explorera do samej rufy.

- Gotowy?

Hanley mocniej zacisnął rękę na podłokietniku.

- Dawaj.

Cabrillo wdepnął pedał gazu; opony forda zapiszczały napokładzie. Ciężki samochód pomknął przez prom i w dół po pochylni. Wpadł do oceanu. Rozbryzgi spienionej wody przykryły maskę, a potem dach, ale rozpęd wystarczył, by się przez nie przebić. Silnik mocno dociążał przód, więc przednie koła złapały przyczepność na łupkowym dnie.

Nie wyglądało to elegancko i samochód się krztusił, kiedy osłona chłodnicy się wynurzyła, ale się udało. Juan wspinał się suvem na plażę, krzycząc i zachęcając go do jazdy, dopóki wszystkie cztery koła nie znalazły się na lądzie.

- Miałeś frajdę, co? - odezwał się Max. Trochę zbladł. A kiedy Juan wyszczerzył do niego zęby w szerokim uśmiechu, dodał: - Ciekawe, czy pomyślałeś, jak załadujemy tę brykę z powrotem na prom, kiedy skończymy.

- Może nie pamiętasz, ale wzięłem pełny pakiet ubezpieczeniowy, kiedy ją wypożyczałem. Budget Rent-A-Car ma dziś pecha.

- Szkoda że mi nie powiedziałeś. Kupiłbym bieżnikowane opony, zamiast nowych.

Juan westchnął jak cierpiący w milczeniu małżonek.

- Już ze sobą nie rozmawiamy.

Zaparkował tuż za linią przyływu. Wcześniej przedyskutowali ewentualność, że Argentyńczycy zastawią na nich pułapkę.

Podczas gdy Max kompletował część sprzętu, Juan uważnie obserwował plażę w poszukiwaniu oznak, że ktoś wyszedł ostatnio na brzeg. Łupki wyglądały na nienaruszone. Nie było takich wgłębień, jakie zostawiały jego stopy przy każdym kroku. Wiedział od Marka i Erica, że tylko w tym



miejscu można się dostać na wyspę, więc nabrał przekonania, że od dawna nikt się tu nie pojawił.

Zabrali ze sobą bateryjne zdalne detektory ruchu, które bezprzewodowo mogły wysłać sygnał do laptopa Cabrilla. Ukrył kilka z nich na plaży. Skierował się w głąb lądu, żeby fale przyboju nie włączyły alarmu. Bez wsparcia nic lepszego nie mogli zrobić.

Szlak prowadzący do szybu mocno zarósł, musieli więc do maksimum wykorzystać terenowe własności suwa. Młode drzewka i krzewy zniknęły pod przednim zderzakiem i ocierały o podwozie. Widzieli dowody, że ludzie wciąż odwiedzają Pine mimo zakazów wstępu. Pozostałości po kilku ogniskach świadczyły o obecności miejscowych nastolatków. Na polanach walały się śmiecie, na niektórych drzewach widniały dawno wyblakłe inicjały.

- To musi być tutejsza alejka zakochanych - zauważył Max. Juan uśmiechnął się szeroko.
- Tylko bez żadnych pomysłów.
- Twoja cnota jest bezpieczna.

Najbliższa okolica szybu niewiele się zmieniła od czasu, kiedy bracia Ronishowie przybyli tu w grudniu 1941 roku. Z jednym wyraźnym wyjątkiem. Stalową płytę przykręcono do skały. Mocno zardzewiała, wystawiona na działanie żywiołów przez ponad trzydzieści lat - bo zamontowano ją pod naciskiem Jamesa Roni-sha - ale nadal była solidna. Mark uprzedził ich o tym, więc się przygotowali.

Duża różnica rzucała się w oczy tuż przy brzegu - w poprzek wejścia do wąskiej zatoczki stały betonowe pylony. Kiedy Dewayne Sullivan próbował osuszyć Dół, zablokował ją, ponieważ prawdopodobnie stamtąd napływała woda, z którą co dzień bezskutecznie zmagali się jego motopompy. Zatoczka napełniła się ponownie od tamtej pory, ale woda wyglądała na stojącą, co oznaczało, że dzięki koferdamowi nie miesza się z oceanem.

Juan zaczął wyładowywać sprzęt, Max przyciągnął do kawała stali palnik tlenowo-acetylenowy. Grubej płyty nie zdołałby przeciąć, więc zaatakował łby śrub. W temperaturze ponad trzech tysięcy stopni nie miały szans. Odciął wszystkie osiem i zgasił syczący palnik. Zapach gorącego metalu szybko rozwiała bryza.

Hak wyciągarki na przednim zderzaku suwa zaczepili za stalową płytę i kiedy Hanley naprężył linę, kawał żelastwa zsunął się gładko po skałach i odsłonił zionącą dziurę w ziemi, która intrygowała całe pokolenia.

- Nie mogę uwierzyć, że zaraz zanurkuję w słynnym Dole Skarbów - powiedział Juan. - Jako chłopiec śledziłem przebieg ekspedycji Dewayne'a Sullivana w gazetach i marzyłem, żeby należeć do jego ekipy.

- To musiała być sensacja tylko na Zachodnim Wybrzeżu - odparł Max. - Ja nigdy nie słyszałem o tym miejscu, dopóki nie dowiedziałem się o nim od Murphy'ego i Stone'a.

- Poza tym nie masz fantazji - podrażnił się z nim Cabrillo, powtarzając wcześniejsze słowa Erica.

Sprzęt do nurkowania, który zamówili w Seattle, był najwyższej klasy. Juan dysponował hełmem z maską na całą twarz i światłowodowym łączem do transmisji danych i komunikowania się z Maksem na powierzchni. Mikrokamera z boku hełmu miała umożliwić Hanleyowi obserwację tego, co robi prezes. Samotne nurkowanie nigdy nie jest dobrym pomysłem, ale gdyby Juanowi coś się stało w szybie, Max by to zobaczył i wciągnąłby go z powrotem na górę.

- Gotowy? - zapytał Hanley, kiedy Juan skończył zapinać pas narzędziowy na „suchym” skafandrze.

Cabrillo złączył palce: „Okej”. Nurkowie nigdy nie unoszą kciuków, chyba że zamierzają się wynurzyć.

- Czuwaj przy komputerze na wypadek, gdyby zadziałały czujniki ruchu. Jeśli któryś się włączy, musisz jak najszybciej wywindować mnie na powierzchnię.

Max miał swój pistolet na dole pleców i broń Juana na siedzeniu obok siebie.

- Wątpię, żeby się zjawili - odparł. - Ale jesteśmy na to przygotowani.

Juan przyczepił hak wyciągarki do pasa i wolno opuścił się ze stalowej płyty do Dołu Skarbów. Nie wiedział, jak wysoko jest nad dnem, bo w szybie panowały egipskie ciemności. Musiał jeszcze włożyć hełm. Wewnątrz cuchnęło gnijącymi krasnorostami i pachniało jodem.

Jego halogenowa lampa rozpraszała mrok tylko na odległość kilkudziesięciu centymetrów.

- Już? - spytał Max.

- Opuszczaj. - Juan włożył hełm i połączył go z kołnierzem. Z dwóch butli na jego plecach popłynęło świeże i chłodne powietrze.

Lina odwijala się z bębna wyciągarki w stałym tempie osiemnastu metrów na minutę. Juan przyglądał się skalnym ścianom poniżej grubych drewnianych wsporników. Tam, gdzie bracia Ronishowie użyli pakul do zatamowania przecieków, ekspedycja w roku 1978 zastosowała szybko schnące spoiwo hydrauliczne. Wyglądało na to, że uszczelnienia nadal spełniają swoje zadanie. Ściany były suche jak pieprz.

- Jak leci? - zapytał Max przez łącze światłowodowe. Ciemność wchłaniała dyndające stopy Cabrilla.

- Trzymam się. Na jakiej głębokości jestem?

- Około trzydziestu metrów. Widzisz już coś?

- Mrok, mrok i jeszcze raz mrok.

Trzydzieści metrów niżej Juan zobaczył odbicie światła swojej lampy nurkowej od wody pod nim - jej powierzchnia była całkowicie nieruchoma. W końcu zauważył dowód, że szyb jest nadal połączony z morzem. Skała pozostała wilgotna po przyływie i omulki niczym czarne winogrona przywierały do niej w oczekiwaniu na powrót wysokiej wody. Juan zorientował się też, że jej poziom odrobinę się podnosi. Ślad po przyływie miał tylko kilkadziesiąt centymetrów wysokości.

- Zatrzymaj mnie na chwilę - poleciał.

- Aha, dotarłeś do wody. - Max patrzył na ekran laptopa.

- Okej, opuszczaj powoli. - Juan nie wiedział, co jest pod powierzchnią, i nie chciał się na nic nadziać. - Stop.

Kiedy dotknął stopą tafla, zatoczył nogą duży łuk w poszukiwaniu przeszkód. Nie natrafił na żadną.

- Dobra, kolejne pół metra w dół.

Powtarzali to, dopóki prezes nie zanurzył się cały i nie przekonał, że szyb jest czysty. Wypuścił trochę powietrza z kamizelki ratunkowej, żeby opaść na pełną długość liny.

- Widoczność sześć metrów - zameldował. Nawet przez „suchy” skafander czuł zimne objęcia Pacyfiku. Bez lampy nurkowej byłby w całkowitej ciemności. Światło słoneczne nie docierało tak głęboko. - Poluzuj trochę linę.

Zanurkował niżej. Gdy zbliżył się do dna, uświadomił sobie, że Dewayne Sullivan zrobił wszystkich w konia. Wykorzystał dwa wypadki jako pretekst do przerwania eksploracji, kiedy w rzeczywistości wyglądało na to, że dotarli do dna i odkryli, że szyb jest pusty. Usunęli wszystkie śmiecie i nic nie znaleźli. Juan przegarnął palcami cienką warstwę mułu na skalnym podłożu. Miała

grubość odpowiadającą długości kciuka. Skała pod nią była gładka, jakby została płasko zeszlifowana. Zainteresowanie Cabrilla wzbudziła tylko nisza wielkości człowieka tuż nad dnem Dołu.

- Chyba kłapa - powiedział do Maksa. - Nic tu nie ma.

- Widzę. - Hanley wyostrzył obraz na ekranie laptopa, bo Juan zmaścił muł. Przebiegająca wiewiórka zatrzymała się przy nim, gniewnie poruszyła ogonem i czmychnęła.

Nagle jakiś hałas zwrócił uwagę Maksa. To nie alarm detektora ruchu, lecz coś znacznie gorszego. Zbliżał się helikopter. Sunął nisko na wysokości grzbietów fal, więc wyspa tłumiała bicie rotorów, dopóki nie znalazł się prawie nad Makssem.

- Juan! Helikopter!

- Wyciągnij mnie! - krzyknął Cabrillo.

- Dobra, ale będzie po wszystkim, zanim dotrzesz na górę.

Dyskutowali o takim posunięciu Argentyńczyków, ale nie mogli się przed tym obronić. Hanley musiał zareagować błyskawicznie.

Warkot wskazywał, że śmigłowiec kieruje się na plażę, gdzie Max i Juan wjechali na brzeg. Logiczne, to było jedyne miejsce do lądowania. Hanley wcisnął guzik wyciągarki, żeby wywindować Cabrilla na powierzchnię, chwycił pistolet Juana z siedzenia i wyskoczył z suwa. Popędził co sił w nogach, wyciągając swoją broń z kabury.

Mało prawdopodobne, żeby Argentyńczycy zabrali ze sobą do Stanów własnego pilota; na pewno wynajęli faceta, aby ich dostarczył na Pine. Gdyby Max zdołał dobiec do plaży na czas, może zdołałby przeszkodzić im w lądowaniu.

Nogi rozbolały go już po kilkuset metrach i odnosił wrażenie, że serce wyrwie mu się z piersi. Płuca konwulsyjnie zasysały powietrze, kilogramy nadwagi obciążały go jak kotwica. Ale nie zwalniał; pędził ze schyloną głową, machając rękami.

Odgłos rotora się zmienił. Max wiedział, że pilot schodzi do lądowania. Ryknął, gdy przedzierał się zarośniętym szlakiem. Nagle poczuł się tak, jakby znów miał dużo mniej niż ponad sześćdziesiąt lat. Jego stopy ledwo dotykały ziemi.

Wypadł z lasu. Przed nim rozciągała się plaża, a tuż nad nią wisiał cywilny jetranger. Podmuch od rotora bezlitośnie smagał wodę, gdy maszyna wolno obniżała lot. Max dostrzegł sylwetki paru mężczyzn na tylnych siedzeniach.

Śmigłowiec był na granicy skutecznego zasięgu Glocków; kiedy Max zatrzymał się z poślizgiem, cały się trząsał, mimo to uniósł pistolety. Wycelował w bok od kokpitu jetranger'a i zaczął naciskać spusty. Strzelał z prawej i lewej ręki, huk każdej broni brzmiał jak jednostajny grzmot. W zaledwie kilka sekund utworzył ołowianą zasłonę z trzydziestu kul.

Nie wiedział, ile pocisków trafiło w helikopter, ale niektóre musiały osiągnąć celu. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i jeden z Argentyńczyków przygotował się do zeskoku na ziemię trzy metry pod płozami. Pilot zwiększył moc i zaczął odlatywać.

Max wypuścił pistolet z lewej ręki i wyciągnął magazynek z drugiego. Mężczyzna w drzwiach przesunął się do przodu, żeby skompensować przechył maszyny. Hanley naładował broń najszybciej od czasów Wietnamu - miał nowy magazynek w chwycie Glocka i spuszczone suwadło, zanim Argentyńczyk zdążył skoczyć.

Strzelał tak szybko jak przedtem, w uszach mu dzwoniło od huku. Facet w otwartych drzwiach nagle się szarpnął i wypadł. Nie próbował się wyprostować, kiedy runął w fale przyboju.

Hanley wyobrażał sobie, co się dzieje w jetrangerze: argentyński major wrzeszczy do pilota, żeby wrócił nad wyspę; prawdopodobnie grozi mu bronią, a pilot pragnie jak najprędzej się oddalić od szaleńca, który go ostrzeliwuje.

Max znów zmienił magazynek i czekał. Kto wygra próbę sił? Po kilku sekundach stało się jasne, że helikopter nie wróci. Skierował się na zachód. Po chwili był tylko białym punktem na szarym niebie.

Hanley się zastanawiał, czy Argentyńczycy darują pilotowi życie. Nie dawał mu dużych szans. Już dowiedli, że są bezwzględni, i Max wątpił, żeby zostawili przy życiu naocznego świadka akcji.

Wciąż ciężko dyszał, gdy w końcu ruszył w kierunku plaży. Argentyńczyk, który wypadł z jetranger, leżał twarzą w dół pięć metrów od brzegu. Trzymając go na muszce, Max wszedł do lodowatej wody; wciągnął powietrze przez zęby, kiedy sięgnęła mu do pasa. Chwycił mężczyznę za włosy i uniósł mu głowę. Zobaczył otwarte, nieruchome oczy. Odwrócił ciało. Pocisk trafił faceta prosto w serce; gdyby Max tam celował, byłby to godny podziwu strzał. Ale po prostu dopisało mu szczęście.

Argentyńczyk nie miał w kieszeniach żadnego dowodu tożsamości, tylko trochę gotówki, mokrą paczkę papierosów i jednorazową zapalniczkę. Hanley zabrał pieniądze i poholował ciałem na plażę. Kiedy uznał, że jest wystarczająco płytko, zaczął wpychać kamienie do ubrania ofiary. Zajęło mu to kilka minut, ale w końcu zwłoki zaczęły tonąć. Max zaciągnął trupa z powrotem na głębszą wodę i puścił. Obciążenie i odpływ powinny sprawić, że ciało już się nie wynurzy. Podniósł swój porzucony pistolet i ruszył z powrotem.

Chciał pobiec, ale nie mógł. Musiał się zadowolić truchtem, choć kolana protestowały boleśnie przy każdym kroku. Na plażę dotarł w niecałe siedem minut, powrót zajął mu ponad kwadrans.

Spodziewał się zobaczyć Juana, ale go nie było. Ku jego przerażeniu lina nie nawinęła się na bęben wyciągarki. Spojrzał na panel sterowania: przez pomyłkę wcisnął guzik odwijania liny.

Osunął się na tylne siedzenie suwa i włożył słuchawki z mikrofonem. Zmarszczył brwi. Na ekranie, zamiast obrazu z kamery prezesa, zobaczył „śnieg”.

- Juan, słyszysz mnie? Odbiór. - W słuchawkach powinien się rozlegać oddech prezesa z wnętrza hełmu do nurkowania, ale panowała złowróźbna cisza. - Hanley do Cabrilla, słyszysz mnie? Odbiór.

Spróbował jeszcze trzy razy, jego niepokój rósł po każdym wywołaniu bez odzewu.

Postanowił nie nawijać liny, wyskoczył z forda i zaczął wciągać światłowód ręką za ręką. Już po kilku sekundach wiedział, że przewód nie jest z niczym połączony. Gorączkowo wyszarpywał z ziemi cienki kabel; kolejne zwoje plątały się u jego stóp.

Kiedy wreszcie ukazał się koniec, Max uniósł go i dokładnie obejrzał. Światłowód nie wyglądał na przecięty. Plastikowy płaszcz wokół delikatnego rdzenia był postrzępiony, jakby się przetarł, sunąc między dwiema szorstkimi powierzchniami. Max widział przekaz wideo. W Dole Skarbów nic nie mogło tak zniszczyć osłony. Włączył wyciągarkę i czekał niespokojnie, aż lina wyłoni się z głębin. Stalowy splot okazał się urwany.

Max ryczał w zimny i wilgotny Dół, dopóki nie ochrypl, ale odpowiadało mu tylko echo głosu bardzo zaniepokojonego człowieka.

# Rozdział 14

Na tle wysokich gór lodowych, którym wiatry i fale nadały fantastyczne kształty, i nieba zabarwionego na czerwono od horyzontu do horyzontu „Oregon” nadal wyglądał jak barka do transportu śmieci. Nawet nieskazitelnie czyste środowisko naturalne Antarktyki nie mogło dodać urody zdezelowanemu frachtowcowi. Tak jak najpiękniejsza rama nie pomoże brzydkiemu obrazowi.

Linda Ross wykonała wspaniałą robotę, doprowadzając ich na południe. Na szczęście pogoda sprzyjała i napotykali mało lodu, dopóki nie znaleźli się po zawietrznej stronie Półwyspu Antarktycznego. Tam Gomez Adams zbadał trasę między górami lodowymi ich MD-520. Silny front burzowy nad większością kontynentu wreszcie ustąpił, ale Gomez zameldował, że mimo to odbył jeden z najryzykowniejszych lotów w życiu. I powiedział to człowiek, który przez lata dostarczał drużyny sił specjalnych za linie wroga.

Linda przyjrzała się sobie w zabytkowym lustrze w swojej kabinie i stwierdziła, że w licznych warstwach polarnych ubrań idealnie pasowałaby do figurki Michelina. W rzeczywistości była bardzo szczupła, ważyła pięćdziesiąt dwa kilogramy, ale lustro oczywiście tego nie pokazywało. A musiała włożyć na siebie jeszcze jedną rzecz po zejściu do hangaru łodziowego.

Zerknęła na komputer na biurku połączony z systemem sensorów statku. Temperatura powietrza na zewnątrz wynosiła minus trzydzieści siedem stopni, ale przez zimny wiatr czuło się o dwadzieścia kresek niższą. Niewiele brakowało do zamrożenia oceanu. Ciśnienie atmosferyczne utrzymywało się na stałym poziomie, Linda wiedziała jednak, że to się może zmienić w każdej chwili.

I dla tego wszystkiego zostawiła północną Minnesotę.

Pochodziła z wojskowej rodziny i nikt nie wątpił, że pójdzie tą drogą. Wstąpiła do Korpusu Szkoleniowego Oficerów Rezerwy Marynarki Wojennej w Auburn i chodziła w mundurze pięć lat. Uwielbiała to, zwłaszcza służbę na morzu, ale zdawała sobie sprawę, że nie robi wielkiej kariery. Marynarka nagradzała zasługi lepiej niż inne rodzaje broni, Linda miała jednak świadomość, że ze swoim wyglądem bajkowej wróżki i cienkim głosem nigdy nie zostanie dowódcą okrętu. A tego pragnęła najbardziej.

Po półtorarocznej pracy w Kolegium Szefów Połączonych Sztabów dostała propozycję awansu i objęcia kolejnego stanowiska sztabowego. Poruszyła wszystkie sprężyny, jakie mogła, ale nie przybliżyło jej to do okrętu, a co dopiero do funkcji dowódcy. To przesądziło sprawę; Linda odeszła. W ciągu miesiąca została pierwszym oficerem na statku koncernu naftowego pływającym po Zatoce Meksykańskiej. Pracę miała zapewnioną na rok.

Ale wtedy w jej życiu nastąpił nieoczekiwany zwrot. Jakiś admirał, którego nie znała, zadzwonił do niej z wiadomością o możliwości zatrudnienia jej w pewnej tajnej jednostce. Kiedy zapytała, dlaczego właśnie ona została wybrana, odpowiedział, że marynarka wojenna popełniła błąd, nie dając jej tego, na co zasłużyła, i w ten sposób chcieliby to naprawić.

Linda nigdy się nie dowiedziała, że Langston Overholt z CIA poprosił dowództwo we wszystkich rodzajach broni o wskazanie ludzi, którzy przydaliby się w korporacji. Tak Cabrillo zwerbował większość swojej załogi.

Wyłączyła komputer i wyszła z kabiny. W ocieplanych butach poruszała się jak potwór stworzony przez Frankensteina.

Hangar łodziowy mieścił się w śródkręciu przy sterburcie. Linda się nie śpieszyła. Jedną z podstawowych zasad przetrwania w warunkach polarnych brzmi: „Nigdy się nie poć”. Choć miała rozpięte ubranie, czuła, jak robi jej się gorąco. Kilka mijanych osób z załogi żartobliwie skomentowało wymiary pani oficer w pękatym białym stroju.

Drzwi na zewnątrz hangaru były izolowane, ale kiedy przyłożyła dłoń, by je pchnąć i otworzyć, poczuła takie zimno, że się wzdrygnęła. Zapięła suwaki wszystkich warstw okrycia, zanim obróciła klamkę.

Pokryta teflonem pochylnia była opuszczona, wrota otwarte, więc klimat Antarktyki uderzył w Lindę z pełną siłą. Zrobiła głośny wdech, oczy jej załzawiły. Wokół statku wiatr burzył czarną wodę i dryfowały małe góry lodowe nazywane kiblami. Reszta trzyosobowej drużyny już czekała. Franklin Lincoln, największy członek załogi, wyglądał jak olbrzym. Linda widziała tylko jego czarną uśmiechniętą twarz w mnóstwie białego materiału. Mark Murphy ginął w swoim stroju niczym mały chłopiec w garniturze ojca.

Załogant wręczył Lindzie wierzchni ubiór i pełną maskę na twarz z telekomunikatorem. Sprawdził, czy nie ma luźnych szwów, i przykleił białą taśmą samoprzylepną jej rękawice z jednym palcem. Potem pomógł Lindzie włożyć plecak i podał broń. Każde z nich brało ze sobą L85A2, stworzoną przez firmę Heckler & Koch wersję brytyjskiego bezkolbowego karabinu szturmowego. Dalszej modyfikacji dokonał rusznikarz okrętowy. Z magazynku umieszczonego za spustem łatwo usuwało się osłonę, żeby strzelec mógł prowadzić ogień w niewygodnych rękawicach. Pod krótkimi lufami zamontowano silne latarki halogenowe.

- Jestem twoim ojcem, Leia - zwrócił się Linc do Lindy, doskonale naśladowując Jamesa Earla Jonesa, który użyczył głosu Darthowi Vaderowi. W masce na twarzy bardzo przypominał arcyłotra.

- Wolalabym raczej pocałować Wookiee - odpowiedziała mu cytatem z *Gwiezdnych wojen*. - Sprawdzam łączność. Słyszysz nas, Mark?

- Owszem, ale co to za Wookiee i Leia?

- Nie udawaj głupiego - odparł Linc. - Nie zdziwiłbym się, gdybyś zmienił drugie imię na Skywalker.

- Jeśli już, to na Solo.

- Eric! - zawołała Linda. - Jesteś na linii?

Stone siedział na swoim zwykłym miejscu na stanowisku nawigatora w centrum operacyjnym. Pełnił tam służbę w najtrudniejszych chwilach rejsu z tej prostej przyczyny, że pod nieobecność prezesa to on był najlepszym sternikiem na pokładzie.

- Tak, Lindo.

- Okej, kiedy tylko wyruszymy, wycofasz się za horyzont. Gdybyśmy musieli szybko się ewakuować, Gomez przyleci po nas helikopterem. Ale dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi, nie chcę, żeby „Oregon” był widoczny z brzegu. - Linda uśmiechnęła się lekko. Teraz dowodziła.

- Przyjąłem - zameldował Eric. - Zmienimy się w jedną z wielu brył lodu na morzu.

- Dobra, panowie, startujemy. - Linda wskoczyła do zapasowego RHIB-a korporacji.

Hydrauliczny taran mógł wystrzelić łódź z „Oregona” jak drag-ster, tym razem jednak spokojnie zjechali do lodowatej wody. Linda odpaliła potężne silniki zaburtowe, gdy tylko się zanurzyli. Zostały już rozgrzane w hangarze, więc przesunęła przepustnice i dziób RHIB-a zaczął się unosić. Byli pięć mil morskich od lądu, ale w zatoce, nad którą znajdowała się stacja Wilson/George, roilo się od dryfujących gór lodowych. Linda musiała skręcać to w lewo, to w prawo, żeby je ominąć. Większość przeszkód miała mniej więcej wymiary RHIB-a, ale kilka kolosów górowało nad nim jak wieże na tle ciemniejącego nieba.

Linda była pod wrażeniem surowego piękna najbardziej odludnego kontynentu na świecie.

W bok od łodzi foka wyłoniła z morza pysk. Przez chwilę obserwowała przybyszów, potem zniknęła pod falami.

Podróż do brzegu zajęła im dwadzieścia minut. Zamiast wprowadzić RHIB na plażę, Linda skierowała się w stronę niskiego klifu nad wodą. Urwisko zasłonił łódź, poza tym nie będą musieli brodzić, żeby wejść na ląd. Linc pierwszy wspiął się na górę. Zawiązał cumę wokół skalnego wypiętrzenia i użył swojej ogromnej siły do wyciągnięcia pozostałej dwójki z RHIB-a.

Linda jeszcze nie widziała tak wymarłej plaży. Pokrywał ją lekki śnieg, pozostałość po zamieci. Nagły podmuch wiatru pchnął Lindę na nieruchomą postać Franklina Lincolna.

- Musimy dołożyć trochę ciała do tych kości, dziewczyno.

- Albo trzymać mnie z dala od Antarktyki - zaripostowała. - Stacja znajduje się około półtora kilometra w głąb lądu.

Omawiali różne scenariusze do znudzenia, ostatecznie postanowili przyjąć założenie, że baza jest w rękach wroga. Ostrożne podejście zajęło im godzinę. Znaleźli niskie wzniesienie z widokiem na stację i przyjrzeni się jej przez lornetki.

Futurystyczny obiekt złożony z kopuł i łączących je rur wyglądał na opuszczony. Powinni słyszeć odgłos generatora, ale docierał do nich tylko świst wiatru i sporadyczny trzask poruszających się na zawiasach drzwi w wejściu do pobliskiego garażu. W oknach stacji było ciemno.

Lindę przeszedł zimny dreszcz, ale nie z powodu pogody. Widziana przez lornetkę noktowizyjną w zielonym kolorze stacja Wilson/George sprawiała upiorne wrażenie. Nawiewany śnieg przybierał kształty duchów nawiedzających to odludne miejsce.

- Co o tym myślicie? - zapytała Linda, żeby pozbyć się czarnych wizji.

- Kilka dni temu czułem się jak na planie *Czasu apokalipsy*, a teraz jakbym patrzył na bazę z filmu *Coś* - odpowiedział Mark.

- Ciekawe spostrzeżenie, ale nie o tym mówię.

- Chyba nikogo nie ma w domu - zauważył Linc.

- Na to wygląda. - Linda wepchnęła lornetkę z powrotem do plecaka. - Chodźmy, tylko trzymajmy się nisko.

Polarny strój spełniał swoje zadanie i chronił ją przed zimnem, ale nie mogła nic poradzić na ucisk w żołądku. Złe przeczucie nasilało się z każdym powolnym krokiem w kierunku stacji. Intuicja podpowiadała Lindzie, że stało się coś bardzo niedobrego.

Wokół bazy nie było żadnych śladów. A zatem nikt się stąd nie ruszał od czasu burzy śnieżnej, choć ktoś mógł się tu zjawić tuż przed zamiecią lub w jej trakcie. Linc wspiął się po schodach do wejścia z karabinem szturmowym gotowym do strzału. Mark zajął pozycję obok niego, Linda ostrożnie sięgnęła do klamki i pociągnęła. Za progiem ukazał się mroczny przedsionek. Główne drzwi do obiektu były uchylone, co oznaczało, że jakiegokolwiek ciepło zatrzymywane przez grubą

powłokę izolacyjną stacji dawno wyparowało. Wykluczone, żeby ktokolwiek z naukowców przetrwał w tak niskiej temperaturze.

Linda pokazała, że Linc prowadzi. Ekskomandos SEAL skinął głową i zajrzał do środka. Wzdrygnął się lekko i odwrócił.

- Kiepsko - mruknął.

Linda przysunęła się do niego. Wewnątrz panował bałagan. Ubrania walały się na podłodze. Szafki zostały opróżnione i przewrócone. Ławka, gdzie personel wkładał kiedyś buty, leżała na czymś, co przykuło uwagę Lindy. Rozpoznała posiniąle z zimna ciało kobiety. Sopolki na oszronionej twarzy, matowe oczy. Pod zwłokami zamrożona kałuża krwi; czerwone bryzgi na piersi i ścianach.

- Postrzał? - Linda zdjęła maskę.

- Nóż - mruknął Linc.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. - Omiótł światłem latarki pod lufą całe pomieszczenie. Sprawdzał każdy metr kwadratowy i wszedł. Linda i Mark trzymali się obok niego.

Po dziesięciu pełnych napięcia minutach wiedzieli, że cały personel stacji nie żyje. Naliczyli trzynaście ciał. Wszyscy zginęli w ten sam makabryczny sposób. Większość została zasztytowana i leżała we krwi. Zwłoki dwóch ofiar nosiły ślady uderzeń tępym narzędziem, jakby ktoś zatłukł je kijem bejsbolowym. Jeden z mężczyzn najwyraźniej podjął walkę w samoobronie, bo miał połamane ręce. Kości były roztrzaskane. Innego prawdopodobnie zastrzelono z pistoletu dużego kalibru, choć podobno nikt nie posiadał broni palnej ani w bazie, ani na całym kontynencie.

- Kogoś brakuje - stwierdziła Linda. - Zimą personel Wilson/ George liczył czternaście osób.

- To musi być zabójca - stwierdził Mark.

- Sprawdź w garażu - powiedział Linc. - Ile powinno być pojazdów?

- Dwa transportery arktyczne i dwa skutery śnieżne.

Kilka minut później Linda przeszukiwała szufladę biurka, gdy Mark zawołał ją z innego modułu. Na dźwięk jego głosu aż podskoczyła. Pobyt w stacji naukowej przyprawiał ją o gęsią skórę. Delikatnie mówiąc. Brakowało tylko, żeby włosy jeżyły jej się na głowie. Znalazła Murphy'ego w jednym z małych pokoi mieszkalnych. Oświetlał latarką kolejne krwawe smugi na ścianie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to litery.

- Co to znaczy?

- „Dokąd tam pysków na Nicole” - przeczytał głośno Mark.

- To jakiś makabryczny dowcip?

- Wątpię - odparł Mark w zamyśleniu.

- Bez sensu. Tu nie było żadnej Nicole. Znam listę personelu.

Murphy nie odpowiedział. Bezgłośnie wargami, kiedy w kółko czytał dziwaczne zdanie.

- Co myślisz? - zapytała Linda, gdy sekundy ciszy przeciągnęły się w minutę.

- Czyj to pokój?

- Nie jestem pewna. - Rozejrzeli się i znaleźli książkę z napisem „Własność Andrew Gangle'a” na wyklejce.

- Kto to taki?

- Chyba technik. Doktorant, o ile sobie przypominam.

- I jednocześnie zabójca. Przyznał się do zbrodni, zanim je popełnił. Ciężko chory facet.

- Nie żartuj. Położył trupem trzynaście osób. Chory, jasne.



- Poważnie. Miał afazję.

- Czyli?

- Zaburzenie mowy. Zwykle wskutek udaru, uszkodzenia mózgu, guza, parkinsona lub alzheimera.

- I ty potrafisz to rozszyfrować? Jak?

- Grałem w taką jedną grę z doktorantami neurologii w MIT. Układaliśmy zdania, jakbyśmy mieli afazję, a inni musieli je zrozumieć.

- Chyba rzadko chodziłeś na randki, co?

Mark puścił przytyk mimo uszu.

- Zwykle musieliśmy dawać podpowiedź, na jaki temat jest zdanie, bo inaczej nikt nie odgadłby sensu. Tutaj wskazówką są zabójstwa.

- To znaczy?

- Jak inaczej nazwiesz pysk?

- Bo ja wiem? Ryj?

- Morda - zawołał Mark z błyskiem triumfu w oczach. Jak na najbystrzejszego gościa w każdym towarzystwie, wciąż lubił się popisywać swoim intelektem. - Pysk to inaczej morda. W umyśle Gangle'a słowa „morda” i „mord” były równoznaczne.

- Więc szukamy kogoś innego?

- Nie. W afazji połączenia w mózgu źle działają. To mogły być słowa, które podobnie brzmią lub opisują pasujące do siebie przedmioty. Albo przypominały Gangle'owi coś z przeszłości.

- Hm... „Dokąd tam” na upartego brzmi trochę jak „dokonam”.

- Otóż to. „Dokonam mordów”. Gangle właśnie to usiłował napisać.

- Okej, cwaniaku, a co z Nicole?

Mark uśmiechnął się z wyższością.

- To najłatwiejsze. Nicole Kidman grała w horrorze *Inni*.

- „Dokonam mordów na innych” - podsumowała Linda. - Ale zaraz, czy afazja powoduje obłąd?

- Zwykle nie. Przypuszczam, że jakaś ukryta choroba, która wywołała afazję, sprawiła, że zwrócił się przeciwko kolegom.

- Na przykład jaka?

- Musisz zapytać doktor Huxley. Ja znam tylko objawy dzięki tamtej grze w słowa.

Nagły hałas sprawił, że podskoczyli.

- Lindo, Murphy, mamy towarzystwo. - Baryton Linca odbił się echem w całej bazie.

Oboje chwycili swoje karabiny szturmowe z łóżka, gdzie je położyli, i wypadli z budzącej grozę sypialni Andy'ego Gangle'a. Spotkali Linca w sali rekreacyjnej.

- Co znalazłeś?

- Coś dziwnego, ale o tym później. Jakiś transporter arktyczny jedzie tu z południa. Tam jest najbliższa argentyńska stacja badawcza, zgadza się?

- Tak - potwierdziła Linda. - Na wybrzeżu, około pięćdziesięciu kilometrów stąd.

- Zobaczyłem go, kiedy wracałem. Mamy niecałą minutę.

- Wszyscy na dwór.

- Nie, Lindo. Na otwartej przestrzeni łatwo nas zauważą. - Niepokój odmalował się na twarzy Linca.

- Okej, znajdźcie jakąś kryjówkę i bądźcie cicho. Oby robili tylko mały zwiad i nie planowali się tu rozgościć. Jeśli was wykryją, walcie do nich.

- A jeśli to naukowcy? I tylko sprawdzają, co się dzieje w stacji? - zapytał rozsądnie Mark.

- Pokazaliby się tu tydzień temu, kiedy prosił ich o to nasz rząd. Idźcie!

Rozdzielili się. Linda wróciła do pokoju Andy'ego Gangle'a. Na metalowych elementach wisiała tu osłona akustyczna z płyt podobnych do kartonu. Zwinnie jak małpa, Linda wspięła się na komodę i uniosła jedną płytę lufą broni. Zobaczyła metrową przestrzeń między podwieszanym sufitem a izolowanym dachem budynku. Włożyła tam karabin i podciągnęła się do góry. Ledwie jej się to udało w grubym ubraniu, ale kręcąc biodrami i wierzgając nogami, zmieściła się w otworze.

Usłyszała, jak ktoś z hałasem otwiera drzwi frontowe i woła po hiszpańsku. Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie.

Wsunęła nogi do niskiego korytarza i ostrożnie zasunęła płytę. W pobliżu była izolowana giętka rura połączona z kratką w suficie, przez którą do pokoju napływało ciepłe powietrze. Linda odłączyła srebrzystą rurę od kratki i spojrzała w dół. Miała całkiem dobry widok z lotu ptaka.

Przyływ adrenaliny spowodowany ostrzegawczym okrzykiem Linca szybko się skończył i znów poczuła zimno. Nie musiała zmagać się z wiatrem, ale w przestrzeni pod dachem było trzydzieści kilka stopni poniżej zera. Zdrętwiała jej twarz i zaczynała tracić czucie w palcach mimo grubych rękawic. Teraz brak ruchu mógł się okazać zabójczy, ale musiała wytrzymać.

Poniżej znów rozległ się gardłowy hiszpański. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie żołnierzy przeszukujących bazę tak jak wcześniej ona i jej drużyna. Jak zareagują na masakrę? Czy w ogóle się tym przejmą?

Mężczyzna w białym polarnym uniformie, uzbrojony w duży pistolet wszedł nagle do sypialni. Był w masce bardzo podobnej do tej, jaką miała Linda, więc nie mogła zobaczyć twarzy. Argentyńczyk wpatrzył się w krwawy napis na ścianie.

To stało się tak szybko, że Linda nie zdążyła temu zapobiec. Kropla przezroczystej cieczy wypłynęła jej z nosa i kapnęła na ramię mężczyzny. Starł ją, nie odwracając głowy, i ruszył do drzwi.

Gdy tylko wyszedł z pokoju, Linda zaczęła działać. Niczym pajak na sieci przemieszczała się wzdłuż konstrukcji sufitu. Bała się, że druty łączące metalowe elementy nie utrzymują ciężaru dorosłego człowieka i pękną.

Nagle ktoś otworzył ogień. Płyta, nad którą była moment wcześniej, zamieniła się w pył i spadła do sypialni. Huknęły dwa kolejne strzały i dwie inne płyty się rozprysły. Smugi słabego światła słonecznego przeniknęły przez dziury w dachu, które zrobiły pociski.

Linda wykorzystała hałas i to, że huk z pewnością na chwilę ogłuszył strzelca; wśliznęła się do przewodu wentylacyjnego. Miał tak dużą średnicę, że łatwo się w nim ukryła. Odbezpieczyła karabin.

Wiedziała, że nie należy wstrzymywać oddechu, tylko trzeba wolno i równomiernie nabierać i wypuszczać powietrze. Serce jej waliło i potrzebowała dużo tlenu. Nagle jasny blask latarki oświetlił dach.

Argentyńczyk się zorientował, że coś kapnęło mu na ramię, ale w tak zimnej bazie każdy płyn by zamarznął. Facet stał się podejrzliwy.

Oddychaj, Lindo, oddychaj. On cię nie zobaczy i jest za duży, żeby tu wleźć.

Minęło dziesięć najbardziej nerwowych sekund w jej życiu. Wiedziała, że Argentyńczyk może ot, tak strzelić w przewód wentylacyjny i wpakować jej kulę w głowę.

Ktoś inny wszedł do pokoju - usłyszała ciężkie kroki i zadane krzykiem pytanie. Nastąpiła krótka rozmowa, światło zniknęło; Linda się domyśliła, że mężczyźni wyszli.

Odprężyla się i lekko pociągnęła nosem.

To byłby szczyt wszystkiego, pomyślała. Zginąć przez katar. Otuliła twarz futrzanym kapturem i przygotowała się na przeczekanie pobytu Argentyńczyków w stacji.

# Rozdział 15

Cabrillo czekał, aż wyciągarka zacznie go windować na powierzchnię, ale nic się nie działo. Nie, nieprawda. Coraz więcej liny opuszczało się do szybu i tworzyło wciąż rosnący zwój tuż poniżej miejsca, gdzie wisiał w wodzie. Max wcisnął zły guzik. Juan próbował wywołać kompana przez telekomunikator, ale bez skutku.

Hanley się oddalił, żeby w pojedynkę rozprawić się z Argentyńczykami. I w pośpiechu zostawił Juana uwięzionego w Dole Skarbów.

Mądrze byłoby się wynurzyć zgodnie z tabelami nurkowymi, które zapamiętał przed laty, i zaczekać na powrót Maksa. Ale nie chciał zmarnować okazji, więc się odwrócił i popłynął z powrotem do dna. Nie zrezygnuje, dopóki się nie upewni, że niczego nie przeoczył.

Najpierw zbadał niszę. Wcisnął się do niej i sprawdził, czy nie uruchamia jakiegoś mechanizmu. Wyciosane w skale wgłębienie wokół niego ani drgnęło. Opuścił się niżej. Zmącony muł wcześniej już osiadł. Juan oczyścił miejsce styku ściany z podłożem. I coś zwróciło jego uwagę. Z pochwy przypasanej do łydki wyciągnął ostry jak skalpel nóż nurkowy i przesunął nim po spojeniu. Końcówka zagłębiła się w wąskiej szparze między podłożem a ścianą. Spróbował gdzie indziej. To samo.

Trzy kolejne próby przekonały go, że dno Dołu Skarbów jest wpasowane jak zatyczka. Coś było głębiej w ziemi, zagrzebane pod fałszywym podłożem.

Zastanowił się. Musiał być jakiś sposób, żeby się tam dostać. Ronishowie go znaleźli. Cabrillo wolno opłynął dno, oświetlając je lampą nurkową. Zobaczył to w rogu. Między podłożem a małym nieregularnym występem na ścianie tkwił mocno zaklinowany kamień.

Juan go nie dotknął. Podciągnął kolana do piersi i uderzył stopami w dno. Ból przeszył mu nogi od pięt w górę, ale podłoże podskoczyło lekko. Zerknął na niszę powyżej.

Sprytne, pomyślał. Bardzo sprytne.

Wrócił do kamiennego klina i się przygotował. Przeczynał, że musi działać błyskawicznie. Wyszarpnął kamień i popłynął do groty najszybciej, jak mógł. Moment wcześniej słyszał tylko własny oddech, teraz szyb nagle wypełniło zgrzytanie skały o skałę.

Dno komory było ogromnym pływakiem utrzymywanym w miejscu przez klin. Juan rzucił się do niszy w chwili, kiedy dotarło do niej pokryte mułem podłoże Dołu. Wcisnął się możliwie najgłębiej. Budowniczo wie szybu nie mieli na plecach pękatych butli akwalungu, więc wystarczyła im nieduża przestrzeń. Patrzył z podziwem, jak „korek” unosi się coraz wyżej. Minął jego kolana, potem pas i nadal wędrował do góry. Nie miał takiej pływalności, żeby wystrzelić ku powierzchni, lecz wznosił się w stałym tempie.

Juan zdał sobie sprawę, że jego światłowód jest uwięziony między pływakiem a ścianą, i pomodlił się w duchu, żeby kabel nie został przecięty. Ledwo to pomyślał, postrzępiony koniec

przydryfował do niego. Plastik się przetaił. Moment później pojawiła się też urwana lina ratunkowa.

Juan nie miał pojęcia, jak pływak się zatrzyma, ale domyślał się, że musi, bo inaczej Ronishowie zginęliby tutaj siedemdziesiąt lat temu.

Jedna tajemnica została wyjaśniona, gdy zobaczył bok ogromnego pływaka. Górną powierzchnię tworzyła cienka warstwa łupku, resztę zrobiono z metalu. Kiedy Juan w to zastukał, rozległ się głuchy odgłos. Metal wytrzymał wieki w słonej wodzie, bo konstruktor pokrył go drobnymi płatkami złota. Tak zabezpieczona rzecz przetrwałaby setki lat.

Na złocie widniały cienkie linie, jakby ktoś wydrapał je nożem. Pewnie jeden z Ronishów. Myślał, że cała beczka jest ze złota, ale potem przekonał się, że to tylko warstewka o grubości niespełna milimetra. Tam, gdzie ostrze zostawiło ślady, Juan dostrzegł brąz. Choć ten stop oparł się korozji lepiej niż stal, Cabrillo przypuszczał, że morze zniszczy powłokę za kilkadziesiąt lat, przeżerając zadrapania. Pusty pływak napełni się wodą i pułapka przestanie działać.

Cabrillo ocenił, że beczka ma trzy metry wysokości. Kiedy dno w końcu minęło jego głowę, beczka zatrzymała się na równi z górną krawędzią niszy. Musiała uderzyć w drugi mały występ na ścianie, który przeoczył w drodze na dół. Podziwiał to urządzenie.

Wypłynął z niszy i spojrzał w górę. Pod spodem pływaka był uchwyt. Juan złapał go i szarpnął. Pływalność obliczono tak doskonale, że zdołał pociągnąć ogromny pojemnik za ledwie kawałek w dół. Wiedział, że mógłby się stąd wydostać, gdyby przywiązał do uchwytu swój ołowiany pas balastowy i pozwolił pływakowi osiąść z powrotem na dnie. Sam czekałby w niszy. Przypuszczał, że tak zrobili Ronishowie, tylko ich obciążnik już odpadł.

Na samym środku prawdziwego podłoża Dołu Skarbów znalazł stos kamieni z plaży. Przeciwważniki Ronishów. Worek, który napełnili odłamkami skalnymi, dawno rozłożył się w słonej wodzie Pacyfiku. Następne odkrycie Juana było dużo bardziej intrygujące. W bok od pionowego szybu odchodził niski tunel.

Cabrillo zapuścił się tam; butle akwalungu zawadzały o sklepienie ciasnego korytarza. Tunel biegł stromo w górę. Juan musiał robić kilka postojów dekompresyjnych, aby usunąć nadmiar azotu z organizmu. Sprawdził zapas powietrza. Jeśli się pośpieszy, będzie okej.

Nagle zobaczył nad sobą odbicie światła swojej lampy. Zbliżał się do powierzchni, choć wciąż znajdował się głęboko pod ziemią. Oceniał też, że można dopłynąć tu z niszy na jednym wdechu, kiedy jest odpływ.

Wznosił się wolno z rękami wyciągniętymi nad głowę w poszukiwaniu niewidocznych przeszkód. Wynurzył się w grocie wielkości sypialni i wysokości około dwóch metrów. Zdał sobie sprawę, że to wszystko musi być naturalną formacją skalną, bo wydrążenie tego zajęłoby lata.

Omiatał snopem światła zimną wilgotną skałę, aż zobaczył przedmiot wiszący na ścianie.

- Co to, do cholery? - zapytał głośno ze zdumieniem.

Tuż powyżej poziomu wody była metalowa tablica. Z brązu, jak przypuszczał. Widniały na niej rzędy znaków wyglądających na chińskie pismo i zarys jakiegoś wybrzeża z głęboką zatoką. Odkąd Argentyńczycy zjawili się w domu Jamesa Ronisha, Juan się domyślał, że Dół Skarbów nie ma nic wspólnego z XVIII-wiecznym piratem, ale... chińskie pismo?

A co ważniejsze, dlaczego kogoś to interesowało?

Cabrillo zawsze wierzył swojemu instynktowi, który nigdy go nie zawiódł, ani w CIA, ani po założeniu korporacji. Z niewiadomych przyczyn ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby ukryć tę tablicę, ale tak, by można ją było znaleźć. Juan nie widział w tym logiki; liczył tylko na to, że tekst wyjaśni

motywy tamtych ludzi. Wiedział, że jest na tropie jakiejś sprawy, i podejrzewał, że to daleko wykracza poza zaginione sterowce i zestrzelone satelity.

Bez światłowodu nie mógł zarejestrować na wideo swojego odkrycia, więc z torby przy pasie wyciągnął mały cyfrowy aparat fotograficzny i wyjął go z wodoszczelnego futerału. Pstryknął mnóstwo zdjęć; blask flesza raził go w oczy po tak długim pobycie w egipskich ciemnościach.

Znów zanurkował i popłynął za światłem lampy z powrotem do szybu. Zmuszał się, żeby nie myśleć o zagadce, tylko koncentrować się na tym, co robi.

Kiedy dotarł do wielkiej pływającej zatyczki, zdjął pas balastowy i zapiął go na uchwycie, który - Chińczycy? - zostawili właśnie w takim celu. Stwierdził, że tajemnica Dołu Skarbów ma więcej niż sto lat. Kiedy Chińczycy przebywali w stanie Waszyngton tak długo, że zdążyli przystosować system jaskiń do swoich potrzeb?

Skup się, Juan.

Obciążona pasem, dobrze wyważona pusta beczka zaczęła wolno opadać. Juan wcisnął się do niszy i czekał, aż pojemnik go minie. Pomagał pływakowi, naciskając jego bok w dół. Po chwili mógł się unieść ku powierzchni. Szło mu to niezdarnie bez balastu i musiał się zmagać ze swoją dodatnią pływalnością, zwłaszcza na postojach dekompresyjnych. Zanim wynurzył głowę, miał puste butle.

Zdjął hełm i łączywie wciągnął słone powietrze. Kąt padania promieni słonecznych zmienił się i Juan z radością przywitał przesączaający się do szybu słaby blask. Poświecił latarką dookoła w próżnym poszukiwaniu liny wyciągarki. Wolał nie myśleć, co go czeka, jeśli Maksowi coś się stało. Sześćdziesięciometrowa wspinaczka bez odpowiedniego sprzętu przekraczałaby nawet jego możliwości. Ale najgorsza byłaby strata przyjaciela.

Juan zawołał w górę szybu. Miał wrażenie, że brakuje mu pojemności płuc, żeby wydać z siebie głos, który dotrze tak wysoko. Z trudem uwolnił się od akwalungu; butle zatonęły. „Suchy” skafander przeważał go na plecach. Juan leżał w wodzie i krzyczał. Przyszło mu do głowy, że jeśli Hanley poniósł porażkę, to on ściąga teraz na siebie Argentyńczyków. Nie żeby sami się nie zorientowali w sytuacji. Ale to, że nikt do niego nie strzela z góry, dobrze wróżyło. Max najwyraźniej zajął się intruzami.

- Halo - odpowiedział z daleka czyjś głos.

- Max?

- Nie. Argentyński major. Max!

- Wydostań mnie stąd - zażądał Juan.

- Moment.

Kilka minut zajęło opuszczenie liny i jeszcze parę wyciągnięcie prezesa z Dołu Skarbów, ale to była jedna z najlepszych jazd w jego życiu. W końcu dotarł na powierzchnię. Max pomógł mu wygramolić się z szybu i szybko wyłączył wyciągarke, żeby nie powlokła prezesa po skałach.

- Interesujące popołudnie - stwierdził nonszalancko Hanley.

- Co się stało?

- Próbowali wylądować blisko plaży, ale ich pilot dał nogę, kiedy wystrzelałem do niego kilka magazynków. Jednego załatwiłem. Zechciałbyś mi łaskawie wyjaśnić, gdzie się, do cholery, podziewałeś?

- Nie uwierzysz.

- Założymy się?

Cabrillo powiedział, co odkrył, kiedy pakowali sprzęt i jechali z powrotem na plażę. Ostatnim dużym ładunkiem w przestrzeni bagażowej forda była pneumatyczna tratwa z silnikiem. Podczas gdy Hanley przygotowywał ją do kursu na główny ląd, Juan przedziurawił nożem zbiornik paliwa suwa. Pojazd wypożyczili na fałszywy dowód tożsamości, ale samochód nosił ślady ostatnich przejazdów, które mogłyby zainteresować policję, więc musiał spłonąć.

Czekali na plaży, aż z explorera zostanie tylko zwęglony wrak. Mniej czasu zajęło dotarcie do brzegu, a potem do La Push niż znalezienie środka transportu do większego miasta. Skończyli w kabine ciągnika siodłowego. Wieziony na naczepie ładunek drewna przypominał Juanowi niedawną przygodę w argentyńskiej dżungli.

Ryk potężnego diesla na dworze zasygnalizował, że Argentyńczycy odpalili silnik swojego transportera arktycznego i opuszczają stację Wilson/George. Piętnaście minut minęło, odkąd Linda ukryła się w korytarzu między sufitem a dachem. Teraz, kiedy się upewniła, że tamci odjechali, wyjęła ogrzewacz chemiczny i przyłożyła go do twarzy. Palce rąk i nóg na szczęście jej nie zdrętwiały, bo wielokrotnie je zginała w rękawicach i butach. Mało brakowało jednak, by odmroziła sobie nos i policzki. Ból, kiedy zaczęło wracać czucie, był nieznośny, ale pożądanym - oznaczał, że nie doszło do trwałych uszkodzeń.

Nie usłyszała następnych strzałów, wiedziała więc, że reszta drużyny pozostała bezpiecznie ukryta.

Zeszła sztywno na dół i podkraśla się cicho do głównych drzwi stacji - transporter arktyczny rzeczywiście odjechał. Linc i Mark pojawili się, zanim wróciła do sali rekreacyjnej.

- Otworzyli ogień. - Linc z niepokojem marszczył szerokie czoło. - Jesteś cała?

Przytaknęła.

- Przeżyłam koszmar, ale nic mi się nie stało. Gdzie się schowaliście?

- Po prostu położyłem się obok jednego z ciał - odparł Mark. - Facet, który sprawdzał pokój, nie przyjrzał mi się dokładnie.

- Ja wskoczyłem do szafy za stertę ubrań. Zrobili tylko pobieżne przeszukanie. Chyba się wystraszyli tego, co tu zastali.

- Wyobrażam sobie. - Linda starała się nie myśleć o makabrycznym widoku. - Linc, mówiłeś, że coś znalazłeś w garażu.

- Tak, ale musisz to sama zobaczyć.

Włożyli z powrotem maski i poszli wytyczonym palikami szlakiem do budynku z łukowym dachem. Drzwi wciąż trzaskały na wietrze, hałas był jedyną oznaką życia w bazie. Przy wyłączonym zasilaniu w garażu panował mrok; tylna ściana tonęła w ciemności. Snopy światła latarek przecinały przestrzeń jak promienie laserowe. Dwa transportery arktyczne wyglądały jak czołgi skrzyżowane z mikrobusami. Wierzchy ich gąsienic sięgały Lindzie do ud. Jaskrawopomarańczowe podwozia na pewno dobrze odznaczały się na tle śniegu.

- Tutaj. - Linc poprowadził ich do stołu warsztatowego z boku garażu.

Wśród zwyczajnych w takich miejscach rupieci - narzędzi, puszek z olejem i szmat - stał metrowej długości kufer. Linc uniósł wieko.

Linda dopiero po chwili się zorientowała, co widzi. W środku leżał kolejny trup, ale w przeciwieństwie do innych musiał być wystawiony przez jakiś czas na działanie żywiołów. Przypominał bardziej mumię niż zwłoki, większą część twarzy wyjadły padlinożerne drapieżniki, zanim ciało zamarzło na kość. Nieboszczyk nie nosił polarnego stroju, tylko wywatowaną brązową

węlnianą kurtkę i spodnie za cienkie na mróz. Czapka na zamarzniętych czarnych włosach wyglądała dziwnie. Miała dwa daszki i wąskie rondo.

- Moim zdaniem ten facet jest tu od stu lat albo dłużej - powiedział Mark, kiedy obejrzał zwłoki.

- Wielorybnik, który wypadł za burzę? - podsunęła Linda.

- Możliwe. - Mark spojrział na Linca. - Przeszukałeś kieszenie?

- Nie. Zajrzałem do środka i zamknąłem wieko. Ale na pewno zrobił to ten, którego nam brakuje.

Linda zapomniała, że nie doliczyli się wszystkich czternastu członków personelu Wilson/George.

- Znalazłeś Andy'ego Gangle'a?

- Tak się nazywał ten koleś? Jest w głębi garażu. W kiepskim stanie.

Andy w końcu odebrał sobie życie, popchnięty do samobójstwa przez to samo szaleństwo, które sprawiło, że zamordował swoich towarzyszy. Usiadł tyłem do regału z zapasowymi narzędziami i tak mocno szarpnął dolną szczękę, że prawie ją sobie wyrwał. Zamarzł albo wykrwawił się na śmierć z ręką w ustach, jakby próbował dosięgnąć tego, co zaatakowało jego mózg.

Coś jasno zaśniło w jego drugiej dłoni. Mark wydobył to ze sztywnych palców. Bezkształtny kawałek złota kiedyś musiał być jakąś ozdobą. Na podłodze obok ciała Gangle'a leżał młotek. Kiedy Murphy oświetlił narzędzie, zobaczył na nim ślady złota.

- Walił w to młotkiem?

- Po co?

- A dlaczego zrobił to wszystko? Był chory.

- Co to takiego?

- Trudno powiedzieć. Jakaś figurka.

- Czyste złoto?

- Co najmniej kilogram. Wart ze trzydzieści tysięcy dolarów. - Mark zajrzał do plecaka w zasięgu Gangle'a. Kiedy go podniósł, rozległ się jakby chrzęst potłuczonego szkła. Znów zerknął do środka, potem wytrząsnął zawartość na podłogę.

Nie sposób było zgadnąć, co wcześniej znajdowało się w plecaku, bo wysypały się z niego tylko ziarenka matowego zielonkawego piasku i skalne okruchy w tym samym kolorze. Andy Gangle walił w coś młotkiem tak jak w złotą statuetkę, dopóki nie roztrzaskał tego w drobny mak.

Wypadła też dziwna rura, chyba odlana z brązu. Jeden koniec był zaślepiony, drugi miał kształt otwartej paszczy smoka. Powierzchnia została tak ponacinana, że przypominała łuskowatą skórę fikcyjnego gada. Mark dokładnie obejrzał przedmiot.

- To pistolet.

- Co?

- Spójrz tutaj, na zaślepiony koniec. Widzisz? Otworek na lont. To jednostrzałowa broń ładowana przez lufę.

- Smoczy motyw... pewnie chińska.

- I bardzo stara - dodała Linda. - Przypuszczam, że to wszystko należało do naszego tajemniczego przyjaciela w skrzyni.

- Na to wygląda - przyznał Linc.

- Dziwna sprawa - stwierdził Mark.

- Co dalej? - zapytał Linc.

- Zawiadomimy „Oregon”, co zastaliśmy, żeby CIA wiedziała, co się wydarzyło. Overholt pewnie wyśle nas do argentyńskiej bazy, żebyśmy zrobili rozpoznanie. Podobno nikt nie widział ich



kompleksu od dwóch lat. Tak wyczytałam w informatorze. Proponuję, byśmy ubiegli Overholta i wybrali się tam na własną rękę.

- Nie pójdę pięćdziesięciu kilometrów w głąb Antarktyki - sprzeciwił się Mark.

Linda poklepała przód najbliższego transportera arktycznego.

- Ja też nie.

Najpierw połączyli się przez radio ze swoim statkiem i na prośbę doktor Huxley pobrali próbki krwi i tkanki Andy'ego Gangle'a oraz mumii w kufrze. Potem prawie godzinę spędzili na odpalaniu diesla jednego z dużych pojazdów. Bez elektryczności podgrzewacz silnika nie działał i olej zgęstniał jak smoła. Musieli go spuścić i podgrzać na kuchence kempingowej dwa razy, bo za pierwszym za szybko ostygł i nie dało się obrócić wału korbowego. Mark Murphy był nie tylko maniakiem komputerowym, lecz również zręcznym mechanikiem.

Z nawiewów transportera płynęło przyjemne ciepło i zaledwie kilka kilometrów od Wilson/George temperatura w środku tak wzrosła, że rozpięli kurtki, zdjęli grube rękawice z jednym palcem i zostali tylko w cieńszych z gorteksu. Linc prowadził, Linda odstąpiła miejsce obok kierowcy Murphy'emu.

Postanowiła, że okrążą kompleks i zbliżą się do obozu Argentyńczyków od wschodu. Kompasy były bezużyteczne tak blisko bieguna południowego, ale transporter miał nawigację satelitarną. Ona też nie działała bez zarzutu, bo satelity wykorzystywane do triangulacji często zasłaniał horyzont. Systemu nie zaprojektowano z myślą o warunkach polarnych. Istniały stacje przekaźnikowe do wspomagania GPS-u, ale głównie po drugiej stronie kontynentu, gdzie rozmieszczono większość placówek badawczych.

Jak okiem sięgnąć rozciągała się biel. Nawet odległe góry wciąż pokrywał zimowy śnieg. Część się roztopi podczas wiosennej odwilży i odsłoni szare granitowe zbocza, ale na razie leżał na nich zmrożony biały puch.

W przeciwieństwie do innych rejonów Antarktyki, gdzie lód miał grubość kilometrów, tu niebezpieczeństwo wpadnięcia w ukrytą szczelinę było niewielkie, więc Linc jechał szybko. Pojazd gąsienicowy bez trudu wiózł ich po smaganej wiatrem powierzchni.

- Uważa się - odezwał się Mark, żeby przerwać nudę - że góry na lewo od nas są przedłużeniem południowoamerykańskich Andów.

Nikt nie podjął tematu.

Po trzech godzinach monotonnej jazdy znaleźli się trzy kilometry za argentyńską stacją badawczą. Biorąc pod uwagę militarystyczny charakter obecnego reżimu w Buenos Aires, spodziewali się jakichś środków bezpieczeństwa, głównie patroli zmotoryzowanych. Linda uznała, że odległość trzech kilometrów wystarczy. Dalej pójda pieszo.

Linda i Linc szczerze zapięli stroje polarne. Uzgodnili, że Mark zostanie w transporterze, od czasu do czasu odpali silnik, żeby olej nie ostygł, i zachowa czujność, by na wypadek kłopotów natychmiast ruszyć. Chwycili broń i zeskoczyli na lód. Spowijała ich ciemność, ale chmury płynęły po niebie, odsłaniały księżyc i śnieg skrzył się w jego blasku.

Panowała upiorna cisza. Zdawało się, że jedynymi dźwiękami na świecie są oddechy dwojga wędrowców i skrzypienie pod butami. Odnosili wrażenie, że przemierzają inną, niegościnną planetę. I w pewnym sensie tak było, bo bez strojów ochronnych nie przetrwaliby pięciu minut.

Ze schowka w transporterze Linda wzięła do kieszeni paczkę nakrętek i podkładek i rzucała jedną co jakieś piętnaście metrów. Metal wyglądał jak czarny na tle śniegu; bez trudu go zauważą. Niosła

też odbiornik GPS, ale nikły trop metalowych „okruchów chleba” traktowała jako dodatkowe, choć prymitywne zabezpieczenie.

Pokonali półtora kilometra, gdy Linc nagle padł na ziemię. Linda zrobiła to samo i zaczęła uważnie obserwować horyzont.

- Nic nie widzę - szepnęła.

Linc poczołgał się naprzód. Popęzła za nim i po chwili zobaczyła ślady skutera śnieżnego na lodzie. Argentyńczycy byli ostrożni. Słusznie. Patrolowali okolice swojej bazy.

- Ciekawe, czego tak strzegą - powiedział Linc.

- Przekonajmy się.

Wstali i ruszyli dalej. Jako ekskomandos SEAL, Franklin Lincoln nigdy nie tracił czujności, ale teraz ją zdwoił. Odwracał głowę to w lewo, to w prawo i badał wzrokiem otwartą przestrzeń. Co parę minut zdejmował też kaptur i nasłuchiwał, czy nie zbliża się jakiś pojazd.

Z tyłu argentyńską bazę chroniły niskie poszarpane wzgórza. Tu wiatr zwiął gdzieś śnieg i lód, odsłaniając skalne granie czarne jak noc. Wspinaczka nie była zbyt trudna, ale poruszali się wolno i rozważnie. Ich grube buty nie nadawały się do alpinizmu, poza tym stale wypatrywali patroli.

Dotarli do szczytu, przygotowali lornetki noktowizyjne i wyjrżeli zza górskiego grzbietu.

Linda nie wiedziała, czego się spodziewać. Przypuszczała, że baza Argentyńczyków przypomina Wilson/George, ale to, co leżało poniżej, pomiędzy wzgórzami a morzem, bardzo ją zaskoczyło. Okazało się, że to nie samotna mała stacja badawcza, jak twierdzono, lecz całe miasto zamaskowane tak sprytnie, że nie sposób było określić jego wielkości. Kilkadziesiąt budynków stało na czymś, co na pierwszy rzut oka wydawało się lodową półką, a tak naprawdę stanowiło sztuczną konstrukcję o wyglądzie lodu. Ponieważ w naturze rzadko występują proste linie, wszystkim budowlom nadano zaokrąglone kształty, by ukryć ich zarysy przed satelitami obserwacyjnymi.

Ogromne białe namioty zasłaniały jeszcze większą część bazy. Linda domyślała się, że wykonano je z kevlaru, żeby wytrzymały ataki żywiołów. Zbudowano też duży port z kilkoma nabrzeżami; on również przypominał lód.

Naturalna zatoka granicząca z kompleksem nie była zamarznięta, w wodzie unosiło się kilkanaście wysokich gór lodowych. Linda zrobiła zbliżenie jednej z nich. Wypiętrzenie wyglądało dziwnie - niby prawdziwe, ale miało za dużą wysokość w stosunku do podstawy. Powinno się przewrócić podczas ostatniego sztormu. Inne też. Linda zdała sobie sprawę, że są sztuczne.

Małe platformy wiertnicze, ot co.

Teraz, kiedy już się zorientowała, co Argentyńczycy tu stworzyli, w trzech pojedynczych wzgórzach blisko nabrzeża rozpoznała ogromne zbiorniki magazynowe ropy, wkopane w ziemię. Na razie działały tylko szyby eksploracyjne, produkcja na pełną skalę miała dopiero ruszyć. Port może był za mały dla supertankowców ostatniej generacji, ale z pewnością pomieściłby stutysięczniki.

Linda wiedziała, że jest świadkiem łamania jednej z najważniejszych umów międzynarodowych. Na początku lat sześćdziesiątych XX wieku wszedł w życie traktat antarktyczny chroniący ten kontynent jako rezerwat naukowy, którego żadna część nie może należeć do jakiegokolwiek państwa. Na mocy porozumienia sygnatariuszom nie wolno było też wydobywać surowców i prowadzić wierceń w poszukiwaniu ropy na lądzie i morzu.

Linc klepnął Lindę w ramię i wskazał dalej na południe. Domyśliła się, że chodzi o budynek oddalony od innych, ale nie miała pojęcia, dlaczego wzbudził zainteresowanie kompana. Spojrzała na Linca pytająco.

- To chyba bateria wyrzutni pocisków raketowych.

Jeśli Linc się nie mylił, to widzieli następny przykład pogwałcenia traktatu. Linda pstryknęła kilkanaście zdjęć aparatem do fotografowania przez lornetkę noktowizyjną. Nie były najlepszej jakości, ale przynajmniej stanowiły dowód.

Linc zsunął się w tył z górskiego grzbietu.

- Co o tym sądzisz? - zapytał, kiedy się ukryli.

- Napracowali się. Zauważyłeś góry lodowe w zatoce?

- Owszem. Platformy wiertnicze. Przytaknęła.

- Musimy o tym zameldować.

Zerwał się wiatr. Nie powodował jeszcze zamieci, ale widoczność spadła dramatycznie i po tak długim przebywaniu na mrozie Linda poczuła, jak zimno zaczyna przenikać przez jej ubranie. Co ciekawe, wciąż widziała swój szlak nakrętek i podkładek.

Linc nadal się rozglądał, więc to on dostrzegł skuter śnieżny. Popchnął Lindę na ziemię tak mocno, że zabrakło jej powietrza w płucach. Nie wiedzieli, czy zostali zauważeni. Upłynęło kilka nerwowych sekund, zanim pojedynczy reflektor pojazdu rozświetlił ciemność.

Czas mijał; wyglądało na to, że kierowca nie widział ich w ruchu, a jeśli nawet, pewnie uznał, że to jakieś złudzenie optyczne spowodowane przez wiatr. Silnik sań motorowych wydawał przeszywający dźwięk, ale odgłos się oddalał. Nagle strażnik szarpnął kierownicę i skręcił w kierunku leżącej pary.

Linc zaklął i przyłożył karabin szturmowy do ramienia.

Oślepiony reflektorem nie widział, co robi kierowca, ale huk wystrzału na moment zagłuszył warkot silnika. Pocisk nie trafił w cel, bo skuter pędził po nierównym terenie. Był już prawie przy nich. Linc usiłował odbezpieczyć broń, ale w grubych rękawicach szło mu niezdarne. Gdy zdał sobie sprawę, że nie zdąży, zerwał się na nogi i zamachnął karabinem jak kijem bejsbolowym.

Broń walnęła kierowcę w szyję; potężna siła ciosu zrzuciła go z siedzenia do tyłu na lód.

Silnik skutera śnieżnego zgasł - kluczyk bezpieczeństwa przywiązany do nadgarstka mężczyzny został wyszarpnięty ze stacyjki. Pojazd zatrzymał się po paru metrach, w blasku reflektora wirowały płatki śniegu niesione przez wiatr.

Linda podbiegła do rozciągniętego na ziemi Argentyńczyka. Nie ruszał się. Zdjęła mu hełm. Po sposobie, w jaki opadła głowa, poznała, że facet ma złamany kark. Wstała.

- Sztynny?

- Tak.

- Albo on, albo my - stwierdził Linc z fatalizmem zawodowego żołnierza.

Przeniósł ciało bliżej skutera śnieżnego. Delikatnie położył zwłoki na lodzie i chwycił kierownicę pojazdu. Zaparł się nogami, napiął mięśnie i przewrócił ćwierćtonową maszynę na bok jak zabawkę. Ułożył nieboszczyka tak, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek.

- Szkoda że nie możemy tym pojechać do transportera - jęknęła Linda.

Franklin Lincoln wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Spacer dobrze ci robi.

- Najpierw mówisz, że mam za mało ciała, a teraz, że potrzebuję ruchu. Więc jak?

Linc wiedział, że każda odpowiedź to pułapka, nawet jeśli Linda tylko się z nim drażni. Przewornie więc się nie odezwał, tylko rozpoczął długą i mozolną wędrówkę do Murphy'ego oraz ich ciepłego pojazdu, żeby wrócić do Wilson/George.



# Rozdział 16

W Bremerton w stanie Waszyngton Juan i Max mieli tylko jedno wymaganie względem hotelu - musiało tam być połączenie z Internetem. Cabrillo chciał przesłać Eddiemu Sengowi na „Oregonie” zdjęcia z Dołu Skarbów i jak najszybciej dostać przekład chińskiego tekstu.

Zanim skończyli się obzerać ostrygami z zatoki Wallapa i krabami z Dungeness w pobliskiej restauracji, Eddie przygotował dla nich wstępny raport.

Seng też był eksagentem CIA i członkiem korporacji niemal od chwili jej powstania. Paradoksalnie, choć on i Cabrillo służyli w agencji w tym samym czasie, nigdy się nie spotkali w Langley. Urodzony w nowojorskiej chińskiej dzielnicy Eddie znał biegle kantoński i mandaryński.

Patrzył na świat spod ciężkich powiek ciemnymi oczami. Juan zobaczył w nich, że Eddie odkrył coś interesującego. Za plecami szefa operacji lądowych widział tył centrum operacyjnego, więc się domyślił, że jego obraz jest na głównym wyświetlaczu nad stanowiskami sternika i obsługi uzbrojenia.

- Miałeś rację, to mandaryński, ale archaiczny. Przypomni mi, jak musiałem czytać Szekspira w szkole średniej.

- Więc co to jest?

- Słyszałeś o admirale Czeng Ho?

- Piętnastowieczny chiński podróżnik. Dopłynął na zachodzie aż do Afryki i na południu aż do Australii.

- Właściwie do Nowej Zelandii. Odbył siedem wypraw między rokiem 1405 i 1433 na największych statkach, jakie zbudowano do XVIII wieku. Miał ich ponad dwieście w tak zwanej Flocie Skarbów i dwadzieścia osiem tysięcy ludzi.

- Chcesz powiedzieć, że Chińczycy odkryli Amerykę siedemdziesiąt lat przed Kolumbem?

- Nie. To nie Czeng umieścił tę tablicę w szybie. Ale admirał, który to zrobił, wzorował się na Czeng i sam wyruszył w godny podziwu rejs. Trzy statki pożegłowały w roku 1495 z Chin na wschód. Dowodził nimi Tsai Song. Admirał Tsai dostał od cesarza polecenie nawiązania stosunków handlowych tak daleko, jak zdoła. A ponieważ Czeng natrafił na kontynent na zachodzie, Afrykę, był przekonany, że drugi taki jest na wschodzie, ze względu na symetryczności Ziemi.

- Więc dotarli do Ameryki Północnej, ale parę lat po Kolumbie - odezwał się Max z ulgą, że nie trzeba na nowo pisać podręczników historii.

- Właściwie według tego, co potrafię odczytać, wylądowali najpierw w Ameryce Południowej. Ale mieli problem. Jak pisze Tsai, jeden z ich statków został przeklęty, kiedy byli w „piekielnie zimnej zatoczce”. Przypuszczam, że chodzi o Ziemię Ognistą.

- Co się wydarzyło?

- Załogę opętało potężne zło. Tak relacjonuje Tsai. Admirał uznał więc za konieczne zniszczyć

statek i zostawić ludzi na łasce losu, żeby zginęli. Zatopił żaglowiec ładunkiem wybuchowym przymocowanym do kadłuba.

- Jak duże były te statki? - zapytał Hanley.

- Miały ponad dziewięćdziesiąt metrów długości i czterystu - osobowy skład.

Max gwizdnął cicho. Zaimponowali mu średniowieczni chińscy budowniczowie okrętów.

- Wyjaśnił naturę tego zła?

- Nie. Choć szyb wydrążyli po to, żeby wskazywał lokalizację statku. Tsai napisał, że do przekłętego żaglowca nikt nie powinien się zbliżać, ale był również pragmatykiem. Na pokładzie transportowali niesłychane bogactwa, skarby, które planowali przehandlować z napotkanymi krajowcami.

- Tsai zostawił dwa znaki. Jeden ku czci bogów podziemnego świata w szybie i drugi ku czci bogów niebios.

- Coś pod ziemią i coś powyżej - zastanowił się głośno Juan. - I co z tym drugim znakiem?

- Jest napisane tylko, że można go zobaczyć z nieba. I że zostawili to dwieście dni od Dołu Skarbów.

- Dwieście dni? - zagderał Max. - Co to, do cholery, za zamiar?

- Przypuszczam - odparł spokojnie Eddie, nie reagując na jego sarkazm - że chodzi o dwieście dni żeglugi na południe od wyspy Pine. Bracia Ronishowie najwyraźniej uznali, że to gdzieś w okolicy dwudziestego piątego równoleżnika.

- Moment - wtrącił się Juan. - Jeśli szukali znaku zostawionego przez admirała, to co robili tak daleko w głębi lądu? Cokolwiek to było, powinno chyba znajdować się blisko wybrzeża.

- Nie wiem.

- Musimy popracować nad papierami, które znalazłeś na miejscu katastrofy - zasugerował Max.

- Trzeba się dowiedzieć więcej o admirałe Tsai - włączył się Eric Stone. Wcześniej siedział na stanowisku sternika, ale przeszedł przez centrum operacyjne i stanął za Eddiem. - I co przewoził na pokładzie. To mogłoby być znaczące odkrycie archeologiczne.

- Właściwie powinniśmy zadać sobie pytanie, czy warto ciągnąć temat. Co nam to da?

- Uważam, że odpowiedź jest dość jasna - odparł Stone. - Interesuje się tym argentyński rząd, reżim obecnie wrogo nastawiony do Stanów Zjednoczonych. Cokolwiek planują, to na pewno nic dobrego.

- Zgadzam się - przytaknął prezes. - *Generalissimos* węższą wokół tej sprawy i dopóki się nie zrezygnujemy, co knują, nie wolno nam tego zostawiać. Co z rysunkiem tamtej zatoki czy zatoczki?

- To zarys rejonu, gdzie zatopili swój statek. I zanim zapytasz, już poprosiłem Erica, żeby zrobił komputerowe porównanie z linią brzegową Ameryki Południowej, łącznie z kilkuset wyspami, które tworzą Ziemię Ognistą. To zajmie trochę czasu.

- Okej. A co u Lindy i jej drużyny?

- Są jeszcze w transporterze arktycznym. Nie uwierzysz, jakiego odkrycia dokonali. Mała argentyńska stacja badawcza okazała się ośrodkiem wydobywania ropy.

- Czym?

- Słyszałeś. Wiercą przy brzegu Półwyspu Antarktycznego.

Wiadomość zaszokowała Cabrilla i wypalił głupio:

- Ale to nielegalne.

- Owszem. Najwyraźniej wcale się tym nie przejmują.

- Zawiadomiłeś Overholta?

- Jeszcze nie. Linda zrobiła trochę zdjęć. Chce je dołączyć do raportu.

- To się staje coraz dziwniejsze - stwierdził Max. - Cholernie ryzykują, robiąc taki numer.

- Ależ skąd! - skontrolował Eric Stone. - Już są światowym pariasem, więc co mają do stracenia?

- Od groma. Stany wyślą tam armadę. Urządzą im powtórkę z wojny o Falklandy.

Stone uniósł brew.

- Jesteś pewien?

Hanley otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnował. Amerykańskie siły zbrojne były rozproszone po świecie, a obecny lokator Białego Domu koncentrował się bardziej na sprawach wewnętrznych, więc mogło się skończyć na słabych protestach rządu i kolejnych oenzetowskich sankcjach.

- Teraz należy zadać sobie pytanie: co łączy sześćsetletni chiński statek z aktualnymi wydarzeniami na międzynarodowej scenie - zasugerował Eric.

- Jak znam życie, bardzo wiele - odparł kwaśno Juan.

- Co mamy zrobić po powrocie Lindy? - zapytał Eddie. - Zostać tutaj czy popłynąć na północ?

Cabrillo rozważył możliwości i podjął szybką decyzję.

- Zabierzcie stamtąd statek. Nie wiemy, co Argentyńczycy planują w Antarktyce, ale jeśli wybuchnie wojna, nie chcę, żeby „Oregon” tam był. Poza tym musimy zająć pozycję na wizytę kuwejckiego emira w Afryce Południowej. Wynajął nas jako dodatkową ochronę i jest to lukratywny kontrakt.

- Załatwione - odparł Eddie. - Nasi powinni się zjawić za parę godzin, więc gdy tylko dotrą, wyruszymy na północ.

- Od razu do mnie zadzwoń. Chcę usłyszeć pełny meldunek Lindy.

Juan przerwał połączenie i otworzył swoją elektroniczną książkę telefoniczną. Figurowało w niej ponad tysiąc nazwisk, od głów państw do najciemniejszych typów na świecie. Jak na ironię, w porządku alfabetycznym Langston Overholt sąsiadował z pewnym francuskim alfonsem, który również trudnił się zbieraniem informacji.

Na wschodnim wybrzeżu było trzy godziny wcześniej, więc Juan nie przejmował się różnicą czasu. Głęboki baryton odezwał się po drugim sygnale.

- Halo?

- Witam, panie Perlmutter, tu Juan Cabrillo.

- Niesławny prezes. Jak się pan miewa?

Choć nigdy się nie spotkali i tylko raz rozmawiali przez telefon, jeden doskonale znał reputację drugiego. St. Julian Perlmutter był żywą encyklopedią morską i właścicielem największej prywatnej kolekcji książek, rękopisów i folio dotyczących historii statków i żeglugi. Zbiór mocno zużytych materiałów źródłowych wypełniał dosłownie po krokwie jego dom w Georgetown.

To jeden z projektów badawczych Perlmuttera skierował przed kilkanaście miesięcy załogę „Oregon” do Libii, dzięki czemu uratowali sekretarz stanu, Fionę Katamorę.

- Doskonale. A pan?

- Mam właśnie ochotę na małe co nieco, jak wyraziłyby się Bryty. Kolacja jest jeszcze w piekarniku i od aromatu cieknie mi ślinka. - Drugą wielką miłością Perlmuttera było jedzenie i każdy, kto go znał, wiedział, że facetowi zawsze dopisuje apetyt. - Niech pan mi powie, że jest pan w Stanach, to wreszcie zwiedzę pański statek.

- Max Hartley i ja istotnie tu siedzimy, ale „Oregon” wypłynął na morze. - Nie widział powodu, żeby ukrywać przed Perlmutterem szczegółowe informacje, poza takim, że telefon rozmówcy mógł być na podsłuchu. - Chciałbym skorzystać z pańskiej wiedzy.

- Dobry Boże, człowieku, zaczyna pan mówić jak Dirk. Zawsze dzwoni tylko w interesach. Przynajmniej jego dzieci mają tyle przyzwoitości, że przynoszą coś na ząb, kiedy przychodzą z pytaniami do starego wujka St. Juliana.

- Max i ja jesteśmy w stanie Waszyngton, przyślemy panu trochę tutejszych słynnych jabłek.

- Zamieńcie je na kraby z Dungeness, to się dogadamy. Co pana interesuje?

- Chińska Flota Skarbów.

- Aha, admirał Czeng. A dokładnie?

- Właściwie chodzi mi o admirała Tsai Songa.

- Obawiam się, że to fikcyjna postać - odparł Perlmutter i zamilkł na chwilę. - Znalazł pan dowód, że on naprawdę istniał?

- Słyszał pan o Dole Skarbów na wyspie Pine?

- Tak, oczywiście. - Głos Perlmuttera podskoczył nagle o dwie oktawy. - Mój Boże. Tsai.

- W bok od szybu znajduje się ukryta grotka. Zostawił w niej tablicę ze wskazówką, gdzie porzucili jeden ze swoich statków.

- Więc to wcale nie był piracki łup. Zawsze tak myślałem, ale to fantastyczne. Rejs Tsai Songa uważano po prostu za mit stworzony najprawdopodobniej w XVIII wieku, by rozbudzić w Chińczykach dumę narodową, kiedy ich krajem wstrząsały niepokoje z powodu ingerencji Brytyjczyków.

- Coś w rodzaju: „Zobaczcie, kiedyś mieliśmy imperium większe od waszego”.

- Właśnie. Niech pan posłucha, kapitanie Cabrillo...

- Proszę mi mówić Juan.

- Juan, nie ze mną powinieneś rozmawiać. Wiem tylko tyle, że Tsai podobno pożegłował do Ameryki i z powrotem gdzieś pod koniec XV wieku. Skontaktuję cię z Tamarą Wright, badaczką historii Chin, która napisała wspaniałą książkę o podróży admirała Czenga do Indii i Afryki i poskładała w całość fragmenty legendy o admirałe Tsai. Zadzwoń do ciebie za dziesięć minut dobrze?

- Oczywiście. - Juan podał Perlmutterowi numer swojej komórki i zerknął na Maksa. - Właśnie byłeś świadkiem historycznego wydarzenia, przyjacielu. Dirk Pitt mówił mi, że w ciągu tych wszystkich lat znajomości z Perlmutterem nigdy nie udało mu się zbić go z tropu.

Nie znając St. Juliana, Hanley czuł się rozczarowany.

- Wspomnę o tym, kiedy następnym razem będę w NUMA\*.

\* Organizacja założona przez Cusslera, zajmująca się poszukiwaniem i badaniem znaczących historycznie wraków statków, okrętów, samolotów, (przyp. red.).

Telefon Juana zadzwieczał kilka minut później.

- Niestety, mam złą wiadomość. Tamara wyjechała na urlop; wróci do swojego biura w Dartmouth dopiero w następny poniedziałek.

- Z przyczyn, których nie mogę ujawnić, trochę nam się spieszy - odparł Juan. - Zajmiemy jej tylko kilka minut.

- Rzecz w tym, że ona jest nieuchwytna. Doktorantka, która odebrała telefon w biurze, powiedziała, że Tamara nie wzięła ze sobą komórki.



- Wie pan, dokąd się wybrała? Może jakoś ją znajdziemy.

- To naprawdę takie ważne? - zapytał Perlmutter i zaraz sam sobie odpowiedział: - Na pewno, inaczej byś nie nalegał. Wyruszyła w jazzowy rejs po Missisipi na pokładzie „Natchez Belle”. Nie mam pojęcia, gdzie są w tej chwili, ale pewnie dowiesz się tego w kapitanacie linii żeglugowej.

- Już wchodzę na ich stronę - odparł Cabrillo. - Dziękuję panu.

- Zapomnij o krabach i przyślij mi przekład tekstu z tablicy, to będziemy kwita.

- Załatwione.

- No i? - zapytał Max.

Juan odwrócił laptop. Na ekranie Hanley zobaczył piękny biały kołowiec; dym unosił się z dwóch cienkich kominów, ludzie machali z trzech pokładów podobnych do warstw tortu weselnego. W tle widniał słynny łuk w St. Louis, jednym ze stałych portów pośrednich na trasie rejsu.

- Gotowy do drobnego hazardu na rzece?

- Zostawiłem swojego derringera w bezpiecznym domu. - Max zawinął mankiety koszuli. - Ale powinienem mieć kilka asów w rękawie. Gdzie teraz jest ten statek?

- Możemy go złapać w Vicksburgu i zejść z powrotem na ląd w Natchez w stanie Missisipi. - Juan znów obrócił do siebie komputer, żeby zarezerwować bilety na nocną podróż i samolot. - Potem spotkamy się z „Oregonem” w Rio i albo popłyniemy wykonać robotę w Afryce Południowej, albo tam, gdzie rzuci nas los.

- Dobrze się bawisz, co? - Max był zadowolony.

- Poza tym, że strzelali do mnie i utknąłem w przepastnym szybie na jakiś czas, owszem.

Max zachichotał.

- Tamto też ci się podobało.

Juan tylko wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

# Rozdział 17

Duży port lotniczy najbliższej Vicksburga był w Jackson w stanie Missisipi, osiemdziesiąt kilometrów na wschód. Po opuszczeniu terminalu Cabrillo wszedł w ścianę wilgoci. Poczł się tak, jakby wrócił do południowoamerykańskiej dżungli. Powietrze drgało od gorąca i miał wrażenie, że nie może złapać oddechu. Max ocierał chustą krople potu ze swojej łysiejącej czaszki.

- Mój Boże - sapnął. - Co to za miejsce? Dziesięć kilometrów od Słońca?

- Trzydzieści. Przeczytałem w magazynie linii lotniczych.

Sytuację pogarszało to, że obaj włożyli marynarki, gdy tylko wyjęli pistolety ze sprawdzonego bagażu.

Zamiast zawracać sobie głowę formalnościami związanymi z wypożyczeniem następnego samochodu, postanowili wziąć taksówkę. Kiedy znaleźli kierowcę i uzgodnili cenę, ich torby podróżne powędrowały do bagażnika, a oni usadowili się w niemal arktycznym chłodzie klimatyzowanego wnętrza auta.

W gęstym ruchu jazda do celu trwała nieco ponad godzinę, ale dotarli na miejsce z dużym zapasem czasu. „Natchez Belle” odpływała do miasta, którego nazwę nosiła, dopiero za czterdzieści minut.

Stała przycumowana za budowlą o wyglądzie kołowca, gdzie mieściło się jedno z kasyn, w cieniu dwóch stalowych mostów kratownicowych w Vicksburgu przerzuconych nad błotnistą Missisipi. Trap był opuszczony prosto na parking. W pobliżu wznosił się biały namiot, muzyka jazzowa grana przez orkiestrę dętą dolatywała tam, gdzie wysiedli z taksówki. Dziesiątki ludzi kręciły się z talerzami zakąsek i drinkami w rękach. Część załogi statku w strojach z okresu secesji zajmowała się gośćmi.

- Trochę hazardu? - Max już nie zauważał upału.

- Zapomnij, dość straciłeś w Las Vegas. Wiesz, to mi się wydaje nie w porządku. W Vicksburgu stoczono jedną z najstraszniejszych bitew wojny secesyjnej. Nie pasują mi tu kasyna. To tak, jakby ulokować EuroDisneyland na plażach Normandii.

- Wielu tutejszych na pewno się z tym zgadza, ale dużo więcej jest wdzięcznych za pracę i zarobek.

Juan przytaknął.

- Coś mi się przypomniało. Nie wiem, jak wygląda Tamara Wright. - Sięgał po komórkę, żeby zatelefonować do Perlmuttera, gdy zaczęła dźwięczeć.

- Prezesie, tu St. Julian.

- Muszą pana piec uszy, bo właśnie miałem zadzwonić i zapytać, jak rozpoznam profesor Wright.

- Afroamerykanka o jasnej cerze. Wysoka, z metr osiemdziesiąt. Kiedy ją widziałem ostatni raz, miała proste włosy, ale od tamtej pory minęło już ładnych parę lat. Najłatwiej można ją poznać po

złotym wisiorze tajitu; stale go nosi.

- Co to takiego?

- Taoistyczny symbol jin i jang. Jedna część czarna, druga biała. Zresztą nieważne. Właśnie znów telefonowała jej doktorantka.

Jakiś mężczyzna dzwonił do niej wczoraj wieczorem i pytał o Tamarę. Stwierdziła, że mnie zawiadomi. Juan poczuł ucisk w żołądku.

- Co mu powiedziała?

- Wszystko. Nie sądziła, że zdradza jakąś tajemnicę.

- Przedstawił się?

- Tak, jako kolega Tamary, naukowiec z Argentyny. Chciał się z nią spotkać.

Ucisk rozprzestrzenił się na pierś. Cabrillo przebiegł wzrokiem mały parking, spodziewał się zobaczyć argentyńskiego majora w każdej chwili.

- Niedobrze, co? - zapytał Perlmutter.

- Owszem. Życie profesor Wright jest zagrożone.

Na te słowa Max Hanley zaczął się przyglądać twarzom.

- Dzięki za ostrzeżenie, St. Julian. - Juan się rozłączył i zamknął komórkę.

- Uparte gnojki - mruknął Max.

- Cały czas depczą nam po piętach.

- Jak oni namierzyli profesor Wright?

- Tak samo jak my byśmy to zrobili, gdybym nie znał Perlmuttera. Znalazłem ją wczoraj w Google'ach, kiedy poszedłeś spać. Jest światowej sławy znawcą historii chińskiej żeglugi i handlu. Gdybym chciał się dowiedzieć więcej o admirałe Tsaiu, zwróciłbym się właśnie do Tamary Wright.

- To chyba oznacza, że frotaż w domu Ronisha nie spłonął - zauważył Max.

- Co mogę powiedzieć? Wykonałem kiepski rzut. Chodź, zameldujemy się i poszukamy pani profesor. Stojąc tutaj, czuję się tak, jakbym miał tarczę strzelniczą na plecach.

Mimo wyglądu kołowca sprzed wojny secesyjnej „Natchez Belle” okazała się nowoczesnym statkiem, zapewniającym wszelkie wygody siedemdziesięciu pasażerom - tylu zabierała na pokład, gdy kursowała tam i z powrotem między St. Louis i Nowym Orleanem. Dwa wysokie cienkie kominy zamontowano na pokładzie, tak jak masywne czerwone koło łopatkowe za rufą, które rytmicznie mieliło wodę. W rzeczywistości statek napędzały niewidoczne śruby.

Wnętrze również idealnie wystylizowano. Wypolerowane drewno lśniło, mosiądz błyszczał jak złoto. Miękki dywan w recepcji nie ustępował tym na „Oregonie”.

Zameldowali się. Juanowi został ostatni fałszywy dowód tożsamości - poprzedni musiał spalić razem z wypożyczonym suwem. Zapytał o doktor Tamarę Wright, ale recepcjonistka w krynolinie i obcisłym gorsecie odparła, że nie udzielają informacji o innych pasażerach. Sami muszą jej poszukać.

Ich wyłożona boazerią kabina była maleńka; przynajmniej mieli balkon z widokiem na brzeg rzeki po stronie Luizjany. Max narzekał, że łazienka jest mniejsza niż budka telefoniczna, Cabrillo przypomniał mu jednak, że nie są tu dla przyjemności. Nie rozpakowali się i szybko wyszli z kabiny.

Wcześniej przyjrzeni się ludziom na koktajlu na nabrzeżu. Profesor Wright nie zauważyli wśród gości, więc mogła być albo w kabinie, albo na pokładzie słonecznym. Mieli nadzieję, że zdołają ją znaleźć, przekonać, że grozi jej niebezpieczeństwo, i zabrać z kołowca, zanim pojawią się Argentyńczycy. Jeśli nie, będą ją ochraniać do następnego portu pośredniego i tam uciekną.

W rufowej części górnego pokładu znajdował się bar z widokiem na koło łopatkowe, które obracało się leniwie w nurcie rzeki. Wielka biała brezentowa plandeka osłaniała tu pasażerów przed ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Niewiele osób siedziało wokół baru, kilka zajmowało miejsca na kanapach, ale żadna kobieta nie odpowiadała rysopisowi Tamary Wright. Dalej w kierunku dziobu, w cieniu atrap kominów „Natchez Belle” był basen mniej więcej na dziesięć osób. Podobnie jak bar, cieszył się popularnością wśród pasażerów, ale tu też nikt nie przypominał wyglądem profesor Wright.

- I co? - zapytał Max.

- Płyniemy do Natchez.

- Więc możemy się chyba przebrać do kolacji.

Nie zadali sobie trudu, żeby wziąć garnitury, więc tylko zmienili koszule i włożyli z powrotem sportowe marynarki. Zanim opuścili kabinę, trap podniesiono do pozycji wzdłuż burty statku. Staromodny gwizdek parowy, lub przynajmniej jego elektroniczna wersja, zasygnalizował, że kołowiec rusza w drogę.

Sporo pasażerów stało przy górnych relingach lub na swoich balkonach i machało na pożegnanie Vicksburgowi; Cabrillo i Hanley wypatrywali na „Natchez Belle” Tamary i argentyńskiego oddziału specjalnego. Nikt taki się nie pokazał.

Odetchnęli z ulgą. Nie wątpili, że Argentyńczycy się zjawią, ale dopiero na następnym postoju. Do tego czasu Tamara Wright zrozumie powagę sytuacji i sprowadzą ją chyłkiem na ląd. Cabrillo już ułożył plan ewakuacji.

Wrócili do baru na głównym pokładzie, gdzie większość pasażerów piła następnego drinka przed kolacją i słuchała kapeli jazzowej. Koncert legendarnego pianisty Lionela Couture’a miał się odbyć po posiłku.

Max nagle klepnął Juana w pierś i wskazał kierunek.

- Chyba się zakochałem.

Widzieli głównie starsze małżeństwa trwoniące spadki swoich dzieci, więc Cabrillo nie zrozumiał, o czym mówi przyjaciel. Nie sądził, żeby Maksowi chodziło o wąsatego barmana w białej marynarce. Przynajmniej miał taką nadzieję. Barman przesunął się i odsłonił kobietę siedzącą po drugiej stronie.

Teraz Juan już wiedział.

- W niej, tak? - zapytał.

- Spójrz na naszyjnik. Jest taki, jak opisywał Perlmutter.

Tamara Wright musiała być kiedyś uderzająco piękna; po pięćdziesiątce nadal wyróżniała się urodą - gładka cera o barwie kawy z mlekiem, lśniące kruczoczarne włosy do ramion. Słuchała barmana i pokazywała w uśmiechu najbielsze zęby, jakie Juan kiedykolwiek widział. Była we wzorzystej sukience z wąskimi ramiączkami, która odsłaniała kształtne ramiona.

Kiedy St. Julian pierwszy raz wspomniał o pani profesor, Juan wyobraził ją niemal jako zakonnicę, więc mile zaskoczyło go to, co zobaczył.

Musiał mocno wyciągać nogi, żeby dotrzymać kroku Maksowi; kompan parł w jej kierunku niczym słoń w składzie porcelany.

- Profesor Wright - powiedział z niezwykłą galanterią. - Nazywam się Max Hanley.

Zdziwienie, ale sympatyczne, odmalowało się na jej twarzy.

- Przepraszam, czy my się znamy?

Zanim Max zdążył zacząć przemowę, która mogłaby się okazać długim atakiem na cnotę Tamary Wright, Juan wkroczył do akcji.

- Nie, proszę pani. Pani nas nie zna, ale zjawiliśmy się tutaj, bo dowiedzieliśmy od St. Juliana Perlmuttera, gdzie panią zastaniemy.

- Znacie, panowie, St. Juliana?

- Tak. Stwierdził, że tylko pani może udzielić nam wyczerpujących informacji o pewnym chińskim admirale.

Teraz naprawdę była zaintrygowana.

- Kim pan jest?

- Juan Cabrillo. Parę dni temu obecny tu mój współnik i ja odkryliśmy tablicę z tekstem na wyspie Pine na dnie szybu zwanego Dołem Skarbów. Zostawił ją tam w roku 1498 admirał Tsai Song.

Przez chwilę siedziała z otwartymi ustami i gapiała się na Juana. Na uspokojenie wypłała łyk białego wina. Hanley i Cabrillo nie sprawiali wrażenia kawalarzy. Wyglądali śmiertelnie poważnie.

- To prawda? - zapytała pełnym zachwytem szeptem.

- Tak. - Max wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu zadowolony, że może przekazać wiadomość o tym, czym kobieta najwyraźniej żyje.

- Zaraz - powiedziała nagle. - Czy to nie na wyspie Pine jakiś pirat zakopał podobno swój łup?

- Rzeczywistość jest jeszcze bardziej zdumiewająca niż legenda - odparł Juan. Postanowił wyciągnąć z pani profesor jak najwięcej, zanim ją uprzedzi o niebezpieczeństwie ze strony Argentyńczyków. Nie chciał ryzykować, że kobieta odmówi współpracy. - Proszę nam powiedzieć, co pani wie o admirale Tsaiu.

- Niestety niewiele, bo gdy wrócił do Chin, na tronie zasiadał już nowy cesarz, który uważał, że jego poddani nie powinni opuszczać Państwa Środka. Skazał więc Tsaia i jego załogę na śmierć, żeby nie zatruli umysłów Chińczyków opowieściami o świecie zewnętrznym. Jednemu z marynarzy udało się uciec i tylko od niego wiemy o rejsie. - Mówiła z prawdziwą pasją. I choć to Juan zadał pytanie, zwracała się bardziej do Maksa niż do niego.

- A co ze statkiem, który musieli zostawić? Tsai napisał, że jego ludzi opętało zło, ale nie wyjaśnił, co się wydarzyło.

- Tak, to było „Milczące Morze”. Tsai je zatopił i zabił całą załogę, bo ludzi ogarnęło szaleństwo.

- Gdzie to się stało? - spytał Max.

- Ocalały marynarz, zwykły majtek, nie nawigator, powiedział jedynie, że przy lodowym lądzie.

- Ciekawe - odezwał się Juan. - Jak...

- Czarna kobieta została ekspertem w dziedzinie morskiej historii Chin?

- Nie, jak ta opowieść przetrwała tak długo. Ale skoro już pani poruszyła ten temat...

- Mój ojciec, inżynier elektronik, spędził większość zawodowego życia na Tajwanie.

Wychowałam się w Tajpej. Tam skończyłam studia. Dopiero kiedy uzyskałam dyplom, wróciliśmy do Stanów. A co do przetrwania opowieści, to ocalały marynarz, Sedong Czo, spisał ją na starość. Mieszkał na Tajwanie, wtedy jeszcze chińskiej prowincji. Rękopis przekazywano sobie w jego rodzinie, ale po kilku pokoleniach tę historię uznano za fikcję, wytwór fantazji przodka o bujnej wyobraźni. Dowiedziałam się o tym, bo przez cztery lata studiów na uniwersytecie dzieliłam pokój z Susan Sedong, wnuczką Czo w dziewiątym pokoleniu. Oczywiście nie sposób dowieść, że Tsai Song

kiedykolwiek żył, bo cesarz kazał zatrzeć wszelkie ślady istnienia admirała i jego załogi, więc opowieść pozostała tylko opowieścią.

- Do teraz - zauważył Max.

Uśmiechnęła się do niego.

- Do teraz.

Cabrillo wyczuł, że między tą parą iskrzy, i choć chętnie zostawiłby ich samych, nie mogli sobie pozwolić na taki luksus.

- Wspomniał, co spowodowało szaleństwo? - Myślał o raporcie Lindy Ross. Zbieg okoliczności określano w ich branży niecenzuralnym słowem.

- „Milczące Morze” odłączyło się od dwóch innych statków na miesiąc w drodze do Ameryki Południowej. Dobiło do brzegu samotnej wyspy. Tylko proszę nie pytać o nazwę. Tam załoga kupiła świeże jedzenie od tubylców. To było jedyne odstępstwo od tego, z czym się stykali marynarze na dwóch pozostałych żaglowcach, więc zawsze uważałam, że żywność została w jakiś sposób skażona.

- Przepraszam na chwilę. - Juan odszedł na bok. Nie mógł bardziej uszczęśliwić Maksa. Zadzwoił na „Oregon” i poprosił o połączenie z doktor Huxley. - Jules, tu Juan.

- Cześć, gdzie się podziewacie?

- Wierz lub nie, ale płyniemy statkiem po Missisipi.

- Gdzie jest ciepło i słonecznie, tak? - Zazdrość zabrzmiała w głosie lekarki okrętowej.

- Słońce właśnie zaszło, ale wciąż jest jakieś dwadzieścia siedem stopni.

- I dzwonisz, żeby zatriumfować.

- Posłuchaj, zbadałaś już próbki, które Murphy pobrał w Wilson/George?

- Jeszcze nie.

- Sprawdź, czy nie ma w nich prionów.

- Prionów? Mówisz poważnie? Podejrzewasz, że Andrew Gangle nabawił się choroby szalonych krów?

- Tak, w jakiejś postaci, i że złapał to od innego człowieka. Priony nie obumierają, zgadza się?

- To tylko białka, więc nie są żywymi organizmami, ale owszem, w pewnym sensie nie obumierają.

- Więc ktoś może zostać zainfekowany, kiedy, powiedzmy, przypadkowo skaleczy się kością zakażonego trupa, priony dostaną się do krwiobiegu?

Julia się nie zawahała.

- Teoretycznie. Skąd to olśnienie?

- Za sprawą pewnego chińskiego statku. Wyświadcz mi przysługę i przekaz Markowi i Stone'owi, żeby przestali studiować mapę. Znalazłem zatokę. - Juan się rozłączył i wrócił do Maksa i Tamary, która śmiała się z jakiegoś dowcipu Hanleya.

- O co chodzi? - zapytał Max.

- O podszepty intuicji. Chyba wiem, co skaziło jedzenie na pokładzie „Milczącego Morza”.

Kanibalizm był powszechnym zjawiskiem na kilku pacyficznych wyspach i Juan domyślał się, jakie mięso kupili Chińczycy.

- Co transportował statek?

- Wszystko, od złota i przypraw korzennych do jedwabiów i jadeitu. Chińczycy chcieli dostać co najlepsze od krajowców spotykanych podczas rejsu, więc sami też wzięli swoje najcenniejsze towary. Co jeszcze napisał admirał Tsai? - dopytywała profesor Wright.

- Mam przekład w kabinie. Chętnie dam pani kopię.

Tylko dlatego, że zespół muzyczny przestał grać, Juan usłyszał cichy warkot potężnych silników. Rozpoznał odgłos i się zerwał. Jego zachowanie zaalarmowało Maksa.

Juan podbiegł do rufy kołowca i spojrział w dół na ciemną wodę. Pozostało jeszcze dość blasku na niebie, żeby dostrzegł dwunastometrową szybką łódź motorową, tak zwaną cygaretkę, która zrównała się z „Natchez Belle”. W środku było czterech mężczyzn w ciemnych ubraniach i kominiarkach. Mnóstwo myśli skryzlowało się w jego głowie, ale nie miał czasu ich analizować.

Jeden z mężczyzn przeskoczył już z motorówki nad wąskim przesmykiem wody na najniższy pokład statku wycieczkowego.

Czterech ludzi. Jeden musi zostać w łodzi, więc trzech przedostanie się na „Belle”. Juan i Max stawiali już czoło większej liczbie przeciwników, ale Cabrillo musiał brać pod uwagę bezpieczeństwo innych pasażerów. Z tego, co widział wcześniej, Argentyńczycy nie wahali się zabijać cywilów.

- Max, zostań z nią. W razie czego skacz za burtę.

Hanley nie wyciągnął pistoletu, ale trzymał rękę w pogotowiu pod marynarką.

- Co się dzieje? - Tamara wyczuła napięcie swoich nowych znajomych.

- Jest pani w niebezpieczeństwie - rzucił Max.

- Ale ja nie...

- Nie ma czasu. Proszę mi zaufać.

Juan dotarł do głównych schodów prowadzących na niższe pokłady, gdy usłyszał krzyki na dole. Domyślił się, że Argentyńczycy są już w komplecie na statku i wymachują bronią. Zobaczył, że spanikowany tłum wdziera się na stopnie. Nie miał szans przepchnąć się na dół przez masę napierających ludzi.

Natychmiast się odwrócił i pobiegł ku dziobowi. Obok basenu był szpiczasty świetlik zrobiony z mnóstwa kawałków szmaragdowego rżniętego szkła osadzonych w ramie z kutego żelaza. Kopnął kilka szybek, odłamki posypały się na stół w jadalni. Rozległy się wrzaski przerażonych wczesnych stołowników.

Cabrillo przeskoczył przez otwór i wylądował na stole. Błat się zarwał i Juan spadł na podłogę w lawinie jedzenia, sztućców i talerzy. Siłą rozpędu wpadł na jakąś korpulentną kobietę - runęła w tył razem z krzesłem. Gdy próbowała się podnieść, komicznie przebierała grubymi nogami wycelowanymi w sufit, jakby jechała na rowerze.

Juan wstał, cuchnąc winem i z zieleniną za kołnierzem. Zabolęła go kostka. Nie skrzył jej, ale mocno nadwreżył przy upadku. Pasażerowie się gapili, mąż przewróconej kobiety zaczął się wydierać na niego. Chciał walnąć Juana w ramię, ale ten odsunął się na bok, obrócił w miejscu i popchnął faceta z tyłu niczym matador walczący z bykiem.

Rozdrażniony małżonek zrobił dwa kroki, zanim się zorientował, co zaszło. Odwrócił się, by podjąć walkę, ale stanął jak wryty na widok pistoletu w ręku Juana. Cabrillo nie celował w niego, choć postarał się, żeby gość dobrze przyjrzał się broni i przemyślał ewentualną obronę honoru żony. Jeszcze nie zdołała opuścić nóg ani unieść pośladek z leżącego krzesła.

Szklane drzwi do jadalni otworzyły się gwałtownie. Dwaj bandyci wpadli do środka. Wybuchła wrzawa, kiedy pasażerowie zobaczyli karabiny szturmowe. Cabrillo rozpoznał rugery mini-14, jedne z najlepszych konstrukcji na wolnym rynku. Nie mógł oddać czystego strzału, bo ludzie rzucili się do ucieczki przed uzbrojonymi intruzami. Niektórzy dawali nura pod stoły, inni jakby wrosli w ziemię,

bladzi i niepewni.

Mężczyźni omietli wzrokiem salę w poszukiwaniu Tamary Wright. Na pewno ściągnęli jej zdjęcie z Internetu, czego zapomniał zrobić Cabrillo. Odwrócił się lekko i przykucnął, żeby nie przyjrzel się jego twarzy.

- Wszyscy pod ścianę!

Juan rozpoznał głos argentyńskiego majora.

Jakiś kelner stał przy drzwiach kuchni. Spróbował się tam wolno przekraść i uciec. Drugi bandyta zauważył ruch i strzelił bez zastanowienia. Pocisk trafił kelnera prosto w pierś, przeszedł na wylot, wleciał do kuchni i zrykoszetował od jakiegoś sprzętu.

Wrzaski pasażerów przybrały na sile i wypełniły jadalnię. Cabrillo wykorzystał nową falę paniki i zadziałał. Wiedział, że jeśli bandyci opanują sytuację w sali, będzie martwy. Rzucił się więc do wielkiego panoramicznego okna z widokiem na atramentową rzekę. Zdażył zrobić cztery kroki, zanim Argentyńczycy zareagowali. Pociski karabinowe zagwizdały wokół niego. Szkło i porcelana rozprysły się po stołach. Jedna kula zraniła w ramię mężczyznę w smokingu. Był bardzo blisko Cabrilla. Jego krew opryskała Juanowi rękaw.

Kilka pocisków trafiło w szybę okienną, na której powstała pajęczyna pęknięć. Szkło zostało tak osłabione, że kiedy Cabrillo uderzył w nie ciałem, natychmiast ustąpiło. Runął do Missisipi w gradzie odłamków i zmusił się, by zanurkować jak najgłębiej.

Nic nie widział w czarnej jak smoła wodzie. Po omacku popłynął wzdłuż kadłuba „Natchez Belle” podążającej na południe. Czuł, jak rzeka wibruje od obrotów śrub, i słyszał hałas dekoracyjnego koła łopatkowego.

Wynurzył się dokładnie pod miejscem styku pokładu z kadłubem, w punkcie niewidocznym z góry. Statek sunął z prędkością około czterech węzłów i ciągnął Juana przez wodę prawie z tą samą szybkością. Juan wetknął pistolet do kabury, żeby mieć wolne ręce.

Jak na prawdziwym kołowcu, dźwignia zaworu sterczała nad burtą statku niczym tłok napędzający koła parowozu. Na „Belle” była tylko ozdobą, jednym z elementów stylizacji.

Juan sięgnął do góry i chwycił się jednego ze wsporników. Ale nie miał się po czym wspiąć wyżej, kiedy wydostał się do pasa z wody.

Ten fragment statku był pionową ścianą. Juan częściowo wdrapał się na pokład, ale utknął na poziomie linii wodnej. Dźwignia zaworu opuściła go z powrotem do rzeki niczym torebkę herbaty, po czym znów wyciągnęła. Powtarzający się ruch przyprawiał o mdłości. Następne strzały rozdarły noc z wnętrza nadbudowy. Czas uciekał i Juan wiedział, co musi zrobić.

Ręka za ręką przemieszczał się wolno ku rufie, dopóki nad jego ramieniem nie wyrosło koło o średnicy dziewięciu metrów. Wgryzało się w wodę obok jego pasa. W przeciwieństwie do autentycznego kołowca, w którym drewniane łopatki tkwiły w stalowych obręczach, „Belle” miała całe koło z metalu.

Juan obserwował je w blasku światła nad rufą, oceniał rotację koła i rytm dźwigni zaworu.

W końcu wyrzucił obie ręce w kierunku jednej z łopatek i zdołał zacisnąć na niej palce moment wcześniej, niż wciągnęła go pod powierzchnię. Szarpnięcieomal nie wyrwało mu ramion ze stawów, ale za nic w świecie nie rozluźniłby chwytu. Tak szybko jak się zanurzył, wyłonił się z powrotem, ociekając wodą. Był tyłem do statku, więc w ciągu sekund, które miał, obrócił się tak, że kiedy dotarł do szczytu koła, patrzył w okna apartamentu prezydenckiego tuż pod salonem na górnym pokładzie.

Rozpęd rzucił go na szybę; szkło się rozprysło. Wylądował na podwójnym łóżku i zerwał się na



nogi. Kobieta owinięta ręcznikiem wychodziła właśnie z łazienki. Wrzasnęła na widok intruza strząsającego z siebie szkło i wodę.

W takich chwilach jak ta Juan zwykle potrafił wygłosić jakieś dowcipne zdanie, ale teraz był zbyt ogłuszony uderzeniem i szaloną jazdą na kole łopatkowym. Czarująco uśmiechnął się do kobiety i wymaszerował z kabiny.

Minęło zaledwie dziesięć minut, odkąd zanurkował w rzece. Przez ten czas Max sam zmagał się z trzema Argentyńczykami, którzy mieli przewagę ogniową. Juan wyjął pistolet, odciągnął suwadło, żeby osuszyć broń, i dmuchnął do środka. Tylko tyle mógł zrobić, ale wytrzymały glock jeszcze nigdy go nie zawiódł.

Korytarz na zewnątrz apartamentu był pusty. Pomarańczowe żarówki o chybotliwym świetle - imitacji świec - paliły się w kinkietach i rzucały dziwaczne cienie na ściany. Mroczne przejście kojarzyło się z nawiedzonym domem. Podeszwy butów Juana piszczały przy każdym kroku; zostawiał też za sobą mokre ślady, cuchnące rzeczczą wodą. Jakież drzwi nagle się uchyliły i oko ukazało się w szparze.

- Proszę zamknąć i nie wychodzić - polecił Juan. Nie musiał tego powtarzać ciekawskiej osobie. Nawet gdyby nie trzymał w ręku pistoletu, jego rozkazujący ton wyegzekwowałoby posłuszeństwo.

Krzyki ustały. Zły znak - bandyci przejęli już całkowitą kontrolę nad zastraszonego tłumem.

Juan znalazł schody, nisko opuścił głowę i wyjrzał zza rogu. Czysto. Ostrożnie wspiął się do poziomu górnego pokładu. Wyglądało na to, że tu też nikogo nie ma, więc wszedł trochę wyżej. Mimo duchoty w przemoczonym ubraniu czuł chłód.

Trochę ludzi stało i klęczało wokół leżącej osoby. Cabrillo zamarło serce. Nie było tu argentyńskich napastników, tylko pasażerowie. Z przerażeniem zorientował się, kogo otaczają.

Wybiegł pędem z ukrycia, pistolet zwisał mu z dłoni. Jakaś kobieta wrzasnęła na jego widok. Inni się odwrócili, ale nie zwracał na nich uwagi. Wpadł w krąg ludzi.

Max Hanley leżał na plecach, krew zalewała mu połowę twarzy i tworzyła ciemną kałużę na wypolerowanym drewnianym pokładzie. Juan uniósł głowę przyjacielowi i przycisnął mu palce do szyi w poszukiwaniu tętna. Ku swemu zaskoczeniu wyczuł je, i to wyraźnie.

- Max! - zawołał. - Max, słyszysz mnie? - Spojrzał w górę na gapiów. - Co się stało?

- Bandyci go postrzelili, porwali jakąś kobietę i zabrali na dół.

Cabrillo starł krew połamanej marynarki i zobaczył długą otwartą ranę wzdłuż skroni Hanleya. Pocisk tylko go drasnął. Max prawdopodobnie miał wstrząśnienie mózgu i z pewnością czekało go szcicie, ale istniała szansa, że się wyliże. Juan wstał.

- Proszę nad nim czuwać.

Zbiegł z powrotem po schodach; wściekłość i adrenalina sprawiały, że lekceważył niebezpieczeństwo. Argentyńczycy podpłynęli do lewej burty „Belle”, więc przeciął w poprzek statek i popędził następnymi schodami w dół na główny pokład.

Przed sobą miał drzwi, którymi zaledwie kilka godzin temu on i Max weszli na kołowiec. Były otwarte, za progiem rysowała się ciemna sylwetka. Juan krzyknął. Gdy mężczyzna w kominiarce się odwrócił, Cabrillo strzelił mu dwa razy w pierś. Facet poleciał do tyłu, uderzył w coś głową z głuchym odgłosem i runął z pluskiem do wody.

Moment później zaryczały silniki. Juan podbiegł do drzwi i zobaczył rufę odpływającej cygaretki; koguci ogon piany wyrastał w kilwaterze, gdy nabierała prędkości. Cabrillo uniósł oburącz pistolet i przyjął postawę strzelecką, ale nie nacisnął spustu. W ciemności widział tylko kształty; bał się, że

trafi Tamarę.

Zgiął się wóół, ciężko dysząc, i starał się zapanować nad emocjami.

Przegrał. Nie móół spojrzeć na to inaczej. Zawióół, i teraz profesor Wright miała za to zapłacić. Odwrócił się niezadowolony z siebie i z głupiej złości podsycanej testosteronem rozbił ozdobne lustro na ścianie. Jego odbicie zniekształciło się w popękanej tafli i rozkrwawił sobie knykcie.

Wziął jeszcze kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić i znów zacząć racjonalnie myśleć. Wiedział, że teraz musi poprosić o wiele przysług, żeby się z tego wszystkiego wykaraskać razem z Maksem.

Na razie najważniejszy był Max. Juan poczuł wibracje komórki, gdy wbiegał z powrotem po schodach, ale nie odebrał połączenia. Nawet nie zwrócił na to uwagi, że telefon cudem przetrwał przygodę. Statek zwolnił; marynarskie doświadczenie powiedziało Juanowi, że kapitan „Belle” chce zawrócić do Vicksburga. A tam z pewnością ściągną wszyscy gliniarze na służbie.

Trzeba byłoby szybko i gęsto się tłumaczyć, żeby uniknąć aresztowania. Strzelanie zostałoby w końcu uznane za usprawiedliwione, ale pozostawała jeszcze kwestia fałszywych dowodów tożsamości i nie zarejestrowanej broni. No i okłamali celników, żeby się dostać do Stanów. Dlatego Juan najchętniej operował w krajach Trzeciego Świata. Tam za rozsądną łapówkę wręczoną właściwej osobie kupowałeś sobie wolność. Tutaj za próbę korupcji dokładano kilka lat do wyroku.

Na górze ludzie nadal tłoczyli się wokół rannego, ale Max siedział już prosto. Starto krew z twarzy i jakiś mężczyzna przyciskał mu ręcznik do skroni.

- Przepraszam - odezwał się Hanley, kiedy Juan ukucnął obok niego. - Pociągnąłem Tamarę za sobą i facet otworzył ogień. Jeden pocisk chybił, ale drugi... - Wskazał swoją głowę. - Runąłem na ziemię jak worek kartofli. Zabrali Tamarę?

- Tak. Zdjąłem jednego, ale uciekli. Z panią profesor.

- Cholera.

- Delikatnie mówiąc. - Komórka Juana znów zaczęła wibrować. Tym razem wyjął ją, żeby sprawdzić, kto dzwoni. - Nie jest dobrze. - Wcisnął zieloną słuchawkę. - Langston, wybrałeś sobie zły moment - zwrócił się do weterana z CIA.

- Nie uwierzysz, co się stało dwie godziny temu.

Juan się domyślił, kiedy bandyci wtargnęli na statek.

- Argentyna ogłosiła aneksję Półwyspu Antarktycznego i Chiny już go uznały za jej suwerenne terytorium.

- Skąd wiesz? - zapytał zaskoczony Overholt.

- I gwarantuję ci, że kiedy jutro zajmie się tym ONZ, Chiny jako stały członek Rady Bezpieczeństwa skorzystają z prawa weta, żeby zablokować wszelkie rezolucje potępiające tę aneksję.

- Już zapowiedzieli, że to zrobią. Skąd masz takie informacje?

- To wymaga krótkiego wyjaśnienia, ale najpierw muszę cię poprosić o przysługę. Nie znasz przypadkiem kogoś w policji w Vicksburgu? - spytał Cabrillo w momencie, gdy główny steward statku zjawił się w towarzystwie dwóch mięśniaków z maszynowni uzbrojonych w klucze francuskie wielkości kijów bejsbolowych.

Moment później leżał na brzuchu na pokładzie; jeden osiłek siedział mu na plecach, drugi przygniatał nogi. Steward trzymał glocka jak tarantulę w jednej ręce, w drugiej ścisnął komórkę

Cabrilla. Juan zrezygnował z walki. Móółby załatwić wszystkich trzech, ale musiał pamiętać o

rannym Maksie.

Życzył sobie tylko, żeby Overholt się odezwał, bo inaczej zapowiadała się długa noc.

# Rozdział 18

W sumie stracili osiemnaście cennych godzin. Max spędził większość tego czasu pod strażą w ośrodku medycznym River Region Medical Center, gdzie prześwietlono mu głowę i założono szwy. Juan gościł w biurze szeryfa hrabstwa Warren. Siedział całą noc w pokoju przesłuchań bez okien, gdzie cywilni i mundurowi gliniarze maglowali go bezlitośnie.

Dwie godziny zajęło im ustalenie, że jego dowód tożsamości jest fałszywy. Gdyby Cabrillo się spodziewał, że ktoś to będzie sprawdzał, wzięłby ze sobą papiery, których autentyczności nikomu nie udałooby się zakwestionować. Ale takich kłopotów nie przewidywał, więc wpadł. Kiedy już wiedzieli, że nie jest to William Duffy z Englewood w Kalifornii, zaczęli zadawać pytania ostrzej i szybciej.

A gdy jego opowieść o uprowadzeniu kobiety z pokładu „Natchez Belle” potwierdzili inni pasażerowie i załoga statku, policjanci wydawali się bardziej zainteresowani tym, jak i dlaczego on i Max próbowali temu zapobiec.

Juan nie potrafił ich przekonać, że nie brał udziału w porwaniu. Pośpieszne badanie balistyczne wykazało natomiast, że wyłowiony z rzeki mężczyzna w kominiarce zginął od kul z pistoletu, który załoga odebrała Juanowi. Nad Cabrillem zawisła groźba oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia. Przypomniano mu z satysfakcją, że w stanie Missisipi nie zniesiono kary śmierci.

FBI zjawiło się około dziewiątej następnego ranka i przez godzinę, gdy dogadywano się w sprawie jurysdykcji, Cabrillo był sam.

Dla zabawy udał, że zemdłał. Czterech gliniarzy obserwujących go przez lustro weneckie wpadło do pokoju. Nie mogli pozwolić, żeby ich więzień zmarł i uniknął odpowiedzialności.

Po drugiej, jak przypuszczał - podczas aresztowania zabrano mu zegarek - weszło dwóch siwych facetów w szarych garniturach. Gliniarze i agenci FBI, którzy ostrzyli sobie zęby na Cabrilla jak stado psów na świeżą kość, stali się nerwowi. Siwi mężczyźni oznajmili im, że to jest sprawa DHS - Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Kość zniknęła. Zabrał ją większy pies.

Juanowi zdjęto kajdanki i założone inne, przywiezione przez agentów DHS. Zwrócono mu rzeczy, łącznie z bagażem z „Belle”, i wyprowadzono go na zewnątrz. W jasnym słońcu poczuł się wspaniale po tylu godzinach w przyprawiającym o mdłości blasku jarzeniówek. Bez słowa skierowali go w stronę samochodu - czarna crown victoria niemal krzyczała, że jest pojazdem rządowym. Jeden z nich otworzył tylne drzwi. Max siedział w środku, połowę głowy miał obandażowaną.

- Jak czerep?

- Cholernie boli, ale wstrząśnienie mózgu okazało się łagodne.

- Dobrze, że trafili cię w głowę, a nie w coś ważnego.

- Bardzo śmieszne.

Kiedy tylko Cabrillo zajął miejsce obok przyjaciela, samochód odjechał sprzed biura szeryfa. Agent na przednim siedzeniu pasażera odwrócił się i uniósł mały klucz. Juan nie wiedział, o co facetowi chodzi, dopóki nie rozpoznał kluczyka od kajdanek. Wyciągnął rękę i został oswobodzony.

- Dzięki. Nie sprawimy wam kłopotów. Dokąd nas wieziecie?

- Na lotnisko.

- A co dalej?

- To zależy od pana. Choć mam zasugerować, abyście panowie opuścili kraj.

Max i Juan wymienili znaczące uśmiechy. Overholt to załatwił. Bóg jeden wie jak, ale Lang wyciągnął ich z tarapatów. Juan chciał od razu do niego zadzwonić, komórka w końcu jednak przestała działać po kąpieli w rzece, a Max nie dostał z powrotem swojej.

Agenci wysadzili ich przy krawężniku przed międzynarodowym lotniskiem Jackson-Evers. Juan złapał taksówkę, gdy tylko rządowe auto zniknęło z widoku.

- Rozumiem, że nie skorzystamy z ich rady - powiedział Max.

- Skorzystamy, ale nie chcę słuchać twoich narzekań na lot samolotem rejsowym. Można tu coś wyczarterować.

- Znów rozmawiamy ze sobą.

Dwadzieścia minut później czekali w terminalu na zatankowanie ich odrzutowca. Juan wykorzystywał laptop jako telefon. Najpierw połączył się z Overholtem.

- Domyślam się, że wyszliście - odezwał się eksagent CIA.

- Właśnie tankują nasz czarter. Max i ja jesteśmy ci winni kolejkę. Jak to zrobiłeś?

- Sprawa została załatwiona i zostawmy to. Skąd wiedziałeś o Argentynie i Chinach?

Juan chciał go poinformować o porwaniu Tamary Wright, ale na razie nawet ktoś tak potężny jak Overholt nie zdołałby więcej, niż już robiły lokalna policja i FBI.

Wyjaśnił, co zastała Linda Ross i jej drużyna w miejscu rzekomej argentyńskiej stacji badawczej. Powiedział mu też o makabrycznym odkryciu w Wilson/George.

- Okej, rozumiem twoje przewidywania, że Argentyna zagarnie półwysep, bo od lat wymachiwali bronią, jeszcze przed nastaniem obecnej junty. Ale Chiny? To zupełnie zaskoczyło CIA, Departament Stanu i Biały Dom.

- W tym rzecz. Kiedy rozmawiałem z tobą wczoraj wieczorem, Max i ja byliśmy w towarzystwie profesor Tamary Wright...

- Tej uprowadzonej?

- Czytałeś raport policyjny?

- Rzuciłem okiem. Traktują sprawę poważnie, ale nie mają żadnego tropu. Motorówkę znaleziono w Natchez, gdzie jakiemuś hydraulikowi ukradziono furgonetkę sprzed domu. Rozesłano listy gończe, ale jak dotąd cisza.

- Spodziewałem się. Tamci są cwani. Zakład, że furgonetka odnajdzie się tam, gdzie gwizdnęli łódź. Mają własny środek transportu na powrót i mogą być gdziekolwiek.

- Zgadza się. A co z chińskim wątkiem? - zapytał Overholt.

- Doktor Wright opowiedziała nam o wyprawie trzech chińskich statków pod koniec XV wieku do Ameryki Południowej. - Juan urwał; przypuszczał, że Overholt stwierdzi, że to nieistotny fakt, ale przebiegły oficer prowadzący wiedział, kiedy milczeć. - Załoga jednego z nich nabawiła się choroby, która doprowadziła ją do szaleństwa. Brzmi znajomo?

- Facet z Wilson/George - mruknął Langston.

- Zjedli zakażoną żywność. Myślę, że wyspiarze zaserwowali im ludzkie mięso z prionami. Statek zatopiono z załogą na pokładzie, dwa pozostałe popłynęły dalej na północ i w końcu wróciły do Chin. Pięćset lat później pojawia się Andrew Gangle. Znajduje mumię w pobliżu bazy. Przy zwłokach są złoto i jadeit. Gangle się zaraża, prawdopodobnie przypadkowo kalecząc się odłamkiem kości. Choroba wywołana prionami drąży mózg, aż facet wpada w szal.

- A Chińczycy zatopili statek u wybrzeży Antarktydy? Wielki Boże! - wykrzyknął Overholt. Intuicyjnie wysnuł ten sam wniosek co Cabrillo poprzedniego wieczoru. - Jeśli Chińczykom uda się dowiedzieć, że odkryli Antarktydę kilkaset lat wcześniej niż Europejczycy, to...

- Właśnie - odparł Juan. - Zaczną sobie rościć prawo do niej, a przynajmniej do półwyspu. Ale ponieważ Argentyna jest tam już tak mocno zakorzeniona, będzie dla nich rozsądniej współpracować z nią i dzielić się łupami. Uważam, że pracują nad tym od jakiegoś czasu, dużo dłużej, niż nam się zdaje. Argentyńczycy zabiegają o partnerstwo Chin, bo potrzebują ochrony supermocarstwa i patronatu jakiegoś członka ONZ-etu. Przypadkowe znalezienie sterowca i późniejsze wypadki, takie jak zdobycie namacalnego dowodu, że Chińczycy dotarli przed wiekami do Ameryki Południowej, scementowały sojusz.

- Czy Argentyńczycy lub Chińczycy znają lokalizację wraka trzeciego statku?

- Jeszcze nie, ale trafią do niego, jak poszukają. Admirał Tsai dość dokładnie zaznaczył jego pozycję. Dobry program komputerowy i Google Earth powinny załatwić sprawę. Ale nawet jeśli nie znajdą, mogą twierdzić, że dotarł do Antarktyki. Kto ich powstrzyma?

- My.

- Jakie jest oficjalne stanowisko Białego Domu?

- Rozwój wypadków następuje zbyt szybko. Niewiele się mówi, poza zwykłymi słowami potępienia.

- Co ci podpowiada przeczucie?

- Nic. W tej chwili mamy potworne zadłużenie w Chinach, więc pod tym względem trzymają nam nóż na gardle. Poza tym, myśląc logicznie, czy opłaca się toczyć wojnę o część świata, która obchodzi tylko garstkę ludzi?

- Chodzi o zasady - zauważył Juan. - Pozostaniemy wierni naszym ideałom i będziemy ryzykowali życie dla stada pingwinów i utrzymania w mocy traktatu sprzed czterdziestu lat czy pozwolimy, żeby robili, co im się podoba?

- To duże uproszczenie problemu. Nie wiem, co postanowi prezydent. Jeśli o mnie chodzi, chętnie wykopałbym skurczybyków z powrotem do Pekinu i Buenos Aires, tylko po co? Niech sobie mają ropę i pingwiny. Nie warto narażać na niebezpieczeństwo naszych żołnierzy.

- Ryzykowna decyzja - stwierdził Juan. Sam ani chwili by się nie zastanawiał. Argentyna pogwałciła obowiązującą umowę międzynarodową, dokonując inwazji na sąsiednie obce terytorium. ONZ i wszyscy sygnatariusze traktatu antarktycznego powinni ostro zareagować. Nagle coś sobie przypomniał. - Czy NASA już zbadała ogniwo zasilające z satelity?

- Tak, i możliwe, że został zestrzelony, jak zasugerował twój człowiek, choć powiedzieli wymijająco, że trudno to rozstrzygnąć.

- Po co tamci wycięliby taki numer? - zastanowił się głośno Cabrillo.

- Jeśli chcesz mieć prawdziwą zagwozdkę, to nie był satelita szpiegowski i nigdy nie chodziły takie słuchy. Został skonstruowany do monitorowania emisji dwutlenku węgla. Zamierzano wykorzystywać go do sprawdzania, czy jakiś kraj nie przekracza normy, gdyby nowe porozumienie

zastąpiło protokół z Kioto.

Juan rozmyślał przez chwilę w milczeniu.

- Jasne. Przy użyciu wody morskiej mogą maskować emisję ciepła towarzyszącą ich działalności w Antarktyce, ale wydobywanie ropy i gazu spowodowałoby powstanie gęstej chmury dwutlenku węgla tam, gdzie nie powinno jej być. Kiedy satelita zacząłby funkcjonować, dokładnie wiedzielibyśmy, co robią.

- Skoro zamierzali zaanektować półwysep zaledwie tydzień po zestrzeleniu satelity, to po co się trudzili? - zapytał Overholt.

- Nie uważałeś, Lang. Sojusz z Chinami zawarli dopiero w ostatnich dniach. Bez tego przymierza Argentyna musiałaby trzymać swoje działania w tajemnicy przez miesiące, nawet rok. Chiny mogły im pomóc strącić satelitę w geście dobrej woli albo po to, żeby zapewnić sobie dostawy większości ropy z nowych szybów. Tak czy owak, wygląda na to, że współpracują już od dłuższego czasu.

- Powiniennem się domyślić.

- Owszem, skoro ja na to wpadłem, mimo że spędziłem ostatnie osiemnaście godzin w policyjnym pokoju przesłuchań - dogryzł Overholtowi Juan, co świadczyło o jego skrajnym zmęczeniu.

- Co teraz planujesz?

- Skontaktuję się z „Oregonem”, zanim obiorę kurs, ale będę cię informował na bieżąco. I proszę cię o to samo.

- Niedługo się odezwę.

Max słuchał końcówki rozmowy Juana.

- Jeszcze nie zdecydowałeś, dokąd wyruszymy?

Juan zdjął słuchawkę Bluetooth.

- Naprawdę myślisz, że zostawię poszukiwania Tamary Wright miejscowym? My ją w to wciągnęliśmy i my ją z tego wyciągniemy. Wynająłem najwytrzymalszy samolot, jakim tu dysponują, więc na pewno znajdziemy panią profesor, gdziekolwiek jest.

- Właśnie dlatego cię uwielbiam. Nie szczędzisz kosztów, żeby zorganizować mi randkę.

Cabrillo uśmiechnął się szeroko na tę bezwstydną uwagę Maksa i włożył z powrotem słuchawkę, żeby zadzwonić na „Oregon”. Poprosił Haliego Kasima, ich specjalistę od telekomunikacji, o połączenie z Erikiem Stone'em.

- Dlaczego kazałeś nam przerwać poszukiwania tajemniczej zatoki? - zapytał Eric.

- Dlatego że już ją znalazłeś.

- Ja?

- Z Wilson/George dojechałbyś tam transporterem arktycznym.

- Skąd wiesz?

- Bo jestem prezesem. - Juan naprawdę był wykończony. - Wyświadczyć mi przysługę. Sprawdź, czy jakieś prywatne odrzutowce odleciały z lotniska Jackson-Evers dziś między, powiedzmy, północą a południem.

Przed jedenastym września zapewne uzyskałby tę informację od ładnej recepcjonistki w terminalu, używając swojego uroku osobistego, ale teraz już nie.

- Zaczekaj chwilę. - Juan usłyszał przez łącze, jak Stone szybko stuka na klawiaturze komputera. Ufał swojej intuicji.

- Ostatni firewall... - mruknął z roztargnieniem Eric, po czym oznajmił triumfalnie: - Okej, mam.

Były dwa. Jeden to czarter Atlantic Aviation; wystartował do Nowego Jorku o dziewiątej rano. Drugi to prywatny odrzutowiec; odleciał do Meksyku o pierwszej trzydzieści po północy.

- Jakież dokładniejsze informacje o tym drugim?

- Moment, to inna baza danych. - Włamanie się do niej zajęło Ericowi niecałą minutę. - Należy do firmy zarejestrowanej na Kajmanach.

- Fikcyjnej?

- Niewątpliwie. Potrzebuję trochę czasu, żeby... Daj mi sekundę. Sprawdzam jego ostatnie loty. Wylądował na lotnisku Seattle-Tacoma trzy dni temu po przylocie z Meksyku.

- A potem przyleciał tutaj - dokończył Juan. To samolot Argentyńczyków i jeśli wziął kurs na stolicę Meksyku, to tylko po to, żeby tam zatankować. - Dzięki, Eric.

Juan odwrócił się do Maksa. - Zabrali ją do Argentyny.



# Rozdział 19

Duży ogier czystej krwi arabskiej miał tak napięte mięśnie, że żyły odznaczały się pod lśniącą skórą. Ociekał potem i ciężko dyszał, ale pędził przez argentyński krajobraz z tętentem kopyt jak bicie w bęben. Kobieta w siodle ledwo się poruszała, miękki kapelusz zwisał jej z szyi.

Maxine Espinoza doskonale jeździła konno i gnała do strumienia osiem kilometrów od rezydencji, jakby walczyła o zwycięstwo w derby Potrójna Korona. Miała na sobie jasnobrązowe bryczesy i białą męską koszulę z Oksfordu, rozpiętą tak, żeby czuć wiatr na ciele. Wygląd jej butów świadczył o tym, że są używane do jazdy przez niezliczone godziny i prawie tyle samo czasu starannie polerowane.

Późnym popołudniem słoneczne plamki widniały na ziemi pod drzewami, a trawa mieniła się jak złoto.

Jakiś ruch z lewej zwrócił uwagę Maxine. Spojrzała szybko w bok - jastrząb poderwał się do lotu z kolacją w ostrych szponach.

- Dawaj, Concorde! - krzyknęła i ścisnęła mocniej wodze.

Wydawało się, że koń uwielbia te szaleńcze gonitwy tak jak jego pani; wydłużył krok. Byli niemal jednością, bardziej centaurem niż dwiema oddzielnymi istotami.

Dopiero gdy zbliżyli się do lasu na obu brzegach strumienia, zwolnili. Maxine niespiesznie wjechała do wąwozu, duży ogier głęboko nabierał powietrza do wielkich płuc szeroko rozdętymi nozdrzami.

Słyszała bulgotanie wody między kamieniami i śpiew ptaków w koronach drzew. Schyliła głowę pod gałęzią i wprowadziła Concorde'a dalej w gąszcz, do swojego sanktuarium, wyjątkowego miejsca w rozległej posiadłości. Czysta woda w strumieniu gasiła pragnienie wierzchowca, wzdłuż brzegu rosła trawa, na której Maxine przespała już wiele sjest.

Przełożyła nogę nad grzbietem konia i zeskoczyła na ziemię. Nie obawiała się, że Concorde gdzieś zawędruje lub opije się za dużo wody. Był na to zbyt zdyscyplinowany. Z sakwy wyjęła koc z najlepszej egipskiej bawełny. Właśnie miała go rozłożyć, gdy jakaś postać wyszła zza drzewa.

- Przepraszam, *señora*...

Odwróciła się gwałtownie, mrużąc oczy z gniewu, że ktoś jej przeszkadza. Rozpoznała mężczyznę. Raul Jimenez, zastępca jej pasierba.

- Jak pan śmiał przyjść tutaj? Dlaczego nie jest pan w bazie z resztą żołnierzy?

- Wolę towarzystwo kobiet.

Dała dwa kroki naprzód i spoliczkowała porucznika.

- Powinnam powiedzieć generałowi o pańskiej bezczelności.

- A co powiedziała by mu pani o tym? - Chwycił ją zgrabnie, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Opierała się przez kilka sekund, dłużej nie zdołała; pożądanie zwyciężyło.

Jimenez w końcu się cofnął.

- Boże, jak mi ciebie brakowało.

W odpowiedzi Maxine pocałowała go jeszcze namiętniej. Teraz, kiedy byli sami, przestał udawać, że jej obecność go onieśmiela. Ulegli swoim pragnieniom.

Dużo później leżeli obok siebie na pośpiesznie rozłożonym kocu. Maxine delikatnie dotknęła blizn po oparzeniach na twarzy Jimeneza. Wciąż czerwone, na pewno bolały.

- Zostałeś oszpecony. Chyba znajdę sobie innego kochanka.

- Wątpię, żeby ktoś w pułku odważył się zrobić to, co my przed chwilą.

- Uważasz, że nie jestem warta sądu wojskowego?

- Dla mnie jesteś warta wyroku śmierci, ale zapominasz, że jestem najodważniejszym człowiekiem w armii - zażartował. Potem spochmurniał.

- O co chodzi, kochanie?

- Powiedziałem: najodważniejszym. - Gorycz zabrzmiała w jego głosie. - Nie potrzeba wielkiej odwagi, żeby strzelać do wieśniaków lub porywać Amerykanki.

- Porywać Amerykanki? Nie rozumiem.

- Twój mąż wysłał nas do Stanów. Tam uprowadziliśmy kobietę, znawczynię chińskich statków. Nie wiem po co. Ale z pewnością nie po to wstąpiłem do wojska.

- Znam mojego męża. Wszystko robi zgodnie z planem, od jedzenia śniadania do dowodzenia pułkiem. Ma swoje powody. Pewnie dlatego poleciał do Buenos Aires, kiedy tylko ty i Jorge wróciliście do kraju.

- Spotkaliśmy się z nim w twoim tamtejszym mieszkaniu. Był z jakimiś ludźmi, chyba Chińczykami.

- Z ambasady. Philippe często się z nimi widuje.

- Wcale mi się to nie podoba. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam wojsko i Jorgego, ale te ostatnie kilka miesięcy... - Urwał.

- Wierz lub nie, ale bardzo kocham męża i ten kraj - odparła Maxine zdecydowanym tonem. - Generałom dużo można zarzucić, ale nie lekkomyślność. Dla niego liczy się tylko dobro Argentyny i jej obywateli.

- Zmieniłabyś zdanie, gdybyś wiedziała, jakie rozkazy czasem wydaje.

- Nie chcę tego słuchać - odpowiedziała z uporem.

Romantyczny nastrój przysł.

Jimenez położył dłoń na jej nagim ramieniu.

- Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować.

- Nie jestem zdenerwowana - skłamała. - Philippe niewiele mi mówi, ale zawsze mu ufałam i nadal ufam. Ty też powinienes.

- W porządku - mruknął Jimenez i przyciągnął ją do siebie.

Maxine wyswobodziła się z jego objęć.

- Muszę już wracać. Mimo że Philippe jest w Buenos Aires, służący gadają. Rozumiesz?

- Oczywiście. Moi stale plotkują. - Oboje się roześmieli, bo Jimenez pochodził z biednej rodziny.

Maxine odeszła na bok, żeby się ubrać. Wsiadła na Concorde'a, który cały czas stał w pobliżu.

- Zobaczymy się jutro? - zapytał Jimenez, kiedy wpychał koc z powrotem do sakwy.

- Jeśli obiecasz, że nie będziesz rozmawiał o moim mężu i jego pracy.

- Jako dobry żołnierz wykonam twój rozkaz.

Pilotowi helikoptera ulżyło, że pasażerowie zapłacili gotówką, bo kiedy zobaczył cel ich podróży, od razu wiedział, że jakkolwiek wypisany przez nich czek byłby bez pokrycia. Myślał nawet, żeby połączyć się przez radio ze współnikiem i kazać mu sprawdzić, czy pieniądze nie są fałszywe.

Transportowań dwóch męczyzn z lotniska Galeão w Rio na statek towarowy sto mil morskich od wybrzeża. Z daleka frachtowiec wyglądał jak dziesiątki innych przyływających co tydzień do Brazylii, ale gdy się zbliżyli, pilot zobaczył, że to unosząca się na wodzie kupa rdzy, którą ledwo utrzymują w całości taśma klejąca i drut. Gęsty czarny dym z komina nasunął mu podejrzenie, że silniki zużywają tyle samo oleju, co paliwa. Żurawie ledwo stały; na pewno nie uniosłyby żadnego ciężaru. Pilot zerknął przez ramię na młodszego pasażera z niemym pytaniem, czy to na pewno tutaj.

Mężczyzna miał ziemistą cerę, jakby od dawna nie spał i dźwigał jakieś brzemie, które może go w każdej chwili przygnieść. Ale kiedy się zorientował, że pilot patrzy na niego, mrugnął jasnyniebieskim okiem i jego skonsternowana mina zniknęła.

- Ta łajba nie wygląda imponująco - odezwał się przez interkom. - Ale robi swoje.

- Nie sądzę, żebym mógł wylądować na pokładzie - powiedział pilot po angielsku z lekkim portugalskim akcentem. Wątpił, czy luk ładowni utrzyma ciężar bella jetranger.

- To nie problem. Niech pan tylko zawiśnie nad rufą, wyskoczmy.

Drugi pasażer, mężczyzna około sześćdziesiątki z obandażowaną głową, jęknął. Najwyraźniej nie uśmiechało mu się skakanie z helikoptera.

- Załatwione. - Pilot z powrotem skupił się na sterach.

Pasażerowie zebrali swój bagaż: walizkę na laptop i sfatygowaną płócienną torbę na ramię. Resztę wrzucili do Missisipi.

Juan Cabrillo patrzył na „Oregon” jak na dzieło sztuki. Zachwycał się nim jak obrazami wiszącymi w tajnych przejściach frachtowca. Musiał jednak przyznać, że przyjemniej wraca się do domu po wykonaniu zadania, nie tak jak teraz, kiedy Tamara Wright jest w rękach argentyńskiego szwadronu śmierci w niewiadomym miejscu. Gdy zawiadacz mrugnął do pilota, po prostu nadrabiał miną. Niepokój o los porwanej kobiety ciążył mu w żołądku niczym kamień.

Brazylijski pilot utrzymywał płozy helikoptera niecałe pół metra nad pokładem, kiedy najpierw Max, a potem Juan zeskakiwali na statek. Schylali się nisko w podmuchu od rotora, dopóki jetranger nie wznosił się ku niebu i nie skierował na zachód. Gdy stał się błyszczącym punktem na horyzoncie, sternik - prawdopodobnie Eric Stone - wyłączył generator dymu, który stwarzał iluzję, że statek napędzają tradycyjne, choć wymagające remontu diesle.

Cabrillo swoim zwyczajem zaszalutował jednym palcem irańskiej banderze na flagsztoku i poszedł za Maksem w stronę nadbudowy.

Doktor Huxley i Linda Ross czekały na nich w wodoszczelnych drzwiach. Hux natychmiast zabrała Maksa na dół do izby chorych, mamrocząc, że chyba rzeźnicy zajęli się nim w szpitalu.

- Witaj - powiedziała Linda do Juana. - To raczej nie było parę relaksujących dni, jak się spodziewałaś.

- Jak to mówią, każdy dobry uczynek zostaje ukarany. Wykonałaś wspaniałą robotę w Antarktyce.

- Dzięki. - Gorycz zabrzmiała w jej głosie. - Zawiadomiliśmy Overholta niecałe dwadzieścia cztery godziny przed zaanektowaniem półwyspu przez Argentyńczyków, więc na niewiele się to zdało.

- Co poza tym?

- Nie ma kontaktu z żadną inną stacją badawczą. Podejrzewamy, że Argentyńczycy porwali zagranicznych naukowców i zamierzają ich użyć jako żywych tarcz w terminalu naftowym.

Juan zmarszczył brwi.

- Jak kiedyś Saddam.

- Generalissimus nie gra czysto, to pewne.

- Pytałem Overholta, czy mają w Argentynie kogoś, kto ustaliłby, gdzie porywacze uwięzili Tamarę Wright. Odezwał się do ciebie?

- Nie. Przykro mi, Juan.

Cabrillo spochmurniał jeszcze bardziej.

- To by się nie zdarzyło, gdyby... - Ujawnienie swoich odczuć nic by mu nie dało, więc zamilkł. Pokazał Lindzie, żeby weszła do nadbudowy.

„Oregon” się rozpędzał i wiatr zaczynał hulać po pokładzie.

- Dopłyniemy do Buenos Aires za trzydzieści godzin. Jeśli dopisze nam szczęście, to może Overholt już coś wymyśli.

- Mam nadzieję. - Juan przeczesał palcami włosy. - Muszę wyładować trochę energii, bo mnie rozsadza. W razie czego będę na basenie.

Jeden z dwóch ogromnych zbiorników balastowych, które służyły do zwiększania lub zmniejszania zanurzenia statku, wyłożono jasnym marmurem kararyjskim i wyposażono w lampy o blasku podobnym do światła słonecznego. Pływalia ucierpiała podczas walki „Oregon” z libijską fregatą, ale rzemieślnicy po mistrzowsku naprawili uszkodzenia.

Cabrillo zrzucił szlafrok i przypasał do nadgarstków prawie dwukilogramowe ciężarki. Woda nie była zbyt głęboka, bo statek musiał pędzić do Argentyny. Juan zanurzył się po szyję i przebił powierzchnię żabką. Mógł pływać tym stylem godzinami.

Wodę zawsze traktował jako swoje schronienie; tu się odprężał i oczyszczał umysł. Miarowe ruchy rąk i nóg, wolno narastający ból mięśni zastępowały mu medytacje.

Następnego ranka po obfitym śniadaniu w jadalni objął dyżur w centrum operacyjnym. Przyszedł wcześniej i zluzował Eddiego Senga, który miał psią wachtę. Eddie z wdzięcznością odstąpił Juanowi fotel dowódcy. Najpierw zapoznał go z ruchem statków wokół „Oregon” i prognozą pogody - zapowiadano znaczne pogorszenie. Na głównym dwuipółmetrowym ekranie widzieli morze, jakby stali na prawdziwym mostku kilka pokładów wyżej. Na szarym niebie bez śladu słońca kłębiły się groźne chmury; ocean był czarny jak żużel z odlewni, z wyjątkiem miejsc, gdzie wiatr podrywał białą pianę z grzbietów fal.

Woda regularnie wystrzeliwała ponad dziób, przelewała się przez burty i odpływała sphywnnikami. Jeden z załogantów zabezpieczał włącz do dziobówki. Wydawał się mały jak dziecko i niemal bezsilny w obliczu szaleństwa żywiołów. Juan odetchnął z ulgą, kiedy marynarz wrócił do wnętrza statku.

Hali Kasim, ekspert od telekomunikacji, siedział na swoim stanowisku przy ścianie na prawo od Cabrilla, blisko ciemnego teraz wodospadowego wyświetlacza sonaru. Przy tym stanie morza i przy tej szybkości nie odbierało się żadnych sygnałów akustycznych, dlatego sonar pozostawał wyłączony.

- Telefon do ciebie, prezesie - oznajmił Hali. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, bo miał na głowie staromodne słuchawki; takie wolał. - Overholt z CIA.

- Najwyższy czas - mruknął Juan i założył bluetootha za ucho. - Tak, Lang?

- Cześć - burknął Overholt. Cabrillo poznał po jego głosie, że wiadomości nie będą dobre. -

Właśnie zakończyło się posiedzenie prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Mój dyrektor wezwał mnie dosłownie pięć minut temu.

- Co się dzieje?

- Kolegium Szefów Połączonych Sztabów zameldowało, że u wybrzeży Chile wykryto chiński myśliwski okręt podwodny. Kurs i szybkość wskazują, że dotrze na wody wokół Półwyspu Antarktycznego za dzień lub dwa.

- Nie żartują - zauważył Juan. To posunięcie wcale go nie zaskoczyło.

- Na pewno. Argentyńczycy potwierdzili, że przetrzymują naszych naukowców ze stacji Palmer i kilkunastu innych z Rosji, Norwegii, Chile i Australii. Uprawdzonych na szczęście nie jest dużo, bo to są małe zimowe ekipy.

- Jak oficjalnie zareagujemy? Co zamierza prezydent?

- Chiny zapowiedziały, że natychmiast zawetują każdą oenzetowską próbę potępienia Argentyny. Nie będzie żadnej rezolucji ani sankcji.

- Rany, to poważna komplikacja - powiedział sarkastycznie Juan. - Jak powstrzymamy agresorów bez ostrych słów ONZ-etu pod ich adresem?

Overholt zaśmiał się mimo wyczerpania. Podzielał negatywną opinię Cabrilla o tym międzynarodowym gremium.

- A teraz naprawdę zła wiadomość. Prezydent nie wyda zgody na użycie siły. Wielka Brytania i Rosja pogrążają szabelkami, ale w Parlamencie i Dumie nie ma woli politycznej do działania. Liderzy Izby Reprezentantów i Senatu też odmawiają obrony traktatu antarktycznego z narażaniem życia Amerykanów.

- Więc to tak - mruknął Juan z niesmakiem. - Nazywamy siebie sumieniem świata, ale kiedy przychodzi walczyć za ideały, politycy chowają głowy w piasek.

- Powiedziałbym, że chowają głowy w dużo mniej przyjazne miejsca, ale owszem, tak to wygląda.

- Uchylamy się od moralnych i prawnych obowiązków. Przykro mi, Lang, ale to zła decyzja.

- Zgłaszasz pretensje pod niewłaściwym adresem, chłopcze. Wykonuję polecenia prezydenta, więc co poradzę. Ale do twojej wiadomości, mój boss uważa, że powinniśmy wykopać Argentyńczyków z Antarktyki, i tego samego zdania jest przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. Widzą w tym niebezpieczny precedens.

- I co dalej?

- Nic. Spłodzimy rezolucję, Chińczycy ją utracą, i na tym koniec.

Cabrillo pomyślał, że teraz, po aneksji Antarktydy, następne na liście generalissimusa Ernesta Corazón są Paragwaj i Urugwaj. Chile ratują tylko Andy - trudno przez nie przerzucić wojsko. W Wenezueli Chávez stworzył własną armię, kupując od Rosji broń za ropę, i szuka pretekstu do ataku na Kolumbię. Chwiejna iracka demokracja runie jak domek z kart, jeśli ośmielony Iran dopuści się agresji.

Juan chciał powiedzieć to wszystko Overholtowi, ale wiedział, że byłaby to strata czasu. Doradcy prezydenta na pewno już przedstawili te same scenariusze, ale go nie przekonali.

- Nie masz jakiejś dobrej wiadomości? - zapytał ze znużeniem Juan.

- Mam. - Overholt się ożywił. - Nasz człowiek w Argentynie ustalił, że porwana pani profesor jest więziona w Buenos Aires.

- Świetnie, to zawęży teren poszukiwań do dwunastomilionowego miasta.

- Człowieku małej wiary! - zażartował Overholt. - Trzymają ją w apartamencie na czwartym piętrze w dzielnicy Recoleta w bok od Avenida General Las Heras.

- Jeśli dobrze pamiętam, Recoleta to elegancka część stolicy.

- Mieszkanie należy do generała Philippe'a Espinozy, dowódcy Dziewiątej Brygady.

- Dziewiątej Brygady? - To nie była dobra wiadomość.

- Niestety. Generał osobiście przesłuchuje tę kobietę. Domyślam się, że z pomocą chińskich szpiegów w Buenos Aires.

Cabrillowi przemknął przez głowę obraz Tamary Wright przywiązanej do krzesła. Juan się skrzywił.

- Prześlij mi wszystkie dostępne informacje o budynku. Powinniśmy być u wybrzeża o zachodzie słońca.

- Jak chcesz ją odbić?

- Dowiesz się, jak tylko ułożę plan. - Juan się rozłączył, wyciągnął w fotelu i potarł podbródek w zamyśleniu. Nie żartował. Nie miał pojęcia, jak oswobodzić panią profesor.

# Rozdział 20

Sztorm złapał „Oregona” w drodze na południe. Statek i załoga znosili atak żywiołów ze stoickim spokojem, jakby odbywali pokutę za to, że dopuścili do porwania Tamary. Przynajmniej tak to odczuwał Cabrillo. Niektóre fale niemal dosięgały mostka i kiedy rufa się unosiła, dwa strumienie wody tryskały z dysz pomp na odległość prawie trzydziestu metrów.

Juan zebrał starszy personel w sali posiedzeń zarządu korporacji. Pomieszczenie zniszczył pocisk z libijskiej fregaty i podczas remontu prezes kazał unowocześnić wnętrze przy użyciu szkła i stali nierdzewnej. W blat stołu wtopiono mikroskopijną sieć przewodów elektrycznych, która po aktywacji wytwarzała ładunek statyczny, a ten utrzymywał papiery w miejscu bez względu na stan morza. Przy wieżęcej na zewnątrz siódemce blat był włączony, żeby stopy notatek i zdjęć nie spadały na podłogę. Na przedniej i tylnej ścianie wisiały duże płaskie ekrany - wyświetlały slajdy pokazujące dom, gdzie więziono Tamarę, i jego okolice.

Piękny apartamentowiec wyglądał tak, jakby zbudowano go we Francji i przeniesiono do szerokiej alei w południowoamerykańskim mieście. Zresztą dużo starszych budynków w Buenos Aires wzniesiono w stylu cesarstwa francuskiego - z mansardowymi dachami, ozdobami na zewnątrz i niezliczonymi kolumnami. W zamożnej dzielnicy Recoleta znajdowało się mnóstwo parków, gdzie dominowały pomniki dawnych przywódców. Wiele głównych ulic powstało w epoce pojazdów konnych, więc szerokością było dostosowanych do dużego promienia skrętu ośmiokonnych zaprzęgów.

Ponieważ Max Hanley nie ukrywał, że brak mu zdolności taktycznych, nie uczestniczył w zebraniu, lecz pełnił wachtę w centrum operacyjnym. Cabrillovi towarzyszyli Mark Murphy, Eric Stone, Linda Ross, Eddie Seng i Franklin Lincoln, ich główny „rewolwerowiec”. Choć na pokładzie statku preferowano cywilne stroje, Eddie, Linda i Linc włożyli czarne mundury polowe. Mark narzucił flanelową koszulę w stylu grunge na T-shirt z reklamą piwa St. Pauli Girl.

Juan wypił łyk kawy i wstawił filiżankę z powrotem do obrotowego uchwytu.

- Reasumując, nie wpłyniemy statkiem na argentyńskie wody terytorialne, więc pozostaje nam infiltracja miniłodzią podwodną.

Wszyscy skinęli głowami. - Proponuję, żebyśmy wzięli większą, dziesięcioosobowego nomada 1000. Pewnie nie będzie nam potrzebna taka liczba miejsc, ale lepsza za duża niż za mała.

- Kto w nim zostanie? - zapytał Linc.

- Zdecyduję, jak zatwierdzimy plan. Musimy założyć, że w takim budynku jest portier. On może być naszym kluczem.

Eddie podniósł rękę, choć Juan już kilka razy pozwolił mu przerywać, kiedy zechce.

- Skoro trzymają ją na ostatnim piętrze, to nie lepiej wejść przez dach?

- Jest łupkowy - wtrącił się Eric. - A szalunek pod takim pokryciem zwykle bywa gruby i mocny.

- Na pewno został zrobiony z egzotycznego drewna twardszego od stali - dodał Murphy. - Ale budynek postawiono w czasach, kiedy jeszcze nie używało się metalowych dźwigarów, więc sędzę, że ma wady projektowe i konstrukcyjne. Ładunki wybuchowe w odpowiednim miejscu wywaliłyby zewnętrzną ścianę.

- Zamierzam to zrobić delikatnie, nie na chama - skontrował Juan. - Musimy pamiętać, że Argentyna to państwo policyjne; na każdym rogu są gliniarze i mają prawo aresztować człowieka w każdej chwili. I co trzeci przechodzień to kapuś. Nie możemy wzbudzać żadnych podejrzeń. Trzeba działać subtelnie.

- Zawsze są jeszcze kanały ściekowe - zasugerowała Linda. - I jeśli przyjęlibyśmy ten wariant, zgłaszam się na ochotnika do zostania w nomadzie.

- Dla dobra ogółu - podrażnił się z nią Eddie.

- To byłoby poświęcenie - odparła Linda z najpoważniejszą miną, jaką potrafiła zrobić. - Ale znacie mnie. Zgodzę się na wszystko, żeby pomóc.

Przez następne dwie godziny podsuwano pomysły, analizowano je i odrzucano. Cała piątka zaplanowała już wspólnie mnóstwo operacji, ale tym razem nie udało im się wymyślić nic lepszego niż lekko zmodyfikowaną wersję „rozwiązania siłowego”, które wcześniej zaproponował Mark Murphy. Było zbyt wiele zmiennych - na przykład liczba ludzi pilnujących Tamary - żeby próbować bardziej finezyjnych sztuczek.

W pomieszczeniu, skąd mogli wodować obie minilodzie podwodne transportowane na „Oregonie”, panowała krzątanina, kiedy Juan wszedł przez wodoszczelny właz. Masywnych wrót w dnie statku, wielkich jak wjazd do stodoły, jeszcze nie otwarto i basen zanurzeniowy był pusty, ale powietrze mocno pachniało morzem.

Wokół nomada 1000 roiło się od techników. Smukła łódź wyglądała jak miniatura atomowego okrętu podwodnego, tylko miała przezroczystą akrylową kopułę na dziobie, wytrzymującą ciśnienie na głębokości trzystu metrów, i manipulatory z chwytakami, które wisiały pod dziobem niczym szczypcy ogromnego potwora morskiego. Kiosk wznosił się na wysokość zaledwie sześćdziesięciu centymetrów; za nim był umocowany duży czarny ponton. Nie planowali się zanurzać głęboko w drodze do brzegu, więc zodiaca już napompowano. Cały sprzęt został załadowany do środka i miał być przeniesiony do pontonu, kiedy dotrą bliżej wybrzeża.

Drużyna desantowa składała się z Cabrilla, Linca, Lindy i Murphy'ego. Juan chętnie wziąłby jeszcze kogoś, ale nie mógł przesadzać z liczebnością grupy. Uzgodnili, że Mike Trono poprowadzi łódź podwodną i zostanie w niej, kiedy reszta popłynie do brzegu.

Kevin Nixon przywołał Juana. Dawny hollywoodzki spec od efektów specjalnych zarządzał Magiczną Pracownią, jak załoga nazywała jego królestwo. Odpowiadał za przygotowanie wszelkich przebrań i dokumentów potrzebnych podczas operacji lądowych. Choć sam nie był fałszerzem, miał dwóch w swojej ekipie.

- To powinno przejść bez problemu - oznajmił brodaty Nixon i wręczył Cabrillovi teczkę na akta.

Juan przejrzał papiery. Dostał argentyńskie dowody tożsamości dla całej czwórki, poza tym pozwolenia na podróż i pracę. Wszystkie dokumenty wyglądały na autentyczne i używane. Gruby plik gotówki zawierał niepodrobione banknoty.

- Pierwsza klasa, jak zwykle - pochwalił Cabrillo. - Miejmy nadzieję, że nic z tego się nie przyda - zażartował.



- Akumulatory w pełni naładowane, nawigacja i sonar sprawdzone, sprzęt ratunkowy działa - zameldował Trono, kiedy Juan do niego podszedł. - Szkoda że nie idę z wami.

- Nie wiemy, w jakim stanie będzie doktor Wright, więc potrzebuję Linca na wypadek, gdybyśmy musieli ją nieść do zodiaca.

- Jasne, ale... Rozumiesz, o co mi chodzi. Juan położył Mike'owi dłoń na ramieniu.

- Rozumiem.

Zjawił się Max Hanley.

- Morze prędko się nie uspokoi, więc nie ma co zwlekać.

Cabrillo uniósł brew.

- Przyszedłeś zobaczyć, jak wyruszamy?

- Nie, upewnić się, że wróćcie z Tamarą. Ja naprawdę chcę się umówić z nią na randkę. Ta kobieta to dynamit.

- Przyszłość twojego romantycznego związku jest we właściwych rękach. Mówiłeś serio o pogodzie?

- Niestety. Deszcz leje jak z cebra i nie ustanie do jutra wieczorem. Wolisz poczekać?

Wodowanie i zabieranie łodzi podwodnych z powrotem na pokład było wystarczająco ryzykowne w dobrych warunkach, ale Juan nie dał się skusić. Liczyła się każda minuta.

- Nie. Nie tym razem.

- Powodzenia. - Max wrócił do centrum operacyjnego.

Cabrillo nie wierzył w przesady i nie był fatalista, mimo to ostatnie słowo Hanleya przepełniło go niepokojem. Życzenie powodzenia komuś, kto wyruszał na niebezpieczną akcję, przynosiło pecha. Otrząsnął się.

- Okej, ludzie, na koń.

Jako ostatni opuścił się do nomada, zamknął właz i dociągał go kołem ryglującym, dopóki w ciasnym kiosku nie rozbrzysła zielona kontrolka sygnalizująca szczelność. Mike zobaczył taką samą w supernowoczesnym kokpicie. Chwilę później operator uruchomił żurawia do wodowania, żeby unieść łódź podwodną z kołyski, i jednocześnie otworzył zawory do zalewania basenu zanurzeniowego.

Oświetlenie przełączyło się z jarzeniówek na czerwone żarówki - dzięki temu załoga mogła się przyzwyczaić do czekającej ją ciemności. Kiedy basen się napełnił, hydrauliczne siłowniki rozsunęły wrota w jego dnie. Woda w basenie wzburzyła się niebezpiecznie, zalała pokład i opryskała jednego z techników. Nomad stabilnie tkwił w kołysce.

Został wolno opuszczony; fale uderzały w akrylową kopułę. Podczas sztormu wpuszczenie nurków do basenu byłoby zbyt ryzykowne, więc technik przeskoczył na kadłub miniłodzi i odczepił liny, kiedy jeszcze unosiła się w środku statku. Mike natychmiast wypuścił powietrze i nomad wypadł z „Oregoną”.

Morze było czarne jak sadza i na tej małej głębokości czuli potęgę szalejącego południowego Atlantyku. Dopóki nie zeszli na piętnaście metrów, przechyły i kołysanie łodzi podwodnej przyprawiały o mdłości.

- Wszyscy z tyłu cali i zdrowi? - zawołał przez ramię Trono, kiedy wziął kurs na zachód.

- Przy basenie zanurzeniowym powinna być tablica ostrzegawcza, że jestem za niska na taką jazdę - odparła Linda. Masowała sobie łokieć, którym uderzyła w stalowy kadłub.

Juan przebrnął przez ascetyczną kabinę i klapnął na siedzenie drugiego pilota na prawo od

Mike'a.

- Kiedy powinniśmy być na miejscu?

- Moment. - Mike skończył wprowadzać liczby do komputera nawigacyjnego i natychmiast otrzymał odpowiedź. - Spędzimy pięć godzin w tej puszczy, pod warunkiem że nie natkniemy się na żaden okręt straży przybrzeżnej ani marynarki wojennej.

- Nie usłyszą nas. - Juan odchylił się do tyłu, żeby widzieć innych. - Pięć godzin. Można się z powodzeniem przekimnąć.

- Mark, odstąpię ci kawałek swojej ławki - zaproponował Linc. - Obejmiemy się.

- Nie ma mowy, kolosie. Żebyś mnie zgniótł?

Podróż minęła bez przygód. Nie napotkali żadnych statków płynących do lub z Buenos Aires ani patroli wojskowych. Wynurzyli się milę morską od brzegu. W pobliżu lądu morze było trochę spokojniejsze, ale ulewa nie osłabła. Przez mrok widzieli łunę, którą tworzył blask świateł w śródmiejskich wieżowcach. Latynoski Paryż, jak nazywano stolicę Argentyny, wyglądał złowrogo podczas sztormu. Niedaleko od nich leżał kraj, gdzie panowały zło i strach, gdzie państwo kontrolowało wszystkie aspekty życia obywateli. Schwytanie oznaczałoby śmierć.

Juan zorganizował załadunek sprzętu do wodoszczelnych worków. Odbierał je z dołu od innych i wrzucał do zodiaka. Podejrzewał, że biorą za dużo rzeczy, ale istniały zmienne w zmiennych i musieli być przygotowani na wszystko.

Włożył słuchawki z mikrofonem.

- Sprawdzam łączność, jak mnie słyszysz?

- Głośno i wyraźnie - odczuwał się Mike z kokpitu minilodzi podwodnej.

- Pilnuj interesu pod naszą nieobecność.

- Załatwione, prezesie.

Juan zczekał, aż pozostała trójka wygramolił się z włazu i usadowił w pontonie, po czym go odcumował. Kiedy się odłączyli od nomada, popatrzył na tobole z resztą sprzętu, który zostawili umocowany do pokładu. Miał nadzieję, że zawartość pakunku okaże się niepotrzebna.

Potężny sztorm zagłuszał warkot elektrycznego silnika zodiaka i w niskim pontonie byli prawie niewidoczni. Juan musiał zboczyć z kursu o kilka stopni z powodu bardzo silnego prądu La Platy - istnienie tej rzeki skłoniło hiszpańskich osadników do zbudowania Buenos Aires.

Skierowali się w stronę uprzemysłowionej dzielnicy portowej, gdzie wielkie frachtowce stały beczynnie, gdyż bardzo mało państw utrzymywało stosunki handlowe z awanturniczym reżimem. Cabrillo zauważył, że statki są zarejestrowane w takich krajach, jak: Kuba, Libia, Chiny i Wenezuela. Wcale się nie dziwił.

Z niskiego zodiaka nie widzieli żadnej aktywności na nabrzeżach, ruch praktycznie zamarł z powodu złej pogody. Wielkie suwnice bramowe stały nieruchomo, lampy były pogaszone. Juan wpłynął pod nieużywany pirs na betonowych podporach pokrytych omułkami i morską roślinnością pachnącą jodem. Dzięki rzece nie unosiły się tu żadne śmiecie.

Linc przycumował ponton i Juan wyłączył silnik.

- Kochanie, jestem - zażartował Mark.

Wszyscy nosili ubrania sztormowe, ale Murphy wyglądał jak zmokły szczur.

Cabrillo przyjął żart z miną pokerzysty.

- Dobra, wszyscy znamy plan. Trzymajmy się go. Odezwiemy się, gdy zrobimy rozpoznanie w budynku.

- Będę w pogotowiu - odparł Linc.

Juan i Linda zdjęli nylonowe spodnie i kurtki. Cabrillo miał pod spodem garnitur za tysiąc dolarów, na który szybko włożył trencz Burberry. Jego z wyglądu eleganckie półbuty były w rzeczywistości obuwem wojskowym na przeciwpoślizgowej gumowej podeszwie. Linda została w czarnym płaszczu na krótkiej czerwonej sukience koktajlowej z głębokim dekoltem i kozaczkach prawie do ud. Jej buty, podobnie jak Juana, umożliwiały łatwe i pewne poruszanie się. Tylko inna kobieta zauważyłaby, że nie są ostatnim krzykiem mody. Nie miały obcasów.

Juan pierwszy wspiął się po drabince przymocowanej do pylonu pirsu. Linda ostrzegawczo spojrzała na swoich dwóch kolegów: „Spróbujcie zajrzeć mi pod sukienkę, to pożałujecie”. Potem poszła w ślady Juana. Z kieszeni płaszcza wyjęła małą damską parasolkę i otworzyła nad głową. Juan - wyższy od Lindy o dobre dwadzieścia centymetrów - zrezygnował ze schronienia. Kiedy ruszyli wzdłuż pirsu, musiał kilka razy zrobić unik, żeby jeden z metalowych drutów parasolki nie wybił mu oka.

Piętnaście minut zajęło im dojście długim nabrzeżem do głównej bramy. Migotliwa poświata w wartowni wskazywała, że ochroniarze oglądają telewizję. Juan i Linda przeszli obok wolnym krokiem i chwilę później złapali taksówkę krążącą po wyludnionych ulicach. Cabrillo podał adres kilka numerów od apartamentowca generała Espinozy. Zgodnie z obowiązkiem nałożonym przez juntę na taksówkarzy, kierowca musiał spisać z dokumentów nazwiska i adresy dwójki pasażerów. Między innymi w ten sposób władze śledziły obywateli. Brak wolności przyprawiał Cabrilla o gęsią skórę.

Chwytał gazetę, którą ktoś zostawił na tylnym siedzeniu, i osłonił nią głowę, kiedy wysiadł z Lindą z samochodu.

Przeszli ostatni kawałek do celu, gdy taksówka zniknęła za rogiem. Parter większości budynków zajmowały lokale użytkowe, głównie butiki dla zamożnych kobiet z okolicy, ale również restauracje, już nieczynne o tak późnej porze. Na szerokim chodniku nie było żadnych innych przechodniów. Przy krawężniku parkowały luksusowe auta wszystkich niemieckich marek.

Deszcz mienił się srebrno-złociście w blasku światła z okien mieszkań powyżej.

Narożny apartamentowiec Espinozy miał obrotowe drzwi ze szkła i mosiądzu. Juan i Linda wpadli przez nie do środka jak szczęśliwi kochankowie. Śmiali się z tego, że tak przemokli, i cieszyli głośno, że już są w domu.

Cabrillo przystanął niemal natychmiast i zarechotał.

- O rany. To nie ten adres. - Wyszczerył zęby w szerokim pijackim uśmiechu i wyprowadził Lindę z powrotem na dwór. Portier ledwo zdążył wyjść z za lady recepcyjnej, zanim dobrze ubrana para zniknęła. Byli w holu zaledwie siedem sekund.

Aż nadto długo.

- Mów - rzucił Juan, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

- Portier nosi pistolet w kaburze pod pachą. Jedna kamera jest skierowana na drzwi frontowe.

Juan przystanął, nie przejmując się deszczem.

- Tylko tyle zauważyłaś? - zapytał z drwiną i rozczarowaniem.

- A co? Ty zobaczyłaś więcej?

- Okej, zacznijmy od tego, że jego broń rzuca się w oczy. Facet ma tak uszyty garnitur, żeby się odznaczała. Każdy wchodzący powinien ją widzieć. Po prostu środek odstraszający. To, czego nie miałaś zauważyć, i nie dostrzegłaś, to pistolet na jego kostce. Gość nosi spodnie dzwony, żeby go ukryć, ale to nie wystarcza. Człowiek uzbrojony w dwie spluwy prawdopodobnie trzyma pistolet

maszynowy pod ladą. Jest zdecydowanie ochroniarzem z Dziewiętej

Brygady, a nie zwykłym portierem. Powiedz mi o kamerach.

- Kamerach? - zdziwiła się Linda. - Wbiegliśmy tam na dwie sekundy. Widziałam tylko jedną kamerę.

Juan wziął głęboki wdech. Nie uśmiechało mu się udzielanie lekcji na dworze przy tej pogodzie, ale czuł, że musi podszkolić Lindę.

- Słuchaj. Spędziliśmy w holu siedem sekund. Od tej chwili bądź dokładna. Zauważyłaś jednego ochroniarza i jedną kamerę, tak?

- Mhm - wymamrotała niechętnie Linda.

- Druga kamera znajduje się w środku tuż nad obrotowymi drzwiami. Ma w polu widzenia windę i ladę recepcyjną. Wygląda na dopiero co zainstalowaną. Jej przewody są odsłonięte i trochę zwisają. Założę się, że została zamontowana po tym, jak przywieźli tu profesor Wright. Przekazuje obraz do apartamentu na ostatnim piętrze.

- Jak ją namierzyłeś?

- Odbija się w lustrze obok windy.

Linda pokręciła głową.

- Ja zobaczyłam tylko nas. A właściwie siebie.

- To normalne. W lustrze i na zdjęciu ludzie zawsze najpierw widzą siebie. Zwykła próżność.

- Co dalej? Sprawdźmy tylne wejście?

- Nie, tam też na pewno są kamery. Udawanie podciętej pary, która zabłądziła, drugi raz nie przejdzie. Jak znów się pojawimy, wezwą policję albo sami nas zgarną.

- Wykorzystamy pomysł Marka?

- Tak, zrobimy to na chama. - Znaleźli klatkę schodową kilka domów dalej, gdzie schronili się przed deszczem. Na ulicy było tak pusto, że dostrzegli nadjeżdżający radiowóz dużo wcześniej, niż gliniarze ich zobaczyli. Juan wywołał Linca przez radio. - Załatwiliśmy swoje. Co u was?

- Mark jest na ulicy i już odpalił na krótko jakąś brykę - zameldował Lincoln. - Znalazłem to, czego potrzebujemy, i czekam tylko na sygnał od ciebie.

- Ruszaj. Mniej więcej za ile tu dotrzecie?

- Jeśli ochrona portu nie przyczepi się do mnie i nikt nas nie zatrzyma, to za jakąś godzinę.

- Dobra, do zobaczenia. - Juan zmienił częstotliwość. - Mike, jak żyjesz?

- Marznę razem z rybami.

- Płyn do punktu beta. - Wszystkie pozycje wybrali z dużym wyprzedzeniem.

- Startuję. - Lekki niepokój zabrzmiał w głosie Mike'a Trona. Wiedział, że prezes ma złe przeczucia.

- Dlaczego przemieszczasz nomada? - zapytała Linda.

- Przy tej pogodzie mnóstwo gliniarzy nie patroluje terenu i siedzi beczynn timer. Jak się rozlegnie alarm, wszyscy ruszą za nami.

Lindę nagle też ogarnęły złe przeczucia.

Okrążyli kwartał budynków. Poruszali się tylko wtedy, gdy się upewnili, że nikt ich nie obserwuje. Raz musieli się ukryć za kontenerami na śmiecie przy placu budowy, kiedy przejeżdżał radiowóz policyjny. Kierowca nie przyglądał się chodnikom, lecz koncentrował na prowadzeniu samochodu w ulewie. Spotkali tylko nędznie wyglądającego mężczyznę na spacerze z małym psem. Zachował się obojętnie, oni też. Pogoda nie zachęcała do wymiany uprzejmości.

Juan dotknął blutootha w uchu.

- Mów, Linc.

- Chciałem cię po prostu zawiadomić, że wszystko idzie gładko. Wstawiłem ochroniarzom taką gadkę, że przepuścili mnie bez problemu, mimo że mój hiszpański już zardzewiał i wyglądam na tutejszego mniej więcej tak samo jak nosorożec. Wystarczy powiedzieć ludziom, że musisz coś pożyczyć dla Dziewiątej Brygady, i przestają zadawać pytania.

- Na tym polega urok państwa policyjnego. Nikt się nie wychyla. Każdy wie, że lepiej siedzieć cicho.

- Mark jest tuż przede mną i niedługo dojedziemy.

- Będziemy was wypatrywali.

Piętnaście minut później dziwny konwój wyłonił się zza odległego rogu i zaczął zbliżać. Murphy sunął na czele za kierownicą sedana. Pomarańczowe koguty na dachu błyskały rytmicznie, jakby anonsując pojazd jadący z tyłu. I o to chodziło. Linc prowadził żurawia samobieżnego z logo zarządu portu w Buenos Aires. Wehikuł właściwie nie miał nadwozia, tylko wieżyczkę jak w czołgu, zamontowaną na ciężkim podwoziu. Koła były dwa razy większe niż w samochodzie osobowym. Teleskopowy wysięgnik, choć teraz złożony, wystawał niczym taran.

Musieli działać szybko, bo wielki żuraw w środku eleganckiej dzielnicy zwracał uwagę. Cabrillo ściągnął płaszcz, marynarkę i białą koszulę z oksfordu. Przypinany krawat poszybował w powietrzu. W końcu to tylko przebranie. Pod spodem miał czarny podkoszulek z długimi rękawami i dwie puste kabury po bokach. Włożył obcisłe czarne rękawiczki.

Linda doskoczyła do drzwi sedana, zanim Mark całkowicie zatrzymał samochód. Wyłączyła dwa koguty na baterie i zerwała je z dachu. Przyssawki mlasnęły obscenicznie. Murphy podbiegł do żurawia w tym samym momencie co prezes. Mark wspiał się do kabiny, Juan chwycił się haka zwisającego z wysięgnika i wdrapał na samą górę.

Linc wręczył mu MP-5 i dwa pistolety Fabrique Nationale Five-seveN. Cabrillo wybrał je, ponieważ ich pociski kaliber 5,7 mm przebijały z bliska większość kamizelek kuloodpornych. Automat z długim tłumikiem był nieporęczny.

Drużyna poruszała się jakby według choreografii. Juan wetknął pistolety do kabur pod pachami, Mark usadowił się w kabinie żurawia, Linda zajęła miejsce kierowcy w sedanie. Siedząc okrakiem na wysięgniku, Franklin Lincoln ścisnął go udami, a Murphy uruchomił siłownik hydrauliczny, żeby go wysunąć do góry.

Wszystko działo się bardzo szybko.

Zgodnie z planem.

Wysięgnik jechał w kierunku czwartego piętra. Mark ograniczał hałas silnika do minimum kosztem szybkości, ale w uszach Juana żuraw warczał jak zwierzę. On i Linc wznosili się na szczycie wysięgnika, który celował w jedno z okien apartamentu. Światło zapaliło się piętro niżej, gdy właściciela mieszkania obudził hałas na zewnątrz sypialni. Na szczęście okna Espinozy pozostały ciemne.

Mark rozbił końcem wysięgnika szybę i Juan z Linkiem rzucili się do pokoju. Wylądowali zwinnie jak koty, obaj z bronią gotową do strzału, gdy mężczyzna w mundurze maskującym otworzył drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dwa automaty wypaliły; facet upadł.

Linc skrępował mu nadgarstki plastikowymi opaskami. Używali pocisków z utwardzonej gumy, które nie zabijały, ale uderzały z wystarczającą siłą, by unieszkodliwić dorosłego człowieka.

Trafienie dawało w zasadzie taki sam skutek jak cios kijem bejsbolowym. Rozważali użycie strzałek z trankwilizatorem, ale upłynęłyby cenne sekundy, zanim środek by zadziałał.

Juan się domyślił, że wyłączony z akcji strażnik dyżurował przy monitorach pokazujących hol na dole. Cisnął jego pistolet pod wielkie łóżko z baldachimem - najwyraźniej trafili do głównej sypialni. Generała nie było w domu, a więc Chińczyków też nie należało się spodziewać. Juan przypuszczał, że najwyżej jeszcze trzech strażników pilnuje Tamary Wright. Czas, żeby koleś zrobił sobie przerwę.

Za progiem sypialni biegł korytarz z mahoniową podłogą i orientalnym chodnikiem. Z otwartych drzwi kilka kroków dalej padało światło. Po szarym odcieniu blasku Juan poznał, że to stanowisko monitoringu. Sufit w korytarzu - trzy i pół metra w górę - zdobiły najbardziej wymyślne gzymsy, jakie Juan kiedykolwiek widział.

Otworzyły się inne drzwi. Mężczyzna miał na sobie tylko bokserki i przecierał zaspane oczy. Juan strzelił facetowi dwa razy w czoło i uśpił go na długie godziny. Linc osłaniał szóstą; Cabrillo zajrzał do pokoju śpiocha. Stały tam dwa łóżka, ale tylko jedno było używane. Pomyślał, że pani domu z pewnością nie jest zachwycona, że żołnierze śpią w jej eleganckiej pościeli.

Uchylił następne drzwi i zobaczył łazienkę całą w glazurze, z wanną wielkości małego basenu pływakiego. Popchnął drzwi, żeby wpuścić więcej światła z korytarza. Trzy golarki na toaletce, trzy szczoteczki do zębów w rżniętej kryształowej szklance.

Idźmy dalej. Szafa pełna ręczników i bielizny pościelowej. Gabinet z ogromnym biurkiem. Na kredensie stał wypchany jaguar. Bardzo młoda samica, sądząc po wielkości. Cabrillo coraz mniej lubił Espinozę.

Strzał huknął za nim, hałas odbił się od wysokiego sufitu. Linc obrócił się wokół framugi, gdy drugi pocisk zamienił kawałek gzymsu w drogie okruchy. Juan zawiesił MP-5 na plecach i wyciągnął jedną z efenek. W przeciwieństwie do pistoletu maszynowego, była załadowana klasyczną ostrą amunicją. Jego mokre buty piszczały, ale podejrzewał, że przeciwnik jest ogłuszony.

Nisko schylony wyjrzał zza rogu. Argentyńczyk strzelił za wysoko, ale zdradził swoją pozycję. Ukrywał się w pomieszczeniu na końcu korytarza. W pokoju paliło się światło i Juan widział zarys stopy przeciwnika w szparze między drzwiami a podłogą. Położył pistolet na dywanowym chodniku i dwukrotnie szybko nacisnął spust. Puste łuski poszybowały łukiem centymetry od jego twarzy.

Wrzask zabrzmiał prawie tak głośno jak wystrzały. Pocisk trafił bandytę w stopę i roztrzaskał delikatne kości. Kiedy ranny przeskoczył na drugą nogę, Cabrillo znów wypalił. Kula drasnęła dolną krawędź drzwi, ale nie straciła aż tyle energii, żeby się nie wbić w ciało. Argentyńczyk runął, jęcząc z bólu. Linc błyskawicznie wystartował naprzód z bronią wycelowaną w kierunku niewidocznego bandyty.

Wpadł do pokoju, omiótł wzrokiem kąty i odkopnął na bok pistolet przeciwnika.

- Zaraz panią stąd zabierzemy - powiedział do Tamary Wright przykutej kajdankami do łóżka i zakneblowanej. Była w tej samej sukience co na pokładzie „Natchez Belle”.

Juan zjawił się tuż po Lincu. Kiedy Tamara rozpoznała prezesa, panika i strach w jej oczach ustąpiły. Cabrillo odwiązał knebel i rzucił Lincowi; ten szybko zawiązał go wokół ust rannego strażnika, żeby uciszyć jęki bólu.

- Skąd...? Jak...? - Oszołomiona kobieta nie mogła wykrztusić pytania.

- Później - odparł Juan.

Linc miał w pokrowcu na plecach wielkie nożyce do przecinania śrub. Wyciągnął je niczym

samuraj kataną. Nie musiał użyć nawet jednej dziesiątej swojej siły, by uwolnić Tamarę z łańcucha. Kajdanki zostawili - zdejmą jej na „Oregonie”.

- Nic pani nie zrobili? - zapytał Juan.

- Nie. Wypytywali mnie tylko o...

- Później - powtórzył. Czekał ich powrót, trudniejsza część operacji. - Umie pani pływać?

Popatrzyła na niego zaskoczona tym pytaniem.

- Umie pani?

- Tak, a co? Nieważne. Później, wiem.

Juanowi imponował jej charakter i nie dziwił się Maksowi, że chce się z nią umówić na randkę.

Tamara Wright miała wewnętrzną siłę, której nawet kilka ostatnich dni grozy nie zdołało osłabić.

Włączył komunikator.

- Lindo, meldunek sytuacyjny.

Głos baśniowej wróżki wypełnił mu ucho.

- Portier gdzieś zatelefonował, gdy tylko usłyszał strzały. Oceniam, że została nam jakaś minuta do przyjazdu glin.

Cabrillo przypuszczał, że mniej.

- Już idziemy.

- Mark jest gotowy.

Trójka Amerykanów wycofała się w taki sam sposób, w jaki Juan i Linc wtargnęli do apartamentu. Hak wisiał tuż za wybitym oknem. Linc przeniósł Tamarę przez otwór w roztrzaskanej szybie i postawił na metalowej platformie wokół liny żurawia tuż nad hakiem. Choć było to dla nich doskonale stanowisko, platforma służyła innemu celowi - zapobiegała wspinaniu się po linie sznurów, z którymi marynarze toczyli odwieczną walkę.

Linc stanął za Tamarą, żeby ją osłaniać i trzymać.

- Bez obaw. Wujek Franklin czuwa nad panią.

- A nie siostrzeniec lub bratanek Franklin? - zapytała.

Gdy tylko Juan chwycił się liny dłonią w rękawiczce, Mark ich opuścił. Zjechali na chodnik miękko jak windą firmy Otis. Linda czekała w samochodzie z otwartymi drzwiami przy krawężniku. Wycieraczki pracowały z maksymalną szybkością.

Mark wyskoczył z kabiny żurawia. On i Linc usiedli z tyłu po obu stronach Tamary Wright. Pod nogami mieli pełno sprzętu i Linc musiał podciągnąć kolana do piersi. Linda przesunęła się na fotel pasażera, ustępując Juanowi miejsca za kierownicą. W oddali rozległy się syreny. Cabrillo spokojnie ruszył.

Może się udało, pomyślał Juan, ale wołał nie mówić tego głośno.

Los i tak go usłyszał.

Czarna limuzyna wpadła na skrzyżowanie i zatrzymała się z poślizgiem tuż przed ich zderzakiem. Juan musiał ostro hamować. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie, wielki łyсы mężczyzna w galowym mundurze wyskoczył z cadillaca i natychmiast zaczął strzelać.

Piątka w sedanie schyliła się, zanim pociski przebiły przednią szybę. Cabrillo wrzucił wsteczny i sięgnął do góry, żeby ustawić lusterko. Kula zagwizdała tak blisko jego nadgarstka, że poczuł ciepło, ale teraz widział, co jest z tyłu, bez unoszenia głowy.

Cofnęli się piętnaście metrów. Z takiej odległości nie chybiłby tylko mistrz w posługiwaniu się bronią krótką. Juan zaciągnął hamulec ręczny i obrócił kierownicę. Na mokrym asfalcie auto o

żalnością małej mocy wykonało piruet godny hollywoodzkiej sceny pościgu.

Cabrillo zwolnił ręczny, wrzucił jedynekę i nacisnął gaz. Jeszcze jeden pocisk trafił w samochód, ale tylko roztrzaskał boczne lusterko.

- Wszyscy cali? - zawołał Juan, nie odrywając wzroku od drogi. Odnosił wrażenie, że jedzie przez niekończący się wodospad.

- Tak - odpowiedział Mark. - Kto to był?

- Generał Philippe Espinoza. Właśnie do jego mieszkania się wdarliśmy. Pewnie wracał z kolacji, kiedy portier do niego zadzwonił.

- To on mnie przesłuchiwał - odezwała się Tamara. - I odrażający Chińczyk nazwiskiem Sun. Według mnie facet jest z Pekinu i prawie na pewno ze służby bezpieczeństwa. Tu, w Argentynie, bez wątpienia na paszporcie dyplomatycznym.

Syreny się zbliżały. Juan zwolnił. Był tylko jeden sposób, żeby z tego wyjść: nie zwracać na siebie uwagi i mieć nadzieję, że uda się zgubić Espinozę.

- Mark, masz przygotowane nasze sztuczki?

- Czekam na rozkaz, prezesie.

Juan rozmyślał o hierarchii służbowej. Espinoza niewątpliwie zna kogoś w policji, rozumował, szefa jakiegoś wydziału lub nawet głównego komendanta. Generał zadzwoni do niego, tamten z kolei zatelefonuje do któregoś ze swoich podwładnych i tak dalej. Upłynie z piętnaście minut, zanim patrole na ulicach dostaną opis ich samochodu. Do tego czasu, jeśli zdołają uciec Espinozie i nie wzbudzić zainteresowania policji, przejadą pół drogi przez miasto.

Cabrillo zerknął w lusterko wsteczne w momencie, gdy cadillac wypadł z za rogu jedną przecnicę za nimi. Juan prowadził przeciążonego mitsubishi i nie łudził się, że zostawi z tyłu amerykańskie auto z silnikiem V8, nawet jeśli jest opancerzone, jak podejrzewał.

Skreślił szybko dwa razy i zwolnił na widok pędzącego w przeciwnym kierunku radiowozu z błyskającymi kogutami, któremu siedział na ogonie nieoznakowany samochód.

Stracił pewność siebie, kiedy zobaczył w lusterku, że oba pojazdy ostro hamują. Zawrócenie na wąskiej ulicy zajęło im chwilę, więc Espinoza musiał się zatrzymać. Generał najwyraźniej znał kogoś dużo niższej rangi, niż przypuszczał Cabrillo. Na przykład szefa komendy dzielnicowej.

Juan wiedział, że za kilka sekund wszystkie trzy samochody ruszą w pościg i opis małego mitsubishi usłyszą przez radio gliniarze w całym Buenos Aires. Rzeczywiście, uwolnienie Tamary Wright okazało się łatwiejszą częścią nocnej operacji.

Skreślił w wąski zaułek.

- Teraz! - krzyknął Juan do Murphy'ego.

Mark już opuścił szybę i zaczął wyciągać zawleczone granaty dymnych najszybciej, jak mógł. Korporacja sama robiła te granaty, dlatego w krótszym czasie wytwarzały więcej dymu niż wojskowe. Gdy trzeci wylądował na ulicy, gęsta mgła z tyłu przesłoniła nawet blask latarni i światła w oknach na pierwszym i drugim piętrze.

- Wystarczy! - zawołał Juan i skreślił kilka razy na chybił trafił. W gardle mu zaschło, ale luźno trzymał kierownicę i ani na moment nie tracił koncentracji.

- Ciekawe, czy ktoś się orientuje, gdzie jesteśmy - odezwał się Linc z tylnego siedzenia.

- Linda - odpowiedział Cabrillo.

Trzymała przenośny odbiornik GPS i uważnie patrzyła na ekran.

- Owszem i to całkiem dobrze. Jedziemy w kierunku portu, ale mamy przed sobą labirynt ulic.



Przy szerokiej alei trzeba skręcić w lewo.

Cadillac wyłonił się z przecznicy bez ostrzeżenia. Zawirował za sedanem z takim naciskiem na zawieszenie i opony, że kołpak odpadł od koła i poszybował przez chodnik niczym frisbee. Kierowca znał tę dzielnicę lepiej niż patrolująca ją policja i przewidział zamiary Cabrilla.

Ochroniarz wychylił się przez okno pasażera i otworzył ogień z dużego pistoletu. Linc odwrócił swoje wielkie ciało i opróżnił cały magazynek automatu. Gumowe kule nie mogły nic zrobić limuzynie, ale seria odniosła skutek psychologiczny. Szofer ostro zahamował i szarpnął kierownicę. Auto otarło się o rząd zaparkowanych samochodów, co wywołało reakcję łańcuchową - zaczęły wyc alarmy i błyskać światła.

Linc rzucił H&K i wyciągnął berettę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli cadillac jest opancerzony, to amunicja pistoletowa nie wyrządzi większych szkód niż gumowe pociski, ale lepsze to niż nic.

- Zasłona dymna? - zasugerował Mark.

Ta ulica była na to za szeroka, więc Juan nie odpowiedział, tylko patrzył w lusterka. Zanim limuzyna znów podjęła pościg, dogonił ją radiowóz. Cabrillo podejrzewał, że są ich jeszcze dziesiątki w eleganckiej dzielnicy Recoleta. Powinni porzucić mitsubishi i znaleźć inny samochód.

Na lewo od nich rozciągał się plac budowy. Ulicę rozorały duże żółte koparki, rusztowania stały przy jakiejś konstrukcji z kolumnami. Juan przyjrzał się bliżej - to wielka ozdobna brama. Przypuszczał, że za nią jest park, więc ruszył tam, wyciskając pełną moc z małego czterocyndrowego silnika.

Samochód tracił przyczepność na błotnistym gruncie; Juan korygował tor jazdy.

- Trzymajcie się!

Przebili się przez rusztowania, wskoczyli na niski stopień i walnęli w bramę. Cabrillo spodziewał się potężnego uderzenia, ale bramę obecnie naprawiano i tylko ustawiano na miejscu pod koniec dnia pracy. Łańcuch spinający skrzydła z kutego żelaza nie puścił, ale całość runęła na ziemię i mitsubishi po niej przejechał. Nie zadziałały nawet poduszki powietrzne.

Juan natychmiast uświadomił sobie swoją pomyłkę. Nie wjechał do parku. W równych rzędach, niczym w lilipucim mieście, stały tysiące pięknych budynczków w skali mniej więcej jeden do pięciu. Wyglądały jak wszystkie, które widzieli tej nocy - zdobiły je marmurowe kolumny, posągi z brązu, dekoracyjne spadziste dachy oraz ikonografie o tematyce religijnej.

Znajdowali się na cmentarzu, a miniaturowe domy pełniły funkcję wspaniałych mauzoleów.

Po waszyngtońskim Arlingtonie i paryskim Père-Lachaise, Cementerio de la Recoleta to chyba najśłynniejsza nekropolia na świecie. Wszyscy najbogatsi i prominentni obywatele miasta, łącznie z Eva Perón, zostali pochowani w cudownych naziemnych kryptach. To miejsce zaczęło przyciągać turystów niemal od chwili swego powstania.

Labirynt okazał się za ciasny dla samochodu i był ogrodzony murem z wszystkich stron.

Juan zabrnął w ślepią uliczkę.

# Rozdział 21

Nie mieli wyjścia, musieli jak najlepiej wykorzystać jego błąd.

- Mark, granaty dymne! Wszystkie, jakie ci zostały.

Kiedy Murphy rzucał je za samochód, Juan dojechał do jednej z szerszych alejek. Zawieszenie przeciążonego samochodu dobijało mocno na bruku; zła ocena odstępu między dwoma rzędami grobowców kosztowała ich drugie boczne lusterko.

Pokonali nie więcej niż piętnaście metrów, gdy alejka zwęziła się - stało przy niej potężne marmurowe mauzoleum. Nie mogli go ominąć. Juan zerknął przez ramię. Do alejki dochodziła ukośnie inna. Wrzucił wsteczny i cofnął się w nią, zdzierając lakier na drzwiach o pomnik jakiegoś polityka. Przynajmniej deszcz w końcu już tak nie zacinał. Widoczność wciąż była kiepska - zwłaszcza że dym snuł się upiornie wśród grobowców - ale się poprawiała. Pocieszało ich również to, że ani radiowóz, ani cadillac nie dotrze tu za nimi.

Cabrillo zastanowił się, czy tamci będą ich ścigali na piechotę. Zapewne tak. Furię widoczną na twarzy Espinozy mogła ugasić tylko krew.

Samochód zawadził o marmurowe popiersie i oderwał je od postumentu. Kamienna głowa potoczyła się po bruku jak zdeformowana kula do kręgli. Juan musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności nabyte na kursie doskonalenia techniki jazdy, żeby nie wpaść na budowlę po drugiej stronie.

Zobaczył, że alejka znów się rozwidła, i wpasował się tyłem w szerszą odnogę. Niemal natychmiast się zwęziła, bo wystawał na nią grobowiec o wyglądzie repliki miejscowego kościoła. Juan ruszył naprzód, a potem się wycofał. Przy tak słabym świetle jazda prosto była prawie niemożliwa i znów otarli się o pomnik. Cabrillo przeprosił w myślach ducha tej osoby i pojechał dalej.

Na lewo dostrzegł szerszą alejkę. Zakręt był taki ciasny, że wmanewrował tam dopiero po kilku próbach. Pokruszył przy tym mnóstwo marmuru i powgniał masę blachy. Przysiągł sobie, że jeśli z tego wyjdą, korporacja anonimowo wpłaci datek na utrzymanie cmentarza.

Kot czmychnął ze swojej kryjówki tuż przed samochodem; mokra sierść zalśniła w blasku tylko jednego działającego reflektora. Juan odruchowo nacisnął hamulec. Zwierzę spojrzało na niego pogardliwie i zniknęło.

Nagle wokół zrobiło się widno. Wzrok Juana dopiero po chwili przyzwyczał się do jasności. Niewidoczny helikopter w górze włączył szperacz i stworzył oazę dziennego światła w egipskich ciemnościach. Na dół dobiegł wzmocniony głos.

Cabrillo nie musiał tłumaczyć kompanom słów. Rozkaz z policyjnego śmigłowca jest zawsze taki sam.

- Linc, zrób z nim coś.

Franklin opuścił korbką szybę i wycelował pistolet maszynowy w niebo. Nie miał miejsca, żeby wystawić swój wielki tors z samochodu, więc otworzył ogień na ślepo.

Błysk z lufy wystarczył, by pilot helikoptera się wycofał, podobnie jak wcześniej kierowca Espinozy. Szperacz zniknął, ale po chwili znów się pojawił, gdy śmigłowiec zajął pozycję za nimi na większej wysokości.

Szlak między grobowcami skręcał ostro, ale Juan zdołał pokonać łuk bez hamowania.

Jeśli akcja Argentyńczyków była skoordynowana, to pilot z pewnością naprowadzał gliniarzy z radiowozu na zbiegów. Juan rozglądał się uważnie, odwracając głowę to w lewo, to w prawo, gdy mijali w pędzie wąskie przesmyki. Nikogo nie widział i jechał tak szybko, że nawet gdyby jakiś policjant nadbiegł z boku, zdążyłby oddać tylko jeden strzał i na pewno by chybił.

Po chwili odetchnęli. Znaleźli się na chodniku biegnącym wzdłuż muru cmentarza. Po przeciskaniu się przez ciasne dróżki wydawał się szeroki jak autostrada.

I szczęście znów im dopisało. Przy okazji remontu głównej bramy usunięto też fragment muru. W otworze ustawiono tymczasową zaporę ze sklejki i gołe drewniane słupki. Kąt nie był odpowiedni, aby nabrać rozpędu, ale Juan spróbował.

- Trzymajcie się - ostrzegł drugi raz w ciągu kilku minut.

Samochód uderzył w barykadę przednim zderzakiem; roztrzaskał drewno na drzazgi, ale się nie przebił. Koła wściekle buksowały na mokrym bruku, przegroda wyginała się coraz bardziej, aż do punktu krytycznego. Dzielny mały mitsubishi rozerwał ścianę i pomknął w poprzek pustego chodnika, zanim Cabrillo zdążył wykonać czterokołowy poślizg.

Wydostali się z cmentarza; nie uciekli jednak helikopterowi, który niewątpliwie podawał przez radio, gdzie są.

- Lindo, pilotuj mnie do portu.

Garbiła się nad GPS-em, jej palce płały po ekranie.

- Dobra, skręć w lewo w drugą przecnicę, potem zjedź na prawy pas do następnego ostrego skrzyżowania.

Juan wykonywał jej polecenia, ale bez względu na to, co robili, wciąż znajdowali się w kręgu ostrego białego światła szperacza. Cabrillo zobaczył nagle w lusterku dwa radiowozy. Gnały pełnym gazem z wyjącymi syrenami. Nie było sposobu, żeby je zgubić.

Linc wybił tylną szybę kolbą H&K i wygarnął do nich serią gumowych kul. Gliniarze nie zwolnili. Albo wiedzieli o nieśmiercionośnej amunicji z wcześniejszych ataków, albo po prostu się nie przejmowali.

Pierwszy samochód dojechał z boku do ich tylnego zderzaka i spróbował uderzyć w niego tak, żeby mitsubishi zarzuciło. Juan skontrował, błyskawicznie kręcąc kierownicą. Linc wziął berettę i wypalił dwa razy w okno pasażera wozu patrolowego. W środku siedział tylko kierowca i stracił odwagę. Został w bezpiecznej odległości.

Cabrillo zaczął rozpoznawać okolicę. Zbliżali się do portu.

- Mark, pokaż Tamarze, jak się używa butli ratunkowej.

- Już - zareagował natychmiast Murphy.

Juan włączył swoje radio.

- Mike, jesteś na pozycji?

- Czeka na was - zameldował pogodnie Trono.

- Zrobiło się gorąco.

Sternik łodzi podwodnej spoważniał, słysząc ton głosu prezesa.

- Jestem gotowy.

Strzały huknęły za nimi. Pasażer drugiego radiowozu wychylał się na zewnątrz i walił z pistoletu. Pocisk przedziurawił bagażnik i przebił oparcie tylnego siedzenia w eksplozji piankowego wypełniacza. Tamara wrzasnęła. Linc i Murphy tylko wymienili spojrzenia i wielki ekskomandos SEAL odwrócił się, żeby odpowiedzieć ogniem.

- Następna w prawo! - zawołała Linda przez szum wiatru w aucie. - To już nabrzeże.

Juan wziął zakręt tak ostro, że samochód walnął ślizgiem w ścianę wartowni i wybił szybę w jej oknie. Ochroniarze w budynku dali nura na podłogę przekonani, że ktoś ich zaatakował. Dwa radiowozy skręciły sekundy po mitsubishi.

- Opuście wszystkie szyby - rozkazał Juan, kiedy okrążał rzędy kontenerów.

Ostatnie uderzenie uszkodziło coś ważnego. Samochód wznosił się i opadał na zawieszaniu; przypominało to kołysanie wielbłąda. Wskutek kolizji i szaleńczej jazdy Cabrilla pękła oś. Jej dwa końce zawadzały o nawierzchnię. Snopy iskier tryskały na boki, ilekroć przecinali fragmenty betonowej jezdni lub stalowe tory kolejowe wielkich żurawi portowych. Przedni napęd dzielnie ciągnął auto mimo awarii.

Juan czule poklepał deskę rozdzielczą.

- Nigdy więcej nie skrytykuję japońskiego sedana.

Pirs miał prawie trzysta metrów długości; częściowo był osłonięty dachem z blachy falistej zamocowanej na stalowej konstrukcji. Juan pomknął wzdłuż wsporników. Nie odwrócił głowy, kiedy Linda klepnęła go w ramię i wręczyła mu przedmiot mniej więcej wielkości manierki, ale z węzłem i ustnikiem na jednym końcu. Juan zacisnął zęby na ustniku.

Z gazem wciśniętym do podłogi pędził do krańca pirsu. Tym razem nie musiał ostrzegać pasażerów. Wszyscy widzieli, co się zbliża.

Rozpędzony samochód wystrzelił w ciemność i maską w dół wylądował w rozbryzgu piany. Uderzenie nie było mocniejsze niż wszystkie poprzednie tej nocy. Ponieważ wcześniej otworzyli okna i brakowało tylnej szyby, auto szybko wypełniła lodowata woda.

- Czekajcie - polecił Juan.

Dopiero kiedy dach poszedł pod powierzchnię, Cabrillo wy dostał się przez okno. Zawisnął przy drzwiach pasażera, trzymając się ich jedną ręką, i pomógł Tamarze wyjść, gdy przepełzła po Lincu. Mało co widział w mroku, ale ścisnął jej dłoń; odpowiedziała tym samym. Poczul, jak pęcherze powietrza z regulatora profesor Wright wznoszą się obok jego twarzy. Oddychała trochę za szybko. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę okoliczności. Niezwykła kobieta, pomyślał.

Butla ratunkowa zawierała zapas powietrza tylko na kilka minut, więc kiedy pozostali opuścili tonący samochód, Juan poprowadził ich z powrotem pod pirs, gdzie błyszczała plamka światła.

Tam paliła się latarka ołówkowa przymocowana do dwóch butli akwalungu z kilkoma automatami oddechowymi. Butle były przypasane do kiosku miniłodzi podwodnej Nomad 1000. Gdyby wszystko poszło gładko, spotkaliby się z łodzią parę mil morskich od brzegu - dopłynęliby do niej zodiakiem. Zawsze jednak istniała ewentualność, że akcja nie przebiegnie zgodnie z planem, więc Juan wymyślił alternatywę. Wysłał Mike'a Trona do punktu beta - pod pirs, gdzie przycumowali ponton.

Gdy tylko pięcioro pływaków dotarło do nomada, Juan podał Tamarze jeden z regulatorów i pokazał jej, żeby przeszła z butli ratunkowej na akwalung. Po jej swobodnych ruchach w wodzie

domyślił się, że już nurkowała. Było na tyle jasno, że mógł skierować gestem Lindę i Tamarę do włazu nomada.

Kiedy czekał na swoją kolej, zobaczył snopy światła płasające po powierzchni wody tam, gdzie powietrze wciąż uchodziło z nieustraszonego mitsubishi. Zastanawiał się, ile czasu minie, zanim gliniarze każą nurkom przeszukać dno. Zresztą nieważne. Jego i reszty już dawno tu nie będzie.

Dziesięć minut później, gdy łódź wolno odpływała z prądem, Cabrillo otworzył wewnętrzny właz w ciasnej śluzie powietrznej i wszedł do kabiny. Wszyscy siedzieli na ławkach owinięci termoizolacyjnymi kocami ratunkowymi. Tamara i Linda wytarły ręcznikiem włosy i jakoś zdołały doprowadzić je do ładu.

- Przepraszam - zwrócił się Juan do pani profesor. - Sądziliśmy, że pójdzie dużo łatwiej. Pechowo się złożyło, że wpadliśmy na generała.

- Panie Cabrillo...

- Proszę mi mówić Juan.

- Dobrze, Juan. Liczy się tylko to, że uwolniliście mnie z rąk tamtych... - Urwała, bo nie chciała ciskać inwektywami w dobrym towarzystwie - strasznych ludzi. Nie skarżyłabym się nawet, gdybyśmy musieli się czołgać po rozżarzonych węglach.

- Nie zrobili ci nic złego? - zapytał.

- Jak już mówiłam Lindzie, nie dawałam im powodu. Po prostu odpowiadałam na ich pytania. Po co zatajać informacje o pięćsetletnim statku?

Juan spochmurniał.

- Pewnie nie słyszałaś, ale Argentyńczycy zaanektowali Półwysep Antarktyczny, a Chińczycy ich popierają. Jeśli zdołają znaleźć tamten wrak, będą mogli dowieść, że mają prawo do tego terytorium. Chodzi też o ropę; domyślałam się, że złoża są warte tak dużego ryzyka. Kiedy zaczną je eksploatować, to za zyski spokojnie kupią sobie głosy w ONZ-cie. Założę się, że za parę lat zajęcie półwyspu zostanie usankcjonowane.

- Nie wskazałam, gdzie zatonął statek - odparła Tamara. - Sama tego nie wiem. Uwierzyli.

- Są inne sposoby. Gwarantuję ci, że już go szukają.

- I co zrobimy? - wypaliła odruchowo.

Zwykle każdy tak reaguje w obliczu jakiejś przeszkody. Ale dla Juana pytanie miało głębokie znaczenie. Co robić? Głowił się nad tym, odkąd usłyszał od Overholta, że Biały Dom umywa ręce.

To nie była sprawa korporacji. Szkoda zachodu, jak powiedziałby Max.

Ale Juan wiedział, co jest słuszne, a co nie. Na pewno nie czuł się w obowiązku pomóc, to go nie motywowało. Miał natomiast swój kodeks etyczny, któremu nigdy by się nie sprzeniewierzył. I dlatego uważał, że należy się zaangażować - wpłynąć „Oregonem” na lodowate wody i odebrać to, co zostało skradzione.

Reszta drużyny patrzyła na prezesa tak samo wyczekująco, jak Tamara Wright. Mark uniósł brew; jakby zamierzał zapytać: „No więc?”

- Chyba musimy się postarać, żeby nie znaleźli wraku.

# Rozdział 22

Witam w Kryształowym Pałacu, majorze. Nazywam się Luis Laretta i jestem tu dyrektorem.

Jorge Espinoza zszedł z tylnej pochylni wielkiego samolotu transportowego C-130 Hercules i uściśnił wyciągniętą dłoń w rękawicy. Laretta był tak grubo opatulony, że major nie widział jego twarzy ani postury.

Espinoza popełnił błąd, nie opuszczając gogli przed wyjściem na mróz, i poczuł, jak zamarzają mu gałki oczne. Ból mógł się równać z najgorszą migreną; major szybko pociągnął gogle w dół. Za nim stali na bacność jego ludzie, wszyscy wyposażeni do walki w zimowych warunkach.

Lot z Argentyny był monotony, jak większość podróży samolotami wojskowymi, i poza lądowaniem na płozach na lodowym pasie startowym niewiele się różnił od setek innych, które Jorge odbył wcześniej.

Na wieść o ogłoszeniu aneksji przylecieli tutaj, aby zapewnić bezpieczeństwo. Gdyby Stany Zjednoczone lub inne mocarstwa zamierzały wyprzeć Argentyńczyków z Antarktydy, zrobiłyby to wkrótce i prawdopodobnie rzuciłyby komandosów na spadochronach. Chiński okręt podwodny klasy Kilo kupiony niedawno od

Rosji patrolował wąskie gardło między krańcem Ameryki Południowej a półwyspem, dlatego w grę wchodził jedynie desant powietrzny.

Espinozę i stu innych członków Dziewiątej Brygady wysłano na południe w dwóch transportach, żeby odparli ewentualny atak.

Powód był prosty. Kiedy w 1982 roku Argentyna dokonała inwazji na Malwiny, Brytyjczycy sygnalizowali swój zamiar odzyskania archipelagu - zwanego przez siebie Falklandami - miesiącami przemieszczając okręty z macierzystych portów. Teraz argentyńskie naczelne dowództwo uważało, że przeciwnik uderzy bez ostrzeżenia. W odwecie nastąpi błyskawiczny atak oddziałów sił specjalnych. Jeśli napotkają one opór równie dobrze przygotowanych żołnierzy i zostaną powstrzymane, to pierwsza nieudana próba przejęcia Antarktydy prawdopodobnie na zawsze zakończy walkę.

- Musisz naprawdę kochać wojsko - powiedział porucznik Jimenez, kiedy stanął u boku Espinozy.

- Parę dni temu pociły nam się tyłki w dżungli, a dziś robią się zimniejsze niż zamrożona szynka.

- Byłem wszystkim, czym mogłem być - odparł major słowami ich prywatnego żartu, nawiązującego do sloganu armii amerykańskiej.

Jimenez zawołał do sierżanta, żeby zajął się oddziałem, po czym ruszył z Espinozą obejrzeć kompleks.

Czas lądowania wyliczyli tak, żeby znaleźć się na miejscu za dnia, kiedy słabe światło słoneczne na krótko wylania się zza horyzontu. Było niewiele jaśniej niż o zmierzchu, ale uznali, że lepsze to niż całkowita ciemność. Ich cienie na lodzie i śniegu rysowały się niewyraźnie.

- Ilu tu jest ludzi? - zapytał Espinozę Larette.

Transporter arktyczny z rozgrzanym silnikiem czekał na krawędzi pasa startowego. Żołnierze musieli przejść półtora kilometra do obiektu, choć ich sprzęt miał pojechać na holowanych saniach.

- W tej chwili tylko czterystu. Kiedy rozpoczniemy produkcję ropy, zbierze się ponad tysiąc tutaj i na platformach.

- Zdumiewające. I nikt nic o tym nie wie.

- Przez dwa lata budowy w warunkach najgorszych na świecie nie pojawił się nawet ślad pogłoski o tym, co tu robimy. - Duma zabrzmiała w głosie Laretty. Miał do niej powody. Kierował przedsięwzięciem od początku. - W ciągu tego całego czasu straciliśmy tylko dwóch ludzi. Obaj mieli wypadki, jakie zdarzają się na każdej dużej budowie. Bez żadnego związku z mrozem. - Gdy tylko wsiedli do dużego pojazdu gaśnicowego, Laretta zdjął gogle i zrzucił kurtkę. Odsłaniając zmierzwioną siwą czuprynę i gęstą brodę do piersi. Był blady po tylu miesiącach bez słońca; głębokie zmarszczki wokół ciemnych oczu nadawały jego twarzy surowy wyraz. - Oczywiście do prowadzenia tu budowy potrzebne jest paliwo, a ponieważ gaz ziemny wydobywaliśmy spod morza prawie od początku, to mieliśmy stałe dostawy. Strażnicy traktatu antarktycznego pytali nas wcześniej o statek wiertniczy, którego używaliśmy. Usłyszeli, że służy do pobierania próbek z dna, i dali nam spokój. - Zaśmiał się. - Nie zainteresowali się, dlaczego nie zmienił pozycji od przeszło dwóch lat.

Jazda do bazy trwała tylko kilka minut, ale przez ten czas Espinoza i Jimenez zdążyli się zorientować, co osiągnęli ich rodacy. Kompleks rozplanowano i zamaskowano tak sprytnie, że nawet najbystrzejszy obserwator by go nie zauważył. Chyba że znalazłby się bezpośrednio nad obiektem. Podejrzenia mógł wzbudzać jedynie matowoszary argentyński okręt wojenny zakotwiczony pośrodku zatoki. Słaby blask wydobywał się ze sterowni, ale poza tym na krążowniku panowała ciemność.

Laretta wskazał kierunek.

- Pod tamtymi trzema dużymi wzgórzami na brzegu są zbiorniki magazynowe ropy. Paliwa wystarczyłoby dla wszystkich samochodów w Argentynie na tydzień.

- Jak to się dzieje, że na zatoce nie ma lodu tak wczesnym latem? - zapytał Espinoza.

- Ach, to moja duma i radość, drogi majorze. Niektóre jej części nigdy nie zamarzają. Po dnie biegną rzędy rur. Tu jest bardzo płytko, nawiasem mówiąc. Pompujemy rurami gorące powietrze, które uchodzi milionami maleńkich otworków. Pęcherzyki nie tylko ogrzewają wodę, ale również, po dotarciu do powierzchni, kruszą tworzącą się warstewkę lodu. Po ciemku tego nie widać, ale do zatoki prowadzi na tyle wąskie wejście, że możemy stale wypuszczać kurtynę gorącego powietrza, żeby woda cały czas mieszała się z resztą Morza Bellingshausena.

- Nie do wiary - odparł z podziwem Espinoza.

- Jak powiedziałem, przy nieograniczonej ilości paliwa tutaj wszystko jest możliwe. Widzi pan, na czym stoją budynki. Wygląda jak lód, prawda? Złudzenie. Cały kompleks spoczywa na podkładzie z kompozytu polimerowego. Załamuje on światło tak samo jak lód, więc z satelitów wydaje się, że to zamrznięta plaża. Zajmujemy się tu petrochemią. Przeróbka ropy i gazu ziemnego stała się dla nas priorytetem. Wszystkie budynki są z takiego samego materiału, z wyjątkiem wielkiego namiotu dla naszych pojazdów. Wykorzystaliśmy tkaninę kevlarowa, bo musi wytrzymywać napór wiatru.

- Odnoszę wrażenie, że patrzę na jakąś księżycową bazę - powiedział Jimenez.

Laretta przytaknął.

- Hm, nic dziwnego. Stworzyliśmy środowisko pracy w najbardziej niegościnnym miejscu na naszej planecie.

- Niech pan mi opowie o ochronie - zachęcił Espinoza.

- Zatrudniam ośmiu strażników. A raczej siedmiu. Jeden zginął w wypadku na skuterze śnieżnym. Wszyscy są byłymi policjantami. Patrolują obrzeża obozu, przerywają bójki między robotnikami. Oprócz tego w zatoce stoi „Admirał Guillermo Brown”, uzbrojony w rakiety woda-woda i woda-powietrze oraz w dwa dwudziestomilimetrowe działka. Na lądzie mamy też cztery stacjonarne baterie pocisków przeciwlotniczych. I teraz jeszcze was wszystkich. Kapitan „Brown” dowodzi całą obroną, a przynajmniej swoim okrętem i naszymi wyrzutniami. Nie jestem pewien co do...

- Dostajemy rozkazy bezpośrednio z Buenos Aires. Kapitan o tym wie.

- Przepraszam - odparł Laretta. - Niezbyt dobrze się znam na hierarchii służbowej w wojsku. Kiedy byłem dzieckiem i inni chłopcy bawili się w żołnierzy, ja siedziałem w pokoju i czytałem o technicznych osiągnięciach Rzymian.

Espinoza nie słuchał. Myślał o tym, że krążownik zakotwiczony w zatoce jest wyraźnie widocznym dużym celem. Gdyby on dowodził siłami przeciwnika, to przede wszystkim wystrzeliłby w „Admirała Guillemra Browna” pocisk samosterujący z okrętu podwodnego, a potem zniszczył baterie przeciwlotnicze na lądzie rakietami naprowadzanymi radarem, odpalonymi z samolotu. Ale nie z maszyny stacjonującej na lotniskowcu. Wysłanie lotniskowca zaalarmowałoby przeciwnika. Nie, wystartowałby z McMurdo i zatankował w powietrzu. W razie potrzeby atakujący komandosi mogliby dostać wsparcie oddziałów przerzuconych transportowcami C-130, takimi jakim on przyleciał.

Musiał to przedyskutować z ojcem i przekazać kapitanowi krążownika. Kiedy zacznie się walka, okręt powinien być w ruchu, a radary baterii należałoby włączać sporadycznie.

To wszystko zależało od tego, czy zachodnie mocarstwa zareagują militarnie na aneksję, co nie było z góry przesądzone. Uważał taktykę Argentyny za genialną. Mieli poparcie Chin, więc istniała duża szansa, że nikt nie wyśle wojska na południe, żeby ich wyprzeć, i jego kraj zatrzyma jedne z największych złóż ropy na świecie. A zajęcie tego terenu okazało się tak łatwe, jak odebranie dziecku cukierka. Obecność okrętu podwodnego klasy Kilo i groźba katastrofy ekologicznej w wypadku ataku bombowo-rakietowego na bazę i spowodowania wycieku ropy powinny być silnymi czynnikami, które powstrzymają interwencję i zapewnią im spokój.

Espinoza był w rozterce. Z jednej strony, chciał, żeby ich zaatakowano. On i jego ludzie mogliby się wtedy sprawdzić w starciu z najlepszymi na świecie. Z drugiej strony, pragnął, żeby śmiała strategia jego kraju tak skutecznie odstraszyła Zachód, że ten nie odważy się na odwet. Kiedy dyrektor Laretta paplał o kompleksie, Espinoza uświadomił sobie, że nie wolno mu mieć takich dylematów. Przecież jest żołnierzem. Lepiej, żeby Amerykanie przysłali swoje najlepsze oddziały. Trzeba ich nie tylko odeprzeć, ale również upokorzyć. Niech lód zaczerwieni się od krwi wroga.

- Luis - zagadnął tylko po to, żeby przerwać dyrektorowi gadaninę o kompleksie. - Czy nasi goście już przybyli?

- Chodzi panu o zagranicznych naukowców z innych baz? Tak, są w baraku technicznym. Pilnuje ich mój mały oddział strażników.

- Nie, miałem na myśli przyjaciół z Chin.

- A, ich. Tak. Zjawili się wczoraj z własnym sprzętem. Przydzieliłem im łódź roboczą. Teraz ją przygotowują. Naprawdę jakiś stary chiński statek jest zatopiony na tych wodach?

- Jeśli tak, to możemy się nie obawiać odwetu - wyjaśnił Espinoza. - Nasze roszczenia do półwyspu usankcjonuje historia. Chciałbym się z nimi zobaczyć.

- Proszę bardzo.



Skręcili w dół ze skarpy z widokiem na bazę i pojechali po lodzie przetartym szlakiem. Kiedy znaleźli się w kompleksie, Espinozę zdumiał duży ruch. Mężczyźni w strojach polarnych pracowali przy dziwnych budynkach. Niezliczone skutery śnieżne śmigały wokół, wiele ciągnęło sanie załadowane sprzętem, jak przypuszczał, wiertniczym. W miejscach, gdzie wiatr zwał śnieg, major dostrzegł kompozytowe maty o wyglądzie lodu połączone razem jak sztuczne pasy startowe, które widywał w dżungli. Podłoże łatwo utrzymywało ciężar ich dużego pojazdu.

Kilka łodzi roboczych cumowało w tak dużym basenie portowym, że łatwo zmieściłby się tam „Admirał Guillermo Brown”. Wszystkie miały około dwunastu metrów długości, stalowe kadłuby z dużymi odkrytymi przestrzeniami na rufach i pudełkowate sterówki blisko dziobów. Były pomalowane na biało, choć w wielu częściach ładowni materiał transportowany do zamaskowanych platform wiertniczych pozdzierał farbę do gołego drewna. Takie łodzie pływały we wszystkich miejscach na świecie, gdzie wydobywano ropę z morza.

Laretta zaparkował obok jednej z nich. Opatuleni mężczyźni majstrowali przy urządzeniu w kształcie torpedy, które spoczywało w kołysce pod żurawiem rufowym z ramieniem przypominającym literę A. Żaden nie podniósł wzroku na trzech pasażerów transportera arktycznego. W końcu jeden zerknął, gdy weszli na pokład i łódź się przechyliła. Odłączył się od grupy i podszedł.

- *Señor* Laretta, czemu zawdzięczamy tę przyjemność? - Mężczyzna był okutany od stóp do głów, jego słowa tłumiły szaliki owinięte wokół twarzy. Mówił po angielsku z akcentem.

- Fong, przedstawiam ci majora Espinozę, dowódcę naszych zwiększonych sił bezpieczeństwa. Majorze, to Li Fong, szef techników przysłanych na poszukiwania „Milczącego Morza”.

Dwaj mężczyźni uściśli sobie dłonie w rękawicach wielkości zwiniętych w kłębek ręczników.

- To sonar? - zainteresował się Espinoza.

- Boczny - uściślił Fong. - Będziemy go holowali za łodzią i widzieli stumetrowy pas dna morskiego.

- Orientujecie się z grubsza, gdzie znajduje się wrak statku, tak?

- O ile wiem, dzięki panu.

Espinoza nie był zachwycony, że Chińczycy wiedzą o jego wyczynach, ale potem uświadomił sobie, że ojciec wychwalał go przed nowymi sojusznikami, i poczuł dumę zamiast niepokoju.

- Mieliśmy szczęście - odparł.

- Oby nadal nam dopisywało. Dziwna sprawa z tym wrakiem. Mam współrzędne GPS, dane LORAN, naocznych świadków i nie mogę trafić do zatopionego statku. A kiedy indziej znajduję wrak przy pierwszym podejściu, choć dysponują tylko pobieżnymi informacjami o lokalizacji.

- Mróz nie uszkodzi sprzętu?

- To kolejny problem. Jeszcze nigdy nie prowadziłem poszukiwań na takich wodach. Nie będziemy wiedzieli, jak się spisze sonar, dopóki nie zanurzymy go na próbę tutaj, w zatoce. Sądziłem, że zrobimy to dzisiaj, ale ubywa światła, więc pewnie przełożymy eksperyment na jutro.

- O ile znam sytuację, nie musimy się spieszyć - stwierdził Espinoza. - Amerykanie jeszcze się nie pozbierali po naszym oświadczeniu i za bardzo się obawiają odwetu pańskiego kraju, żeby zaatakować.

- Odważnym szczęście sprzyja - zauważył Fong.

- Tę sentencję przypisuje się Luciusowi Sulli - oświecił ich Laretta. - Po łacinie brzmi: *Audentes fortuna juvat*. Jest też inne powiedzenie, Juliusza Cezara, równie stosowne: *Alea iacta est*. Wypowiedział te słowa w czasie marszu na Rzym, kiedy przekroczył Rubikon.

- Kości zostały rzucone - przetłumaczył nieoczekiwanie Raul Jimenez.

# Rozdział 23

Nie napotykając przeszkód w postaci mas lądu, wiatry nieprzerwanie okrażają dolną część południowej półkuli w niekończącym się cyklu. Poniżej czterdziestego równoleżnika ciągnie się strefa ryczących czterdziestek, następnie wyjących pięćdziesiątek i wreszcie bezludnych sześćdziesiątek. Wiatr wiejący stale z prędkością około stu trzydziestu kilometrów na godzinę nie jest niczym niezwykłym; porywy osiągające sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę to codzienność. Wysokość fal dochodzi do dwunastu i piętnastu metrów; sunące ściany wody odrzucają na bok wszystko na swojej drodze. Nawet duże góry lodowe oderwane od kontynentalnych lodowców nie są w stanie stawić czoła oceanowi, gdy nadciągnie wiatr. Tylko supergóry wielkości miast, a czasem małych państw, pozostają niewzruszone.

W to piekło Juan Cabrillo wprowadził swój statek i załogę. Przywiązano wszystko; przerwano zajęcia, z wyjątkiem niezbędnych czynności obsługowych. Choć „Oregon” odbył rejs na południe zaledwie tydzień wcześniej, pogoda wówczas była wprost piękna w porównaniu z tym, co się działo teraz.

Każdy inny statek przewróciłby się lub został przełamany przez fale. Ale Juan tak zaprojektował ukochanego „Oregon”, żeby nic mu nie groziło. Kadłub wytrzymywał naprężenia, wiatr nie mógł się wcisnąć w żadne spojenie powyżej, by zacząć odrywać stalowe płyty. Żurawiki dwóch szalup przetrwałyby nawet huragan piątego stopnia. Choć teraz statek miał tylko jedną łódź ratunkową. Drugą spuścili na wodę i dryfowała z włączonym lokalizatorem, by mogli ją potem odnaleźć.

Ale istniało realne niebezpieczeństwo. Nie stwarzał go ocean, lecz chiński myśliwski okręt podwodny na patrolu. Grasował gdzieś na przestrzeni kilkuset mil morskich między krańcem Ameryki Południowej a Półwyspem Antarktycznym. Jest to wąskie gardło, podobnie jak dwa przewężenia na północnym Atlantyku na linii Grenlandia-Islandia-Wielka Brytania, gdzie NATO blokowało sowieckie okręty podwodne w szczytowym okresie zimnej wojny. Ustawiano tam pikietę z okrętów podwodnych i czekano cierpliwie na zdobycz.

Juan wyznaczył kurs w kierunku Antarktydy blisko wybrzeża Ameryki Południowej, jakby „Oregon” zmierzał do Cieśniny Dra-ke’a wokół przylądka Horn, a potem prosto na południe do Morza Bellingshausena, gdzie Argentyńczycy i Chińczycy zakazali już żeglugi.

Juan musiał teraz odgadnąć, gdzie jest kapitan chińskiego okrętu podwodnego. Odpowiedź wydawała się oczywista - na środku wąskiego gardła między Ameryką Południową a Antarktydą. Stamtąd miałby maksymalny zasięg. Ale dowódca każdego statku przemykającego się na południe przyjąłby takie założenie i unikał środka przewężenia jak zarazy. Więc trzymać się blisko półwyspu czy popłynąć wokół zachodniego krańca? Okręt podwodny nie może być w dwóch miejscach jednocześnie. Podjęcie błędnej decyzji skończy się tym, że znajdą się w celowniku kilo.

Cabrillo pamiętał stare powiedzonko ze szkolnego boiska. „Nigdy nie graj w tchórza z obcym”.

Co znaczy, że jeśli nie znasz przeciwnika, to nie możesz mieć wpływu na wynik.

Siedział w fotelu dowodzenia pośrodku centrum operacyjnego i kołysał się w rytm przechyłów statku. Każdy z dyżurnych był przypięty do siedzeń barkowo-biodrowymi pasami bezpieczeństwa.

Juan nie ogolił się tego ranka - woda nie utrzymałaby się w umywalce - więc kiedy potarł podbródek, zarost zaszeleścił. Wschód czy zachód? - zastanawiał się. Wschód czy zachód?

- Kontakt radarowy! - zawołała Linda Ross.

- Co masz?

- Samolot lecący na południe. Wysokość siedem tysięcy sześćset dwadzieścia metrów, szybkość sześćset dwadzieścia kilometrów na godzinę, odległość trzydzieści dwa kilometry.

Juan spojrzał na nią ostro.

- Musiał zejść pod chmury.

Pewnie hercules z zaopatrzeniem dla Argentyńczyków, pomyślał Cabrillo.

- Ster, pokaż mi obraz z kamery rufowej.

Eric Stone wpisał polecenie do komputera i widok na głównym ekranie zmienił się na ten z kamery zamontowanej tuż pod flagsztokiem rufowym. Nawet na tak wzburzonym morzu kilwater „Oregona” tworzył białe rozcięcie na ciemnoszarej wodzie, prowadzące prosto do statku. Nie mogliby się bardziej afiszować, niż gdyby włączyli światła i nadawali komunikaty na wszystkich częstotliwościach.

Juan przestał zadawać sobie pytanie „wschód czy zachód?” Wiedział, że załoga samolotu zawiadomi Argentyńczyków o obecności „Oregona”, a ci z kolei przekażą tę informację kapitanowi chińskiego okrętu podwodnego i kilo ruszy w pościg za statkiem.

- Damy radę zakłócić jego radio? - zapytał.

- Dopóki jest w zasięgu - odparł Hali Kasim, specjalista od telekomunikacji. - Kiedy tylko się oddali, poda naszą pozycję.

- Można by go zestrzelić - zasugerował Murphy ze swojego stanowiska obsługi uzbrojenia obok sternika. - Odpalę raketę przeciwlotniczą w ciągu piętnastu sekund i ptaszek spadnie dziesięć sekund później.

- Nie. - Kuszące rozwiązanie, ale Juan nie brał tego pod uwagę. Wyznawał zasadę, że należy pozwolić przeciwnikowi zadać pierwszy cios. Przełączył mikrofon na radiowęzeł. - Tu prezes. Właśnie nas zauważono; okręt podwodny prawdopodobnie wie, gdzie jesteśmy. Stanowiska bojowe są już obsadzone, ale wszyscy mają być w pogotowiu.

- Co to znaczy, Juan? - zapytała Tamara Wright.

Cabrillo całkiem o niej zapomniał. Siedziała przypięta pasami na jednym ze stanowisk kontroli uszkodzeń za jego ramieniem. Obrócił się w fotelu i spojrzał jej w oczy.

- Że powinienem posłuchać intuicji i wysadzić cię ze statku, kiedy miałem okazję.

Lekko uniosła podbródek i zmrużyła oczy.

- Musiałbyś mnie ogłuszyć i związać.

- Wiem i żałuję, że tego nie zrobiłem.

- I zostawiłbyś mnie samą w małej łódce ratunkowej w tych warunkach? Nie ma mowy, żebym się na to zgodziła - skontrowała. - Nigdy nie unikam walki.

- To może nie być walka, tylko masakra. Okręt podwodny przeciwnika ma nad nami ogromną przewagę.

- Więc jeśli jest mi pisane zginąć z wami, nic na to nie poradzę.

- Ach, ten wschodni fatalizm.

- Cóż, wychowałam się na Tajwanie. - Wyciągnęła wisior jin i jang z za bluzki pożyczonej z Magicznej Pracowni. - Jestem taoistką. I to nie fatalizm, tylko wiara w przeznaczenie.

- Uporem dorównujesz Maksowi. Nic dziwnego, że ma do ciebie słabość. - Juan usłyszał za swoim drugim ramieniem, jak Hanley jęknął głośno i walnął się dłonią w czoło. Odwrócił się do swojego zastępcy. - Przepraszam, to była tajemnica?

Max zaczerwienił się jak burak od szyi po czubek głowy. Rechoty wypełniły centrum operacyjne. Juanowi zrobiło się głupio, że tak dokuczył Hanleyowi, ale musiał jakoś rozładować napięcie.

- Nie wiedziałam, panie Hanley. - Tamara uśmiechnęła się szczerze. - Ale jak się nad tym zastanowić, to pan przerwał mi rejs po Missisipi. Uważam, że kiedy to wszystko się skończy, powinien mi pan jakoś wynagrodzić stracony urlop.

Żonaty i rozwiedziony trzy razy Max zawsze czuł się swobodnie w towarzystwie kobiet, zwłaszcza tych, które uważał za atrakcyjne, ale teraz, po raz pierwszy odkąd Cabrillo pamiętał, jego przyjaciel nie mógł wykrztusić słowa.

- Ster! - zawołał Juan, żeby wrócili do obowiązków. - Z jaką prędkością płyniemy?

- Dwudziestu jeden węzłów. Szybciej się nie da przy tym stanie morza.

- Przydzielę ci dodatkową porcję grogu, jeśli zdołasz przyśpieszyć o parę węzłów. Oprócz tego zmień kurs na sto pięć na następne dziesięć minut, potem wróć na osiemdziesiąt pięć. Zygzakowanie ratowało alianckie konwoje, więc może nam też ocali tyłki.

Dwie wyrzutnie torpedowe „Oregona” już zalano, choć pokryw jeszcze nie otwarto. Linda Ross czuwała przy zestawie sensorów i zrobili wszystko, żeby zmylić chiński okręt podwodny. Pozostało im czekać i mieć nadzieję, że się przemkną.

Nagle obok Juana wyrósł flegmatyczny główny steward z dużym termosem kawy i styropianowymi kubkami z plastikowymi pokrywkami.

- Co to, Maurice, nie ma Royal Doulton? - podrażnił się z nim Cabrillo, wiedząc, że nigdy nie wyprowadzi z równowagi Anglika po siedemdziesiątce.

- Zważywszy na okoliczności, uznałem, że mniej delikatne naczynia będą odpowiedniejsze. Jeśli pan sobie życzy, wrócę do spiżarni po porcelanowy serwis.

- Nie trzeba. Dziękuję.

Maurice napełnił wszystkie kubki, nie roniąc ani kropli na swój śnieżnobiały fartuch. Jak utrzymywał przyczepność w wypolerowanych na wysoki połysk półbutach, pozostawało tajemnicą.

- Wnoszę z pańskiego komunikatu, kapitanie, że nie wiadomo, jak długo potrwa pierwsza wachta.

- Maurice odszedł na emeryturę z Królewskiej Marynarki Wojennej i nie wyobrażał sobie, żeby tytułować Cabrilla inaczej niż kapitanem. Był akcjonariuszem korporacji jak wszyscy jej członkowie, ale służył na statku i uważał, że do dowódcy należy się zwracać „kapitanie”. Koniec, kropka.

- Na to wygląda.

- Przyniosę kolację o szóstej. I znów, biorąc pod uwagę pogodę, jestem zdania, że najlepiej, jeśli podam coś, do czego nie potrzeba zastawy stołowej i sztucców. Burrito? - spytał ze źle skrywanym niesmakiem.

Juan się uśmiechnął.

- Według twojego uznania.

- Doskonale. - Maurice wymknął się cicho jak kot.

Mijały godziny. Prawie nie rozmawiano, czasem tylko ktoś szepnął słowo, szybki rozkaz, po

czym znów zapadało milczenie. Słyszać było jedynie szum powietrza wydobywającego się z wentylatorów, odgłosy wydawane przez statek i hałas morza. Kadłub skrzypiał. Fale uderzały. I cały czas woda przepływała przez kanały napędowe „Oregona” z taką siłą, że rozwijał prędkość dwudziestu pięciu węzłów.

Juan odkładał pójście do toalety tak długo, jak mógł wytrzymać. Najbliższa znajdowała się tuż za tylnymi drzwiami centrum operacyjnego, ale nie chciał opuścić stanowiska nawet na tę minutę.

Właśnie rozpiął uprząż barkową i sięgał do klamry biodrowego pasa bezpieczeństwa, gdy Linda krzyknęła:

- Kontakt! Sonarowy. Kierunek dwieście siedemdziesiąt jeden stopni. Odległość cztery tysiące pięćset siedemdziesiąt metrów.

Cabrillo ledwo wierzył, że usłyszała okręt podwodny z takiej odległości w tych warunkach, ale Linda Ross знаła się na swojej robocie.

Juan całkiem zapomniał o pełnym pęcherzu.

- Określisz głębokość i kurs?

Jedną ręką przyciskała słuchawki, drugą przebiegała po klawiaturze. Nad nią przesuwawa się elektroniczna zieleń wyświetlacza wodospadowego.

- Jeszcze pracuję nad tym, ale wyraźnie wyłapuję odgłosy śruby. Dobra. Poczekaj. Jest. Głębokość trzydzieści siedem metrów.

Kierunek bez zmian.

Kilo prął prosto na „Oregona”.

- Ster, cała stop awaryjna, potem zwrot na pędnikach poprzecznych na dziewięćdziesiąty pierwszy stopień - rozkazał Cabrillo. To miało ich oddalić od okrętu podwodnego i zminimalizować czas ustawienia burtą do niego. Chińczycy nie będą wiedzieli, co myśleć o celu, który może wykonać taki manewr. Juan się zastanawiał, czy załoga argentyńskiego samolotu przyjrzała się „Oregonowi” na tyle dobrze, żeby rozpoznać, że to frachtowiec, a nie okręt wojenny.

Silniki magnetohydrodynamiczne zawyły, kiedy Stone dał pełną moc i odwrócił kierunek obrotu wirników pomp w kanałach napędowych. Gdy szybkość spadła, ocean zaatakował „Oregona”, jakby rozwścieczony, że statek rzuca mu wyzwanie. Frachtowiec przechylił się o prawie czterdzieści stopni, kiedy stawiał burtą do fal, i woda zalała pokłady od dziobu do rufy.

Przy użyciu pędników dziobowych i rufowych skręcili niemal w miejscu. Gdy tylko znaleźli się na właściwym kursie, Eric znów zmienił kierunek obrotu wirników pomp i pchnął przepustnice do oporu.

- Odległość? - zawołał Cabrillo.

- Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt metrów.

Okręt podwodny zbliżył się o niemal pół mili morskiej, kiedy robili zwrot. Juan szybko obliczył jego prędkość.

- Panie Stone - powiedział. - Tak do twojej wiadomości, kilo nadpływa z szybkością dwudziestu trzech węzłów.

W odpowiedzi Eric sięgnął do rezerwy mocy.

Żegluga przypominała teraz ujeżdżanie dzikiego konia. Statek dygotał tak mocno, że Juan się obawiał, że wypadną mu plomby. Wspinaczka na każdą falę przyprawiała o zawroty głowy, opadanie - o mdłości. Cabrillo nigdy nie wymagał więcej od swojego statku.

- Odległość?

- Trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt.

Rozległy się wiwaty. Mimo wszystkich przeciwności oddalali się od okrętu podwodnego. Juan czule poklepał podłokietnik fotela.

- Kontakt! - krzyknęła Linda. - Sonarowy. Nowy pogłos w wodzie. Prędkość siedemdziesiąt węzłów. Otworzyli ogień! Kontakt. Sonarowy. Druga torpeda w wodzie.

- Przeciwśrodk! - rozkazał Cabrillo.

Murphy przebiegł palcami po klawiaturze i generator hałasu został uwolniony z zasobnika pod kilem, choć nie odłączył się od kadłuba, bo trzymał go wydłużający się kabel. Urządzenie emitowało takie dźwięki, jakie wydawał „Oregon”, i było wabikiem przeznaczonym do odciążenia torpedy od statku.

- Pierwsza torpeda idzie ostro. Druga zwolniła. Zostaje w odwodzie. - Chiński kapitan znalazł się na rzeczy. Zatrzymał drugą torpedę w rezerwie na wypadek, gdyby pierwsza chybiła. - Odległość tysiąc osiemset trzydzieści metrów.

W ogniu walki czas wykazuje elastyczność, która przeczy prawom fizyki. Minuty i sekundy wydają się wymienne. Krótka chwila może trwać w nieskończoność, podczas gdy długi okres mija błyskawicznie. Torpeda potrzebowała dwóch minut z sekundami na pokonanie połowy dystansu, ale ludziom w centrum operacyjnym „Oregon” wydawało się, że upłynęły godziny.

- Jeśli pójdą za wabikiem, to za jakąś minutę - oznajmiła Linda.

Juan przyłapał się na tym, że napina mięśnie, i zmusił się do odprężenia.

- Okej, panie Stone. Wyłączamy napęd i siedzimy cicho.

Obroty silników spadły, statek zaczął zwalniać. Zatrzymywał się na odcinku co najmniej mili morskiej, ale nie o to chodziło. Chcieli, żeby torpeda skoncentrowała się tylko na wabiku, który holowali.

- Pół minuty.

- Chwyć przynętę, dziecińco - przynaglił Murphy.

Juan pochylił się do przodu. Na dużym ekranie ciemne morze za „Oregonem” wyglądało złowrogo. I nagle pojawił się gejzer; nastąpiła eksplozja. Rosnący słup wody wystrzelił z powierzchni i osiągnął wysokość prawie piętnastu metrów, zanim siła grawitacji sprawiła, że fontanna opadła z powrotem.

- Jeden wabik na straty - stwierdził Mark.

- Eric - odezwał się spokojnie Juan. - Zawrót przy dziesięciu procentach mocy na pędnikach poprzecznych. Akustyka będzie chwilowo zakłócona, ale zachowuj ciszę. Uzbrojenie, otworzyć pokrywy.

Mark otworzył wyloty dwóch wyrzutni torpedowych, kiedy odwrócili się dziobem w stronę nadpływającego okrętu.

- Lindo, co robi Chińczyk?

- Zwolnił, żeby nasłuchiwać, ale nie zmienił głębokości. Druga torpeda jeszcze gdzieś się czai.

- Nie wynurzą się, chcą usłyszeć, jak toniemy - stwierdził Juan. - Mark, wyświadczyć im tę przysługę.

- Przyjąłem. - Murphy wpisał polecenia do komputera i zaczęło się odtwarzanie elektronicznej ścieżki dźwiękowej. Głośniki przymocowane do kadłuba wydawały odgłosy agonii statku.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedział Cabrillo. - Powinniśmy mieć głośniki opuszczane na kablach z kadłuba. Brzmiałoby bardziej realistyczne. - Spojrzał na Hanleya. - Max, powinieneś

wcześniej o tym pomyśleć.

- Dlaczego ty nie pomyślałeś?
- Właśnie wpadłem na ten pomysł.
- Trochę za późno, żeby nam teraz pomóc.
- Wiesz, co się mówi...
- Lepiej późno niż wcale.
- Nie. Mówi się: „Uzbrojenie, ognia z obu wyrzutni”.

Marka nie zmyliła ta błyskotliwa wymiana zdań i wystrzelił torpedy natychmiast po otrzymaniu rozkazu.

Strumienie sprężonego powietrza wypchnęły dwutonowe pociski z wyrzutni, gdy ich silniki elektryczne ożyły. Po kilku sekundach torpedy mknęły do celu z prędkością ponad sześćdziesięciu węzłów. Cabrillo sięgnął do klawiatury przy fotelu i przełączył monitor na kamerę dziobową. Torpedy zostawiały za sobą dwa ślady spienionej wody, które ciągnęły się od statku.

- Tamta druga ryba ruszy na nas za mniej więcej trzy sekundy - powiedział. - Przygotuj gatlinga dziobowego.

Sprytnie ukryta pokrywa na dziobie otworzyła się i odsłoniła wielolufowe działko Gatling. Zespół luf zaczął wirować, aż stał się niewyraźną plamą. Broń wystrzeliwała cztery tysiące wolframowych pocisków kaliber 20 mm na minutę. Mogły dotrzeć wystarczająco głęboko pod wodę, by dosięgnąć naprowadzającej się na statek torpedy. Taki sam atak powstrzymali w Zatoce Perskiej, kiedy irański okręt podwodny chciał ich zatopić.

- Kontakt. Sonarowy. Ich ryba się uaktywniła. O nie!

- Co?

- Jest na dziewięćdziesięciu metrach.

Juan natychmiast zrozumiał, co się stało. Poprzednią walkę z okrętem klasy Kilo stoczyli na płytkiej wodzie, natomiast tu było głęboko i chiński kapitan wykorzystał to, by posłać torpedę w dół, a potem skierować ją w górę, żeby trafiła w najbardziej bezbronną część statku - w dno wzdłuż stępki. Współczesna jednostka pływająca może przetrwać potężny wybuch wzdłuż burty - jak USS „Cole” - ale od eksplozji pod kadłubem „pęka kręgosłup”. Wtedy statek czy okręt zwykle łamie się na pół i tonie w ciągu paru minut.

- Kto wygra wyścig? - zapytał Cabrillo.

- Ich ryba jest bliżej celu od naszych o sto czterdzieści metrów i idzie cztery węzły szybciej.

Trafi nas minutę wcześniej, niż nasze dotrą do niego.

Juan rozważał i odrzucał pomysł za pomysłem. Mieli po prostu za mało czasu na unik i morze było zbyt wzburzone, żeby wykorzystać niespotykaną szybkość „Oregona”.

- Uzbrojenie, włączyć alarm kolizyjny. Eric, przejmuję ster na swoim stanowisku.

Przez elektroniczny dźwięk alarmu przebił się inny odgłos, mechaniczny.

Max, który znał statek jak własną kieszeń, pierwszy zdał sobie sprawę, że Juan otworzył wielkie wrota basenu zanurzeniowego. Szybko się zorientował, co zamierza prezes.

- Oszalałeś?

- Masz lepszy pomysł? Jeśli to torpeda z zapalnikiem kontaktowym, a nie zbliżeniowym, jest szansa, że wyjdziemy cało.

- A jeśli eksploduje bezpośrednio pod kilem?

- To, czy wrota są otwarte, czy zamknięte, niczego nie zmieni. - Juan odwrócił się do Lindy. -



Doprowadź mnie na pozycję.

- Co mam robić? - Nadal nie rozumiała.

- Nawlec igłę tą torpedą. Chcę, żeby się znalazła dokładnie pod basenem zanurzeniowym. Przy odrobinie, nie, przy mnóstwie szczęścia, wpłynie do środka i poszybuję w powietrzu, kiedy przebije powierzchnię wody. Wtedy powinny pęknąć jej przewody sterujące i stanie się tylko wielkim przyciskiem do papieru.

- Jesteś stuknięty - odparła i spojrzała na Maksa. - To wariat.

- Fakt, ale może się udać.

Znów skoncentrowała się na wyświetlaczu.

- Głębokość wciąż dziewięćdziesiąt metrów. Odległość dziewięćset piętnaście.

Torpeda pozostawała na dużej głębokości i pędziła swoim kursem do „Oregona”. Ponieważ przewody sterujące łączyły ją z okrętem podwodnym, Chińczycy nie mogli zrobić uniku przed torpedami korporacji. Cabrillo musiał przyznać, że kapitan kilo ma mocne nerwy. On na jego miejscu wyniosłby się stąd, kiedy tylko by usłyszał, że jest atakowany.

- Odległość trzysta sześćdziesiąt pięć metrów. Głębokość bez zmian. Czas do uderzenia około czterdziestu sekund.

Wyglądało na to, że chiński dowódca nie zmieni głębokości torpedy, dopóki nie znajdzie się ona bezpośrednio pod statkiem, a potem skieruje ją w górę.

- Odległość dziewięćdziesiąt metrów. Głębokość bez zmian.

Juan, ona płynie jakieś sześć metrów w prawo od naszej osi podłużnej.

Cabrillo włączył pędniki poprzeczne, żeby przepchnąć „Oregona” w bok. Przy tak wzburzonym morzu potrzebowali więcej niż mnóstwa szczęścia. Akcja przypominała nawlekanie igły trzęsącą się ręką.

- Dobrze. Idzie w górę. Głębokość siedemdziesiąt pięć. Odległość osiemnaście metrów.

Kopuła sonaru pod kadłubem była dziewięć metrów od dziobu w kierunku rufy. Cabrillo musiał o tym pamiętać. Torpeda znajdowała się osiemnaście metrów od sonaru, ale dziewięć od statku. Basen zanurzeniowy mieścił się dokładnie w śródkręciu frachtowca o długości stu siedemdziesięciu metrów.

- Głębokość pięćdziesiąt pięć. Odległość w poziomie od dziobu cztery i pół. - Moment później

Linda poprawiła: - Głębokość czterdzieści pięć. Odległość dwa i pół metra.

Juan w głowie analizował wektory, kalkulował kąt wznoszenia się torpedy, szybkość i pozycję swojego statku, wpływ fal na jego ruch. Miał tylko jedną szansę uratowania ich wszystkich. Nie było żadnego marginesu błędu. Ani czasu na wahanie. Dał pełną moc na niecałe dwie sekundy, po czym odwrócił kierunek obrotu wirników pomp. Statek wystartował do przodu, odepchnął na bok dużą falę i znów zwolnił.

- Głębokość piętnaście metrów. Odległość zero.

Eric włączył kamerę z obiektywem rybie oko zamontowaną na przegrodzie nad basenem zanurzeniowym. Woda wdzierала się przez otwór w dnie statku czarnymi lśniącymi, spiętrzonymi masami, zalewała pokład wewnątrz i spływała przez kraty do zęzy.

- Głębokość zero - oznajmiła Linda beznamiętnym monotonnym głosem.

Niczym lewiatan wyłaniający się z głębin, chińska torpeda wystrzeliła z basenu zanurzeniowego. Nie napotkała oporu, więc silnik wypchnął ją w powietrze. Gwałtowne przyśpieszenie w ostatniej chwili wystarczyło do zerwania dwóch przewodów sterujących, które ciągnęły się na przestrzeni mil

morskich do okrętu podwodnego. Pocisk runął z powrotem do wody i zadźwięczał jak dzwon, gdy uderzył w krawędź basenu. A potem zniknął z widoku pod powierzchnią. Przy braku sygnałów sterujących z macierzystego okrętu komputer pokładowy torpedy wyłączył ją z akcji.

Zwycięski ryk wypełnił centrum operacyjne i rozniósł się echem po całym statku, gdzie inni członkowie załogi patrzyli na monitory. Max klepnął Cabrilla w plecy tak mocno, że zostawił mu na skórze czerwony odcisk dłoni. Tamara przytuliła Juana na krótko, potem Maksa na dużo dłużej.

Juan ruszył do wyjścia.

- Prezesie! - zawołała za nim Linda. - A co z okrętem podwodnym? Nasze torpedy uderzą w niego za czterdzieści pięć sekund.

- Będę w toalecie, gdyby ktoś mnie potrzebował.

Oddychał z ulgą w łazience, kiedy znów rozległy się wiwaty.

Torpedy zrobiły swoje i droga na Antarktydę i do zakończenia tej sprawy stała się otworem.

# Rozdział 24

Ktoś lekko dotknął ramienia Jorgego Espinozy. Jak każdy dobry żołnierz, major obudził się natychmiast. Jego ordynans, kapral de Rosas, stał nad nim z kubkiem. Espinoza z przyjemnością pomyślał o kawie.

- Przepraszam za pobudkę, panie majorze, ale jakiś duży statek pojawił się w wejściu do zatoki.
- Może okręt wojenny?
- Nie, frachtowiec. Wpadł na brzeg.

Espinoza odrzucił na bok grubą warstwę koców i natychmiast tego pożałował. Choć nadzorca, Luis Laretta, przechwalał się, że nie ma problemu z paliwem dla kompleksu, w budynku, gdzie kwatrowali, panował ciągły chłód. Espinoza włożył dwie pary długich kalesonów i trzy pary skarpet, zanim wciągnął spodnie od munduru polowego.

- Czy ktoś na pokładzie próbował nawiązać kontakt?

Ordynans otworzył metalowe żaluzje, żeby wpuścić coś, co uchodziło za światło słoneczne w tej zapomnianej przez Boga i ludzi zamrażarce. W pokoiku ledwo się mieściły łóżko i komoda. Ściany były z pomalowanej sklejki. Pojedyncze okno wychodziło na tył sąsiedniego budynku oddalonego zaledwie o metr.

- Nie, panie majorze. Statek wydaje się opuszczony. Brakuje jednej szalupy. I sądząc po jego opłakanym wyglądzie, został porzucony jakiś czas temu. Sierżant Lugones przyjrzał mu się w termowizji. Nic. Cała jednostka zimna jak lód.

Espinoza wypił łyk mocnej kawy. Skrzywił się, bo miał niesmak w ustach.

- Która jest?
- Dziewiąta.

Trzy godziny snu. Bywało gorzej. Espinoza, Jimenez i kilku sierżantów przez większość nocy przeprowadzali rozpoznanie na wzgórzach za bazą; szukali odpowiednich miejsc na zasadzki. Spękany teren tworzył naturalne fortyfikacje z setkami dobrych stanowisk dla drużyn strzeleckich. Jedyne problemy polegały na tym, że zmarzną. Dziś zamierzali sprawdzić, jak długo żołnierze wytrzymają na pozycjach bez utraty skuteczności bojowej. Sierżanci oceniali, że cztery godziny. Espinoza uważał, że raczej trzy.

Skończył się ubierać i dopił kawę. Burczało mu w brzuchu, ale postanowił zbadać tajemniczy statek przed śniadaniem.

- Obudźcie porucznika Jimeneza.

Wystarczyło zaledwie piętnaście minut, by jedną z łodzi roboczych przeciąć zatokę. Efekt podgrzewania akwenu pęcherzykami ciepłego powietrza był zdumiewający. Nie dość, że woda nie zamarzała, to jeszcze bezpośrednio nad powierzchnią utrzymywała się temperatura dziesięciu stopni Celsjusza powyżej zera, podczas gdy w bazie panował mróz dwadzieścia trzy stopnie. Za zatoką

skorupa lodowa unosiła się i opadała z falami, co wskazywało, że topnieje w ciągu lata. Lodołamacz stale torował drogę na pełne morze i z powrotem.

Łódź robocza minęła jedną z zamaskowanych platform wiertniczych. Z bliska widać było, że biały kamuflaż to przynitowane arkusze blachy, które miały upodobnić wieżę wydobywczą do góry lodowej. Z odległości czterdziestu pięciu metrów prawdę zdradzała tylko masywna stalowa konstrukcja wsporcza, wystająca spod białych osłon.

W wąskim wejściu do zatoki przepłynęli nad obszarem wzburzonej wody. Kipiel wytwarzała kurtyna gorącego powietrza - unosiło się ono z rur i zapobiegało dryfowaniu lodu z oceanu do portu.

Przez kilka sekund Espinozie było ciepło po raz pierwszy od przylotu do Antarktyki.

Skupił uwagę na statku. Stary frachtowiec wyglądałby jak nawiedzony, nawet gdyby na pokładzie znajdowali się ludzie. Kadłub pokrywał miszmasz plam i smug farby okrętowej. Większość nadbudowy była biała, czerwony kolor pojedynczego komina spłowił. Statek miał pięć żurawi, trzy na pokładzie dziobowym i dwa na rufowym. Marynarze nazywają takie jednostki „patykowcami”. W dobie konteneryzacji są uważane za przestarzałe i większość dawno poszła na żyletki.

- Co za kupa złomu - odezwał się porucznik Jimenez. - Założę się, że nawet szczury uciekły z tej zardzewiałej łajby.

Kiedy podpłynęli bliżej, przekonali się, że frachtowiec nie jest mały. Espinoza ocenił jego długość na grubo ponad sto pięćdziesiąt metrów. Nazwę trudno było odczytać, bo farba wyblakła i widniały na niej rdzawe smugi, ale major zdołał odszyfrować napis jako „Norego”. Jakieś sześć metrów kadłuba tkwiło głęboko w kamienistej plaży. Inna łódź robocza przybiła wcześniej do brzegu i grupa mężczyzn stała wokół masywnego dziobu. Ktoś rozsuwał segmentową aluminiową drabinę; choć wysoka, ledwo sięgała do relingu.

Łódź Espinozy zatrzymała się obok pierwszej i załogant rzucił cumę jednemu z żołnierzy. Ten przyciągnął łódź i inny członek załogi opuścił trap, czyli po prostu trzyipółmetrową deskę.

Sierżant Lugones zasalutował energicznie, gdy tylko major zszedł na ląd. Wreszcie się wypogodziło i zrobiło stosunkowo ciepło, tylko dwadzieścia trzy stopnie poniżej zera.

- Niezły, co, sierzancie?

- Tak, panie majorze. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Zauważyliśmy go o świcie i przyплыliśmy zbadać sprawę. Przepraszam, ale pomyślałem, że lepiej, jak pan major zostanie w łóżku i dobrze się wyśpi, żeby ładnie wyglądać.

Gdyby tak powiedział kto inny, Espinoza uznałby to za poważną niesubordynację, ale żyłasty podoficer zasłużył sobie z nawiązką na prawo podrażnienia się ze swoim dowódcą od czasu do czasu.

- Twojej gębie nie pomogłoby nawet trzydzieści lat śpiączki! - odkrzyknął i ci, którzy usłyszeli, zarechotali.

- Gotowe, panie sierzancie! - zawołał żołnierz przy drabinie.

Espinoza wspiął się pierwszy, dwóch ludzi trzymało drabinę na wypadek gwałtownego podmuchu wiatru. Major zmodyfikował swoje wierzchnie rękawice - teraz mógł odsłaniać palec wskazujący i zmieścić go w kabłąk spustu pistoletu. Zajrzał za krawędź nadburcia. Na pokładzie walały się rupiecie, beczki po oleju i kawałki złomu. Nie dostrzegł żadnego ruchu, więc przeszedł przez burtę i dał znak, żeby dołączył następny członek grupy.

Wiatr zawodził wśród żurawi. Brzmiało to jak pieśń żałobna; Espinoza się wzdrygnął. Spojrzał w górę na okna sterówki, ale zobaczył tylko odbicie nieba w szybach.

Chwilę później wyrósł u jego boku Raul, potem Lugones. Sierżant trzymał pistolet maszynowy z silną latarką pod krótką grubą lufą. Ostrożnie przemierzali w poprzek pokład; jeden z nich cały czas osłaniał pozostałych. Nie było żadnych włazów w przegrodzie czołowej pod mostkiem, więc skierowali się wzdłuż sterburty ku rufie. Po kilku krokach natrafili na drzwi. Nad nimi sterczały wysięgniki pustego żurawika łodziowego. Z każdego ramienia zwisała lina.

Jimenez odblokował rygle i zerknął na Espinozę. Kiedy major skinął głową, porucznik pociągnął drzwi. Sierżant Lugones miał broń gotową do strzału.

W korytarzu panował mrok, więc włączył latarkę. Farba w środku wyglądała niewiele lepiej niż na zewnątrz. Linoleum na podłodze było miejscami poodrywane i zapewne nigdy nie widziało mopa.

Ich oddechy tworzyły obłoczki pary wokół głów.

- Chyba nikogo nie ma w domu.

- Cierpka uwaga, poruczniku. Chodźmy na mostek. Jeśli jest jakieś wyjaśnienie tej tajemnicy, to tam je znajdziemy.

Wdrapali się kilka pokładów wyżej, zaglądając do różnych pomieszczeń. Porozrzucane meble wskazywały, że zaniedbany statek napotkał silny sztorm na swojej drodze. Łóżka poprzewracane, drewniane sprzęty roztrzaskane. Nie zauważyli nawet śladu załogi, ani żywej, ani martwej.

W sterówce panował półmrok, bo szyby pokrywała warstwa soli. Tu też nie zastali nikogo, ale na stole nawigacyjnym za sterem leżała kartka w plastikowej koszulce mocno przyklejona taśmą do blatu.

Lugones odciął ją nożem bojowym i wręczył przełożonemu.

Espinoza przeczytał głośno:

- „Do tego, kto to znajdzie. Musieliśmy opuścić »Norego«, bo pompy zawiodły i woda wlewała się przez dziurę w kadłubie, która powstała po uderzeniu monsturalnej fali. Główny mechanik Scott zrobił wszystko, co w jego mocy, ale nie dały się ponownie uruchomić. Podjęcie tej decyzji nie było łatwe. To są zdradliwe wody daleko od lądu. Ale pływająca łódź ratunkowa jest lepsza niż tonący statek. Modlę się za swoich ludzi. Jeśli nie przeżyjemy, proszę przekazać mojej żonie, że bardzo kocham ją i naszych synków. Z pewnością odnosi się to do wszystkich członków załogi oraz ich rodzin”. - Major zamilkł na chwilę, potem dodał: - Wiadomość napisał kapitan John Darling z linii żeglugowej Proxy Freight Line.

W styczniu ubiegłego roku. Ta stara łajba dryfuje od dwudziestu miesięcy.

- Myśli pan, że załogę uratowano? - zapytał Lugones.

Espinoza pokręcił głową.

- Nie wiem. Zastanawiam się, dlaczego frachtowiec nie zatonął. Kapitan nie opuszcza swojego statku, jeśli nie jest stuprocentowo pewien, że nie ma innego wyjścia. Chcę zobaczyć pomieszczenia techniczne.

Po kilku długich minutach błądzenia znaleźli wreszcie klatkę schodową prowadzącą w dół do wnętrza frachtowca. Gdy tylko Jimenez pociągnął właz, lodowata woda omyła mu buty i sięgnęła powyżej kostek. Lugones oświetlił latarką schody. Były całkowicie zalane. Tłusta od ropy woda mieniła się wszystkimi kolorami tęczy.

- Oto i wyjaśnienie - powiedział sierżant. - Rzeczywiście powstał przeciek.

- Ciekawe, co transportowali - wtrącił się Jimenez. - Jeśli dobrze pamiętam prawo ratownictwa morskiego, znalazca zatrzymuje nie tylko statek, ale również ładunek.

- A kiedy ty się uczyłeś takiego prawa? - zapytał sarkastycznie Espinoza.

- No... słyszałem to z telewizji.

- Pohamuj swoje złodziejskie zapędy. Jesteśmy żołnierzami, nie złomiarzami. Ta kupa szmelcu najprawdopodobniej podryfuje dalej, kiedy nadciągnie następny przypływ albo uderzy kolejny sztorm.

- Może powinniśmy zrobić więcej dziur w kadłubie, żeby łajba na pewno zatonała.

Espinoza rozważył sugestię Lugonesa.

- Wiecie co? Nie. Niech sobie pływa. Skoro przetrwała tak długo, zostawmy ją w spokoju.

Pokład niżej od tego, gdzie stali trzej wojskowi, Juan Cabrillo odprężył się i wyciągnął w fotelu. Nie przypuszczał, że argentyński major, którego twarz zaczynała mu się śnić po nocach, ma romantyczną duszę. Najbardziej się obawiał, że Argentyńczycy wykorzystają „Oregona” do ćwiczeń strzeleckich. W dzieciństwie ci żołnierze zapewne lubili się bawić materiałami wybuchowymi. Zmieniło się tylko to, że teraz mają C4, a nie petardy. Załoga uniknęła wykrycia w termowizji, bo odcięła dopływ ciepła do „publicznych” przestrzeni statku, obniżyła temperaturę w pozostałych częściach i napełniła zbiorniki balastowe, żeby zasłaniały całą ekipę. Sztuczka z zalaniem klatki schodowej polegała na tym, że po prostu zamknęli dolny właz i wpompowali do środka wodę z zęzy.

Max Hanley kręcił głową.

- Co? - Cabrillo spojrzał na przyjaciela. - Mówiłem ci, że uda mi się ukryć statek tuż pod ich nosem.

- To się nie liczy - zagderał Max.

- Im bardziej zuchwałe kłamstwo, tym łatwiej się w nie wierzy. Powinni być podejrzliwi jak cholera, a tu, proszę! Zakończyli przeszukanie po dziesięciu minutach i nasz poczciwy major o mało się nie rozplakał.

- Jedno muszę przyznać, Juan. Jesteś przebiegłym skurczybykiem. Ale co dalej?

- Szczerze mówiąc, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Zauważyłeś ładunek pod brezentem w drugiej łodzi? - Zewnętrzne kamery śledziły żołnierzy, odkąd pierwsza grupa zjawiała się o wschodzie słońca.

- Miał kształt i wielkość holowanego sonaru bocznego.

- Czyli... zamierzają szukać chińskiego wraka.

- Przypuszczam, że powinniśmy ich ubiec.

- Widzisz? Plan sam się rodzi. - Cabrillo uśmiechnął się szeroko z samozadowoleniem chłopca, który wymanewrował rodzica. Naprawdę nie wybiegał jeszcze myślami poza moment ulokowania „Oregona” na pozycji.

Max wskazał głową telewizyjny obraz żołnierzy kręcących się w pobliżu dziobu.

- Musimy zaczekać, aż się stąd wyniosą, zanim wypompujemy tyle balastu, żeby otworzyć wrota basenu zanurzeniowego.

Juan przytaknął.

- Podejrzewam, że zaczną poszukiwania dzisiaj, więc gdy tylko odpłyną, zrobimy swoje. Kiedy Tamara się obudzi, zapytaj, czy chciałaby się do nas przyłączyć. Przynajmniej pokażemy jej legendarny statek skarbów. Dopiero potem go zniszczymy.

Hanley usłyszał o tym po raz pierwszy i przez chwilę z niedowierzaniem patrzył na prezesa. W końcu zrozumiał, że to logiczne.

- Szkoda takiego zabytku, ale masz rację.

- Wiem. Nie możemy dać Chińczykom najmniejszej szansy, żeby uznali to terytorium za swoją

własność.

Godzinę później Juan zwolnił klamry trzymające dziesięciometrową trzyosobową miniłódź podwodną Discovery 1000. Nie była wyposażona w kapsułę ewakuacyjną jak jej większa siostra, ale nikt nie zamierzał pływać w wodzie o temperaturze zaledwie o ułamek stopnia wyższej od zera.

Cabrillo przyjął pozycję półleżącą na fotelu pilota, Tamara usadowiła się na prawo od niego. Lindzie Ross dopisało szczęście i wylosowała udział w wyprawie. Choć gdy patrzyła, jak w chłodnym kokpicie ich oddechy zamieniają się w obłoczki pary, pomyślała, że raczej miała pecha.

- Nie da rady trochę podkręcić ogrzewania? - zapytała, chuchając na zmarznięte palce.

- Przykro mi, ale zatoka, którą rozpoznaliśmy na zdjęciach satelitarnych, leży na granicy naszego zasięgu. Oszczędność energii jest ważniejsza od wygody.

- Czy nie zastaniemy tam Chińczyków? - spytała Tamara. Szczelnie opatulila się płaszczem, drugim przykryła swoje długie nogi.

- Nie. Popłynęli w złą stronę. Tu są dwie zatoki o podobnym kształcie. Jedna na północy, druga na południu. Dzięki zwłokom znalezionym przez Lindę i jej drużynę w Wilson/George wiemy, że wrak musi być w tym kierunku. Tamci faceci spędzą tydzień pięćdziesiąt mil morskich od miejsca, gdzie powinni być.

Przez następne trzy godziny podróżowali sześć metrów pod wodą. Polarne słońce ledwo świeciło, więc nawet tak blisko powierzchni było prawie czarno. Juan polegał na sonarze i systemie LIDAR. Przynajmniej morze się uspokoiło. Przy złej pogodzie żegluga na tak niedużej głębokości przypominałaby jazdę w pralce nastawionej na wirowanie.

Linda i Juan zabawiali Tamarę opowieściami o szaleńczych wyczynach korporacji, za każdym razem przedstawiając Maksa w najlepszym świetle. Jeśli Tamara podejrzewała, że przesadnie reklamują swojego przyjaciela, to nie dawała tego poznać po sobie. Pili osłodzoną herbatę i jedli smakowite kanapki przygotowane w światowej klasy kambuzie „Oregona”.

- Komputer nawigacyjny pokazuje, że wchodzimy do zatoki - poinformował Cabrillo pasażerki. - Tu jest głębokość tysiąca pięciuset metrów, ale dalej dno ostro się wznosi.

Juan się zastanawiał, gdzie w podobnej do fiordu zatoce mógł zostać zatopiony chiński statek. Przypuszczał, że jak najbliżej brzegu, i na zdjęciach satelitarnych zauważył miejsce, które uznał za najbardziej prawdopodobne. Rozciągała się tam plaża, a przynajmniej teren, gdzie góry i lodowce były stosunkowo niskie.

Wpłynął łodzią podwodną do zatoki i wziął kurs na tamto miejsce. Jednym okiem obserwował sonar boczny. Tak jak przewidział, dno wznosiło się pod kątem ponad sześćdziesięciu stopni. Przed nimi tkwiła jednolita skała bez ani jednego wypiętrzenia. Gdyby podwodna pochyłość znajdowała się na lądzie, chyba nikt by się na nią nie wspiał.

- Po prostu nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - powtórzyła Tamara po raz trzeci czy czwarty. - Zaledwie parę dni temu dałabym sobie głowę uciąć, że admirał Tsai Song i „Milczące Morze” to tylko legenda, a dziś zaraz zobaczę ten statek na własne oczy.

- Jeśli dopisze nam szczęście - zastrzegł Juan. - Na pewno wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich pięciuset lat. Łódź mógł go rozetrzeć na wykałaczki.

- Fakt. Myślisz, że tak się stało?

- Nie. Eric i Mark, poznałaś ich na mostku...

- Ci dwaj, którzy wyglądają na zbyt młodych, żeby się golić?

- Zgadza się. Są pierwszorzędnymi badaczami. Zajrzeli do archiwów Międzynarodowego Roku

Geofizycznego 1957/1958. Wtedy po raz ostatni dokonano pomiarów w tym rejonie. Górą wokół zatoki nigdy nie nadano nazw, ale ustalono, że tutejsze lodowce przemieszczają się prawie najwolniej na całej Antarktydzie. Jeśli wrak spoczywa bardzo głęboko, to nie ucierpiał nawet w czasie zamarzania powierzchni wody.

Cabrillo zatarł ręce, żeby poprawić krążenie, i sprawdził stan naładowania akumulatorów. Zadowolający, stwierdził, ale nie podkreślił ogrzewania. Wolał dłużej badać dno dzisiaj, niż wracać tu jutro.

Zobaczyli pierwszą oznakę życia, kiedy lampart morski zbliżył się do akrylowego bulaju. Wykonał piruet wśród pęcherzy powietrza i zniknął tak nagle, jak się pojawił.

- Urocze stworzonko - zauważyła Linda.

- Na pewno nie dla pingwina.

Juan spojrzał na obraz dna. Pochyłość wracała do poziomu bliżej brzegu odległego jeszcze o trzy mile morskie.

- O rany! - zawołała Linda.

- Co jest?

- Właśnie miałam mocny sygnał magnetometru z prawej burty.

Cabrillo obrócił wolant podobny do samolotowego i łódź podwodna skręciła w prawo, nie tak elegancko jak lampart morski, ale łatwiej niż ich duży nomad.

- Sprawdź sonar.

Prosto przed nimi elektronika wykryła litą ścianę o długości dziewięćdziesięciu czterech i wysokości dwunastu metrów. Od przeszkody dzieliło ich dwieście siedemdziesiąt pięć metrów - za dużo, żeby ją zobaczyć w słabym świetle. Silniki mruczały spokojnie, gdy się zbliżali. Kiedy podpłynęli na piętnaście metrów, Juan włączył reflektory na kadłubie ciśnieniowym.

Tamara uniosła ręce do ust, żeby stłumić gwałtowny wdech. Moment później łzy spłynęły po jej gładkich policzkach.

Choć Juan nie poświęcił życia na studiowanie tematu, też wzruszył się widokiem masywnej chińskiej dżonki sprzed wieków leżącej na dnie Morza Bellingshausena.

Maszty dawno zniknęły, najprawdopodobniej złamane przez dryfującą górę lodową, a tuż pod miedzianą powłoką widniała wielka dziura. Ale poza tym statek wydawał się zdolny do żeglugi. Małe zasolenie i niska temperatura morza sprawiały, że niewiele żywych organizmów mogło zniszczyć drewno. Dżonka nie zachowałaby się w lepszym stanie na bezwietrznej pustyni.

Tuż nad jej linią wodną były dziesiątki otworów. Juan zapytał, do czego służyły, bo nie wyglądały mu na bulaje.

- Wystawały z nich wiosła - wyjaśniła Tamara. - Statki tej wielkości zwykle miały dwadzieścia z każdej burty i po dwóch ludzi do obsługi każdego, czasem trzech. Posiadały też sześć do siedmiu masztów i chińskie ożaglowanie lugrowe, jak wszystkie dżonki.

Z mniejszej odległości zobaczyli, że biegnąca niemal przez całą długość statku żółta nadbudowa z czerwonymi wykończeniami przypomina pagode.

- Cesarz nalegał, żeby na jego statkach zamieszczać jak najwięcej ozdób - ciągnęła Tamara. - Chciał w ten sposób pokazać bogactwo i wyrafinowanie swojego królestwa, Tylko najlepsi artyści i rzemieślnicy mogli upiększać dżonki.

- I mówisz, że ta jest wyładowana skarbami? - zapytała Linda.

- To ty mi pokazałaś bryłkę złota i okruchy jadeitu.



- Marynarz, który przeżył zatonięcie i zmarł w pobliżu Wilson/ George, pewnie je zabrał z ładowni. - Juan wznosił łódź podwodną i przepłynął nad dużym statkiem. - Możliwe, że priony jeszcze nie wywołały choroby i jasno myślał. - Doktor Huxley potwierdziła, że Chińczyk i Andy Gangle zostali nimi zarażeni.

Na dziobie sterczały dwa wielkie działa w kształcie smoków - powiększone wersje pistoletu znalezione obok zwłok Andy'ego Gangle'a. Osiadło na nich tak niewiele mułu, że Juan dostrzegł zęby wyrzeźbione wokół wylotów luf i skrzydła wzdłuż ich boków.

Pokład rufowy był trzy poziomy wyżej niż główny, miejsce dokładnie pośrodku zajmowała kwadratowa nadbudówka ze zgrabnym spadzistym dachem. Tamara wskazała w jej kierunku.

- Pomieszczenie do użytku kapitana.

- Jego kajuta?

- Bardziej biuro.

Juan znów sprowadził łódź podwodną w dół i podpłynął tam, gdzie admirał Tsai umieścił ładunek wybuchowy i w ten sposób zatopił dżonkę wraz z nieszczęsną załogą. Reflektory ksenonowe jasno oświetliły część wnętrza statku. Pokłady i przegrody zrobiono z drewna. Pomieszczenie, do którego zaglądali, było za szerokie, żeby dostrzegli przeciwną burtę, i wypełniał je istny gąszcz pionowych podpór. Tamara rozpoznała, czym są te konstrukcje.

- To jedna z kwater załogi. Na filarach zawieszano hamaki.

- Robiono tak jeszcze w XX wieku, przynajmniej na okrętach wojennych - dodał Juan.

- Zdumiewające - szepnęła Tamara z zachwytem, chłonąc widok szeroko otwartymi oczami.

- Muszę cię zmartwić - powiedział Juan. Spojrzała na niego ostro. - Trzeba zniszczyć ten statek. Zabrałem cię ze sobą, żebyś go zobaczyła. Nie możemy jednak dopuścić, aby znaleźli go Chińczycy.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Przykro mi, Tamaro. Kiedy przekonamy Argentyńczyków, że w ich interesie leży rezygnacja z planów zawłaszczenia Antarktydy, to Pekin chętnie wypełniłby powstałą próżnię. Chińczycy windują się na plecach Argentyńczyków, bo nie mają podstaw do wysuwania roszczeń. Dżonka admirała Tsaia daje im do tego prawo. Jej istnienie jest bardzo mocnym argumentem. Odkryli Antarktydę trzysta osiemdziesiąt lat wcześniej, niż pierwsi Europejczycy zobaczyli ten kontynent.

Tamara zmarszczyła czoło.

- Nie cierpię polityki. Właśnie dokonaliśmy jednego z najważniejszych odkryć archeologicznych w historii i trzeba poświęcić tak wspaniałe znalezisko, żeby jacyś żądni władzy ludzie nie położyli łapy na złożach ropy.

- Krótko mówiąc, niestety - odparł Juan najłagodniej, jak umiał. - Stawka jest zbyt wysoka, żeby szukać innego rozwiązania. Nasz rząd postanowił nie odgrywać roli światowego gliniarza, ale musimy pokazać wszystkim, że nadal trzeba ponosić konsekwencje łamania prawa międzynarodowego. A jednym ze sposobów jest zniszczenie tego wraka.

Tamara nie spojrzała na Cabrilla, nawet się nie odezwała, ale po chwili lekko skinęła głową.

Juan położył jej dłoń na ramieniu, potem wrócił do sterowania. Wypuścił trochę wody ze zbiorników balastowych i zaczęli się wznosić ku powierzchni. Stopniowo robiło się coraz jaśniej.

Kiedy się wynurzyli, wstał z fotela, przeszedł nad Lindą i dostał się do włazu.

- Zaraz wracam.

Odsunął się na bok, gdy obracał koło ryglujące, żeby po otwarciu pokrywy nie chlusnęła na niego lodowata woda. Wspiął się po drabince; palce drętwiały mu na mokrej stali. Wystawił głowę przez

otwór. Chłód zaparł dech, ból przeszył zatoki; Juan poczuł się tak, jakby wypalano mu oczy. Nie zważając na to wszystko, skoncentrował się na otoczeniu. Lodowy jezior wypełniał przełęcz między dwiema czarnymi górami o wysokości co najmniej sześciuset metrów. Tworzył pionową ścianę, która ciągnęła się do krawędzi wody. Dolny koniec uległ erozji pod działaniem fal i pływów, ale reszta wyglądała na solidny masyw.

- Ty to zrobisz - powiedział głośno Juan; jego słowa porwał wiatr.

Dał nura do stosunkowo ciepłego wnętrza łodzi podwodnej. Usiadł z powrotem na fotelu i od razu podkręcił ogrzewanie na maksimum. Do diabła z oszczędnością energii.

# Rozdział 25

Drużyna dowodzona przez Mike'a Trona wyruszyła do zatoki, gdzie na dnie spoczywało „Milczące Morze”, zanim Juan i jego dwie pasażerki wrócili na „Oregona”. Cabrillo polecił przez radio Mike'owi popłynąć większym nomadem na północ i zająć się zniszczeniem wraka. Trono i jego pięciu ludzi upchali prawie tonę sprzętu do łodzi podwodnej.

Czekała ich zimna, nieprzyjemna noc.

Juan wziął najdłuższy i najbardziej gorący prysznic w swoim życiu. Potem otrzymał wiadomość, że chińska łódź poszukiwawcza spędziła tylko godzinę w złym miejscu i wróciła do bazy. Spotkał się z szefami wydziałów, żeby omówić następny etap operacji. Zebranie poszło szybko. Podczas beczynnych godzin podróży powrotnej z miejsca zatopienia dżonki ułożył plan, który wymagał tylko niewielkiego dopracowania. Był ponownie w basenie zanurzeniowym niecałe dwie godziny po powrocie na „Oregona”.

Zamiast tracić czas na ładowanie akumulatorów discovery, technicy zastąpili je nowymi, wymienili filtry dwutlenku węgla i napełnili wszystkie zbiorniki powietrza w łodzi. Na tę akcję Juan postanowił zabrać ze sobą Franklina Lincolna. Nie przewidywał walki, ale ekskomandos SEAL poruszał się jak zjawą mimo swojej masy i uczestniczył w potajemnych penetracjach terytorium wroga więcej razy niż prawie cała reszta załogi razem wzięta.

Kevin Nixon przyniósł im stroje polarne podobne do argentyńskich, żeby po włożeniu kurtek, spodni, kapturów, szalików i gogli wyglądali zupełnie jak żołnierze przeciwnika.

Dziesięć minut zajęło im dotarcie do przesmyku. Nawet w zanurzeniu widzieli blask świateł na brzegu. Urządzenia na platformach wiertniczych tak brzęczały i buczały, że w wodzie było głośno jak na złomowisku statków. Odgłosy maszyn zagłuszały dźwięk elektrycznych silników łodzi podwodnej, więc nie musieli się skradać.

- Co to za hałas? - zapytał Linc, kiedy płynęli na głębokości dziewięciu metrów.

- Na platformach wiertniczych?

- Nie. Coś jak bulgot o małej częstotliwości. Brzmiał głośniejszy, kiedy wpłynęliśmy do zatoki, teraz jest cichszy, ale wciąż go słyszę.

Juan się skoncentrował i też złowił uchem dziwne tony. Zaryzykował i włączył słabszy reflektor. Z powierzchni jego blask wyglądałby jak odbicie księżyca od fali. W świetle pod wodą Juan zobaczył kurtyny pęcherzyków powietrza unoszące się z dna morskiego. Kiedy wzrok bardziej przyzwyczał się do jasności, zauważyli rury w mule, z których wydobywały się bąbelki.

Juan zgasił reflektor; dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Co o tym myślisz? - zapytał w końcu Linc.

- W ten sposób zapobiegają zamarzaniu zatoki. - Juan zerknął na jeden z wyświetlaczy komputerowych. - Tak, zgadza się. Woda ma temperaturę piętnastu stopni. Gazem wypuszczanym z

platform wiertniczych ogrzewają powietrze i pompują je rurami. Całkiem pomysłowe.

Chwilę później minęli w odległości stu metrów duży krążownik stojący na kotwicy.

- Masz jakiś pomysł, co z nim zrobić?

Juan czuł obecność ciemnego okrętu w atramentowej toni niemal jak wielkiego drapieżnego rekina. Walka „Oregon” z krążownikiem byłaby krótka i krwawa i najprawdopodobniej obie jednostki poszłyby na dno.

- Liczę na to, że dzisiejszej nocy mnie olśni.

Dwadzieścia metrów od nabrzeży Cabrillo wysunął nocny peryskop telewizyjny. Urządzenie wielkości paczki papierosów przesyłało obraz do wyświetlacza wysokiej rozdzielczości w discovery i na pokładzie „Oregon”. Tuzin par oczu uważnie obserwowało port, kiedy Juan przesuwał kamerę tam i z powrotem przez następne kilka minut. Nie widzieli nic oprócz przycumowanych łodzi roboczych i betonowych pylonów. Było za zimno, żeby ktoś pełnił wartę przez dłuższy czas.

Cabrillo podejrzewał też, że Argentyńczycy czują się bezpiecznie; sądzą, że w tej chwili nic im nie grozi. Może później nastąpi zbrojny atak, ale na razie świat dochodzi do siebie po ich zuchwałym posunięciu.

Juan wprowadził discovery pod nabrzeże i wynurzył ją wolno. Niecałe dwadzieścia centymetrów kadłuba przebiło powierzchnię, a zrębica wokół wjazdu znajdowała się zaledwie trzynaście centymetrów wyżej. Ciemnoniebieska łódź podwodna była prawie niewidoczna. W dodatku obserwator musiałby klęczeć na pokładzie łodzi roboczej i zaglądać pod nabrzeże, żeby zobaczyć intruzów, więc prawdopodobieństwo ich wykrycia równało się zeru.

Dwaj mężczyźni czuli się jak akrobaci, kiedy wkładali kurtki, ale po chwili Linc otworzył właz i wspiął się na pokład. Ledwo się zmieścił pod nabrzeżem; nisko schylony przycumował discovery, żeby się nie przesunęła, gdy zmieni się pływ. Cabrillo przeszedł z miniłodzi podwodnej na lewą burtę jednej z łodzi roboczych. Linc dołączył do niego, weszli na nabrzeże i jakby nigdy nic ruszyli w kierunku argentyńskiej bazy.

Juan po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się jej z bliska. Wielkość kompleksu go zdumiała. Ze zdjęć Lindy wiedział, że wokół zatoki jest trzy razy większy teren. Gdyby dać Argentyńczykom wolną rękę, wkrótce powstałoby tu miasto.

Najpierw należało ustalić, gdzie przetrzymują naukowców, których zamierzali wykorzystać jako żywe tarcze. Dochodziła ósma wieczorem i wokół nie było prawie nikogo, tak jak Juan i Linc się spodziewali. Czasem dostrzegali ruchomy cień między budynkami, ale większość ludzi rozsądnie siedziała pod dachem. Zaglądali w oświetlone okna. Mężczyźni siedzieli rozwaleni na kanapach przed zestawami kina domowego, grali w karty w salach rekreacyjnych, czytali książki lub pisali listy do rodzin w swoich sypialniach. Pierwsza część kompleksu wyglądała na sektor mieszkalny dla robotników naftowych i odpadała jako więzienie.

Przeszukali kilka magazynów w nadziei, że naukowcy są zamknięci na zapleczu, ale znaleźli tylko urządzenia do wydobywania ropy i setki beczek oleju wiertniczego.

Kiedy opuszczali kolejny budynek, ciemna postać czekała przy drzwiach.

- Co tam robiliście? - zapytał ostro mężczyzna. Szalik tłumiał jego głos, ale nie łagodził oskarżycielskiego tonu.

- Próbuje się tu rozeznać - odparł Juan po hiszpańsku. Obcy nosił cywilne ubranie, więc Cabrillo przeszedł do ofensywy. - Jeśli mamy was bronić, to musimy znać tutaj każdy kąt. Więc

pozwól, przyjacielu, że wrócimy do naszego zajęcia.

- Zaraz, zaraz - gość nadal był podejrzliwy. - Ale dlaczego kręcicie się po nocy?

Juan wykonał w kierunku Linca gest: „Nie do wiary”.

- Bo bardzo wątpię, żeby Amerykanie szlachetnie zaatakowali w dzień - warknął. - I to, co wydaje się dobrą osłoną w jasnym świetle, może nią nie być po ciemku. - Odepchnął faceta ramieniem.

Poszli dalej, nie oglądając się za siebie. Dopiero kiedy skręcili za zaokrąglony róg pawilonu mieszkalnego, Juan spojrzał w tył. Dociekliwy typ zniknął.

- Może i mój hiszpański zardzewiał, ale twój tekst brzmiał jak największa ściema, jaką kiedykolwiek słyszałem - zaśmiał się Linc.

- Niedawno tłumaczyłem Maksowi, że im bardziej zuchwałe kłamstwo, tym łatwiej w nie uwierzyć.

Ponieważ kompleks miał być niewidoczny z satelitów, dla niepoznaki rozplanowano go chaotycznie. Dopiero na południowym krańcu bazy, w pobliżu miejsca, gdzie Linc wcześniej zauważył ukrytą baterię wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, zobaczyli samotny, stojący na palach budynek w kształcie igloo. Światło paliło się w oknie od frontu, ale w pozostałych było ciemno.

Wspięli się po stopniach. Juan otworzył zewnętrzne drzwi i weszli do przedsionka z wieszakami na kurtki i stojakami na wierzchnie buty. Nie zdjęli ubrań, tylko niedbale otworzyli drzwi do dalszego pomieszczenia. Dwaj żołnierze, zaalarmowani odgłosami, stali z wyciągniętą bronią. Na widok dwóch mężczyzn w argentyńskich uniformach odprężyli się. Pokój miał urok zdezelowanej przyczepy mieszkalnej.

- Co tu robicie, koledzy? Pełnimy służbę do dwudziestej drugiej.

- Przykro mi, nie przyszliśmy was zluzować - odparł Juan. - Szukamy majora. Jest gdzieś tutaj?

- Był dwie godziny temu; sprawdzał, co z więźniami. - Strażnik wskazał zaryglowane drzwi za sobą. - Od tamtej pory nie widziałem Espinozy.

Juan wreszcie poznał nazwisko majora.

- Dobra, dzięki. - Odwrócili się, żeby wyjść.

- Moment. Ramón?

- Nie, Juan Cabrillo. - Prezes miał tupet.

- Kto?

- Juan Rodriguez Cabrillo. Przenieśli mnie do Dziewiątej Brygady z wywiadu wojskowego. -

Ukryta treść: „Jestem oficerem, więc lepiej przestań zadawać pytania”.

Żołnierz z trudem przełknął ślinę.

- Zapamiętam, żeby przekazać majorowi, że pan go szuka.

Juan, choć mocno opatulony zdołał nadać groźne brzmienie swoim słowom:

- Lepiej zapamiętajcie, szeregowy, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Zrozumiano?

- Tak jest.

Linc i Cabrillo wyszli z powrotem w mroźną noc. Lód błyszczał w mocnym świetle gwiazd.

- Bingo - powiedział Linc.

- Fakt. Teraz musimy tylko uwolnić zakładników, zlikwidować ten interes i zneutralizować wojenny ośmiotysięcznik tak, żeby Argentyńczycy się nie połapali, że tu kiedykolwiek byliśmy.

Robili rozpoznanie jeszcze przez trzy godziny, bez przeszkód poruszając się po bazie. Wyglądało na to, że wszędzie jest wolny wstęp, z wyjątkiem prowizorycznego więzienia. Juana bardzo

interesowały rafineria ropy i zakład przerobu gazu. Mieściły się w budynkach wielkości hangarów, które pokryto warstwami izolacyjnymi, a potem śniegiem i lodem. W każdym znajdował się gąszcz rur i przewodów. Łączyły się i rozwidlały, tworząc system zrozumiały tylko dla inżyniera. Jeden z obiektów ulokowano daleko od plaży, drugi postawiono częściowo nad wodą, na palach wbitych w dno morza. W tym budynku nie tylko przetwarzano gaz. Umieszczono tu również wielki piec, który zapewniał przepływ gorącego powietrza przez rury pod zatoką. Wszystko wydawało się w pełni zautomatyzowane, ale przywiązywano taką wagę do prawidłowego funkcjonowania tego kluczowego systemu, że w pobliskim pomieszczeniu czuwał nad tym technik. Skinął głową dwóm wojskowym. Kiedy Linc i Cabrillo pomachali do niego, skupił się z powrotem na swoim magazynie ilustrowanym dla mężczyzn.

Zanim wrócili na portu, minęła jedenasta. Wykończeni i przemarznięci do szpiku kości przeskoczyli na łódź roboczą. Juan dawał właśnie nura pod nabrzeże, żeby wejść na discovery, gdy jakiś wartownik krzyknął:

- Stać! Co tu robicie po godzinie policyjnej?

Juan się wyprostował.

- Zapomniałem iPoda. Wziąłem go, kiedy po południu pływałem z Chińczykami.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nikomu nie wolno przebywać na dworze po godzinie policyjnej.

Wychodźcie stamtąd. Pójdziecie ze mną. - Uniósł pistolet maszynowy.

- Bez nerwów, kolego - odparł spokojnie Juan. Co za pech, pomyślał. Że też musieli się natknąć na największego służbistę w armii argentyńskiej. - Nie chcemy żadnych kłopotów.

- To trzeba było zostać w wyrkach. Ruszać się!

Linc pierwszy wspiął się na nabrzeże. Żołnierz podświadomie cofnął się o krok na widok masy jednego ze swoich aresztantów Linc przerastał go niemal o głowę i wyglądał jak niedźwiedź polarny w grubym zimowym stroju.

Juan dołączył do przyjaciela. Ale zanim Argentyńczyk zdążył wydać następny rozkaz, prezes rzucił się naprzód, pchnął hecklera & kocha i jednocześnie zdzielił żołnierza prawą pięścią w twarz. Gogle roztrzaskały się na nosie wartownika, powodując potok krwi i łez.

Linc rozbroił służbistę i kopnął w kolano. Argentyńczyk upadł. Cabrillo zwałił się na niego, żeby stłumić jego krzyk. Nie zawahał się. Stawka była zbyt wysoka. Przycisnął wartownikowi dłoń do nosa i ust i mocno trzymał, kiedy tamten usiłował się oswobodzić. Trwało to niecałą minutę.

- Cholera. Nie chciałem go wykończyć - wysapał Juan i wstał. Miał krew na rękach.

- Co z nim zrobimy? Jeśli go weźmiemy ze sobą, to może wyglądać podejrzanie. Z takiego miejsca się nie dezerceruje.

Juan zdjął facetowi kaptur i ściągnął mu kominiarkę. Potem pomazał jego krwią pobliski pacholek cumowniczy i ułożył ciało tak, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek. Gość się potknął, przewrócił, uderzył i stracił przytomność. Leżąc bez ruchu z odsłoniętą głową, po dziesięciu minutach zamarł na śmierć.

- Problem rozwiązany. Czas do domu.

Następnego ranka Cabrilla obudził dźwięk telefonu. Sterta koców na jego łóżku ważyła tonę i spał w dresie. Mimo to dygotał z zimna. Przypomniawszy sobie mroźne kazachskie poranki, kiedy przeniknął na kosmodrom Bajkonur jeszcze w CIA. Wyciągnął rękę spod przykrycia i wziął aparat bezprzewodowy z nocnej szafki.

- Halo. - Minęła już ósma. Zaspał.

- Gdzie jesteś? - Dzwonił Overholt z Langley.

- W łóżku.

- Blisko Antarktydy? - Pytanie brzmiało ostro, oskarżycielsko. Jeśli Langston był pod jakąkolwiek presją, to chciał, żeby Juan też ją poczuł.

- Nie, w drodze do Kapsztadu, żeby zdążyć na wizytę emira Kuwejtu - odparł Cabrillo tak gładko, że prawie sam w to uwierzył.

- Na pewno?

- Lang, mam na „Oregonie” urządzenia nawigacyjne za parę milionów dolarów, więc chyba wiem, co mówię. Zechcesz mi zdradzić, co cię uwiera w slipach?

- Chińczycy wysłali okręt podwodny do ochrony Argentyńczyków...

- Wspomniałeś o tym.

- Marynarka Armii Ludowo-Wyzwoleńczej straciła z nim kontakt po wydaniu mu rozkazu zatrzymania frachtowca, który wpłynął do ich strefy zamkniętej dla żeglugi. Trzydzieści sześć godzin temu.

- Zapewniam cię, że byliśmy wtedy na wschód od Falklandów, w połowie drogi na Wyspę Świętej Heleny.

- Dzięki Bogu.

Juan jeszcze nie słyszał takiego przygnębienia w głosie przyjaciela.

- Co się dzieje?

- Od chwili zaginięcia okrętu Chińczycy szaleją. Twierdzą, że go zatopiliśmy, ale nie mają dowodu. Ostrzegają, że każde jawne działanie przeciwko Argentynie, obojętne, z czyjej strony, uznają za atak Stanów Zjednoczonych. Jeśli coś się tam stanie, upomną się o zwrot długów Ameryki. To jest trzy czwarte biliona dolarów. Bylibyśmy całkowicie zrujnowani, bo wszyscy pozostali posiadacze obligacji państwowych zrobiliby to samo. Nastąpiłby run na banki jak na początku Wielkiego Kryzysu. - Overholt westchnął ciężko. - Kanałami dyplomatycznymi przekazaliśmy im wiadomość, że w odpowiedzi nałożymy takie cła na ich towary, że tutaj nie znajdą żadnego nabywcy. Krótko mówiąc, rzucili nam wyzwanie. Nie przejmują się, że ich obywatele są bez pracy i głodują. Mogą nas wykończyć ekonomicznie. Korzystaliśmy z obsługi zewnętrznej, zapożyczaliśmy się za granicą i teraz przyjdzie nam za to zapłacić.

- Powiedzieli „jawne działanie”?

- Jawne, potajemne, nieważne. Trzymają nas na muszce. Koniec, kropka. Prezydent zarządził, że wszystkie amerykańskie okręty wojenne na Atlantyku mają pozostać na północ od równika. Wycofuje też nasze myśliwskie okręty podwodne, żeby pokazać Chińczykom, że nie będziemy się wtrącać do tego, co robią oni i Argentyńczycy. Stany Zjednoczone zrzekły się dziś statusu supermocarstwa na rzecz Chin.

Przykro było usłyszeć te słowa od człowieka, który odegrał znaczącą rolę w ostatecznym udaremieniu prób zdobycia dominacji na świecie przez Związek Radziecki. Juan nie wiedział, co powiedzieć i co dalej robić.

Postąpiłby słusznie, trzymając się planu i idąc za ciosem. Ale musiał brać pod uwagę przyszłość ludzi w kraju. Przy tym, co opisał Overholt, Wielki Kryzys mógłby zostać uznany za boom. Gigantyczne bezrobocie, głód, a w konsekwencji przemoc i bezprawie... Krótko mówiąc, Stanom Zjednoczonym groził upadek.

W końcu Juan odzyskał mowę.

- Nami się nie przejmuj. Jak powiedziałem, płyniemy do Afryki Południowej.

- Cieszy mnie to - odparł Overholt zmęczonym głosem. - Wiesz, Juan, może nie być nam łatwo wyjść z tego.

- Co masz na myśli?

- Postaramy się udobruchać Chińczyków, ale Korea Północna żąda, żebyśmy zredukowali liczbę żołnierzy na południu, bo w przeciwnym razie ściągniemy na siebie ryzyko konfrontacji militarnej. A ostatniej nocy mała bomba eksplodowała w pobliżu prezydenckiego pałacu w Caracas. Wenezuelczycy twierdzą, że próby zamachu dokonały kolumbijskie siły specjalne, i grożą odwetem. Zdjęcia satelitarne pokazują koncentrację ich wojsk wzdłuż granicy. Co interesujące, zaczęła się parę dni temu.

- To znaczy, że prawdopodobnie sami zdetonowali ładunek wybuchowy, żeby mieć pretekst.

- Też tak uważam, ale to nieistotne. Chiny dużo inwestują w Wenezueli, więc wyobrażasz sobie, jak zareagujemy w wypadku inwazji na Kolumbię.

- Będziemy kręcić młynka palcami?

- O, to mogłoby być uznane za zbyt prowokacyjne. - Overholt się zaśmiał. - Raczej usiądziemy z założonymi rękami. Posłuchaj, mam dziś rano masę spotkań. Odezwę się do ciebie później, jeśli urodzi się coś nowego. Pozdrów ode mnie emira Kuwejtu, gdyby nie udało nam się porozmawiać, zanim dotrzecie na miejsce.

- Na pewno się uda.

Juan odłożył telefon i odrzucił na bok koce. Postawił stopy w wełnianych skarpetach na podłodze - zimnej i śliskiej jak lodowisko. Sam nie wiedział, komu poszło lepiej: jemu okłamanie Overholta czy Langstonowi próba zmanipulowania swojego podkomendnego. Weteran z CIA sądził, że „Oregon” płynie do Kapsztadu, ale powiedział Juanowi o Korei Północnej i Wenezueli, żeby go zawrócić.

„Rób to, co słuszne - powtarzał mu ojciec. - Z konsekwencjami łatwiej sobie poradzić, niż myślisz”.

Ubrał się szybko i zasiadł w centrum operacyjnym z filiżanką kawy. Na bocznym stoliku stał srebrny dzbanek. Statek tkwił mocno w ziemi, więc Maurice wyjął ich najlepszą porcelanę. W ten subtelny sposób steward odplacił Juanowi za jego ostatnią kpinę. Jeśli Cabrillo dobrze pamiętał, filiżanka Royal Doulton kosztowała siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Co u Mike'a i jego drużyny? - zapytał.

Murphy i Stone siedzieli na swoich zwykłych miejscach z przodu pomieszczenia.

- Wrócili około czwartej rano - odpowiedział Eric Stone. - Mike stwierdził, że poszło dobrze, ale potrzebują co najmniej jeszcze jednej nocy. Tylko teraz jest problem.

- A kiedy nie ma?

- Łódź robocza z sonarem popłynęła dziś rano na południe.

Juan zaklął. Skoro tak łatwo znalazł wrak łodzi podwodną, to Chińczykom też się uda.

- Założę się, że drugą zatokę skuł lód, więc szukają w tej właściwej.

- Co z tym zrobisz? - spytał Mark.

- Jeszcze nie wiem - mruknął Juan. - Nie dogonimy ich żadną z łodzi podwodnych, a jak ruszymy za nimi RHIB-em, to zawiadomią przez radio bazę, że zbliża się do nich nieznana jednostka pływająca.

Hali Kasim siedział na swoim stanowisku.



- I co z tego, że zlokalizują dziś wrak? - wtrącił się do rozmowy. - Najwyżej zrobią jakieś ziarniste podwodne zdjęcia. To niczego nie dowiedzie, a jutro o tej porze dżonka będzie zniszczona.

- Zabawię się w adwokata diabła - odparł Eric. - Jeśli znajdą wrak, kto wie, czy tam nie przenocują. To nam pokrzyżuje plany.

Juana zaczynała boleć głowa; bezwiednie pomasaował skronie. Oczywiście był też drugi problem, którego nie potrafił rozwiązać. Przedstawił już swój pomysł Kevinowi Nixonowi, ale spec od efektów specjalnych uznał, że każda imitacja, jaką zrobi, zostanie natychmiast rozpoznana. Tym razem wszystko musi być autentyczne. Żeby ich plan się powiódł i Argentyńczycy niczego nie podejrzewali, Cabrillo potrzebował osiemnastu ludzkich szkieletów.

Słaby ból głowy stawał się migreną.

# Rozdział 26

- Kogo kochacie bardziej niż mnie? - Linda Ross wmaszerowała do centrum operacyjnego piętnaście cichych minut później. Niosła cienką teczkę na akta i uśmiechała się szeroko.

- Megan Fox - wypalił natychmiast Mark.

- Beyoncé! - zawołał dyżurny technik ze stanowiska kontroli uszkodzeń.

- Katie Holmes - rzucił Hali.

- Ja zawsze miałem słabość do Julii Roberts - oznajmił Eric.

- Prezesie, czy ty też okażesz się seksistowską świnią? - spytała Linda.

- Jedyną kobietą, którą kocham bardziej niż ciebie, jest moja mama.

Pozostali mężczyźni zakpili z niego pod nosem. Linda się uśmiechnęła.

- Punkt dla ciebie.

- Tylko mi przypomnij, dlaczego tak cię kocham.

- Odkryłam, że niecałe sto mil morskich na południe stąd jest norweska stacja wielorybnicza opuszczona w latach trzydziestych XX wieku.

- Nie potrzebujemy kości wielorybów.

- Została zachowana jako miejsce światowego dziedzictwa, bo... znajdują się tam kaplica i cmentarz, gdzie spoczywa dwudziestu siedmiu wielorybników, którzy zginęli na tych wodach. Kazałam mi znaleźć kości, więc to zrobiłam.

Juan zerwał się i w dwóch susach podskoczył do Lindy. Musiał się nisko schylić, żeby ją pocałować w aksamitny policzek. Migrena nagle ustąpiła i ponury nastrój prysł. Gnębiło go to, że jeśli nie znajdą kilkunastu szkieletów, będzie musiał zostawić zakładników własnemu losowi. Wątpił, żeby argentyńskie dowództwo przejmowało się ich losem, kiedy robi się gorąco, więc niechybnie ponieśliby śmierć.

- Prezesie, łapię transmisję z chińskiej łodzi roboczej - zakomunikował Hali, odwracając się z powrotem do baterii komputerów.

- Zakłóć to!

Kasim przebiegł palcami po klawiaturze.

- Wyizolowałem częstotliwość. Załatwione. Komputer będzie automatycznie reagował na ich poszukiwania sygnału na skali.

- Dobra. Jeśli mają coś do zameldowania, muszą wrócić do bazy. Dwa problemy rozwiązane w niecałą minutę. Doskonała robota, ludzie.

Do centrum operacyjnego weszli Max i Tamara. Ich dłonie prawie się stykały; Juan podejrzewał, że trzymali się za ręce zaledwie sekundy wcześniej. Olbrzymia żaba i księżniczka, pomyślał, ale cieszył się, że mają się ku sobie.

- W samą porę, przyjacielu.

Hanley spojrział na niego jak klient autokomisu na sprzedawcę.

- Mam złe przeczucia.

Cabrillo uśmiechnął się szeroko.

- I słusznie. Bo chcę, żebyś się zabawił w Igora i obrabował cmentarz przykościelny.

- Żeby co zrobił?! - wykrzyknęła z przerażeniem Tamara.

Max pokręcił głową.

- Przyznam, że miałem w duchu nadzieję, że ta część operacji nie wypali.

- Daj spokój - podrażnił się z nim Juan. - Świeże powietrze, gwiaździste niebo w górze,

Norwegowie w stanie rozkładu. Będzie super!

- O czym wy mówicie? Kto w stanie rozkładu?

- Chcemy uwolnić zakładników tak, żeby przeciwnik się nie połapał, że zniknęli, więc dla zmyłki trzeba po nich coś zostawić - wyjaśnił Max.

- Ale...

- Kiedy wyprowadzimy naukowców, podpalimy budynek - dodał Juan. - Na miejscu zostanie tylko osiemnaście osmalonych szkieletów. Nikt poza patologiem nie pozna, że to nie są szczątki uwieczonych mężczyzn i kobiet. Całe szczęście, że zimą załogi stacji polarnych są takie małe, bo inaczej musielibyśmy znaleźć inne rozwiązanie.

- Na przykład? - Tamarze kręciło się w głowie.

- Detonacja niedużej bomby atomowej.

Za krótko była wśród członków korporacji, żeby się zorientować, czy Cabrillo żartuje, czy nie. Nie zdziwiłaby się, gdyby mówił serio.

Jego wilczy uśmiech powiedział jej tylko tyle, że otacza ją banda awanturniczych dzieciaków. Spojrzała pytająco na Maksa. Wzruszył ramionami.

- To chyba dobrze, że niedużej... - wymamrotała.

Linda podeszła do niej, jakby była ostoją normalności w ich szaleństwie.

- Bez obaw. Wiemy, co robimy - uspokoiła Tamarę.

- Cieszę się, bo ja nie.

Dwadzieścia minut później Hanley odpłynął RHIB-em z pontonem na holu. On i jego czteroosobowa ekipa pokonali pięć mil morskich w linii prostej, zanim skręcili na południe, więc nikt z brzegu nie mógł ich zauważyć. Do odkopania kości Max wziął ze sobą wysokociśnieniową pompę napędzaną silnikiem benzynowym. Wystrzeliwana z niej szpryca podgrzanej wody osiągała ciśnienie do dwustu osiemdziesięciu atmosfer, więcej niż wystarczające do roztopienia zmarzliny przykrywającej ludzkie szczątki. Kiedy wyruszyli, Max powiedział:

- Żadnych oskardów i łopat dla ukochanego syna pani Hanley.

Juan miał dzisiaj zdecydowanie trudniejsze zadanie. Dopóki Chińczycy badali zatokę, gdzie spoczywał wrak, Mike Trono i jego drużyna nie mogli kontynuować swojego zajęcia. Łódź podwodna Nomad ze służą powietrzną była zatem wolna. Stały półmrok zapewniał dostateczną osłonę. Hałas na argentyńskich platformach wiertniczych i bulgot pęcherzyków gorącego powietrza w zatoce zagłuszały odgłosy pracy Cabrilla.

Na dole, w pomieszczeniu, skąd zaczynano operacje podwodne, Juan przygotował się do nurkowania. „Suchy” skafander Viking włożył na siatkowy strój, przez który przechodziło trzydzieści metrów rurek. Krążyła w nich ciepła woda dostarczana „pępowiną” z nomada. Choć Argentyńczycy ogrzewali zatokę, Cabrillo wołał nie ryzykować, że napotka zamarzającą wodę na swojej drodze. W

pępowinie mieściły się też kabel telekomunikacyjny i przewód powietrzny, więc Juan nie musiał brać ze sobą pękatek butli.

Na hełmie chroniącym całą twarz znajdowały się silne lampy; przyciemnił je, zamalowując farbą połówki soczewek. Wiedział, że to bardzo utrudni mu pracę, ale jednocześnie będzie dużo mniej widoczny z powierzchni. Musiał tylko stale pamiętać, że nie może patrzeć w górę, żeby nikt nie zobaczył światła.

Linda miała pilotować miniłódź podwodną, a Eddie Seng nadzorować nurkowanie Juana.

Gdy tylko ruszyli, Linda skierowała nomada ku rufie „Oregona”. Tuż pod nagim flagsztokiem została otwarta pokrywa odsłaniająca wielki bęben z nawiniętą liną holowniczą. Splot nie był stalowy, lecz z włókna węglowego, dzięki czemu hol ważył jedną czwartą tego co tradycyjny i miał pięciokrotnie większą wytrzymałość, a w dodatku zerową pływalność. Linda złapała koniec liny potężnym chwytakiem nomada i założyła na zaczep.

Wzięli kurs na argentyńską bazę. Początkowo hol nie stawiał dużego oporu, ale wiedzieli, że zanim odwiną wystarczająco długi odcinek, łódź podwodna będzie się zmagać z liną. Tak wyliczyli czas, żeby wejść do zatoki z przyływem.

Ponad godzinę zajęło im dotarcie do pylonów podpierających zakład przerobu gazu, który tak długo Juan i Linc oglądali poprzedniej nocy. Dzięki sztuczemu ogrzewaniu wody, wokół grubych żelbetowych filarów kwitło morskie życie. Matowobrazowe kraby biegały po dnie, ryby śmigły między kolumnami pokrytymi pąklami i omułkami.

Nomad miał dwadzieścia metrów długości, ale odpowiednio rozmieszczone na kadłubie pędniki zapewniały mu dużą zwrotność. Linda przygryzała dolną wargę równymi białymi zębami, gdy przeprowadzała go pod obiektem przemysłowym i wokół jednej z kolumn. Potem posadziła łódź na dnie.

Znów uruchomiła manipulator. Tarcie o szorstką powierzchnię filara znacznie osłabiłoby splot liny, nawet tak mocnej z włókna węglowego. Mechanicznym ramieniem Linda zdrapała nagromadzone skorupiaki. Odrywane małe małże gwałtownie zatrząskiwaly swoje muszle i znikaly w mroku.

Następnie obróciła chwytak, by wyjąć z kosza transportowego kilka sklejonych ze sobą plastikowych rur. Podobne wykorzystywano do instalacji wodno-kanalizacyjnej w barze, więc gdyby kiedykolwiek zostały znalezione, co mało prawdopodobne, nie wzbudziłyby podejrzeń. Uznano by je za kolejne śmiecie w morzu. Połączone rury tworzyły półkole do opasania tyłu filara.

Lina miała się przesuwac po gładkim plastiku, nie po betonie.

Linda wpasowała rękaw ochronny na miejsce i okrążyła nomadem kolumnę.

- Dobra robota - pochwalił Juan, kiedy się wolno cofali. Czarny hol łatwo prześlizgiwał się po PCV. - Został nam jeszcze jeden postój.

Linda zakręciła i popłynęła z powrotem przez zatokę. Musiała użyć pełnej mocy silnika łodzi podwodnej, aby ciągnąć linę i pokonywać siłę przyływu. Akumulatory wyczerpywały się prawie dwukrotnie szybciej niż w zwykłych warunkach i ledwo pełzli, ale parli naprzód.

Dwadzieścia minut później byli pod krążownikiem „Admirał Guillermo Brown”. Opuszczona kotwica leżała bokiem na skalistym dnie morskim; ciężki łańcuch biegł w górę ku powierzchni. Jakies sześć metrów dzieliło kil okrętu od dna.

- „Brown”, dziwna nazwa dla argentyńskiej jednostki - zauważył Eddie, kiedy podawał Juanowi hełm.

- Ten admirał w rzeczywistości miał na imię William. Urodził się w Irlandii i wyemigrował do Argentyny. Przypisuje mu się stworzenie ich marynarki wojennej na początku XIX wieku i przygotowanie jej do walki z hiszpańską.

- Skąd to wiesz? - zapytała Linda z kokpitu.

- Poszukałem go w Google'ach, gdy pierwszy raz zobaczyliśmy ten krążownik. Mnie też nazwa wydała się dziwna.

Juan wcisnął się do ciasnej śluzy powietrznej, obciążony pasem narzędziowym. Na plecach dźwigał przypasane dwa cylindry niczym miotacze ognia z czasów II wojny światowej. Kiedy zamknął właz, wetknął pępowinę do otworu przyłącza i sprawdził, czy wszystko działa. Ciepła woda przepływała przez skafander, dostawał powietrze i miał kontakt radiowy z nomadem. Dopiero kiedy Eddie to potwierdził, otworzył zawór, żeby zalać komorę wielkości szafy.

Woda pieniała się i syczała, gdy sięgała coraz wyżej. Napierała na nogawki gumowego skafandra, ciśnienie rosło. Temperatura była przyjemna, ale nie wykluczała, że trafi na lodowate strefy na zewnątrz. Widział, jak Eddie obserwuje go przez małą szybę we włazie śluzy. Juan pokazał mu znak nurków, że wszystko w porządku. Eddie odpowiedział tym samym.

Chwilę później woda dotarła do sufitu. Juan sięgnął w górę i otworzył właz zewnętrzny. Gdy pokrywa się uniosła, ze środka uszło kilka pęcherzy powietrza. Wydostał się z nomada ze schyloną głową, żeby nie oświetlać powierzchni morza. Wątpił, żeby Argentyńczycy wystawili warty w taki mróz, ale ostatniej nocy też się nie spodziewał, że on i Linc natkną się na wartownika.

Woda niosła vibracje z okrętowego generatora, który wytwarzał energię do zasilania systemów krążownika i ogrzewania. Silniki napędowe nie pracowały. Juan poznał to wcześniej po tym, że tylko smuzka dymu wydobywała się z pojedynczego pochylego komina „Admirała Guillerma Browna”.

Oddalił się od łodzi podwodnej i zanurkował do dna pełnym gracji łukiem. Uderzył butami w podłoże; wzbity muł wolno podryfował z prądem. Jedna z rur grzewczych o średnicy piętnastu centymetrów była na lewo od niego. Pęcherzyki powietrza unosiły się z otworków na całej jej długości srebrzystymi strumykami.

Juan skupił uwagę na kotwicy „Admirała Guillerma Browna”. Na oko miała dwa i pół metra długości i ważyła ze cztery tony - aż nadto, by utrzymać okręt w miejscu mimo pływów. Luźny kawałek leżącego obok niej łańcucha tworzył mały stos koloru rdzy.

- Co tam na dole?

- Na razie bez problemu. Patrzę na kotwicę.

- I?

- Powinno mi się udać odczepić ją od łańcucha. Trzpień jest przyśrubowany.

Cabrillo wyjął z pasa narzędziowego klucz nastawny. Założył go na pierwszą śrubę i kciukiem docisnął do oporu pokrętko regulacyjne. Drobiny farby uniosły się z łba śruby, kiedy przekręciła się o jedną ósmą obrotu, i to wszystko. Juan napiął mięśnie, zaparł się nogami o kotwicę i ciągnął, omal nie zemdlał. Śruba obróciła się o następne czterdzieści pięć stopni. Usunięcie jej zajęło mu dziesięć wyczerpujących minut; ociekał potem.

- Wyłącz ogrzewanie skafandra, Eddie, bo się ugotuję.

- Już.

Druga śruba ustąpiła od razu; gdy tylko ją ruszył, dała się odkręcić palcami.

Z trzecią i czwartą nie poszło tak łatwo, ale uporał się z nimi dużo szybciej niż z pierwszą. Schował klucz do pasa i chwycił gumowy młotek. Zrezygnował z użycia metalowego, żeby nie

hałasować.

Uderzył w przetyczkę. Woda osłabiła jego zamach, ale cios przesunął bolec o centymetr. Po trzech następnych uderzeniach trzpień prawie wypadł z kotwicy. Przetyczka nadal zapobiegała temu, że krążownik się przemieści przez przyływ i odpływ, ale silne szarpnięcie wyrwałoby ją całkowicie i „Admirał Guillermo Brown” znalazłby się na łasce morza.

- O rany!

- Co?

- Dotarła do mnie warstwa zimnej wody. Straszne.

- Włączyć z powrotem ogrzewanie skafandra?

- Nie, już mnie minęła.

Juan ruszył po dnie do miniłodzi podwodnej, zbierając po drodze zwoje pępowiny, żeby się nie splątała.

Zdjął z zaczepu linę holowniczą z włókna węglowego i zaciągnął ją z powrotem do kotwicy. Trochę dopompował swoją kamizelkę ratunkową, żeby łatwiej się wznosić, i wspiał się ręka za ręką po łańcuchu. Na razie hol zostawił na dnie.

Zatrzymał się, gdy dotarł do spodu okrętu wojennego o długości stu dwudziestu metrów. Dół kadłuba był pomalowany czerwoną farbą antykorozyjną i zadziwiająco wolny od narośli. Juan musiał teraz przyspawać punktowo osiem metalowych pierścieni do dziobu. Dlatego miał na plecach dwa pojemniki. Mieściły się w nich mocne akumulatory do ręcznej spawarki łukowej. Normalnie używano jej do szybkich napraw na „Oregonie”.

Znów wyregulował swoją pływalność i włożył maskę ochronną na hełm, by wygodnie pracować wśród iskier elektrycznych jaśniejszych niż słońce. Krzywizna kadłuba krążownika zasłaniała go od góry i w ciągu dwudziestu minut wykonał zadanie. Pierścieni było osiem na wypadek, gdyby jeden lub więcej spawów puściło. Juan się nie łudził, że jest ekspertem w tej dziedzinie. Dziesięć minut później skończył przewlekać hol przez wszystkie pierścienie. Na samym końcu liny przymocował na zacisk stalową skrzynkę wielkości książki. Służyła jako blokada holu i zawierała materiał wybuchowy. Sygnał z „Oregonia” miał zdetonować mały ładunek plastiku i zniszczyć skrzynkę, żeby odblokować linę i umożliwić wyszarpnięcie jej z ośmiu pierścieni. Tylko one stanowiłyby dowód obcej ingerencji. Juan liczył na to, że nie przetrwają tego, co zaplanował.

Gdy tylko wrócił do nomada i zamknął nad sobą zewnętrzny właz, Linda włączyła napęd i ruszyła w drogę.

- Operacja „Strzał z Bicza” rozpoczęta - oznajmił, kiedy Eddie pomógł mu zdjąć hełm.

- Miałeś kłopoty?

- Prawie żadnych. Bułka z masłem.

- Następna dobra wiadomość - oznajmiła Linda. - Według Erica, zbliża się do nas sztorm.

Powinien uderzyć jutro w porze dnia, która w tych stronach uchodzi za świt.

- Oddzwoń i każ cofnąć „Oregonia” kawałek od plaży. Niech opróżni też prawe zbiorniki balastowe, ale lewe zostawi zalane. Dzięki temu statek nabierze przekonującego przechyłu. - W oczach Juana pojawił się błysk oczekiwania. - Mam nadzieję, że Argentyńczykom podobało się rządzenie tą częścią świata, bo ten okres właśnie się kończy.

O piątej po południu chińska łódź poszukiwawcza przepłynęła obok „Oregonia” stojącego kawałek od brzegu. Statek wciąż znajdował się wystarczająco blisko lądu, by duża fala mogła go wbić utwardzonym dziobem w dno morza. Załoga frachtowca nie wątpiła, że Chińczycy zameldują, iż

„Norego” się uwolnił i znów zaczyna dryfować. Godzinę później wykończony i przemarznięty Max Hanley wrócił ze swoją ekipą i makabrycznym ładunkiem.

- Koszmar - oświadczył Hanley, kiedy RHIB został wciągnięty do hangaru łodziowego wzdłuż burty statku. - Nie dość, że jest tam zimniej, niż wiecie gdzie u pingwina, to jeszcze ten cmentarz przyprawiłby o gęsią skórę Stephen Kinga. Wszystkie nagrobki to rzeźbione wielorybie kości, a płot zrobiono z żeber wysokich jak ja. Łukowa brama została zbudowana z czaszek wielkości volkswagena garbusa.

- Jakież problemy z odkopaniem szczątków?

- Poza wiecznym potępieniem mojej duszy za zbezczeszczenie świętego miejsca?

- Mhm.

- W takim razie wszystko poszło dobrze. Mogiły były na głębokości zaledwie trzydziestu centymetrów i zwłoki leżały w workach uszytych z żagli. Zaskakujące, że w większości uległy rozkładowi.

- Zimą nie pochowaliby tych ludzi, ziemia za bardzo zmarznięta. A wiosną jest wystarczająco ciepło, żeby bakterie robiły swoje.

- Co dalej?

- Ogrzejcie się. Mike i jego grupa właśnie popłynęli z powrotem do wraka. Zanim wrócą i znów przygotujemy nomada, trochę się rozerwiemy.

- Nadciąga sztorm?

- Eric powiedział, że piekło rozpęta się tu o świcie.

- To raczej nie pora na kręgle i piwo.

- Jak mówią słowa piosenki, „Jeszcze nic nie widziałeś”.

# Rozdział 27

Major Espinoza odłożył raport z prognozą pogody na biurko Luisa Laretty. Gęsty dym z cygar wypełniał mały gabinet z obowiązkowym portretem generalissimusa Ernesta Corazóna na jednej ścianie i plakatem ze skąpo ubraną dziewczyną na drugiej.

- Ten sztorm to doskonała okazja do ataku dla amerykańskich sił specjalnych. Będą się spodziewali, że siedzimy w przytulnych kwaterach, i potajemnie podłożą ładunki wybuchowe w całym obozie. - Espinoza zadumał się na chwilę. - Wyślę patrole parę kilometrów dalej od bazy. Jeśli tamci tu są, to dokonali desantu spadochronowego dość daleko od wybrzeża i muszą przeprowadzić natarcie lądowe.

- Chyba nie myśli pan poważnie, że zaatakują? - Laretta machnął cohibą.

Major popatrzył na niego beznamiętnie.

- Płacą mi za to, żebym był przygotowany na ich uderzenie. Nie mogę sobie pozwolić na luksus wygłaszania opinii.

- Każdy z nas ma swoje zadania - odparł dyrektor kompleksu. Wolał, żeby marzli żołnierze niż jego ludzie.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołał Laretta.

Wszedł Li Fong, szef chińskiego zespołu poszukiwawczego. Uśmiechał się od ucha do ucha.

- Fong, jak się pan ma? - powitał go Laretta.

- Świetnie. Zlokalizowaliśmy „Milczące Morze”.

Dyrektor uniósł się z krzesła.

- Tak szybko? Wspaniale. Niech pan sobie weźmie cygaro. - Kiedy z powrotem usiadł, wyjął z dolnej szuflady butelkę brandy i papierowe kubki.

- Właściwie nie palę - odparł inżynier o łagodnym głosie. - Ale w tych okolicznościach...

- Jest pan pewien, co znaleźliście?

Li wyjął PDA i wyświetlił zdjęcie. Wręczył mały komputer Espinozie.

- Kiedy zaczęliśmy odbierać wyraźne echo sonarowe, wysunąłem na dół aparat fotograficzny. Przyznaję, że rozdzielczość kiepska, ale patrzy pan na rufę jednej z największych dżonek, jakie kiedykolwiek zbudowano.

Jorge widział tylko niewyraźną ciemną plamę.

- Muszę panu wierzyć na słowo.

- Niech pan mi zaufa. To „Milczące Morze”. Jutro zanurkujemy do wraka i zdobędziemy niezbity dowód. Próbowałem z morza zameldować o odkryciu i poprosić o przysłanie nurków, ale nie mogłem nawiązać łączności.

Fong przyjął drinka od Laretty.



Espinoza odmówił.

- Jestem na służbie.

- Pańska strata. - Dyrektor mu zasalutował i wznosił toast w kierunku Li Fonga. - Gratulacje.

Teraz już nikt nie zakwestionuje naszych praw do tego ładu i bogactw u jego wybrzeży. Szczerze mówiąc, od początku budowy kompleksu zawsze się obawiałem, że ktoś wykryje tę operację i nas stąd wykopie. Ale teraz już nie. Zostaniemy tutaj.

- Zawiadomił pan swoich przełożonych? - zapytał major.

- Tak, przed chwilą. Są bardzo zadowoleni. - Fong się rozpromienił. - Mój bezpośredni szef powiedział, że dostanę medal i nasza firma będzie miała zawsze zagwarantowane kontrakty rządowe.

- Niech pan zażąda dużej podwyżki - zasugerował Laretta i dolał mu brandy. - Należy się panu.

- Może tak zrobić. Aha, zapomniałem. Tamten statek na plaży.

- Co? - zapytał ostro Espinoza. Frachtowiec wydawał mu się podejrzany; oplakany stan statku wcale go nie uspokoił.

- Odpłynął od brzegu i zaczyna dryfować.

- Nie widział pan dymu z komina?

- O, nie. I jest mocno przechylony na burtę. Chyba niedługo się przewróci.

Espinoza żałował, że wcześniej miał chwilę słabości. Powinien pozwolić sierżantowi Lugonesowi podłożyć ładunki wybuchowe i rozwalić frachtowiec na kawałki. Nie było jeszcze za późno. Mógł poprosić kapitana „Admirała Guillerma Browna”, żeby zatopił tę starą łajbę rakieta, ale wolał, żeby marynarka wojenna nie marnowała drogiej amunicji przez jego paranoję. Liczył na to, że sztorm szczęśliwie pośle „Norego” na dno albo odepchnie tak daleko, że ta kupa złomu zniknie z widoku i przestanie go niepokoić.

- Panie Laretta, poczęstowałby mnie pan jeszcze brandy?

- Z przyjemnością. - Luis nalał trochę do papierowego kubka Li.

Major nagle wstał. Odnosił wrażenie, że coś jest nie tak. Nie mówił mu tego instynkt, lecz przecucie. Denerwował się. Amerykanie zaatakują. Tej nocy lub jutro, kiedy uderzy sztorm. Zniszczą wszystko, z czego ci dwaj zadowoleni z siebie mężczyźni są tacy dumni.

- Panowie, chyba nie muszę wam przypominać, że dopóki świat oficjalnie nie uzna Półwyspu Antarktycznego za suwerenne terytorium Argentyny, grozi nam niebezpieczeństwo?

- Niech pan da spokój, drogi majorze. - Laretta miał słabą głowę. Już zaczynał bełkotać. - Nic w tym złego, że świętujemy sukces.

- Może nie, ale uważam, że trochę na to za wcześnie. Proszę zawiadomić swoich podwładnych, że godzina policyjna jest dziś za sześćdziesiąt minut i dla nikogo nie będzie wyjątku. Moi ludzie na patrolach dostaną rozkaz, żeby strzelać. Rozumie pan?

To otrzeźwiło Laretę. Przytaknął.

- Godzina policyjna za sześćdziesiąt minut. Tak, panie majorze.

Espinoza odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Dawał wycisk swoim żołnierzom, odkąd tu przylecieli, i dziś zamierzał jeszcze bardziej dokręcić im śrubę. On i Raul planowali tak rozmieścić patrole, żeby kontrolowały każdy centymetr kwadratowy terenu wokół terminalu naftowego. A znając skłonność Amerykanów do ratowania innych, zdecydował też podwoić liczbę strażników pilnujących więźniów.

Juan przeciągnął brzytwą po policzku i umoczył ją w miedzianej umywalce. Z powodu dużego przechyłu „Oregona” musiał się trzymać drugą ręką. Skończył się golić, opłukał ostrze i bardzo

dokładnie wytarł je ręcznikiem. Jego dziadek, fryzjer, nauczył go, że nie należy odkładać mokrej brzytwy, jeśli ma pozostać ostra.

Wypuścił wodę z umywalki i ochlapał twarz pod kranem. Spojrzał sobie w oczy w lustrze. Sam nie wiedział, co widzi. Był dumny z podjętej decyzji, a jednocześnie uważał, że powinni wynieść się stąd do Afryki Południowej, gdzie dawano im piętnaście milionów tylko za to, że przez trzy tygodnie poczuwają nad bezpieczeństwem szefa państwa, choć temu i tak nic nie groziło.

Osuszył twarz ręcznikiem i włożył T-shirt. Podkreśli trochę ogrzewanie, ale miał gęsią skórę na ramionach i piersi.

Podsłoczył na prawej nodze do szafy w ścianie i wybrał jedną spośród pięciu protez. Stały na podłodze jak same lewe buty kowbojskie. Kilka minut później skończył się ubierać i poszedł do pomieszczenia z basenem zanurzeniowym. Wiedział, że powinien coś zjeść, ale miał za bardzo ściśnięty żołądek.

W centrum operacji podwodnych panowała krzątanina. Technicy uwijali się przy nomadzie 1000, którym właśnie wrócił Trono ze swoją grupą. Mike zameldował, że ładunki są rozmieszczone i gotowe do zdetonowania. Jego drużyna wywierciła otwory w spodzie lodowca wiszącego nad zatoką i wpakowała do nich dość materiału wybuchowego, by oderwać sto tysięcy ton lodu.

Juan włączył kilka kamer zewnętrznych na stanowisku roboczym. Na dworze rozpełtało się piekło. Wirujący śnieg sypał na statek ze wszystkich stron, bo wiatr stale zmieniał kierunek. Fale sięgały relingów i zalewały pokład, a gdy uderzały w brzeg, to z taką siłą, że przemieszczały pięćdziesięciokilowe głazy tam i z powrotem niczym drobne kamyczki. Spojrzał na wyświetlacz meteorologiczny. Termometr wskazywał minus dwadzieścia pięć stopni, ale z powodu zimnego wiatru odczuwalna temperatura była o dziesięć kresek niższa.

Eddie Seng i Linc zjawili się parę minut później. Ponieważ mieli nadzieję wrócić na statek z pasażerami, grupa szturmowa musiała być mała. Nomada zaprojektowano dla dziesięciu osób, a zamierzali upchnąć w nim dwadzieścia jeden.

Tak jak poprzednio, włożyli stroje polarne podobne do ubiorów argentyńskich żołnierzy. Do wodoszczelnego worka przypasanego do łodzi podwodnej zapakowali dodatkowe kurtki dla uwięzionych naukowców. W drugim takim samym worku wieźli kości od dawna nieżyjących Norwegów. Juan wciąż się zastanawiał, jak zrekompensuje to, że przerwał wielorybnikom wieczny odpoczynek.

Maurice wyrósł u jego boku z przykrytą tacą. O trzeciej nad ranem wyglądał świeżo i nieskazitelnie elegancko jak zawsze.

- Wiem, że rzadko pan jada przed akcją, kapitanie, ale musi pan. Przy tej pogodzie organizm zbyt szybko spala kalorie. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wspominałem o tym, ale uczestniczyłem w operacji Królewskiej Marynarki Wojennej, kiedy Argentyńczycy ostatni raz zadzierali nosa na południowym Atlantyku. Chłopcy, którzy odzyskali Sandwich Południowy, wrócili sztywni jak Stonehenge.

Zdjął pokrywę i zaprezentował Juanowi omlet z szynką i pieczarkami. Aromat sprawił, że skurcz żołądka ustąpił. Cabrillo przypomniał sobie też o czymś, co wyleciało mu z głowy, i odesłał Maurice'a z powrotem do kuchni, żeby to załatwił.

Wodowanie poszło gładko i wkrótce byli w drodze. Coś się jednak zmieniło. Gdy mijali krążownik „Admirał Guillermo Brown”, przez hałas wokół Juan dosłyszał odgłos silników napędowych okrętu. Dźwięk i wibracje rozchodziły się w wodzie i docierały do wnętrza stalowego

kadłuba ciśnieniowego. Cabrillo nie zamierzał się wycofywać, ale uznał to za zły znak.

Tym razem nie wynurzyli się obok łodzi roboczych, jak poprzednio, lecz pod drugim końcem nabrzeża, bliżej budynku, gdzie więziono naukowców. Sztorm zagłuszył warkot nomada przebijającego powierzchnię.

Linc otworzył właz. Wspiął się na górę i zniknął z widoku, kiedy Juan wkładał kurtkę i gogle. Wielki komandos SEAL wrócił po chwili.

- Mamy problem.

- Co jest?

- Przyjrzałem się nabrzeżu w podczerwieni i naliczyłem trzech wartowników.

- W taką noc? - zdziwił się Eddie.

- Właśnie dlatego - odparł Juan. - Na miejscu Espinozy uznałbym, że sztorm to doskonała okazja do ataku, i odpowiednio rozmieściłbym siły.

Juan wziął lornetkę noktowizyjną od Linca i sam zrobił rozpoznanie, leżąc płasko na nabrzeżu. Zauważył wspomnianych przez

Linca żołnierzy, a kiedy powiódł wzrokiem po bazie, zobaczył więcej ruchomych postaci. W ciągu minuty dostrzegł co najmniej dziesięciu ludzi na służbie.

- Zmiana planu.

Chcieli uwolnić więźniów i przynajmniej wsadzić ich do nomada, zanim się zajmą argentyńskim kążownikiem. Ale przy tylu patrolach w kompleksie ryzyko wykrycia grupy było zbyt duże. Teraz musieli wykorzystać okręt wojenny do odwrócenia uwagi Ar-genów. Juan wyjaśnił towarzyszom, co robić. Słuchał tego Max na „Oregonie”.

- Nie podoba mi się to - oświadczył, kiedy Juan skończył.

- Nie mamy wielkiego wyboru. Inaczej nie zbliżymy się do zakładników nawet na trzy metry.

- Dobra, tylko daj znać, jak będziecie gotowi.

- Podejdźcie do więzienia najbliżej, jak wam się uda, i czekajcie na mój sygnał - polecił Cabrillo reszcie drużyny.

Wyszli razem z łodzi podwodnej, Linc i Eddie wzięli po jednym wodoszczelnym worku. Musieli się czołgać centymetr za centymetrem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Obliczyli, że potrzebują z dwudziestu minut, aby dotrzeć do tymczasowego więzienia.

Juan poszedł w przeciwnym kierunku. Każdy krok wymagał dużego wysiłku. Podmuchy uderzały raz w twarz, raz w plecy, aż się zataczał. Wiatr szarpał ubranie; szalik się obluźował. Juan odnosił wrażenie, że ktoś ochlapuje mu skórę ługiem.

Posuwał się naprzód, wykorzystując chwile, kiedy Argentyńczycy nie patrzyli w jego stronę. Wicher jednak na coś się przydawał. Większość żołnierzy poruszała się tyłem do wiatru, więc Cabrillo mógł pokonywać większe odległości, gdy porywy trwały dłużej.

Widoczność była fatalna i o mało nie wpadł na żołnierza stojącego po zawietrznej spychacza. Zamarł półtora metra od wartownika odwróconego do niego bokiem. Znalazł się tak blisko Argentyńczyka, że widział futro wokół jego wściekle trzepoczącego kaptura. Cofnął się o krok, potem jeszcze kawałek, i znów znieruchomiał, kiedy pojawił się drugi strażnik.

- Jaguar! - zawołał pierwszy żołnierz, gdy zobaczył kolegę.

- Kapibara! - odpowiedział tamten.

Hasło i odzew. Juan się uśmiechnął. Wywiadowcza sztuczka. Kiedy ominął dwóch mężczyzn, przekazał tę informację przez radio Eddiemu i Lincowi na wypadek, gdyby ktoś ich zatrzymał.

Odtąd Juan poruszał się dużo szybciej. Kiedy znów natknął się na jakiegoś Argentyńczyka, ten odwrócił się gwałtownie, wprawdzie nie z palcem na spuście, ale z uniesioną bronią.

- Jaguar.

- Kapibara - odparł śmiało Cabrillo. Facet opuścił pistolet maszynowy.

- Jedyne pocieszenie, że major jest z nami na tym wygwizdowie, a nie w ciepłej kwaterze - wymamrotał żołnierz przez warstwy szalika.

- Nigdy nie każe robić tego, czego sam by nie zrobił. - Juan nie miał pojęcia, czy to prawda, ale zdążył się zorientować, że Espinoza nie dowodzi wojskiem z za biurka.

- Chyba. Trzymaj się ciepło. - Argentyńczyk odszedł.

Juan ruszył dalej. Minął jeszcze trzy zmarznięte i znudzone warty. Dziesięć minut później dotarł do zakładu przerobu gazu.

- Jestem na miejscu - zawiadomił swoich. - A wy?

- Został nam jeszcze kawałek do celu - odparł Linc. - Kręci się tu tyle ludzi co w Rio podczas karnawału.

- Max, gotowy?

- Balast wypompowany, silniki pracują.

- Okej, czekaj na sygnał.

Juan otworzył drzwi dla personelu zakładu obok wielkich podnoszonych wrót i wszedł do przedsionka. Natychmiast zatrzymał go wartownik.

- Kajman.

Cabrillo przełknął ślinę. W tym budynku obowiązywało inne hasło. Przeklinał w duchu dalekowzroczość Jorgego Espinozy, gdy gorączkowo przypominał sobie nazwy południowoamerykańskich stworzeń. Lama. Boa. Anakonda. Eee... leniwiec. Koniec. Więcej nie pamiętał.

Minęło pół sekundy i wartownik stawał się podejrzliwy. Jaguar kojarzy się z kapibarą jak kajman z czym? Drapieżnik i ofiara. Kajman żywi się rybami. To ryba. Ale jaka? Tylko jedna przyszła mu do głowy.

- Pirania.

Żołnierz opuścił broń i Cabrillo musiał bardzo się kontrolować, żeby nie okazać, jak mu ulżyło.

- Wiesz, że nie wolno ci tu być.

- Tylko na chwilę. Muszę się trochę ogrzać.

- Przykro mi, stary. Znasz rozkazy majora.

- Daj spokój, człowieku. Przecież tu go nie ma.

Żołnierz zastanawiał się przez moment, potem wyraz współczucia pojawił się na jego twarzy.

- Dobra, włącz. Ale najwyżej na pięć minut, i jak przyjdzie Espinoza albo Jimenez, to powiem, że się tu zadekowałeś, zanim objąłem służbę.

- Pięć minut. Obiecuję.

Juan ominął wartownika i wszedł do gorącej hali. Musiał zdjąć kaptur i rozpiąć kurtkę. Urządzenia przetwórcze szumiały - przepływał przez nie gaz ziemny dostarczany rurami spod morza. Po drugiej stronie rozległego pomieszczenia ogień buzował w piecach, żeby zatoka nie zamarzła. Cabrilla znów zdumiała skala i złożoność techniczna argentyńskiego projektu.

- Max, jestem w środku. Do dzieła.

Juan znalazł jedną z głównych linii przesyłowych gazu. Wyjął mały ładunek wybuchowy i

włączył czujnik ruchu. Sensor nie był szczególnie czuły, ale to nie przeszkadzało.

Cabrillo odwrócił się do wyjścia, gdy z przedsionka wyłoniło się czterech mężczyzn. Zdjęli tam stroje polarne, więc od razu rozpoznał Espinozę. Majorowi towarzyszyli sierżant, który był z nim na „Oregonie”, i dwóch innych podoficerów. Juan cofnął się za jakieś urządzenie, zanim go zauważyli.

- Widzieliśmy, jak tu się podkradałeś! - krzyknął Espinoza przez hałas maszyn. - Nie pogarszaj swojej sytuacji. Wyjdź, to nie oskarżę cię o dezercję.

Cabrillo spojrział na bombę, potem znów na dwóch krzepkich podoficerów - zostali sami przy drzwiach, bo Espinoza i sierżant Lugones zaczęli go szukać.

- Max - szepnął szybko. - Mogę wpaść, ale nie stawaj. Słyszysz? Jakoś się wydostanę.

- Przyjąłem - odparł krótko Hanley; choć dobrze wiedział, że ostatnie zdanie prezesa to kłamstwo.

Max patrzył przez moment w przestrzeń, potem zmusił się do działania.

- Panie Stone, proszę dać pięć procent mocy i naprężyć linę.

- Tak jest. - Eric uruchomił bezkonkurencyjne silniki „Oregona” i ruszył naprzód z szybkością ćwierć węzła.

Technik ulokowany w schowku bębna holu na rufie krzyknął, kiedy lina zaczęła się napinać.

Nawet przy wietrze i falach atakujących statek Eric nie potrzebował informacji, że hol się napręży. Wyczuwał reakcje „Oregona” niemal w każdych warunkach.

- Lina napięta, panie Hanley - zameldował. W centrum operacyjnym podczas akcji jak zwykle porozumiewali się bardzo oficjalnym językiem.

- Dobrze, łagodne przyspieszenie. Trzydzieści metrów na minutę. Bez szarpnięć, panie Stone.

- Tak jest.

Milę morską za ich rufą hol owinięty wokół pylonu i biegnący z powrotem do dziobu „Admirała Guillerma Browna” stał się sztywny jak stalowy pręt, kiedy silniki magnetohydrodynamiczne napotkały opór masy krążownika. Działające siły były ogromne. Duży okręt wojenny się przemieścił, ale tak niewiele, że załoga wzięła to za napór wiatru na rufę.

Pół metra, metr, trzy metry... I krążownik zatrzymała kotwica.

Eric zwiększał moc, rufa „Oregona” pogrążała się w morzu, gdy strumienie wody pędziły przez kanały napędowe. Ale uparty trzpień, mimo tak starannego sabotażu Juana, nie chciał się przesunąć o ten ostatni ułamek centymetra.

Jeden z przyspawanych pierścieni odpadł, co zwiększyło obciążenie innych. „Oregon” ciągnął coraz mocniej; puścił drugi spaw. Na kadłubie pozostało tylko sześć pierścieni. Metal zgrzytał o metal, gdy przetyczka kotwicy uparcie stawiała opór.

W końcu ustąpiła i energia nagromadzona w holu z włókna węglowego w czasie tego szaleńczego przeciągania liny nagle znalazła ujście. „Admirał Guillermo Brown” wyskoczył z szybkością sześciu węzłów. Marynarze upadli na kolana. Tak się złożyło, że mimo wczesnej pory kapitan był na mostku. Podniósł wzrok znad meldunku, który czytał. Od razu wiedział, co się stało. Jego mniej doświadczeni podwładni mieli zdezorientowane miny.

- Wielki Boże, kotwica pękła. Sternik, jedna trzecia wstecz.

- Tak jest, jedna trzecia wstecz.

Mając do dyspozycji dwie turbiny gazowe o łącznej mocy dwudziestu tysięcy koni mechanicznych mierzonej na wale, nie wątpił, że pokona napór każdego wiatru. Ale kiedy spojrział na wskaźnik ich prędkości nad dnem, zobaczył, że przyspieszają, zamiast zwalniać.

- Sternik, jedna druga wstecz. Szybko, człowieku!

Port był tylko pół mili morskiej od nich i wyglądało na to, że kierują się na jeden z zakładów przemysłowych. Kapitan zdał sobie sprawę, że wiatr jest silniejszy niż wszystkie, jakie dotąd napotkał.

- Cała wstecz!

„Oregon” z łatwością sobie poradzi z dwudziestoma tysiącami koni mechanicznych krążownika. Eric dał osiemdziesiąt procent mocy i zauważył z satysfakcją, że holują „Admirała Guillerma Browna” z prędkością szesnastu węzłów. Przez sztorm i dzielącą dwie jednostki odległość usłyszał alarm kolizyjny.

Krążownik był bezradny jak szkuner bez masztów, gdy pruł prosto na przetwórnę gazu. Kapitan nie potrafił tego wyjaśnić. Poleciał ustawić ster maksymalnie w lewo, żeby nie uderzyć dziobem, ale okręt po prostu dryfował z wiatrem. Wobec losu lub przeznaczenia rozkazy człowieka się nie liczyły. Moment przed katastrofą kapitan znów sprawdził prędkość nad dnem i nie mógł uwierzyć, że wiatr potrafi pchać tak potężną jednostkę z szybkością prawie dwudziestu węzłów.

Cabrillo nie miał czasu na subtelności. Wiedział, że dowody tego, co się wydarzy w tym budynku, spłoną, kiedy „Admirał Guillermo Brown” rozwali frontową ścianę. Sprawnie umocował tłumik na lufie efenki i czekał, dopóki Espinoza i sierżant nie zniknęli z widoku.

Wykorzystał gąszcz rur jako osłonę i ruszył do drzwi. Dwaj podoficerowie nieustannie szukali go wzrokiem, ale ogromna hala wielkości hangaru była słabo oświetlona i nie mogli go wypatrzeć. Stale oglądał się za siebie, żeby się upewnić, że druga dwójka przypadkowo go nie oskrzydli. Właśnie składał się do strzału, gdy zawór bezpieczeństwa tuż za nim z sykiem wypuścił w powietrze strumień pary. Obaj Argentyńczycy spojrzeli w jego kierunku i jeden musiał go zauważyć, bo wypalił trzystrzałową serią.

Chyba tylko cudem pociski nie zniszczyły zaworu i wszyscy nie zginęli.

Juan się schylił, po czym prawie natychmiast wyprostował i położył jednego z przeciwników dwoma strzałami w pierś. Wartownik, który wpuścił Cabrilla, wpadł do hali z wysoko uniesioną bronią, mocno przyciśniętą do ramienia. Drugi podoficer dał nura na podłogę za dwustulitrowe beczki.

Cabrillo znów dwukrotnie nacisnął spust; wartownik upadł. Drzwi się zatrzasnęły.

Juan usłyszał w oddali, jak Espinoza wydaje rozkazy.

Podoficer wyrzwał zza beczek. Cabrillo posłał kulę pięć centymetrów od jego oka, żeby został gdzie jest, potem wystartował sprintem. Miał do pokonania niewiele ponad pięć metrów. Dobiegł do beczek i wyskoczył do góry. Podoficer wciąż leżał płasko na brzuchu i nie zobaczył ataku, ani się go nie spodziewał.

Juan popełnił błąd. Widząc, że z przedziurawionej pociskiem beczki wycieka płyn, założył, że wszystkie są pełne. Nie były.

Kiedy trącił stopą wierzch jednej z nich, jego impet przewrócił ją i trzy sąsiednie. Wpadł w środek hałaśliwego bałaganu i przez moment nie wiedział, co się stało. Podoficer otrząsnął się z zaskoczenia sekundę wcześniej. Podniósł się na kolana i wycelował pistolet maszynowy w Cabrilla. Jak żółtodziób, Juan upuścił broń przy lądowaniu, więc kopnięciem pchnął beczkę na Argentyńczyka. Trzy pociski odbiły się z brzękiem od stalowych krokwi.

Cabrillo opasał ramionami pustą beczkę niczym niedźwiedź i rzucił się na podoficera. Kiedy się zderzyli, żołnierz runął na plecy, a Juan wykorzystał swój rozpęd i zwałił mu się na pierś. Żebra

trzasnęły jak gałązki. Mężczyzna był uziemiony, ale nie wyłączony z akcji. Juan gorączkowo poszukiwał jego automatu. Właśnie się schylał, żeby go wyjąć spośród dwóch beczek, kiedy ścianę za nim posiekały dziewięciomilimetrowe pociski.

Espinoza natychmiast go rozpoznał. Wytrzeszczył oczy, potem je zmrużył z satysfakcją, kiedy sobie uświadomił, że człowiek, który przysporzył mu tylu kłopotów i naraził go na taki wstyd, stoi zaledwie pięć metrów dalej i nie ma broni.

- Wiem, że jesteś sam - oznajmił major. Lugones wyrósł u jego boku. - Sierzancie, zastrzelcie go, jeśli tylko drgnie.

Espinoza rzucił swój automat na obudowę transformatora, wyjął pistolet z kabury i też go odłożył. Podszedł do Juana z cwaniacką miną łobuza, który osaczył najsłabszego chłopca w sąsiedztwie. Nie zareagował na alarmujący dźwięk syreny okrętowej na zewnątrz.

- Nie wiem, kim jesteś i skąd się tu wzięłeś, ale zapewniam cię, że twoja śmierć będzie wyjątkowo nieprzyjemna.

Juan błyskawicznie zamachnął się prawą ręką i walnął Espinozę prosto w nos. Major zatoczył się do tyłu.

- Za dużo gadasz - warknął Cabrillo.

Argentyńczyk natarł na niego ze ślełą furią. Juan pozwolił mu się zbliżyć i kiedy już mieli się zderzyć torsami, zrobił unik w bok i pchnął go w plecy. Espinoza wpadł na ścianę z takim impetem, że metal zadźwięczał.

- I walczysz jak baba - zadrwił Juan.

- Lugones, przestrzelcie mu stopę.

Sierżant się nie zawahał. Pojedynczy strzał zabrzmiał wyjątkowo głośno; Juan runął na ziemię, ściskając zranioną nogę i krzycząc z bólu.

- No, teraz zobaczymy, jak ty walczysz - zaszydził Espinoza. - Wstawaj, bo inaczej rozwalimy ci kolano.

Juan spróbował się podnieść, ale osunął się z powrotem na betonową podłogę. Kolejna próba też się nie powiodła.

- Teraz już nie zgrywa twardziela, co, sierzancie?

- Tak, panie majorze.

Espinoza podszedł z boku do Juana i brutalnie dźwignął go. Cabrillo zachwiał się jak pijany i z trudem stłumił krzyk. Major przytrzymał go jedną ręką za ramię i zadał mu dwa silne ciosy w brzuch. Juan zgął się wpół, przewrócił i omal nie pociągnął Argentyńczyka ze sobą na ziemię.

- Żalodne - mruknął Espinoza. Znow się schylił, żeby powtórzyć przedstawienie.

Juan siedział potulnie, dopóki głowa majora nie znalazła się trzydzieści centymetrów od niego. Wtedy złapał Argentyńczyka jedną ręką za brodę, a drugą za kość potyliczną. Mimo niewygodnej pozycji zdołał silnym szarpnięciem przekręcić mu głowę w bok. Kręgosłup pękł.

Zwłoki upadły bezwładnie i omal nie zablokowały Juanowi dostęp do leżącej efenki. Chwycił ją i wypalił, zanim mózg sierżanta zanalizował sytuację. Pierwszy pocisk trafił Lugonesa w brzuch i przeszedł na wylot, drugi zrobił dziurę w czole.

Syrena okrętowa znow się odezwała; przeciągły dźwięk dochodził z niecałych piętnastu metrów od zakładu. Juan wstał - proteza nie ucierpiała od strzału - i ruszył do drzwi. Nagle potworne uderzenie zakołysało budynkiem i ostry jak nóż dziób krążownika „Admirał Guillermo Brown” przebił ścianę.

Sześć sekund później wstrząsy wywołane przez walącą się konstrukcję ze stali i betonu zdetonowały bombę.

Hala zaczęła się unosić jak „Hindenburg”\* nad Lakehurst.

\* LZ-129 „Hindenburg” - jeden z największych sterowców w historii. Spłonął w katastrofie w 1937 roku podczas cumowania na lotnisku w Lakehurst (przyp. red.).



# Rozdział 28

Linc i Eddie byli pod więzieniem, kiedy syrena okrętowa zaczęła ryczeć. Smętny dźwięk niesiony przez wiatr brzmiał jak przedśmiertne wycie konającego zwierzęcia. Oczekali chwilę i tak jak się spodziewali, jeden ze strażników wystawił głowę przez drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Oczywiście nie widział dalej niż na odległość czterech metrów, więc szybko się schował.

Franklin wyjął małą wiertarkę bezprzewodową i zrobił otworek o średnicy trzech milimetrów w podłodze nad sobą. Dzięki wcześniejszemu rozpoznaniu orientował się, gdzie stoją meble, i wwiertcił się pod zniszczoną kanapę, żeby strażnicy nie zauważyli dziurki. Eddie wsunął do niej dyszę pojemnika z gazem. Silny środek usypiający pozbawiał przeciętnego człowieka przytomności po około pięciu minutach na okres do godziny, zależnie od stężenia. Wcześniej zadbali, żeby w budynku nie było cyrkulacji powietrza - po prostu wyłączyli z prądu wentylator.

Przytłumiona rozmowa strażników bardzo szybko umilkła; potem rozległ się odgłos upadającego ciała i zapanowała cisza.

Dwaj mężczyźni wypełzli spod budynku i weszli do przedsionka. Eddie miał dodatkowe kurtki w opakowaniu próżniowym, żeby ograniczyć jego wielkość. Linc niósł worek z kośćmi. Nie wzięli osiemnastu całych szkieletów - tylko tyle szczątków, by wyglądały przekonująco dla Argentyńczyków - a mimo to worek ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo. Linc męczył się dużo mniej niż Eddie ze swoimi dwudziestoma siedmioma kilogramami ubrań.

Kiedy tylko włożyli maski gazowe, wpadli do dyżurki strażników, żeby środek usypiający nie zdążył się rozrzedzić. Zastali czterech ludzi. Dwóch leżało na kanapie, jeden na podłodze. Ostatni siedział przy biurku z głową na blacie, jakby uciął sobie drzemkę. Eddie wpuścił każdemu z nich jeszcze trochę gazu do nosa, żeby nie obudzili się za wcześnie, potem pobiegł z Franklinem dalej i odryglował drzwi.

W tylnej części budynku było sześć pokoi rozdzielonych korytarzem. Kwaterowali tu robotnicy naftowi, zanim porwano naukowców. Linc stanął przy drzwiach. Nasłuchiwał, czy któryś z żołnierzy się rusza.

Eddie otworzył pierwsze drzwi na prawo i włączył światło. Trzy kobiety spojrzały na niego z podłogi. Otepięne długimi dniami w zamknięciu patrzyły obojętnie. Eddiemu ulżyło, kiedy zobaczył, że zostawiono im buty. Zdjął maskę gazową. Na widok jego azjatyckich rysów zakładniczki się ocknęły.

- Nazywam się Eddie Seng i przyszedłem was stąd zabrać. - Żadna się nie odezwała, więc zapytał: - Czy któraś mówi po angielsku?

- Tak - odparła przysadzista blondynka. - Wszystkie. Jesteśmy Australijkami. A pan?

- Członkiem ekipy ratunkowej. - Wyjął scyzoryk i rozciął opakowanie ze spłaszczonymi kurtkami. Worek powiększył się trzykrotnie.

- Ma pan amerykański akcent. Jest pan wojskowym?
- Nie. To teraz nieważne. Nic wam się nie stało?
- Traktowali nas dobrze. Nie sądzę, żeby zrobili komuś krzywdę.
- Dobra. Pomóżcie mi uwolnić innych.

Kilka minut później pozostała piętnastka naukowców wyszła z pięciu cel. Zasypywali Eddiego pytaniami, dlaczego ich uwięziono. Starał się odpowiadać, ale wszyscy nagle zamilkli, gdy otworzył drugi worek i wyciągnął ludzką czaszkę.

- Argentyńczycy muszą myśleć, że zgineliście w pożarze - wyjaśnił, zanim ktokolwiek odzyskał mowę. - Byłyby poważne reperkusje polityczne, gdyby podejrzewali, że uciekliście.

Syrena „Admirała Guillerma Browna” zaczęła emitować jeden długi dźwięk. Eddie przyspieszył kroku. Rozsypał kości w każdym pokoju; potem Linc poszedł zaaplikować strażnikom ostatnią dawkę gazu. Następnie posmarowali ściany i podłogę purpurowym paliwem żelowym. Nie mogli przynieść go tyle, ile by chcieli, ale Eddie - doświadczony podpalacz - wiedział, jak je najlepiej rozprowadzić, żeby budynek doszczętnie spłonął.

- Nie oddychajcie, kiedy będziemy przechodzili przez dyżurkę - ostrzegł. - A na dworze zostańcie w zwartej grupie i trzymajcie się mnie.

Potężna eksplozja wypełniła noc.

Kiedy okręt wojenny staranował zakład przemysłowy i wybuchła bomba, pękła podwodna magistrala gazowa biegnąca od platform wiertniczych na morzu. Czujniki natychmiast zarejestrowały spadek ciśnienia i zamknęły się zawory w wieżach wydobywczych, żeby nie cofnęło się paliwo. „Admirał Guillermo Brown” zniszczył zawory na brzegu, więc kiedy wbijał się głębiej w budynek, gaz nadal płynął rurami. Gdy nad obiektem powstała kula ognia, płomienie dosięgły linii przesyłowej.

Zatoka eksplodowała.

Kilometry magistrali gazowej wyleciały w powietrze, wybuch wyrzucił do góry ściany wody, blask rozświetlił niebo na całym horyzoncie. Trzy z zamaskowanych platform wiertniczych się przewróciły.

Druga i trzecia eksplozja rozerwały zewnętrzne ściany przetwórnicy, budynek runął, płonące szczątki poszybowały nad zatoką i kompleksem.

Gruby pancierz „Admirała Guillerma Browna” ochronił całą załogę, z wyjątkiem ludzi na mostku. Mogli się uratować, dając nura na pokład, ale stali jak zahipnotyzowani, kiedy krążownik miażdżył obiekt. Zostali poszatkwani na kawałki, gdy szyby implodowały i sterownię wypełniły fruwające odłamki szkła.

Niezauważona w tym piekle, wybuchła inna mała bomba - pod dziobem okrętu wojennego. Juan zacisnął ten ładunek na linii holowniczej, by ją uwolnić. Kiedy paczka eksplodowała, splot z włókna węglowego wysunął się z pozostałych pierścieni i „Oregon” przestał ciągnąć krążownik.

Gdy tylko instalacje gazowe wyleciały w powietrze, Murphy zdetonował ładunki wybuchowe, które Mike Trono i jego drużyna umieścili w lodowym nawisie nad miejscem, gdzie admirał Tsai zatopił „Milczące Morze” pięć wieków wcześniej. Głęboko wwiercili się w lodowiec i napełnili otwory wodą, żeby po zamrożeniu ograniczyła siłę eksplozji. Wybuchy zostały precyzyjnie zsynchronizowane i wytworzyły tak silny rezonans harmoniczny, że ogromna bryła lodu oderwała się równo jak ucięta nożem. Nowopowstała góra lodowa miała wielkość wieżowca na Manhattanie. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ton lodu runęło do zatoki i rozpadło się przy uderzeniu w dno morza.

Fala wokół słupa wody sięgnęła od brzegu do brzegu i zmyła wszystko na swojej drodze jak liście w rynsztoku. Wspaniały statek skarbów, tak długo zachowany w swoim zimnym królestwie, nie był wyjątkiem. Przetoczył się po dnie morza i długiej pochyłości, która prowadziła w dół do równiny abisalnej. Kiedy woda w końcu się uspokoiła, po wraku nie pozostał żaden ślad.

Eric Stone natychmiast poczuł, że statek się uwolnił, i wyłączył napęd.

- Załatwione - powiedział, patrząc na duży monitor na czołowej ścianie centrum operacyjnego.

Kamera w dziobie bezzałogowego aparatu latającego pokazywała piekło na ziemi. Płomienie strzelały na wysokość trzydziestu metrów i wyżej ponad przetwórnice gazu, który wciąż płonął przy powierzchni zatoki. Wydawało się, że samo morze stanęło w ogniu. Gomez Adams zdalnie sterował samolocikiem; ruchami dżojstika skierował go nad rozległy kompleks. To, że potrafił prowadzić niestabilną maszynę przez to pandemonium, świadczyło o jego umiejętności pilotażu. Małe pożary wskazywały miejsca, gdzie spadły szczątki hali. Ale jego uwagę zwrócił budynek z dala od pobjowiska. Płomienie lizały dach.

- Wygląda na to, że Eddie i Linc robią swoje - mruknął.

Moment później z głośników sufitowych w nowoczesnym pomieszczeniu dobiegł zdyszany głos Senga:

- Cała osiemnastka w komplecie.

Maksa Hanleya to nie obchodziło.

- Widziałeś prezesa? Odzywał się?

- Nie. Był w przetwórnicy gazu. Nie kontaktował się z tobą?

- Nie, do cholery! Stwierdził tylko, że sobie poradzi.

- Co mamy robić?

Max bardzo chciał grać na zwłokę, ale wiedział, że Eddie i grupa uwolnionych zakładników w końcu zwrócą na siebie uwagę.

- Idźcie jak najszybciej do łodzi podwodnej. Może Juan jest już w drodze, tylko radio mu wysiadło.

- Ruszamy.

Hanley spróbował wywołać Cabrilla na wszystkich częstotliwościach, ale bez skutku. Czuł, że Juan nie wydostał się z budynku, kiedy wybuchł gaz. Nie zdążył. Poświęcił się, żeby ich plan się powiódł.

Na terenie kompleksu panował całkowity chaos. Porucznik Jimenez nie mógł znaleźć majora ani zdyscyplinować swoich dobrze wyszkolonych ludzi. Zaczął się amerykański atak, a jednak wielu żołnierzy opuściło stanowiska i gapiło się na pożogę. Wrzeszczał, żeby wracali na pozycje i przygotowali się do obrony. Podoficerowie dodawali swoje i powoli przywołali podwładnych do porządku.

Robotnicy naftowi, nie zważając na godzinę policyjną, wylegli z kwater, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy Jimenez ryknął do nich, że mają wracać do środka, odpowiedziały mu gromki śmiechy. Kilka minut po wybuchu stu lub więcej mężczyzn stało na dworze.

Kapral podszedł i zaszalutował.

- Panie poruczniku, to nie Amerykanie.

- Jak to? Co wy mówicie?

- „Admirał Guillermo Brown” urwał się z kotwicy i uderzył w przetwórnice gazu. Stąd ten wybuch.

- Jesteście pewni?

- Sam widziałem. Jedna czwarta okrętu wbiła się w budynek.

Jimenez nie wierzył. To wszystko spowodował wypadek?

- Gdzie major Espinoza?

- Nie wiem. Przykro mi, panie poruczniku.

- Jak go zobaczycie, powiedzcie mu, że oglądam zniszczony obiekt.

- Tak jest, panie poruczniku.

Jimenez już miał ruszyć przez kompleks, gdy usłyszał charakterystyczny terkot broni automatycznej. To nie wypadek, pomyślał. Puścił się biegiem w kierunku strzałów.

Kiedy nastąpiła eksplozja i płomienie wystrzeliły pod ciemne niebo, Linc zaczął wypychać więźniów do przedsionka; Eddie zapalił zapalniczką żel. Poszło lepiej, niż się spodziewał. Drewniana boazeria była bardzo tanim produktem; trociny i klej błyskawicznie płonęły. Po kilku sekundach pod sufitem kłębił się gęsty dym.

Eddie się upewnił, że wychodzi ostatni. Przebiegł przez dyżurkę. Strażnicy nadal spali. Zostawił otwarte drzwi, żeby wpuścić świeże powietrze, chociaż bardziej chodziło mu o podsycenie ognia niż o humanitarne potraktowanie tych facetów.

Tak jak przewidywał Cabrillo, Argentyńczycy chwilowo nie panowali nad sytuacją. Żołnierze opuścili patrolowane sektory, cywile mieszały się z wojskowymi.

Niecały kilometr dalej pożar przetwórci gazu rozświetlał pomarańczowożółtym blaskiem śnieżną zadymkę. Eddie nie musiał się temu przyglądać, żeby wiedzieć, że cały budynek jest na straty. Bez tego obiektu Argentyńczycy nie mieli źródła energii dla bazy. W jednej chwili korporacja uczyniła z władców Półwyspu Antarktycznego ludzi, którzy zamarzną na śmierć, jeśli nie zostaną uratowani w ciągu kilku dni. Ich nadzieje na aneksję regionu polarnego się rozwiały. Świat nie będzie patrzył beczynnym, jak odbudowują to wszystko.

Teraz trzeba tylko się stąd wydostać.

Eddiemu nie podobało się, że tworzą taką dużą grupę. Im więcej osób, tym trudniej pozostać niezauważalnym, choć nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek się nimi interesował. Większość Argentyńczyków przyciągał wielki pożar.

Eddie złożył meldunek Maksowi na „Oregonie” i tak samo jak on zaniepokoił się zniknięciem Juana. Ale znał prezesa i przeczuwał, że Cabrillo już wchodzi na pokład ich miniłodzi podwodnej.

Poruszali się wolniej niż truchtem, ale szybciej niż marszem. Budynki stały blisko siebie i w każdej chwili mogli wyjść zza rogu prosto na wartownika.

Linc ustąpił Eddiemu miejsca na czele. Gdy dotrą do nomada, Seng od razu wejdzie do kokpitu, nie będzie musiał przechodzić nad gośćmi.

Żołnierz stał odwrócony tyłem, kiedy Eddie go zobaczył. W oddali widział granicę między białym lądem i czarnym oceanem. Od nabrzeża dzieliło ich niecałe sto metrów.

Argentyńczyk bardziej coś wyczuł, niż usłyszał, i obrócił się z bronią gotową do strzału.

- Jaguar! - krzyknął.

- Kapibara - odpowiedział Eddie.

Żołnierz zadał jakieś pytanie. Seng nie znał hiszpańskiego i uświadomił sobie, że jednak Linc powinien prowadzić grupę. Przyłożył zgiętą dłoń w rękawicy do kaptura na znak, że nie dosłyszał. Wartownik zignorował jego pantomimę i zbliżył się, żeby spojrzeć na towarzyszących mu ludzi. Choć postacie były bezkształtne w grubych kurtkach, nie dało się ukryć, że trzy osoby są dużo niższe od

innych. Ich wzrost mógł sugerować, że to kobiety. A w tej bazie zatrudniano tylko mężczyzn.

Wartownik podszedł prosto do blondynki imieniem Sue i ściągnął jej kaptur. Na widok cherubinkowej twarzy poderwał do góry H&K i wycelował Australijce z bliska między oczy. Nikt nigdy się nie dowiedział, czy facet zamierzał nacisnąć spust. Linc położył go trupem trzystrzałową serią.

Eddiego nagle oświeciło. Uniósł własny pistolet maszynowy i opróżnił cały magazynek w powietrze. Żołnierze byli nerwowi, nie mieli informacji, co się dzieje, i bez wątpienia od chwili przylotu mówiono im, że amerykańscy komandosi zaatakują lada dzień. Nawet najbardziej doświadczony weteran wpadłby teraz w panikę-Kiedy więc tuż po serii Eddiego jakiś młody rekrut na drugim końcu bazy zobaczył ruchomy cień, otworzył ogień w przekonaniu, że to członek oddziału Zielonych Beretów. Jakby puściła tama, Argentyńczycy zaczęli strzelać na oślep. Terkot broni automatycznej górował nad rykiem szalejącego pożaru i wyciem wiatru.

Linc natychmiast zaskoczył. Szturchnął butem zwłoki.

- Biedny facet, zginął od kul swoich kumpli.

- Na to wygląda - przytaknął Eddie. - Nie zdziwiłbym się, gdyby rzeczywiście część z nich powystrzelała się nawzajem.

Ruszyli dalej i po chwili doszli do nabrzeża. Kanonada nie osłabła ani trochę, co działało na ich korzyść, dopóki zabłąkana kula nie trafiła jednego z naukowców w nogę. Upadł na ziemię, ściskając ranę i jęcząc.

Postrzał nie zagrażał życiu rannego, przynajmniej na razie, więc Linc podniósł mężczyznę ze śniegu i zarzucił sobie na ramię, prawie nie zwalniając kroku.

Nomad oddryfował trochę spod nabrzeża, więc Eddie przyciągnął go z powrotem za linę. Wskoczył na pokład i otworzył właz.

- Juan! - zawołał, kiedy wchodził do środka. Prezes jeszcze nie wrócił.

- Eddie, pomóż mi tutaj - poprosił Linc z wierzchu kadłuba.

Były komandos SEAL opuścił ofiarę ostrzału do otworu włazu. Krew przesączała się przez nogawkę spodni. Naukowiec miał przeciętą tętnicę udową. Eddie położył go na jednej z wyściełanych ławek i zamierzał opatryć, gdy ktoś z grupy zeskoczył do łodzi podwodnej i odsunął Senga na bok.

- Jestem lekarzem.

Eddiemu ulżyło. Wgramolił się do kokpitu i opadł na siedzenie pilota.

- Max, słyszysz mnie? - powiedział do mikrofonu, kiedy przygotowywał nomada do powrotu do „Oregona”.

- Co z Juanem? - zapytał Hanley.

- Nie wiadomo. Ładujemy się teraz do łodzi podwodnej. Tutaj go nie ma.

Milczenie trwało piętnaście sekund. Dwadzieścia. W końcu Max spytał:

- Ile czasu możesz tam poczekać?

- Ani chwili. Jeden z naukowców oberwał. Musi jak najszybciej trafić na stół operacyjny, bo się wykrwawi. - Zawsze, kiedy trwała akcja, doktor Huxley i jej personel czekali w pogotowiu w izbie chorych.

Eddie obejrzał się przez ramię na kabinę pasażerską nomada. Zabrakło już miejsc i ludzie siadali innym na kolanach. Ranny naukowiec zajmował całą ławkę. Wszyscy milczeli, ale każdy uśmiechnął się do Eddiego, kiedy napotkał jego wzrok.

- Doktorze! - zawołał Seng. - Podróż do naszego statku potrwa pół godziny, ale jest tam pierwszorzędny zespół medyczny. Jakie szanse ma ranny? Od pańskiej oceny może zależeć życie innego człowieka.

Norweski lekarz na urlopie naukowym na Antarktydzie z powodu swojego zamięłowania do przygód nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Przeżyje, jeżeli odplynie najdalej za pięć minut.

Eddie znów połączył się przez radio z Hanleyem.

- Max, mogę dać Juanowi dziesięć minut, potem musimy ruszać. - Przypuszczał, że lekarz trochę się zabezpieczył.

- Każda sekunda dobra. Słyszysz? Każda sekunda.

Dwanaście minut później łódź podwodna zanurzyła się w czarnych wodach zatoki.

Cabrillo się nie pojawił.

Minęło trzydzieści sześć godzin, zanim pogoda poprawiła się na tyle, że argentyński rząd zdecydował się przysłać jednego hercu-lesa C-130. Przez ten krótki czas Antarktyda przypomniwała ludziom pozostawionym tam własnemu losowi, dlaczego człowiek jest intruzem na jej brzegach. Choć nie zmuszeni do kanibalizmu, jak pewna urugwajska drużyna piłkarska, mężczyźni byli niemal bezradni bez stałego zaopatrzenia w gaz ziemny. Podgrzewali jedzenie na przenośnych kuchenkach i dzielili się ciepłem ciała. Mimo uszkodzeń, łącznie z dziurą w dziobie, „Admirał Guillermo Brown” wziął na pokład ponad dwustu ocalonych. Reszta zgromadziła się w dwóch z kilku budynków mieszkalnych i skuliła żałośnie, kiedy temperatura wewnątrz spadła.

Philippe Espinoza pierwszy zszedł po pochylni, gdy duży samolot transportowy zatrzymał się na lodowym pasie startowym za bazą. Raul Jimenez zasalutował elegancko. Generał postarzał się o dziesięć lat, odkąd Jimenez widział go ostatni raz przed tygodniem. Miał worki pod oczami i był blady.

- Wiadomo coś o moim synu? - zapytał natychmiast.

- Nie, panie generale, przykro mi. - Wsiadli do transportera arktycznego. - Mam obowiązek zameldować, że widziano, jak czterech ludzi wchodzi do zakładu przerobu gazu zaledwie kilka minut przed wypadkiem. Nie znaleziono ich szczątków.

Espinoza poczuł się jak po ciosie w brzuch. Jego syn nigdy nie opuściłby posterunku, więc na pewno znajdował się w tej czteroosobowej grupie.

- Najpierw moja żona, a teraz to - mruknął.

- Pańska żona? - zapytał Jimenez zbyt szybko.

Generał nie wychwycił podniecenia w głosie młodego porucznika i był w takim stanie psychicznym, że zaczął się tłumaczyć swojemu podwładnemu.

- Zabrała nasze dzieci i odeszła ode mnie. Co gorsza, okazała się zdrajczynią.

Jimenez z trudem hamował emocje. Maxine zostawiła męża. Poczul przyspieszone bicie serca. Nigdy w życiu nie usłyszał lepszej wiadomości, więc następne słowa generała zabrzmiały szczególnie boleśnie.

- Dowiedziałem od celników, że opuściła kraj. Wysłałem więc dwóch agentów na paryskie lotnisko, żeby czekali na jej samolot. Spotkali się z nią dwaj mężczyźni i natychmiast zabrali ją do kwatery głównej DGSE.

Jimenez wiedział, że to francuska agencja wywiadowcza, odpowiednik CIA.

- Nie mam pojęcia - ciągnął Espinoza - czy współpracowała z nimi od początku, czy ją

zwerbowali później, ale tak czy inaczej, to szpieg.

W tym momencie Jimenez zdał sobie sprawę, że Maxine uzyskała od niego mnóstwo informacji. Podczas ich ostatniego spotkania nad strumieniem wygadał się o porwaniu amerykańskiej profesor. Zdradził też, że kobieta jest przetrzymywana w apartamencie Espinozy w Buenos Aires. Maxine przekazała to swoim przełożonym, a oni uwolnili Amerykankę.

- A teraz mój Jorge nie żyje. - Generał starał się nie załamać; w końcu wziął się w garść. - Niech pan mi powie, że to robota Amerykanów, żebym mógł się zemścić.

- Ściśle współpracowałam z dyrektorem kompleksu Luisem Larettą i komandorem Ocampem, pierwszym oficerem „Admirała Guillerma Browna”. Nasz wstępny wniosek jest taki; puściła kotwica, okręt zaczął dryfować i uderzył w przetwórnę gazu, gdzie nastąpił wybuch. Ogień zniszczył trzy inne budynki, w tym warsztat mechaniczny i kwaterę zagranicznych naukowców.

- Nie wydaje się to panu podejrzane? Stały się jednocześnie dwie rzeczy, których chcieli Amerykanie. Spłonęła baza i uciekli zakładnicy.

- Oni nie uciekli, panie generale. Wszyscy zginęli w pożarze, zostały tylko kawałki poczerwiałych kości. Oprócz tych cudzoziemców, było siedemnaście ofiar śmiertelnych. Osiem na mostku krążownika, cztery plus wartownik w przetwórni gazu, dwaj spaleni strażnicy pilnujący więźniów i dwaj żołnierze zabici podczas zamieszania, kiedy naszym ludziom puściły nerwy i zaczęli strzelać do cieni. - Ujawnienie tego ostatniego nie przyszło Jimenezowi łatwo, bo to on dowodził oddziałem i brak dyscypliny źle o nim świadczył. - Nie znaleźliśmy absolutnie żadnego dowodu, że zaatakowali Amerykanie.

Generał się nie odezwał. Wciąż zmagał się z tym, że poniósł poczwórną stratę - żona odeszła z dwójką ich dzieci, syn nie żył i wydarzyła się katastrofa, która najprawdopodobniej oznaczała koniec jego kariery. Patrzył w przestrzeń, jego ciało poruszało się tylko przy podskokach transportera arktycznego na wybojach. Okrążyli ostatnie wzgórze i zobaczyli bazę. Z góry zniszczony zakład przerobu gazu wyglądał źle, z poziomu gruntu - dużo gorzej.

Połowa budynku wielkości hangaru dla dwóch jumbo jetów już nie istniała, na jej miejscu widniała dymiąca dziura w ziemi pośród ton porozrywanych i osmalonych rur. „Admirał Guillermo Brown” stał przycumowany do nabrzeża, jego część rufowa wyglądała normalnie, ale od mostka do dziobu był wypaloną skorupą. To, że więcej ludzi na pokładzie nie straciło życia, dobrze świadczyło o rosyjskich budowniczych krążownika.

Dalej w zatoce leżały trzy przewrócone platformy wiertnicze. Tylko wystające ponad fale wysięgniki żurawi pokładowych wskazywały ich lokalizację. Lód już zaczynał się tworzyć wokół nich, co zapowiadało, że w ciągu następnych kilku dni cała zatoka zamarznie.

- Pan Laretta mówi, że nadal możemy pompować ropę z ocalałych platform do zbiorników magazynowych; bez instalacji do przerobu gazu nie mamy jednak źródła energii, aby kontynuować operację - odezwał się Jimenez, bo milczenie stawało się nie do zniesienia. - Chociaż twierdzi, że gdybyśmy sprowadzili przenośne urządzenia przetwórcze, można by rozpocząć odbudowę kompleksu.

Espinoza nadal siedział jak posąg.

- Musimy ewakuować większość personelu do czasu dostarczenia tu paliwa i uruchomienia przerobu. Laretta potrzebuje tylko dwudziestu ludzi na początek. Potem oczywiście więcej, ale na razie nie wystarczy środków do utrzymania reszty przy życiu. Właśnie, kiedy przylecą następne samoloty, panie generale?

Zatrzymali się blisko dymiących szczątków obiektu przemysłowego. Espinoza gwałtownie otworzył drzwi i zeskoczył na lód. Nie włożył kaptura, jakby na przekór temu miejscu. Antarktyda już nic gorszego mu nie zrobi. Stał niemy wśród wycia wiatru od oceanu; w powietrzu unosił się silny swąd przypalonego metalu.

- Jorge - wyszeptał.

Jimenez był zaskoczony, że generał tak ciężko przeżywa śmierć syna. Z opowieści majora i obserwacji spotkań tych dwóch mężczyzn wysnuwał wniosek, że ojciec widzi w Jorgem po prostu jednego ze swoich podwładnych.

- Jorge - powtórzył cicho Espinoza, po czym głos mu nagle stwardniał i stał się gniewny. - Zawiodłeś i nie masz odwagi spojrzeć mi w oczy, tak? Głupio zginąłeś, żeby uniknąć odpowiedzialności za swoje błędy. Tak długo wspinałeś się na moich plecach, że kiedy przyszedł czas, żeby zejść, już nie potrafiłeś stanąć na własnych nogach. - Odwrócił się do Jimeneza. - Samoloty? Nikt po was nie przyleci. To, czy przeżyjecie, czy zginiecie, zależy od waszego sprytu. Albo znów uruchomicie ten zakład, albo wszyscy zamarniecie na śmierć. Dopóki nasi chińscy przyjaciele popierają nasze działania, musicie tutaj być, aby potwierdzić argentyńskie roszczenia terytorialne. A teraz, niech pan mi opowie o tajemniczym statku, który wpadł na brzeg niedaleko stąd.

Espinoza tak szybko przeistoczył się z owcy w wilka, że Jimenez zwlekał z odpowiedzią o sekundę za długo.

- Poruczniku, pańskie zaniedbania zostały już odnotowane, niech pan nie pogarsza swojej sytuacji! - wrzasnął dowódca.

- Tak jest, panie generale! - Jimenez stanął na baczność. - Gdy tylko pogoda się poprawiła, wydałem rozkaz, żeby śmigłowiec przeprowadził rozpoznanie u wybrzeża. Obecność dziwnego frachtowca niepokoiła pańskiego syna. Nie udało się odnaleźć statku, a biorąc pod uwagę jego stan, z pewnością zatonął w czasie sztormu.

- Zatonął?

- Tak jest, panie generale. Kiedy weszliśmy na frachtowiec kilka dni temu, dolne pokłady były zalane i jak odplynał od plaży w przeddzień sztormu, miał duży przechył na burtę. To nieprawdopodobne, żeby przetrwał więcej niż parę godzin przy takiej pogodzie. Skoro sztorm rozerwał łańcuch kotwiczny „Admirała Guillerma Browna”, to łatwo mógł przewrócić starą łajbę.

Ten zbieg okoliczności też się nie podobał Espinozie. Wcześniej jednak generał sprawdził w bazie danych londyńskiego Lloyd'a i znalazł statek o nazwie „Norego”, który odpowiadał opisowi w raporcie Jorgego. Jednostka została zgłoszona jako zaginiona razem z załogą prawie dwa lata temu. Niewykluczone że dryfowała cały ten czas i kiedy się tu pojawiła, nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Generał nie miał pojęcia, że Mark Murphy i Eric Stone włamali się do systemu komputerowego gigantycznej firmy ubezpieczeniowej i wprowadzili tam tę informację. Umieścili ją też w bazie danych Międzynarodowej Komisji Bezpieczeństwa Morskiego na wypadek, gdyby ktoś okazał się wyjątkowo wścibski.

Espinoza wiedział, że teraz wszystko zależy od tego, co zrobią ich chińscy sojusznicy. Jeśli nie wycofają poparcia dla Argentyny, odbudowa bazy będzie możliwa. W przeciwnym razie nie pozostanie mu nic innego, jak tylko zarządzić całkowitą ewakuację wbrew swojej wcześniejszej fanfaronadzie.

Dwie godziny później siedział w gabinecie Luisa Larety. Dyrektor przedstawiał mu plan przywrócenia kompleksu do poprzedniego stanu, kiedy nadszedł meldunek radiowy z łodzi



poszukiwawczej. Li Fong i jego zespół wyruszyli do zatoki od razu, gdy ustał sztorm. Zamierzali zanurkować do wraka „Milczącego Morza”, aby zdobyć ostateczny dowód, który przekona świat, że Pekin ma prawo do półwyspu.

Radiostacja morska stała na bocznym stole bliżej generała, więc on się zgłosił.

- Nie, to nie pan Laretta. Mówi Philippe Espinoza. Jestem z dyrektorem w jego gabinecie.

- Generale, to zaszczyt rozmawiać z panem - odparł Fong. - I niech będzie mi wolno w imieniu mojego rządu i własnym złożyć panu kondolencje z powodu śmierci syna. Znałem go krótko, ale zrobił na mnie wrażenie doskonałego oficera i wspaniałego człowieka.

- Dziękuję - odpowiedział Espinoza zdławionym głosem z mieszaniną wstydu i żalu.

- Bardzo mi przykro generale, że muszę pana jeszcze bardziej zmartwić, melduję jednak, że „Milczącego Morza” już tu nie ma.

- Co?!

- Nad zatoką, gdzie statek zatonął, jest lodowiec; duża jego część oderwała się podczas sztormu. Jeden z moich ludzi uważa, że mógł to spowodować wstrząs wywołany eksplozją, ale przyczyny nie są istotne. Ważne, że gdy lód uderzył w wodę, powstała fala, która przemieściła wrak. Zbadaliśmy najbardziej prawdopodobną trasę i nie natrafiliśmy na żaden ślad statku.

- Będziecie szukali dalej. - Zabrzmiało to bardziej jak pytanie.

Zapadło przepaszające milczenie.

- Niestety nie - odparł w końcu Chińczyk. - Skontaktowałem się ze swoimi przełożonymi i zapoznałem ich z sytuacją. Kazali mi przerwać operację i wracać. Po stracie okrętu podwodnego, przy tak dużych zniszczeniach w bazie i braku niezbitego dowodu, że my pierwsi dotarliśmy do tego regionu, już wolą nie narażać się na dalsze międzynarodowe potępienie.

- Na pewno znajdziecie „Milczące Morze” za dzień lub dwa. Przecież wiecie, że tam jest.

- Owszem, ale dno morskie opada tuż za zatoką na głębokość ponad tysiąca pięciuset metrów. Poszukiwania mogłyby potrwać miesiąc albo dłużej i nie przynieść rezultatu. Mój rząd nie chce zaryzykować.

To był gwóźdź do trumny. Nazajutrz o świcie hercules odleciał do Argentyny z pierwszą grupą ewakuowanej ekipy. W przeciwieństwie do Cezara, przekroczyli Rubikon tylko po to, by się wycofać. Jak sądzili, zmusił ich do tego los, a w rzeczywistości Juan Cabrillo i korporacja.

Na pokładzie panował ponury nastrój, kiedy „Oregon” płynął na północny zachód do Afryki Południowej. Wyszło tak, że stawią się parę dni później do ochrony emira Kuwejtu podczas jego oficjalnej wizyty, ale szybkie renegocjacje ich wynagrodzenia załatwiły sprawę.

Statek przypominał teraz zombi. Funkcjonował, ale nie miał duszy. Obecność Juana czuło się wszędzie, więc jego nieobecność również. Cztery dni minęły od śmierci dowódcy i załoga była pogrążona w smutku tak samo jak w chwili, gdy uświadomiła sobie, że on już nie wróci.

Mówiło się, że bez Juana korporacja nie ma racji bytu i trzeba by ją rozwiązać; Max Hanley nie robił nic, by uciszyć to gadanie.

Mark Murphy siedział za biurkiem w kabinie i grał bezmyślnie w internetowego tryktraka. Dawno minęła północ, ale nie mógł nawet myśleć o śnie. Bał się przyszłości bardziej niż ktokolwiek inny. Z powodu wysokiego ilorazu inteligencji całe życie czuł się wyobcowany i dopiero w korporacji znalazł swoje miejsce na ziemi. Nie tylko tu pasował, lecz wręcz prosperował. Nie chciał tego stracić. Nie chciał wrócić do świata, gdzie uważano go za dziwaka albo wykorzystywano jako chodzący komputer, jak wtedy gdy pracował w przemyśle obronnym.

Ludzie na „Oregonie” stali się rodziną. Akceptowali jego dziwactwa, a przynajmniej je tolerowali, i to mu wystarczyło. Odłożył tyle pieniędzy, że gdyby korporacja przestała istnieć, nie musiałby już nigdy pracować. Wiedział jednak, że prześladowające go przez całe życie poczucie wyobcowania natychmiast by powróciło.

Wykończył kolejnego gracza, jedenastego z rzędu, i już miał zacząć nową grę, gdy zauważył, że pulsuje ikona e-maila. W nadziei na bardziej interesującą rozrywkę niż następna partia tryktraka otworzył pocztę. Trzy wiadomości. Pokładowy serwer nie przepuszczał spamu do skrzynek reszty załogi, ale Mark przyjmował mnóstwo śmieci na swojego peceta. Lepsze niepotrzebne wiadomości niż żadne.

Pierwsza była spamem. Druga ruchem w długo trwającej serii rozgrywek szachowych, które prowadził z pewnym emerytowanym izraelskim profesorem. Zanosilo się na to, że Murphy da przeciwnikowi mata w następnych czterech ruchach, ale stary fizyk jeszcze tego nie dostrzegal. Mark wysłał odpowiedź i spojrzal na adres w trzeciej wiadomości.

Nie znał nikogo na Uniwersytecie Stanu Pensylwania, ale zaintrygowal go temat: „Samotny”.

Pewnie jakaś pozał się Boże uczelniana agencja kojarząca pary, pomyslał, ale otworzył e-mail.

„Cześć. Pamiętasz mnie? Do niedawna byłem prezesem pewnej dużej korporacji. Teraz jestem królem kolonii pingwinów w stacji badawczej Wilson/George. Moi przyjaciele musieli mnie zostawić.

Nie wiedzieli, że się wydostałem z przetwórni gazu i uciekłem w zamieszaniu po wybuchu. Powinienem uważać, żeby nie zniszczyć radia w czasie walki. Ostatnie cztery dni wędrowałem przez śnieg do tego miejsca. Żywiłem się tylko batonami proteinowymi, które załadowałem do swojej przemytniczej nogi, tej z wydrążoną łydką. Uruchomiłem generator i mam mnóstwo jedzenia, więc moim głównym problemem jest samotność. Jakies sugestie?”

Cabrillo podpisał to: „Opuszczony w Antarktyce”.